

Baśniowy świat

i wielka miłość
dwojga zakochanych
z dwóch stron
magicznego portalu...

WALKA SYLFA

L.J. McDonald



MCDONALD L.J.

WALKA SYLFA

Są obdarzeni niszczącą siłą i nieodpartym męskim urokiem. Lecz każdy z nich marzy tylko o jednym: aby znaleźć tę jedyną - swoją królową...

Sylf to potężna magiczna istota. Lecz człowiek może zmienić go w niewolnika mrocznym rytuałem – ofiarą z życia młodej kobiety.

Ale siedemnastoletnia Solie nie zamierza pokornie przyjąć wyznaczonej jej roli. Sama przejmuje władzę nad sylfem, dla którego miała być przynętą - młodym jak ona i niesamowicie pociągającym. Lecz od tej chwili razem z Heyou nie są bezpieczni ani w świecie sylfów, ani ludzi...

PROLOG

Kobietę, która miała być poświęcona na ofiarę, przywieziono tylną bramą, przed świtem, kiedy na ulicach panowała pustka, a na drogach gęsty mrok. Światła paliły się tylko w zamku i na wewnętrznym dziedzińcu, bo w czasie chłódów ogniowe sylfy dbały przede wszystkim o to, aby ogrzać budynek. Oświetlenie ulic poza jego murami liczyło się mniej.

Ze swojego stanowiska na blankach wysokiego zamku Devon obserwował, jak wnoszą ją do środka. Mimo grubego płaszcza dygotał, gdy czekał na statek. Szczerze mówiąc, nie miał pewności, że omotana płótnem postać, którą przywieziono na drewnianym wózku pod strażą trzech zbrojnych, jest przynętą. Wiedział tylko, że się poruszała, a w zamku szeptano, że wkrótce zostanie wezwany kolejny wojowniczy sylf. Książę był już dorosły, a żaden zwyczajny sylf go nie zadowalał.

Devon westchnął, rad, że wezwanie jego sylfki przynajmniej nie wiązało się z niczyją śmiercią. Czuł jej bezcielesną obecność. Czekala jak on. Mogła przybierać ludzką postać, jeśli chciała, tak jak wszystkie sylfy, ale wołała być niewidzialna i tańczyć w powietrzu, które potrafiła kontrolować. Została wezwana przez jego dziadka, potem odziedziczył ją ojciec i przekazał Devonowi w zamian za dar muzyki. Teraz byli związani na resztę jego życia. Sylfce to specjalnie nie przeszkadzało. W zakamarkach swojego umysłu Devon odczuwał jej zadowolenie, choć podobno ludzie związani

z wojowniczymi sylfami czuli tylko ich nienawiść. Będąc w ich pobliżu, każdy to zauważał. Lodowaty, przenikliwy wiatr zwiastował śnieżyce. Devon, zmarznięty, schował się przed nim za załomem muru.

- Hej, Airi! - zawołał, dzwoniąc zębami. - Jest strasznie zimno. Mogłabyś coś zrobić z tym wiatrem? Jej obecność stała się bardziej konkretna; w powietrzu uformowała się twarz.

- To duży statek - przypomniała.

- Wcale nie potrzebujesz aż tak dużo energii, żeby uratować mnie przed śmiercią z przemarznięcia - powiedział. Po chwili wokół niego powstała cicha, spokojna przestrzeń; powietrze nie było zbyt ciepłe, ale i nie lodowate. - Dziękuję.

W odpowiedzi zabrzmiał srebrzysty śmiech. Devon otrząsnął się, poprawił płaszcz i spojrzał do góry. Obok rozpościerało się przestronne lądowisko dla statków. Handlowe transportowce zazwyczaj zawijały do portów za dnia, ale ten był wyjątkowy. Podobno służył za przynętę dla piratów. Do tej pory bandyci napadli na trzy statki. Zabrali cały ładunek, załozę darowali wolność. Nikt nie wątpił, że król nie puści tego płazem. Powiadano, że na tym statku są aż dwa wojownicze sylfy.

Nie wyjaśniono, co ich tam spotkało; ważne, że wracali mocno poturbowani. Devonowi nakazano, aby jego Airi pomogła przy lądowaniu Huraganowi, powietrznemu sylfowi, na stałe przydzielonemu do statku. Nie powiedziano mu tylko, kiedy statek przybędzie, więc czekał na niego pół nocy.

Westchnął, bo wiedział, że nie odważy się zaprotestować przeciwko takiemu traktowaniu. Nie zamierzał też pytać o przyczyny zniszczeń ani o wóz, którego przyjazd obserwował przed chwilą.

Sylfy powietrzne zdobywało się łatwo, sylfy ziemskie, ogniowe i wodne zresztą też. Gdyby zaczął zadawać zbyt wiele pytań, po prostu by się go pozbyli. Nie takie rzeczy już się zdarzały, szczególnie wtedy, gdy chodziło

o wojownicze sylfy. Na szczęście te były naprawdę rzadkie. Devon wolał nie myśleć o ich niszczącej sile.

Choć wiedział, że to nierozsądne, i choć właśnie powtarzał sobie, że jego życie nie ma żadnej wartości dla jego przełożonych, popatrzył w dół na wóz, który właśnie zniknął w zamku. Wysłali na wabia statek z dwoma wojowniczymi sylfami?! Przywieźli kobietę, by złożyć ją w ofierze podczas ceremonii wezwania wojowniczego sylfa dla księcia? Takie zdarzenia wywracały do góry nogami świat, w którym Devon nie musiał martwić się o nic poza swoją pracą i Airi. Cieszył się, że władza sylfem powietrza. Nie interesowało go nic oprócz tego. Tylko trochę szkoda mu było tej dziewczyny, skazanej na śmierć.

- Wyczuwasz już Huragana? - zapytał.

- Nie.

Westchnął i oparł się o mur. Przynajmniej już nie marzył. Postanowił zdrzemnąć się trochę. Jutro czeka go długi dzień pracy i nikt nie zapyta, czy był na służbie do późnej nocy, czy nie. Wiedział, że Airi obudzi go, gdy tylko ktoś się pojawi. Sylfy rzadko śpią.

- Już są.

Spojrzał w górę. Widocznie długo drzemał, bo zaczynało świtać. Na horyzoncie rysował się kształt nadlatującego statku. Był ogromny, o opływowym kadłubie, jak morski statek, tyle że dno miał płaskie, a żagle umocowane do burt. Nigdy nie płynął po morskich falach, poruszały nim powietrzne sylfy. Najważniejszy z nich, Huragan, posiadał o wiele większą moc niż mała Airi. Devon trochę zazdrościł jego panu, kiedy obserwował majestatyczny, bezgłośny ślizg statku.

- Jestem jeszcze młoda - powiedziała Airi.

Miała zaledwie sto lat. Czasem zastanawiał się, w jakim wieku są sylfy o mocy Huragana albo jak długo pożyje jego Airi. Ale nie pytał jej o to. Wolał nie wiedzieć, z wielu różnych powodów.

- Wiem - odparł łagodnie, nie chcąc jej irytować. Przebywanie w pobliżu rozdrażnionego sylfa było dla jego pana nieprzyjemne, nieraz nawet bardzo. Devon nie miał pojęcia, jak znoszą to właściciele wojowniczych sylfów. - Gdybyś była starsza, bez przerwy żeglowalibyśmy na statkach.

A wtedy rzadko spotykałby się z ojcem.

Statek zwolnił i zawisł nad ich głowami. Devon poczuł smagnięcia wiatrów, które wzbudzali Huragan i Airi. Oba sylfy wspólnie opuściły statek na zamkowy dziedziniec i przystawiły do niego rampę.

Kiedy Devon do niej podchodził, spostrzegł, że w obu burtach statku zieją dziury, a jeden z żagli jest podarty. Nic dziwnego, że nie dano się wylądować bez pomocy. Patrząc na przypalone deski, poczuł zimno bez związku z jesienną pogodą. Po rampie zszedł mężczyzna otulony płaszczem. W ślad za nim kroczył potwór zakuty w zbroję; w jej wizjerze płonęły światła zamiast oczu. Devon rozpoznał natychmiast ich obu i skłonił się głęboko.

Mężczyzna minął go, nie zwalniając. Elegancko odziany, kroczył dumnie. Pewnie go nawet nie zauważył. To był Jasar Doliard, drobny właściciel ziemski i dworak w łaskach u króla i rady, wystarczająco lubiany, by zdobyć wojowniczego sylfa, który za nim szedł. Devon miał nadzieję, że sylf też go zignoruje. Niestety, nie miał aż tyle szczęścia. Płonące pod hełmem oczy wpiły się w jego twarz. Powiadano, że zbroja wcale nie okrywa ciała tego sylfa, tylko jest jego częścią. Devon poczuł nienawiść bijącą od jego postaci, choć Maczuga nic mu nie zrobił. Musiał być bezwzględnie posłuszny swojemu panu. Prawdę mówiąc, przeważnie nic nie robił, tylko promieniował nienawiścią. Towarzyszył dworzaninowi i przerażał wszystkich swoim wyglądem. Pewnie nie mógł być ładniejszy, natura nie marnotrawi przecież swoich mocy.

Po trapie zszedł właściciel drugiego wojowniczego sylfa - postawny blondyn, choć nie tak wysoki jak Maczuga. Jego sylf

wojowniczy naprawdę walczył. Leon Petrule był od wielu lat dowódcą straży królewskiej i mistrzem szkolenia we władaniu wojowniczymi sylfami. Jego sylf przyjął postać czerwonopiórego jastrzębia i przycupnął mu na ramieniu. Emanująca od niego nienawiść była równie potężna jak Maczugi.

Ril posłał w stronę Devona intensywną falę odrazy i zacisnął szpony na ramieniu swojego pana, wbijając je w skórę. Devon skłonił się jeszcze głębiej, by nie zwracać na siebie uwagi. Sylfy wojownicze potrafią tylko nienawidzić. Nadają się wyłącznie do zabijania; Devon bardzo dziękował losowi, że nikt nie kazał mu zostać panem wojowniczego sylfa. Człowiek mógł mieć tylko jednego sylfa, a rodzina Chole miała już przecież Airi. Zresztą bez względu na to, Devona nie predysponował do tego jego charakter. Tylko twardzi ludzie potrafili utrzymać przy sobie sylfy. Jasar był twardy, mimo lizusostwa i upodobania do luksusu. Ciekawe, jak poradzi sobie ten mięczak, królewski synalek. Devon szczerze wątpił, że mu się powiedzie.

Airi otoczyła go swoją obecnością; przyjęta postać wiru unoszącego jesienne liście, kiedy Leon zatrzymał się przy nim. Devon wcale się tym nie ucieszył. Ril poprawił się na ramieniu wojownika i popatrzył na sylfkę spod oka. Devon skłonił się znowu.

- Milordzie.

- Dziś w nocy niczego nie widziałeś - powiedział z naciskiem dowódca. - Zrozumiano?

Devon skłonił się jeszcze niżej.

- Tak, milordzie.

- Dobrze.

Mistrz sylfów wojowniczych ruszył przed siebie. Devon poczekał, aż się oddali, i dopiero potem się wyprostował. Ręce mu się trzęsły.

- Airi - wykrztusił. - Nie mów nikomu o tym, co tu się działo - dodał, gdy jak bryza musnęła jego umysł.

Nie spierała się z nim. Był przecież jej panem. Należała do niego i nie mogła się niczemu sprzeciwić. Gdyby obaj umarli jednocześnie - on i jego ojciec - wróciłyby do świata, z którego przybyła, i nigdy by się już tu nie pojawiła, chyba że przedtem oddałby ją nowemu panu. Gdyby Devon zmarł przed ojcem, wróciłyby do starszego pana. Należała do niego, a wcześniej do dziadka i ta więź nie osłabła, choć teraz lojalność łączyła Airi z Devonem. Była posłuszna wszystkim swoim właścicielom. Władca zawsze pozostaje władcą. Nawet wojownicze sylfy podlegają temu prawu.

Devon zadygotał i odwrócił się w stronę statku - pomoże go rozładować. Załoga właśnie zaczęła wychodzić na pokład. W tym momencie potężny wybuch powalił go na kolana. Łapiąc oddech, poderwał się, podbiegł do krawędzi ufortyfikowanego dziedzińca i spojrzał w dół. W ścianie u podstawy twierdzy ziała olbrzymia dziura. Nagle rozległ się nieludzki krzyk. Już taki kiedyś słyszał. Ten dzień do dziś nawiedzał go w sennych koszmarach. Chwilę później z dziury wystrzeliła postać w tumanie pyłu, rozpostarła skrzydła i wzbiła się w przestworza. Devon wstrzymał oddech, czując bijącą od niej nienawiść.

Po niebie przemknęła naelektryzowana chmura i zniknęła w świetle poranka, otulając kogoś o długich, rudych warkoczach i bladych kończynach. Ten ktoś krzyczał z przerażenia.

- Airi, leć za nimi - szepnął Devon bez zastanowienia.

Sylfka natychmiast ruszyła w pościg, śmigając po prądach powietrznych. Devon stał na blankach, patrząc w ślad za znikającą parą, i zastanawiał się, jakim cudem tej dziewczynie udało się zapanować nad wojowniczym sylfem.

ROZDZIAŁ 1

Masza, ciotka Solie, nigdy nie wyszła za mąż, a jej trudny charakter znali wszyscy. Mieszkała sama, prowadziła piekarnię i pracowała od świtu do nocy. Zmusiła mieszkańców wioski, by się z tym pogodzili, i w końcu dali jej spokój. Nawet teraz, gdy była stara i siwa, kupowali od niej chleb. Solie miała rude włosy tak jak Masza, ale nie odziedziczyła po niej charakteru. Ciotka ją uwielbiała i psuła prezentami, a co najważniejsze, poświęcała jej wiele czasu. Solie bardzo ceniła sobie wizyty u niej. Woląa swobodę, jaką wywalczyła sobie ciotka, od małżeństwa i potulności, której uczyła ją matka. Najwspanialszym prezentem od ciotki było maleńkie ostrze, ukryte w spince do włosów.

- Nie wiadomo, kiedy może ci się przydać - powiedziała Masza. - Świadomość posiadania broni daje kobiecie poczucie pewności, i to można wyczuć. Mężczyźni szukają bezbronnych. Nie pozwalaj więc sobie na słabość. Twoje zachowanie najlepiej cię obroni.

Solie zaczęła więc codziennie nosić spinkę z zielonym motylem, która wkrótce stała się jej znakiem rozpoznawczym. Nikomu jednak nie mówiła, co jest w niej ukryte. Spinka dawała jej pewność siebie i poczucie dumy, więc zaczęła odrzucać zaloty chłopców i dojrzałych mężczyzn, którzy wymyślili sobie, że szczupła rudowłosa panienska mogłaby być dla nich świetną żoną. Matka narzekała, że

Solie jest zbyt wybredna, za to ciotka uważała, że w ogóle szkoda sobie zawracać głowy facetami. Kiedy więc rodzice postanowili sami wybrać jej męża, Solie sprzeciwiła się im i tej samej nocy uciekła z domu, zabierając ze sobą wszystkie swoje rzeczy w niewielkim węzełku.

Pewna, że ciotka przyjmie ją do siebie, ruszyła drogą prowadzącą ze wsi. Ciotka mieszkała siedem kilometrów od nich, w sąsiedniej wiosce po drugiej stronie rozstajów. Solie uciekła wieczorem; wiedziała, że rodzice dopiero rano spostrzegą, że wyskoczyła oknem. Miała zaledwie siedemnaście wiosen i nie uśmiechał jej się związek z czterdziestopięcioletnim grubasem, choćby godzinami tłumaczono, że to jej obowiązek.

Przestraszona i zarazem podniecona nagłą wolnością, podążała zdecydowanie polną drogą. Słońce zaszło i zaczął zapadać zmrok, z czego była zadowolona. Ciotka nauczyła ją nie bać się ciemności, tylko mężczyzn, równie przecież niebezpiecznych po ciemku, jak za dnia. Była przekonana, że jeśli zachowa ostrożność, nic jej się nie stanie. Wędrowała więc drogą, którą tyle razy przemierzała za dnia; na plecach niosła węzełek i pogwizdywała zawadiacko, aby udowodnić sobie, że nie boi się zapadającego mroku. Nie biegła, ale szła bardzo szybko i często się oglądała.

Robiło się coraz ciemniej i zimniej. Była późna jesień i drzewa stały już nagie jak szkielety, a liście leżały w mokrych stosach wzdłuż drogi. Solie zaczął dokuczać przenikliwy chłód, więc owinęła się płaszczem i ruszyła dalej, żałując, że rodzice nie wybrali sobie jakiejś cieplejszej pory roku, aby wydać ją za męża.

Czas mijał. Wszedł księżyc. Westchnęła z ulgą, gdy wreszcie dotarła na rozstaje. Jak dotąd nie spotkała żywego ducha. Szła z południa. Droga na zachód wiodła ku miastom, które Solie znała tylko ze słyszenia, a potem skręcała na południe. Powiadano, że granica królestwa

Eferem była odległa o trzy dni jazdy konno. Dalej leżały inne królestwa, jedno za drugim, aż do granic świata. Solie wiedziała, że w końcu kiedyś będzie musiała ruszyć tą drogą, ale na razie ta perspektywa była zbyt odległa, by zaprzętać sobie nią głowę. Na wschodzie, w stolicy, mieszkał król. Nawet stąd widziała światła zapalone w zamku przez ogniowe sylfy. Droga na północ prowadziła do wsi jej ciotki, a potem dalej, ku miejscom, których Solie nigdy nie odwiedzała, nawet myślą. Mijała lasy i inne miasta, a potem docierała do Iłowego Płaskowyzu, za którym znajdowało się królestwo Para Dubh, najbliższy sąsiad Eferem. A tu mam przed sobą zwyczajne rozdroże, pomyślała. Swojskie koleiny.

Przeskoczyła przez ślady kół tak głębokie, że mógłby utkwąć w nich konny wóz. Nagłe usłyszała parsknięcie konia. Przestraszona, uniosła głowę i spostrzegła trzech mężczyzn w czarno-czerwonej królewskiej liberii; nadjeżdżali ze wschodu. Byli równie zaskoczeni, jak ona - takie spotkanie w środku nocy.

Przywódca jeźdźców się uśmiechnął.

- Łatwo nam poszło, jak widać! - zawołał.

Ciotka zawsze kazała przedkładać rozsądek nad odwagę. Solie rzuciła się do ucieczki. Natychmiast rozległ się tętent. Próbowwała skoczyć między krzaki, ale mężczyźni byli bardzo zręczni. Przebiegła może kilkanaście metrów wśród stosów mokrych liści, gdy jeden z nich złapał ją za włosy, przytrzymał i szarpnął do góry. Potem chwycił za spódnicę i przerzucił przez siodło.

- Puszczaj! - krzyknęła, wrywając się energicznie. Uderzył ją w tył głowy ręką w ciężkiej, rycerskiej rękawicy.

- Nawet nie próbuj uciekać - ostrzegł.

Poleciał swoim towarzyszom, żeby zabrali jej tobolek, zawrócił konia i wszyscy pogalopowali tam, skąd przybyli. Przez cały czas dowódca mocno ją trzymał.

W głowie kręciło jej się z bólu. Przywarła do konia, który tak podrzucał nią w biegu, wbijając łęk siodła w jej brzuch, że co chwila zbierało jej się na wymioty. Wkrótce jeźdźcy znaleźli się pod murami stolicy i ze śmiechem zaczęli gratulować sobie sukcesu.

Uświadomiła sobie, że wysłano ich, by porwali jakąś dziewczynę, i bali się, że będą musieli się włamać do czyjejś chaty. Tymczasem los podarował im ją.

Ogarnęła ją panika; ledwie mogła oddychać z przerażenia. Gdyby żołnierze chcieli ją zgwałcić, nic nie zdołaloby ich powstrzymać, nawet ciotka. Po prostu nikt by jej więcej nie zobaczył, ani żywej, ani umarłej. Słyszała o takich zaginięciach. Rodzice zawsze ją przestrzegali i nakazywali jej ostrożność. Ciotka powiedziała, że nie wolno jej powabnie wyglądać, żeby ktoś jej sobie nie upatrzył. Jak widać, wystarczyło tylko wędrować samotnie po nocy.

- Puśćcie mnie, proszę - załkała. - Co chcecie ze mną zrobić?

Dowódca zaśmiał się okrutnie i uderzył ją w pośladki, aż krzyknęła.

- Nic ci nie zrobimy, ślicznotko. Nie my. Jesteś potrzebna na przynętę. Dziś przybędzie wojowniczy sylf dla naszego księcia. Spodoba ci się.

Żołnierze wybuchnęli prostackim śmiechem.

Serce Solie zamarło. Wojowniczy sylf? A ona przynętą!

Podobnie jak wszyscy w tym kraju, słyszała opowieści o sylfach, duchach, które zmuszano, by służyły ludziom swoją magią. Chłoneła te historie od dziecka i marzyła o okiełznaniu sylf a dla siebie, choć wiedziała, że to się nigdy nie zdarzy. Tylko mężczyźni się z nimi wiązali, a poza tym pochodzili z lepszych rodzin niż ona. Sylfy wojownicze były najstraszniejsze: mówiono, że lubują się w niszczeniu. Zależało od nich bezpieczeństwo całego Eferem, a one słynęły z zimnego okrucieństwa; podobno można je zwabić

i podporządkować sobie, jeśli poświęci się życie niewinnej dziewczyny.

Solie zaczęła krzyczeć. Próbowwała wyswobodzić się i zeskoczyć z konia, który spłoszył się i zaczął rzeć ze strachu. Jeździec zaklął i zrzucił ją z siodła. Chciała poderwać się i uciekać, ale on zeskoczył za nią, a potem przygniótł ją do ziemi. Dwaj pozostali związali jej ręce i nogi.

- Zakneblujcie ją - rozkazał. - Za bardzo hałasuje. Wepchnęli jej do ust jakąś szmatę i postawili ją na nogi.

Przeguby rąk miała tak mocno skrepowane, że ledwie poruszała palcami. Znowu wrzucili ją na siodło. Konie ruszyły.

Nie tak przecież miało być! Cała pewność siebie, przejęta od ciotki, gdzieś się ulotniła i Solie zapłakała gorzko, kryjąc twarz w dłoniach. Nagle dotknęła spinki. Zamrugła, bo poczuła pod palcami motyla; ześliznął się podczas szarpaniny. Wyplątała go z włosów i ukryła w dłoni. Żołnierz niczego nie zauważył, bo krzyczał do swoich kompanów, żeby zdobyli skądś wózek.

Znowu zaczęli galopować, tym razem po kocich łbach, o które dzwoniły końskie podkowy. Wjechali do miasta wokół zamku boczną bramą w murach. Kluczyli wąskimi uliczkami, by nikt ich nie widział.

W końcu zatrzymali się w jakiejś szopie. Dwaj żołnierze zeskoczyli z koni, ale ten, który trzymał Solie, został w siodle. Tamci przygotowali wóz. Przekręciła głowę i błagalnie popatrzyła na dowódcę.

- Szkoda, że wojownicze sylfy lubią tylko dziewice - powiedział, taksując ją obeśnym spojrzeniem.

Zadygotała i odwróciła wzrok.

Przerzucili ją na stary wózek, śmierdzący zgniłymi warzywami. Deski byty zimne i nierówne, ale na szczęście żołnierze przykryli ją plandeką, która nieco chroniła przed coraz dotkliwszym zimnem.

Solie była z tego zadowolona -jeśli wszyscy usiądą na koźle, to nie będą widzieli, co ona robi pod plandeką, nawet gdy od czasu do czasu się obejrzą.

Ona także nic nie widziała w ciemności, ale czuła pod palcami swoją spinkę. Ostrożnie wysunęła motyla z dłoni i chwyciła go opuszkami, uważając, by jej nie wypadł, bo mogłaby go wtedy łatwo zgubić. Próbując nie dygotać z zimna, skierowała maleńki nożyk w stronę przegubów rąk, a potem nacisnęła dźwignię, która uwalniała ostrze. Wysunęło się łatwo. Miało zaledwie dwa-trzy centymetry, ale według ciotki nawet to wystarczało, by przekonać mężczyzn, żeby zostawili ją w spokoju. Solie wzięła głęboki oddech i wygięła dłonie z całych sił, by przeciąć krępujące ją więzy. Przychodziło jej to z trudem i bolało, ale nożyk był ostry. Omal się nie rozplakała, gdy poczuła, że puszczają pierwsze nitki. Niestety, przecięcie grubej liny trwało bardzo długo. Odgłos końskich kopyt się zmienił; teraz brzmiał głucho i nagle uświadomiła sobie, że są już w zamku. Nie wolno jej się spieszyć ani krzyczeć. Mogłaby wtedy upuścić nożyk albo za gwałtownie się ruszyć i zdradzić, że niemal się uwolniła. I bez tego miała niewielkie szanse na ucieczkę. Wołała o tym nie myśleć, więc skupiała się na przecinaniu pasma po paśmie.

Wóz skręcił, zjechał w dół i w końcu się zatrzymał. Słyszała, że żołnierze wysiadają, ale cięła linę do ostatniej chwili. Schowała ostrze w dłoni dosłownie w momencie, kiedy odsłonili plandekę. Mrugając przez Izy, zobaczyła wokół niesamowite światło. Mieli ogniowego sylfa. Po raz pierwszy w życiu mogła obejrzeć go z bliska, kiedy unosił się nad głowami ludzi w postaci kuli, w której blasku było jasno jak w dzień.

Znajdowali się w jaskini pod ziemią. Jęknęła przez knebel, gdy żołnierze ściągnęli ją z wozu i ponieśli między sobą. Jeden trzymał ją za ramiona, drugi pod kolanami.

Jakiś ubrany na biało człowiek przyjrzał się jej, marszcząc brwi.

- Nada się - zawyrokował. - Wszystko już gotowe. Chodźcie.

Odwrócił się energicznie, zamiatając posadzkę szatą, i poprowadził żołnierzy korytarzem wykutym w litej skale; jej gładkie jak szkło ściany odbijały światło. Sprawił to ziemny sylf, bo nigdzie nie widać było śladów narzędzi.

Solie zapatrzyła się w swoje odbicie, które do tej pory widywała tylko w wodach jeziora. Zamrugła, żeby zobaczyć je wyraźniej. Wyglądała okropnie: rozczochrane rude loki, twarz brudna i pokryta zadrapaniami, oczy podkrążone, a skóra wilgotna od łez. Była taka nieszczęśliwa i brzydka... resztką woli powstrzymała łkanie. Musi być silna - w przeciwnym razie czeka ją śmierć. Pewnie i tak umrze, ale zrobiłaby wstyd ciotce, gdyby poddała się jak jakaś słabowita smarkata. Zamknęła oczy. Kiedy je znowu otworzyła, spoglądały hardo. Czuła nóż między dłońmi, a więzy były nieco luźniejsze; wewnętrzna pętla niemal już puściła. Jeśli uda jej się ją przeciąć do końca, będzie miała wolne ręce. A to da jej jakąś szansę.

Żołnierze zaciągnęli ją do podziemnej katedry o wysoko sklepionym suficie oświetlonym przez kolejne ogniowe sylfy, których panowie, odziani na czerwono, stali wzdłuż ścian, pochylając głowy. Na środku pomieszczenia czekali mężczyźni uzbrojeni w miecze, grupa duchownych w białych szatach i jakiś człowiek ubrany w gronostaje.

Solie zadrżała, bo rozpoznała w nim króla. Był mocno zbudowany, z posiwiałą brodą i oczyma jak odłamki krzemienia. Widziała go wcześniej na obrazach wiszących w oberżach, a raz z daleka, kiedy jechał powozem. Teraz nawet na nią nie spojrzął, bo karciał ostro jakiegoś chłopaka odzianego w kosztowne jedwabie, zupełnie do niego niepa-sujące. Chłopak dygotał i gapił się na nią, jakby pierwszy raz w życiu widział kobietę.

- Skup się! - Król uderzył go w twarz.

Chłopak się skulił.

- Tak, ojczy - odparł pokornie, wciąż wpatrzony w Solie, którą rozciągnięto na ołtarzu, mocując powróż na rękach do metalowych haków. Zaczęła krzyczeć przez knebel, kiedy białe odziany mężczyzna rozciął jej ubranie.

- Kapłani otworzą bramę - tłumaczył król trzęsącemu się synowi. - Przysięgają, że po drugiej stronie już czeka wojowniczy sylf.

Spojrzał na nich tak, że wszyscy odwrócili wzrok.

- Kiedy tylko sylf przejdzie przez bramę, zabij dziewczynę. Jeśli się zawahasz, on się z tobą nie zwiąże. Gdy tylko zwróci się w twoją stronę, musisz mu nadać imię, by utrwalić więź.

Solie zakrzuszyła się, kiedy to usłyszała. Naprawdę chcieli ją zabić. Żołnierze odeszli, zostawiając ją samą, więc znowu użyła nożyka, modląc się, by nikt nie zauważył, że próbuje przeciąć powróż. Na szczęście nikt na nią nie patrzył.

- Jak mam go nazwać? - spytał chłopak z nerwowym tikiem na twarzy.

- Jak sobie chcesz - warknął król. - Tylko niech to nie będzie jakieś głupie imię, bo nie da się go zmienić. Nie zawieź mnie tylko, chłopcze. Wszyscy królowie mają wojownicze sylfy. W przeciwnym razie staliby się łatwym celem dla wrogów.

Kiedy chłopak się skrzywił, król kolejny raz uderzył go w twarz.

- Twój sylf nie pozwoli cię bić - zaśmiał się chrapliwie - chociaż gdyby próbował mnie zaatakować, miałby do czynienia z moim. Od tej pory będzie ci wszędzie towarzyszył, tak jak mój Thrall chodzi zawsze za mną. Opuszcza mnie tylko w tej katedrze albo kiedy jestem z kobietą. Lepiej od razu się z tym pogódź.

Książę spuścił wzrok, wyraźnie niezbyt zachwycony taką perspektywą. Solie z rozpaczliwą siłą cięła więzy, zdruzgotana tym co usłyszała.

Człowiek w białej szacie skłonił się przed królem.

- Jesteśmy gotowi, mój panie.

Król skinął głową i cofnął się o krok; chciał obserwować ceremonię spod drzwi do korytarza, którym wprowadzono dziewczynę.

Blady jak ściana książe, trzęsąc się na całym ciele, podszedł do ołtarza. Nawet nie spojrzął na Solie. Nie wzdragał się, że zaraz zabije niewinną dziewczynę. Dostrzegła to i rzuciła mu pełne pogardy spojrzenie. No cóż, skoro na nią nie patrzył, nie mógł się zorientować, że przecięła więzy już do połowy. Miała nadzieję, że dalej będzie próbował jej nie zauważać, wbijając wzrok w rękojeść ozdobnego sztyletu, który ścisnął w dłoni.

W powietrzu nad nimi pojawił się krąg i zmienił się w kulę lśniącej energii. Kapłani zaczęli zawodzić, a kula, najpierw szara, później zielona, potem czerwona, w końcu poczerniała. Po chwili straciła barwę, a książe westchnął zdziwiony. Solie jęknęła i szybko cięła sznury, kalecząc w pośpiechu palce. Bolały, ale krew ułatwiła jej zadanie, bo zwilżyła włókna. Omal nie wypuściła nożyka z ręki.

Powiał wiatr - utworzył krąg i wydał przenikliwy ryk. Ogniove sylfy umknęły do tyłu, więc środek komnaty spowił cień. Solie zauważyła, że coś przygląda się zgromadzonym i stara się ocenić sytuację. Książe też to spostrzegł, a jego oczy rozwarły się jeszcze szerzej. Jabłko Adama na jego szyi skakało w górę i w dół.

Ten ktoś patrzył i zastanawiał się, co ma zrobić. Solie poczuła, jak przenosi uwagę z jednej osoby na drugą... i nagle jego wzrok spoczął na niej. Leżała naga i kompletnie bezbronna. A ten ktoś patrzył i pragnął jej. Zostało jej do przecięcia tylko kilka włókien sznura, kiedy pojawił się przed nią, ogromny, utkany z cienia, bezkształtny.

- Teraz! - krzyknął król. - Zabij ją!

Książe drgnął, ze świstem wciągnął powietrze i trzęsącymi się rękami uniósł sztylet nad głowę. W tym momencie Solie

przeięta ostatnie pasma, usiadła i wbiła maleńkie ostrze głęboko w jego ramię. Wrzasnął, upuścił sztylet i spadł z podestu na plecy. Solie, z wciąż związanymi stopami, zerwała knebel, podniosła wzrok... i spojrzała prosto w ciemnoczerwone oczy istoty. Jęknęła i osunęła się z powrotem na ołtarz, bezbronnym gestem wyciągając ręce.

Wojowniczy sylf wylądował na ołtarzu. Przyjął postać zwierzęcia z dymu i błyskawic i spojrzał w dół. Wyczuwała jego emocje, zainteresowanie i ciekawość. Zajrzał jej w oczy. Zaczerwieniła się, kiedy lustrował ją wzrokiem. Zamruczał, pochylił głowę i polizał ją, przesuwając jęzorem od pępka w górę, w stronę piersi i szyi. Nie widziała tego języka, ale czuła jego dotyk. Jęknęła, przerażona, bo oblała ją fala gorąca i zimna jednocześnie. Co powiedział król? Kazał go nazwać. - Hej, ty - wykrztusiła, ledwie mogąc mówić ze strachu. Przełknęła ślinę i spróbowała rozluźnić się na tyle, żeby spytać to stworzenie o jego imię, ale w tym samym momencie ono dmuchnęło na nią ciepłym powietrzem. *Hejty*, odezwał się w jej myślach miękki głos. Czyżbym go właśnie nazwała? - przemknęło jej przez głowę. Nagle uświadomiła sobie, że wokół słychać krzyki. Drgnęła i odwróciła wzrok od dziwnej istoty. Kapłani cofali się w popłochu, a żołnierze ruszyli ku nim, ze strachem i determinacją w oczach.

- Zabić dziewczynę! - ryknął król przez ramię, pędząc na złamanie karku w głąb korytarza. - A jego odesłać, i to już!

Książę siedział pod ołtarzem i przyglądał się wszystkiemu, kompletnie oszołomiony.

- Pomóż mi - powiedziała błagalnie do wojowniczego sylfa. - Proszę cię!

Sylf przechylił głowę, polizał ją jeszcze raz, a potem wyprostował się z rykiem. Solie nagle poczuła, jak skupia nienawistną myśl na mężczyznach, którzy zaczęli się cofać,

ale było już za późno. Sylf wysunął coś w rodzaju ramienia i od ołtarza runęła fala zniszczenia, rozdzierając na strzępy żołnierzy i kapłanów. Ogniowe sylfy zanurkowały, by chronić swoich panów, ale pod wpływem uderzenia zamigotały tylko i pogasły. Z sali zniknęło wszystko poza ołtarzem. Solie krzyknęła, przerażona.

Ramię objęło ją i przytuliło do czegoś ciepłego. Nagle unieśli się w powietrze, śmignęli przez salę, wzdłuż korytarza, którym ją przyprowadzono, a potem do góry. Na szczycie schodów dopędzili umykającego króla. Wołał: „Pomocy!” Konie zaprzężone do wozu rżały i stawały dęba. Hejty warknął, ale król podbiegł właśnie do niskiego, chudego, łysego mężczyzny; jego zimne oczy nie mrugały. Wojowniczy sylf króla wbił nieruchomy wzrok w Solie i jej sylfa; Hejty cofnął się i odwrócił. Dmuchnął w głąb przejścia, którym przywieziono ją do zamku, i kamienny korytarz rozszerzył się, bo powstała w nim ogromna wyrwa. Sylf śmignął przez nią; Solie poczuła zimne powietrze, gdy nabierali wysokości nad zamkiem, lecąc na wschód. Krzyknęła, przemarznięta i przestraszona, a potem zemdląca, oszołomiona tym, co się stało. Hejty popatrzył na nią z niepokojem, ale kiedy spostrzegł, że oddycha, upojony jej zapachem i wolnością, wzniósł się jeszcze wyżej.

ROZDZIAŁ 2

Hejty leciał ku wschodzącemu słońcu, wysoko nad polami. Przyciskał do siebie dziewczynę i kierował się w stronę gór. Nigdy tu jeszcze nie był, ale prądy powietrzne niosły go jak zawsze. Nie wiedząc, jaką przyjął postać, pozostał w swej naturalnej formie gęstej chmury czarnego dymu - w której

migotały wylądowania elektryczne - o oczach jak czerwone pioruny kuliste i paszczy pełnej zębów utworzonych z czystej energii. Skrzydła uwite z czarnego dymu niosły go lekko, choć ich czubki blakły, przechodząc w nicość. Zwykle był bezcielesny, ale tym razem musiał zachować kształt, bo niósł swoją panią. Szukał bezpiecznego miejsca do lądowania. Świat wyglądał tu zupełnie inaczej niż w pobliżu bramy, a tam zniszczyłoby wszystko, gdyby nie musiał chronić dziewczyny. Poza tym napotkał tam innego samca, a on był przecież młody i niedoświadczony. Wyczuł wiek tamtego i nie chciał z nim walczyć. Nie wtedy, gdy trzymał w ramionach samicę.

Rozpierała go radość. Był zwykłym strażnikiem rodzinnego roju o tak niskiej randze, że nigdy nawet nie widział królowej. Nie miał pojęcia, czym jest brama, która nagle się przed nim pojawiła. Ale kiedy po drugiej stronie dostrzegł samicę, nic nie mogło go powstrzymać, musiał do niej dotrzeć. A teraz spała w jego ramionach i była jego królową, albo prawie królową, co za różnica. Czuł, że należy do niej, i chciało mu się krzyczeć ze szczęścia.

Nie krzyczał jednak, leciał dalej. Była drobna i taka krucha, uwięziona w ciele i wyraźnie nieodporna na zimno. Otoczył ją więc swoim ciepłem i szukał odpowiedniego miejsca do lądowania. W końcu wybrał głęboką górską dolinę na południowy wschód od bramy, gdzie ze szczelin pod taflą jezior unosiły się pióropusze gorącej pary, ogrzewając wodę. Miejsce wydało mu się dobre i bezpieczne, więc lekko wylądował na brzegu gorącego źródła i delikatnie ułożył dziewczynę na ziemi.

Była nieprzytomna. Długie włosy otaczały jej twarz. Kiedy przyglądał się jej dokładnie, nie rozpoznawał jej sylwetki, ale doskonale wyczuwał kobiecość. Jej zapach go zniewalał. Zamigotał, przyjmując kształt, który jego zdaniem powinien się jej spodobać: samca jej gatunku. Widział ich wielu w tym miejscu, gdzie ich powybił. Nienawidził mężczyzn, ale stał

się jednym z nich. Stał nagi, wyprostował się, a potem ukląkł obok niej, by dotknąć jej miękkiej skóry ludzkimi dłońmi.

Hejty. Nadała mu imię. Dźwięk rozbrzmiewał w jego umyśle, wiążąc go z tą kobietą. Niesamowite, być z kimś związany... być czyjąś własnością. Większość jego pobratymców nigdy czegoś takiego nie zaznała. Byli trutniami, służyli królowej, walczyli za nią i za nią umierali, lecz nigdy nawet jej nie dotknęli. To udało się tylko kilku nielicznym, którzy otrzymali imiona. Nigdy nie marzył o takim szczęściu.

- Hejty - szepnął. Spodobało mu się to imię. - Hejty.

Delikatnie dotknął jej warg i poczuł na palcach ciepły oddech. Pogładził szyję i z zachwytem wyczuł puls. Przesunął dłoń w dół, tam gdzie biło serce, a potem poczuł krągłe, miękkie, drobne piersi, w nich kiedyś zbierze się mleko. Jęknął gardłowo i dalej badał jej ciało: brzuch i nietknięte łono, wznórek miękkich włosów i niżej, tam gdzie pulsowało źródło jej kobiecości.

Pragnął jej. Pragnął tak bardzo, że najchętniej wziąłby ją od razu... Ale przecież była królową. Jej kaprys był dla niego rozkazem, więc musiał na nią poczekać. Jego dłoń na chwilę się zatrzymała, uczył się zapachu dziewczyny, dotyku jej skóry i smaku jej umysłu. Odżywiał się nim w tej krainie pozbawionej energii i pozwolił, aby wzór jej energii wplótł się w jego umysł. Teraz już zawsze ją rozpozna i wszędzie odnajdzie.

W końcu się poruszyła. Przykucnął na piętach, niepewny jej reakcji. Czekał, gotowy na jej rozkazy, gdy otworzyła oczy i spojrzała na niego.

Krzyknęła przeraźliwie.

Tak go zaskoczyła, że w jednej chwili rozwiął się w dym, trzepocąc skrzydłami, by się obrócić i szukać niebezpieczeństwa. Nic się nie działo. Dostrzegł tylko kilka bezmózgich ptaków, jakieś owady i powietrznego sylfa - kobietę, ale

bezpłodną. Odzyskał ludzką postać i odwrócił się do swojej pani, zastanawiając się, co ją tak przstraszyło. Dopiero wtedy zorientował się, że zlekła się właśnie jego.

Solie wpatrywała się w wojowniczego sylfa, tak wstrząśnięta, że odebrało jej mowę. Jej wzrok, gdy oprzytomniała, padł od razu na kompletnie nagiego mężczyznę. Nic dziwnego, że spanikowała. Był wyraźnie... podniecony, a sposób, w jaki na nią patrzył, nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

Krzyknęła, a on rozwiął się w dym. Teraz znowu stał się mężczyzną. Spoglądał na nią niepewnie, dalej był nagi i - powędrowała spojrzeniem w dół - tak, niewątpliwie podniecony. Zerknęła na siebie i spostrzegła, że też jest całkiem goła. Z cichym okrzykiem zasłoniła się skrzyżowanymi ramionami.

Na twarzy sylfa odmalowało się rozczarowanie.

- Nie patrz na mnie! - wykrztusiła. - Jestem naga! - Zamrugał, więc w panice zamachała ręką. - Odwróć się!

Usłyszał. On w ogóle nie krępował się swoją nagością, Solie pomyślała, że chyba do końca życia pozostanie czerwona ze wstydu. Nie miała jednak ubrania, a wokół nie było żywego ducha. Spojrzała na parujące gorące źródła i poczuła się zagubiona.

- Gdzie my jesteśmy? - zapytała.

Wojowniczy sylf popatrzył na nią przez ramię. Zmierzyła go wściekłym wzrokiem. Błyskawicznie znów odwrócił głowę.

- Daleko - odparł cicho, głębokim, dźwięcznym głosem. - Nie znam słów.

- Och - szepnęła i zagryzła wargę. - Po prostu nie patrz na mnie, dobrze?

Przeczesала dłonią zwichrzone włosy, skrzywiła się i spojrzała na kostki, wciąż związane sznurem.

Zaczęła rozplątywać węzeł.

- Słuchaj, jesteś wojownikiem, prawda?

- Wojownikiem?

- Wojowniczym sylfem.

Próbowała podważyć węzeł paznokciami, ale był zbyt ścisły. Straciła czucie w stopach.

- Przeszedłeś przez bramę?

- Tak. Jestem Hejty.

A więc naprawdę go nazwała. Pokręciła głową na to niezamierzenie żartobliwe imię i westchnęła.

- Możesz mi pomóc?

Znowu na nią spojrzął, więc wskazała jedną ręką na swoje stopy, próbując się osłonić drugą.

- Nie mogę tego rozplątać.

Zmarszczył brwi. Odwrócił się, dotknął sznura ręką, zaczepił pazurem i pociągnął. Lina natychmiast pękła. Solie sapnęła z bólu, gdy krew napłynęła jej do stóp.

- Co się dzieje? - spytał, szeroko otwierając oczy.

- Moje stopy. Były za długo związane.

Zaczęta je gorączkowo rozcierać, żeby przestały mrowić, cały czas świadoma, że sylf ją obserwuje.

- Możesz się znowu odwrócić? Posłuchał.

- Dziękuję, że ocaliłeś mi życie. Jego mięśnie napięły się mocno.

- Dlaczego oni chcieli cię skrzywdzić?

- Nie wiesz?

Pokręcił głową; na włosach lśniły krople wody ze źródła. Nie podobały jej się te krótko obcięte włosy; sylf był chudy, a twarz miał przeciętną. Jak na kogoś, kto potrafi zmieniać kształt, zdecydowanie wybrał sobie nieciekawą postać. Z drugiej strony, nigdy nie widziała sylfa tak bardzo podobnego do człowieka. Czy to możliwe?

- Zobaczyłem bramę - powiedział. - Zobaczyłem ciebie. Przyszedłem do ciebie.

Była przynęta. Mocniej potarła stopy, powstrzymując okrzyk bólu. Przeżyła, i tylko to się liczyło.

Czuła się okropnie. Fala wdzięczności sprawiła, że zrobiło jej się niedobrze.

- Aha, to znaczy, że byłam dla ciebie przynętą. Chcieli mnie zabić, żebyś został niewolnikiem księcia. Jego postać zamigotała; na twarzy odmalowały się takie przerażenie i wściekłość, że Solie uchyliła się jak przed uderzeniem.

- Co takiego?! - wrzasnął głosem tak wysokim, że zaczęła chichotać. Strach przeszedł jej w jednej chwili. Ta istota uratowała ci życie, napomniała samą siebie. Nie ma powodu, by cię skrzywdzić.

- Zawsze chwytają w ten sposób wojownicze sylfy - wyjaśniła i zapytała: - Dlaczego mnie uratowałeś?

- Jesteś moją królową. Nadałaś mi imię - odparł zakłopotany.

Zmarszczyła brwi.

- Czy to znaczy, że jesteś moim wojownikiem?

- Tak.

Nagle zakręciło jej się w głowie. Zachciało jej się śmiać. Należał do niej? Ona - panią wojowniczego sylfa? Przecież kobietom nie wolno władać żadnymi sylfami.

- Ojej - zamruczała.

Znowu spojrzał na nią przez ramię.

- Nie patrz na mnie! Natychmiast odwrócił głowę.

- Dlaczego nie chcesz, żebym patrzył? - zapytał z żalem.

- Bo jestem nieubrana.

Zamilkła na moment; uświadomiła sobie, że przecież mówi do sylfa. On pewnie nie dba o to, czy jest nagi, czy ubrany.

- Tu panują takie zasady. Nie można patrzeć na nagą kobietę, chyba że sama na to pozwoli. -

Zmarszczyła brwi. - Jeśli jesteś moim wojownikiem, to czy musisz mnie słuchać?

- Tak, jeśli wydasz mi rozkaz.

Myślała, że już to zrobiła. Widocznie powinna być bardziej stanowcza.

- Kiedy jestem naga, wolno ci patrzeć tylko na moją twarz. To rozkaz, zrozumiano?

- Tak.

Usiadł po turecku i wykonał ten rozkaz. Ani na chwilę nie odwrócił wzroku. Twarz miał spokojną, ale trochę niesamowitą. Przypominała twarze żołnierzy, którzy ją porwali.

- Nie wiem, jak należy postępować z wojowniczym sylfem - wyznała. - Trochę brzydki z ciebie facet.

- Naprawdę?

- Nie zauważyłeś, że stałeś się facetem? - spytała sucho.

- Nie zauważyłem, że jestem brzydki.

- No tak... - Usiadła wygodniej. - Trochę za chudy... za krótkie włosy...

- Och!

Nagle jego włosy wydłużyły się i spłynęły w dół w złocistych lokach.

Solie zapiszczała z zachwytu.

- Cudownie! Możesz zmienić kolor?

- Oczywiście.

- Przyciemnij je - poprosiła. Włosy błysnęły kruczą czernią. - Nie aż tak ciemne. Bardziej brązowe.

Spełnił jej życzenie: włosy zbrązowiały.

- Wyprostuj je trochę.

Zapominając o nagości, ponieważ od chwili, gdy wydała polecenie, sylf ani na moment nie spuścił wzroku z jej twarzy, wprowadzała zmiany do jego wyglądu: klatka piersiowa i ramiona stały się szersze, nogi dłuższe, twarz bardziej prostokątna i symetryczna. Słuchał jej, zachwycony radością, z jaką robiła z niego swojego idealnego partnera. Po chwili był niezwykle przystojnym młodzieńcem, niewiele wyższym od niej. Za takim mężczyzną na pewno nawet jej ciotka by się obejrzała. Solie przysunęła się bliżej, nie bojąc się go już ani trochę, i zajęła szczegółami. Spodziewał się tego. Sylfy przybierały wygląd według życzenia

swoich władców. Jej wojowniczy sylf i tak musiał przyjąć ludzką postać, żeby nikt go nie rozpoznał.

Dlaczego więc nie miały stać się przystojny?

Niesamowicie przystojny. Pomagając mu w dobraniu odpowiedniego koloru oczu, Solie uświadomiła sobie nagle, że klęczy przed nim, z twarzą tuż przy jego twarzy, i że płonie z gorąca, którego na pewno nie wywołały buchające parą źródła. Zadrżała i zaczęła się zastanawiać, czy te piękne usta smakują równie doskonale, jak wyglądają.

Sylf wciągnął powietrze.

- Podoba mi się twój zapach.

Zaczerwieniła się jak burak, osłaniając ciało rękami, choć wcale na niego nie patrzył.

- Odwróć się - pisnęła. Usłuchał natychmiast.

- Potrzebne mi ubranie. Możesz mi jakieś przynieść?

- I zostawić cię tu samą? Nie.

- Dlaczego? - spytała, marszcząc brwi.

- Bo muszę cię chronić.

- Przed czym? - Rozejrzała się dookoła. - Przecież nie zostanę tu na zawsze. A żeby się stąd ruszyć, potrzebuję ubrania. Nie mogę nago iść do miasta.

- Dlaczego nie?

Westchnęła ciężko. Skąd on się u licha wziął, że nie wie takich prostych rzeczy?

- Ludzie nie chodzą nago. Chyba że... - Znów się zaczerwieniła.

- Chyba że co?

- Nieważne - ucięła. - Musisz mnie słuchać, prawda? Więc rozkazuję ci znaleźć dla mnie ubranie.

Kobiece ubranie - dodała. - I nie możesz go zedrzeć z żadnej kobiety. Ani zrobić nikomu krzywdy. I nie wolno ci zdradzić się, że jesteś wojowniczym sylfem!

W popłochu zaczęła się zastanawiać, czy ktoś jest już na ich tropie. Miała nadzieję, że nie. Nikt jej tu nie znał. A teraz nikt nie rozpoznałby Hejty'ego.

Sylf niechętnie wstał i zamigotał, zmieniając się w skrzydlaty obłok dymu. Uniósł się w powietrze i odleciał, a ona długo spoglądała za nim, przerażona, że zostawił ją samą. Zapomniała mu powiedzieć, żeby szybko wracał.

Hejty podążył w kierunku, z którego przybyli, choć przezornie nie wrócił w to samo miejsce. Wciąż pamiętał tego drugiego samca, drugiego „wojownika”, jak nazwała go królowa. Czuł też zapach innych. Nie chciał walki, a już na pewno nie z nimi. Pozostałe samce, w jaskini i poniżej na ziemi, były słabe i bezradne, tak jak te, które zniszczył przy bramie. Pozabijałby je, ale królowa mu zabroniła.

Poza tym wyczuwał w ich pobliżu samice i nie chciał ryzykować, że je skrzywdzi. Nie należały wprawdzie do jego roju, ale samice nie wolno krzywdzić. Za to samce najchętniej widziałyby martwe.

Wylądował na skraju niewielkiej wioski pod lasem. Przyjął ludzką postać i ruszył przed siebie, pewny, że nikt nie rozpozna w nim wojowniczego sylfa. Z chaty wyszła jakaś dziewczyna i spojrzała na niego.

Uśmiechnął się do niej, a ona krzyknęła i uciekła. Po chwili ze środka wybiegł mężczyzna, zamrugał i na jego twarzy odmalowało się oburzenie. Złapał widły stojące pod ścianą.

- Wynoś się stąd, zboczeńcu! - krzyknął.

Hejty popatrzył na siebie. Wciąż miał ludzką postać. Spojrzał groźnie na mężczyznę i poczuł, jak budzi się w nim pogarda, oślepiająca nienawiść do wszystkich samców spoza jego roju. Złość kipiała w nim coraz silniej. Mężczyzna wyczuł ją i zbladł. Z chaty wyszła kobieta i nienawiść w duszy

Hejty'ego natychmiast ustąpiła ciekawości. Przypomniawszy sobie, że królowa nakazała mu dyskrecję.

Poza tym ta kobieta miała dzieci. Cudownie pachniała.

- Potrzebuję ubrania dla mojej królowej - oświadczył.
- Zwłaszcza dla siebie - odparła.
- Nie odzywaj się do niego! - syknął mężczyzna. Hejty obnażył zęby, a tamten znowu zbladł i cofnął się o krok.

Z innych chat zaczęli nadbiegać ludzie: mężczyźni uzbrojeni w przeróżne rolnicze narzędzia, a wraz z nimi kobiety; one stawały wokół niego szerokim kręgiem i chichotały z podziwem. Hejty, zachwycony, uśmiechnął się przymilnie do matki.

- Masz ubrania? - zapytał.

Rozbawiona, pokręciła głową, z trudem tłumiąc śmiech.

- Tylko stare i znoszone. Co się stało? Okradli was? Zastanowi! się.

- Tak - odpowiedział. To zrobiło wrażenie.

- Biedna twoja pani! Musi być załamana! - uzalila się kobieta i nie dbając o kompletnie oszołomionego męża, zniknęła w chacie, a potem wróciła z kilkoma sztukami zgrzebnej odzieży.

Wziął je i popatrzył na nie zdezorientowany. Matka zaśmiała się i pokazała mu, jak naciągnąć przez głowę tunikę, która go drapała. Była tak znoszona, że niemal się rozpadała, ale zakrywała go od szyi do połowy ud.

- Musisz być przyzwyczajony do o wiele lepszej odzieży - stwierdziła kobieta.

Nie zaprzeczył.

- Dziękuję - odparł. Machnęła ręką i się zaczerwieniła.

- Szkoda, że nie mam żadnych butów.

- Wcale ich nie potrzebuje - mruknął pod nosem jej mąż. Teraz, gdy był należycie przyodziany, kobiety okrążyły go

z bliska; pytały o imię i podawały swoje. Mężczyźni trzymali się z tyłu, świadomi niebezpieczeństwa, ale kobiety były pod wrażeniem jego neodpartej urody. Z trudem powstrzymał

się, by nie otoczyć się ochronnym ekranem; niełatwo było mu też nie okazywać nienawiści do mężczyzn. Nie całkiem mu się to udało. Kobiety go podziwiałały, mężczyźni po prostu się go bali.

- Idź już do swojej pani - powiedziała w końcu matka.

- Dziękuję. - Skinął głową i odszedł w las. Wszystkie pomachały mu na pożegnanie, a kilkoro dzieci - same dziewczynki - pobiegło za nim. Pozwolił na to, ale potem przyśpieszył i zniknął im z oczu.

Dopiero później zamigotał, zmienił się w smugę dymu i powrócił do swojej królowej.

ROZDZIAŁ 8

Airi, w postaci kilku słonecznych smug unoszonych wiatrem, obserwowała dziewczynę i wojownika. Wojowniczy sylf był młody, niedawno przyszedł na świat. Doświadczony wojownik nigdy nie dopuściłby jej tak blisko do swojej pani. A ten po prostu zostawił ją samą i nie ostrzegł jej przed Airi. Airi wprawdzie nie miała zamiaru skrzywdzić dziewczyny, ale wojownicze sylfy zazwyczaj broniły każdemu dostępu do swoich władców.

Odprowadziła go wzrokiem, zastanawiając się, co dalej. Devon nie wydał jej szczegółowych poleceń. Po prostu kazał jej śledzić tę parę. Zrobiła to. Ale czy teraz powinna zawrócić? Nie wiedziała, ale przecież byta tylko zwykłym sylfem, który przede wszystkim musiał być posłuszny, czy we własnym roju, czy wtedy, kiedy miał tylko jednego pana. Istot jej gatunku raczej nie zachęcano do podejmowania samowolnych decyzji. Właśnie ten brak niezależności sprawiał, że ludzie mogli je ze sobą wiązać. Szczerze mówiąc, wcale jej to nie przeszkadzało. Dzięki temu miała pana,

który zajmował się wyłącznie nią. W rodzinnym roju nikt nie poświęcałby jej aż tyle uwagi. Poza tym Devon dał jej o wiele większą wolność, niż sylf mógłby sobie wymarzyć.

W odróżnieniu od wojowników, sylf ów żywiołaków z Eferem nie zmuszano do przyjęcia konkretnego kształtu, choć niektóre postaci były dla nich zakazane. Na przykład ludzka. Podobnie jak wszystkie powietrzne sylfy, Airi wolała nie przyjmować żadnego kształtu i pozostawać niewidoczna, bo dzięki temu wiatry niosły ją same tam, dokąd chciała. W przeciwieństwie do większości właścicieli Devon pozwolił jej mówić. Innym sylfom zabraniano się odzywać, ale on dał jej na to zgodę, pod warunkiem że nikogo poza nim nie będzie w pobliżu. Otrzymała więc wielki dar. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę, bo żaden z poprzednich panów tak nie postąpił. Chętnie rozmawiała z Devonem, gawędziła z nim, zadawała pytania i prosiła, by grał dla niej na flecie. Dzięki łączącej ich więzi nie musiała nawet mówić na głos, wystarczyło, że szeptała prosto do jego umysłu, gdzie nikt inny nie mógł jej słyszeć. W domu w taki sam sposób porozumiewała się z innymi sylfami. Potem, po przejściu przez wrota, przez pięćdziesiąt lat trwała w wymuszonej ciszy, więc teraz wciąż radowała się rozmowami i doskonale wiedziała, że cieszy się wielką wolnością.

Zauważyła, że wojowniczy sylf otrzymał taką samą wolność, a nawet jeszcze większą. Wprawdzie został zamknięty w postaci wybranej przez swoją panią, ale zdecydowanie mu to nie przeszkadzało. Nie zabroniono mu też przyjmowania normalnego kształtu. Airi obserwowała go, jak odpływał w postaci wzorca energii, zarazem dla niej znajomego i obcego. Nie pochodził z jej roju, raczej z tego co Maczuga. Przynajmniej nie będą ze sobą walczyć, gdy się spotkają... chyba że otrzymają taki rozkaz. Dziewczyna popatrzyła w ślad za znikającym sylfem i wstała. Rozejrzała się i szybko podeszła do gorących źró-

deł. Zanurzała w nich dłoń, aż znalazła wodę o właściwej temperaturze. Airi patrzyła na nią i zastanawiała się, czy się odezwać. W końcu zrezygnowała z tego, bo Devon zakazał jej ujawniać komukolwiek, że potrafi mówić. Poza tym wiedziała, że wojownik zaraz wróci i może się rozgniewać, gdyby podeszła za blisko.

Zawirowała w strumieniu gorącej pary, tańcząc wesoło, bo postanowiła, że jeszcze trochę poczeka. Dziewczyna nie zostanie tu na zawsze. Wojowniczy sylf wkrótce tutaj przybędzie. Powinna zobaczyć, dokąd się udadzą. Potem poleci do Devona.

Ruda dziewczyna z westchnieniem zanurzyła się w wodzie, nieświadoma obecności Airi. Sylfka odpłynęła w strumień gorącej pary, trzymając się z dala, ale na tyle blisko, by móc w razie czego zareagować.

Przeklinając siarczyście, Alcor, król Eferem, podbiegł do Thralla i z całej siły uderzył go w twarz dłonią w stalowej rękawicy. Głowa sylfa odskoczyła na bok, ale po chwili się wyprostowała. Spojrzał na swego pana nieruchomymi oczami, w których jak zwykle błyszczała nienawiść. Thrall nim gardził; król dobrze o tym wiedział. Sylf zabiłby go, gdyby tylko mógł, ale musiał go słuchać. Alcor zawsze do ostatnich granic wykorzystywał jego posłuszeństwo.

- Dlaczego go nie zabiłeś?! - ryknął, choć zabronił mu odpowiadać. Wojowniczy sylf wyrażający na głos swoją nienawiść mógłby doprowadzić człowieka do obłędu. - Przez ciebie zginął mój syn!

Thrall nie zareagował. Jego twarz pozostała bez wyrazu, lecz Alcor wiedział, że sylf śmieje się w duchu. Był jego niewolnikiem od dziesiątków lat, więc król bez trudu wyczuwał jego nastroje. Zaklął i znów go uderzył. Nic to nie dało. Mógłby go tak tłuc całą noc i tylko on sam by ucierpiał.

- Zapłacisz za to - warknął. - Znajdę na to sposób.

Przecież Thrall nawet palcem nie kiwnął, po prostu nie zrobił nic. Pozwolił, żeby tamten sylf zabił mu syna, a potem dał wrogowi uciec. Ale nie złamał posłuszeństwa. Gdyby Alcor kazał mu walczyć, a nie tylko go bronić, toby walczył. Król nie potrzebował jednak obrony, więc Thrall tkwił jak kołek i patrzył, jak tamten ucieka - no i król wyszedł na tchórza.

- Wasza Wysokość?

Alcor odwrócił się, zdyszany i spocony w ciężkim gronostajowym płaszczu. Jego syn nie żył, unicestwił go cios wojowniczego sylfa, nad którym nie zapanował. Król chętnie pozabijałby tych klechów, gdyby nie byli już martwi. Jakim cudem ta chłopska dziewczka się uwolniła? Skąd wzięła broń? Teraz ona panowała nad tym sylfem. Oby już ją zabił.

Tuż za nim stał Jasar Doliard we wspaniałym czarnym stroju z białą koronką przy kołnierzu i mankietach. Tyle się działo, a ten drań znalazł czas, żeby się przebrać! Alcor poczuł, że wzbiera w nim gniew, ale Jasar miał za sobą dużą część rady. Prawie wszyscy go popierali i zabiegali o jego względy. W kącie stał cicho Leon Petrule, z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

Wojownicze sylfy obu mężczyzn czekały na zewnątrz. W komnatach władcy mógł przebywać tylko Thrall. I tylko Thrall mógł przyjmować ludzką postać. Alcor podszedł do fotela i usiadł, nie proponując tego pozostałym członkom rady. Leonowi to nie przeszkadzało, stałby tak cały dzień, ale Jasar był wyraźnie zirytowany, wydaje mu się, że nic mu nie grozi, pomyślał Alcor ze złością, że jego sylf go obroni. Nie ma pojęcia, jaki szybki jest Thrall. Gdybym tylko zechciał, Jasar byłby martwy, zanim Maczuga zdążyłby wejść do komnaty.

Świadomość tego uspokoiła króla. Wskazał mężczyznom krzesła przy stole, nie tak ozdobne jak jego fotel. Thrall stanął za nim, nieruchomym wzrokiem obserwując zebranych. Usiedli wszyscy, z wyjątkiem Leona, on dalej stał w kącie.

- Wiecie, co się stało - warknął, opierając się wygodnie. - Następca tronu nie żyje, a wojowniczy sylf wy dostał się na wolność.

Znowu ogarnęła go furia. Nie kochał syna, chłopak był strasznym mięczakiem, niestety - także jedynym jego potomkiem płci męskiej. Córki nie mogły odziedziczyć korony po jego śmierci, a on sam nie był już taki młody. Nigdy by się nie przyznał do tego tej bandzie, ale już od wielu lat nie miał erekcji. Będzie teraz musiał znaleźć odpowiedniego męża dla najstarszej. Sądząc po chytrym uśmiešku Jasara, dworak dobrze wiedział, kto jest najlepszym kandydatem.

Ambicje pozostałych nie były aż tak oczywiste.

- Współczujemy Waszej Wysokości - odezwał się najstarszy z nich, pochylając głowę.

Inni także się skłonili, nawet Leon, na którego twarzy malował się żal. Chyba nawet autentyczny. Leon, człowiek niskiego urodzenia, bez ziemi i tytułów, nie był członkiem rady i nie zawdzięczał swej pozycji polityce, lecz bezwzględności, którą Alcor dostrzegł w nim przed laty. Zmieniła się ona z czasem w opanowanie i skuteczność - król cenił je i wykorzystywał do swoich celów.

- Dajcie spokój - burknął. - Później przyjdzie czas na żałobę. Na razie dziedzictwo tronu stanęło pod znakiem zapytania. Chcę, żebyście jasno zrozumieli - mówiąc to, dźgnął palcem blat stołu - że to ja zdecyduję o moim następcy. Nie życzę sobie żadnych propozycji. Jeśli ktoś się do mnie z nimi zgłosi, oddam go Thrallowi.

To była otwarta groźba. Członkowie rady, włącznie z Jasarem, niepewnie spojrzeli na sylfa. Alcor, zadowolony, poprawił się w fotelu.

- Na razie chcę wiedzieć, co właściwie się wydarzyło. Poddani patrzyli na niego bez słowa. Nikt nie miał dość

odwagi, by się odezwać.

- Chyba ktoś rozmawiał z kapłanami? - warknął.

- Wszyscy zginęli, Wasza Wysokość. Jasar uniósł głowę.
 - Nie wszyscy, Wasza Wysokość. Przed przybyciem tutaj rozmawiałem z ojcem Belicanem. Jest za stary, żeby uczestniczyć w rytuałach, ale umysł ma sprawny. Pozwoliłem sobie zdać mu relację.
 - I co? - spytał król.
 - Mówi, że do tej pory nic podobnego się nie wydarzyło.
 - To chyba oczywiste! - ryknął Alcor. - Kobieta władająca wojownikami? Nie do pomyslenia. Jasar, rozbawiony, wzruszył ramionami.
 - Belican zaczął snuć domysły. Dziewczyna posłużyła się nieznaną nam magią, aby podporządkować sobie sylfa. Być może została podstawiona przez naszych wrogów, którzy ukartowali całą sprawę.
 - Bzdury.
- Wszyscy spojrzeli na Leona Petrule'a. Odsunął się od ściany i podszedł do stołu.
- Dziewczyna miała nóż. Schowała go w dłoni, zanim ją rozebrano. Nikt jej nie przeszukał. Rzucił na stół spinak w kształcie motyla, z kilkucentymetrowym ostrzem wystającym z jednej strony.
 - Znalazłem to na ołtarzu. Przecięła powróż i dźgnęła księcia, zanim zdążył ją zabić.
- Król spurpurowiał.
- Dziwka! Jak ona śmiała! Dowódca straży wzruszył ramionami.
 - Walczyła o życie. Podziwiam ją. Zbieg okoliczności sprawił, że związała się z wojowniczym sylfem, przeznaczonym dla Jego Księżęcej Mości. Prawdopodobnie go nazwała.
- Wśród członków rady rozległy się pomruki niedowierzania.
- Kobiety nie mogą władać sylfami - sprzeciwił się jeden ze starszych wiekiem dostojników. - Nie mają dość siły!

Leon pokręcił głową.

- Nie sędę, żeby do tego była potrzebna siła.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Skłonił się.

- Za pozwoleniem - powiedział, wskazując ręką na drzwi. Kiedy Alcor skinął głową, podszedł do nich, otworzył je

i szepnął coś do sługi czekającego na zewnątrz. Ten uklonił się i pobiegł w głąb korytarza.

- Tylko nie każ nam czekać zbyt długo - warknął król.

- Skądże - odparł Leon. - Aha, już jest - dodał. - Zaczekaj tu - wydał rozkaz słudze i wyciągnął rękę. - Ril.

W powietrzu pojawił się sylf. Zwinał skrzydła, przysiadł na jego ramieniu. Leon wniósł go do sali.

Wszyscy westchnęli, widząc to pogwałcenie zasad, i nawet król się zaniepokoił, ale Thrall tylko

przechylił głowę na bok, spokojnie wpatrując się w drugiego wojownika. Ril odpowiedział zimnym

spojrzeniem i w komnacie zapanowała znajoma atmosfera wrogości. Obydwa sylfy szczerze się

nienawidziły, gardziły też członkami rady. Ich niechęć była niemal namacalna. Nawet po trzydziestu

latach sprawiała, że król miał ochotę rozluźnić kołnierz, żeby złapać oddech. Oparł się jednak tej

pokusie.

- Czujecie to? - spytał Leon i popatrzył na swojego wojowniczego sylfa. - Gardzisz nami, prawda, Ril?

Gardzisz też Thrалlem. On również by cię chętnie zabił, gdyby tylko mógł.

Ptaka zamrugał i zerknął na niego wściekle spod oka. Leon się uśmiechnął.

- Ril to moja duma. Nie żałuję, że dla niego wystawiłem się na to straszne niebezpieczeństwo, bo jest tego po tysiącokroć wart - wyznał. - Ale zwykły ze mnie prostak. Mieszkam w małym domku z żoną i córkami, dzięki czemu zauważyłem coś ciekawego.

Gestem wskazał drzwi. Do sali weszła służąca w czarnej sukience i białym fartuszk. Dygnęła. Alcor uniósł brew. W sali rady nie bywały kobiety, chyba że sprzątaczk, które

swoją pracę wykonywały na kolanach... albo dworki; one wykonywały ją na plecach, leżąc na stole. Dziewczyna cała się trzęsła.

Leon ujął jej dłoń.

- Podnieś rękę - polecił i kiedy to zrobiła, ku powszechnemu zdumieniu przeniósł Rila na jej ramię. Ptak usadowił się na nim lekko, przyglądając się ze skupieniem służącej. Odpowiedziała zachwyconym spojrzeniem, wyraźnie nie wiedząc, z czym ma do czynienia.

- Boisz się go, mała? - spytał Leon.

- N-nie, mój panie - wykrztusiła. - To piękny ptak.

Członkowie rady ryknęli śmiechem, Alcor też. Dziewczyna uśmiechnęła się niepewnie, a potem nieśmiało podrapała pochylony łeb ptaka. Alcor myślał, że sylf urwie jej rękę. Widział przecież kiedyś, co zrobił z rozpieszczonym synalkiem jednego z dworaków, który chciał go pogłaskać.

- Czujecie to, panowie? - powtórzył Leon.

Król zmarszczył brwi. Nienawiść wciąż wisiała w powietrzu, ale już nie była taka wielka. Ril przestał się nimi interesować, wyraźnie wolał dziewczynę. Alcor spojrział przez ramię na Thralla - on też się na nią gapił z zachwyconą miną.

- Ril bawi się z moimi córkami - wyjaśnił Leon poważnie. - Nigdy żadnej nie skrzywdził. Spójrzcie na jego szpony. W moje ochraniacze wbija je tak mocno, że czasem mnie kaleczy, a jej nawet nie drasnął. Popatrzcie na Thralla. Założę się, że Maczuga zachowywałby się tak samo, gdybyśmy go tu wpuścili. Ril, chodź tu! - zawołał. Jastrząb zaskrzeczał, rozłożył skrzydła i przefrunął na ramię swojego pana. Skóra, w którą wbił szpony, zatrzeszczała tak przeraźliwie, że zebrani nie mogli tego nie słyszeć. - Idź już, dziecko - zwrócił się Leon do służącej. Przełknęła ślinę, dygnęła i uciekła.

Król zerknął na Thralla. Wojownik wpatrywał się w członków rady bez zainteresowania, ze zwykłą nienawiścią wypisaną na twarzy.

- Z jakiegoś powodu sylfy wojownicze lubią kobiety -stwierdził Leon. - Prawdopodobnie dlatego, że one nie stanowią zagrożenia. Nie wiem, co dla nich oznacza więź z kobietą, ale nie podoba mi się to. Alcor zmarszczył brwi. To, co właśnie zobaczył, zaniepokoiło go, lecz miał wiele innych zmartwień.
- Znajdź ją. Każ ją zabić.

Leon skłonił się, nie zastanawiając się, jak trudne okaże się to zadanie. Wiedział, że jeśli dziewczyna zginie, sylf zniknie. Odwrócił się i wyszedł z Rilem na ramieniu.

Król obrzucił wzrokiem swoją radę. Niektórzy jej członkowie byli przygnębieni, inni zadumani. Jasar uśmiechał się do swoich myśli, król wolał jednak nie zgadywać, co mu chodzi po głowie. Bywał pożyteczny, ale poza tym był zboczony. Wprawdzie król mało dbał o dobro córek, lecz nie chciałby, żeby którakolwiek musiała poślubić tego człowieka. Chyba że będzie to nieuniknione.

- Powiedzcie mi, co Para Dubh sądzi o naszej ofercie handlowej - rozkazał, zmieniając temat.

W korytarzu służąca zadygotała i potarła rozgrzane ramię, na którym siedział ptak o wiele lżejszy, niż myślała. Znowu zadygotała i niemal za nim zatęskniła, ale służący, który wywołał ją z pomywalni, strzelił palcami, i tam ją odesłał. Potem wrócił na posterunek pod drzwiami.

Lepiej, by spełniła ten niemy rozkaz. Dygnęła, pobiegła w głąb korytarza i zniknęła za zakrętem. Po drodze musiała minąć alkowę, w której podczas zebrania rady czekały wojownicze sylfy. Zwolniła i zajrzała tam, zaciekawiona.

Złocista grzęda Rila była pusta. Obok stała potężna zbroja, czyli Maczuga. Znała jego imię, jak wszyscy. Wpatrywał się w nią. Odpowiedziała spojrzeniem. Kiedy nie było przy nim jego pana, zniknęła aura nienawiści, którą się zawsze otaczał. Służąca poczuła się... bezpieczna. Nie wiadomo

dlaczego, ten ogromny stwór, któremu sięgała ledwie do pasa, dawał jej to poczucie. Od lat nie zaznała takiego spokoju.

Podeszła do niego powoli, wyciągnęła rękę i dotknęła zbroi na nodze. Pod palcami nie czuła metalu, tylko ciepło. Zadrżał pod jej dotykiem. Popatrzyła na niego.

- Ty jesteś tą zbroją, prawda? - szepnęła. Skinął głową bez słowa.

Wpatrywała się w niego dalej, oblizując wargi. Coś w nim sprawiało, że wypełniły ją ciepło, poczucie bezpieczeństwa i niezwykła śmiałość.

- Maczuga - powiedziała, smakując dźwięk jego imienia. Znowu zadrżał.

- Maczuga - powtórzyła, gładząc go po nodze i obejmując ją ramieniem. Nienawiść nie wróciła, zamiast niej pojawiło się pożądanie, a dziewczyna nie wiedziała, czyje to uczucie: jego czy jej. Było silniejsze niż wszystkie uczucia panów i dworaków, którzy mieli prawo brać ją, gdy tylko im się zachciało. A ona wołała Maczugę.

Jęknęła. Sylf uniósł ją w górę. Nie opierała się, bo jego pożądanie było równie potężne, jak nienawiść. Zadarł jej spódnicę, ściągnął majtki i już był w niej. Trzymając ją w objęciach, wszedł głębiej, a ona objęła go nogami w pasie. Cicho sapnęła. Chciało jej się krzyczeć, ale bała się, że ktoś ją usłyszy, choć wszyscy trzymali się od wojowniczych sylfów najdalej, jak tylko mogli.

Był zdumiewająco delikatny, wypełniał ją, lecz nie rozdzierał ani nie sprawiał jej bólu. Miała wrażenie, że wie, czego ona pragnie, i dawał jej to, sam też jej pragnąc. Świadomość jego pożądania przenikała cały jej umysł, pozbawiając ją wszelkich zahamowań. Ale sama go zaprosiła, jak wszystkie inne służące i dworki, które przekradały się do niego, podniecone niebezpieczeństwem i jego ogromną postacią. Jego pan kazał mu tylko czekać na miejscu, kiedy on będzie zajęty, i przychodzić na wezwanie, nic poza tym. Nie zabronił

spotkań z kobietami. A one przychodziły, ulegając jego nieodpartemu urokowi, i utrzymywały w sekrecie to, co z nim przeżywały. Wiedział, że ta zachowa się tak samo, dbając o własne bezpieczeństwo. Nie była jego królową - byłaby nią dziewczyna, którą zabito, żeby go przywabić - ale jej obecność wystarczała, żeby nie oszalał w tej strasznej krainie. Nie wiedział, jak sobie radzą Ril, Thrall i inne wojownicze sylfy, on jednak znalazł ratunek w ciałach kobiet, które oddawały mu się bez wiedzy jego pana. Wiele wracało, i to nie raz.

Wszedł w nią najgłębiej, jak mógł, doprowadzając ją do orgazmu za orgazmem, a potem sam skończył. Zadrzał w mroku alkowy. Tulił do siebie dziewczynę, jak tyle innych przed nią, i marzył, by któraś została jego królową.

ROZDZIAŁ 4

Hej ty wylądował na brzegu gorącego źródła. Jego królowa siedziała w jednej z chłodniejszych sadzawek i spała z głową przechyloną na bok. Piersi wychylały się z parującej wody. Pamiętając, co mu nakazała, starał się patrzeć tylko na jej twarz, ale w końcu musiał odwrócić się tyłem. W wyciągniętej dłoni trzymał odzież, z którą przyleciał.

- Wróciłem, królowo - powiedział.

Krzyknęła, tak jak się spodziewał. Rozległ się plusk wody. Westchnął. Jak tu zrozumieć królowe?

- Dz-dziękuję - wykrztusiła i złapała ubranie. Usłyszał szelest i po chwili pozwoliła mu się odwrócić.

Stała przed nim w tunice z takiego samego materiału jak

jego, tyle że w kolorze wyblakłej zieleni, a nie brązu. Sięgała jej do kostek. Szata była bez rękawów, ale jego królowa włożyła pod spód bluzkę i przewiązała się w talii sznurkowym

paskiem. Włosy miała splątane, a twarz, uszy i szyję lekko ubrudzone, widać o nich zapomniała w kąpieli.

- Jak wyglądam? - zapytała.

- Jesteś piękna, królowo - odparł szczerze. Zaczerwieniła się.

- Dziękuję. Wiesz, wcale nie musisz mnie tytułować królową. Mam na imię Solie.

Powiedziała mu swoje imię. Oczy Hejty'ego rozszerzyły się z radości.

- Solie - westchnął.

Zamrugła, nie rozumiejąc, dlaczego tak zareagował, i rozejrzała się wkoło.

- I co teraz? - spytała.

- Wszystko, czego zechcesz.

- Czy mógłbyś zabrać mnie do domu mojej ciotki?

- Oczywiście - zapewnił, choć nie miał pojęcia, gdzie to jest. Wyciągnął po nią rękę.

Odsunęła się i zmarszczyła brwi.

- Muszę cię zanieść - wyjaśnił.

- Och, no tak.

Zaśmiała się nerwowo i pozwoliła się wziąć w objęcia. Ledwie nad sobą zapanował. Pachniała tak pięknie, tak kobieco i królewsko, że zadygotał, myśląc tylko o jednym: by trzymać ją w ramionach i... Objął jej szczupłą talię i przełknął ślinę, niepokojąc się, że ona dostrzeże pożądanie w jego oczach. Nie pragnęła go w ten sposób. Przynajmniej tak mu się wydawało. Nie zniósłby, gdyby zaczęła się go bać, więc uniósł ją, zmieniając jednocześnie postać, zatrzepotał skrzydłami, tuląc ją w bezpiecznych objęciach.

Znana mu już powietrzna sylfka ruszyła za nimi w pewnej odległości.

Co tu robisz? - smagnął ją myślą.

Idę waszym śladem, odpowiedziała natychmiast, bez głupich wymówek. *Mc poza tym. Mój pan mi kazał.*

Poco?

Pewnie z ciekawości.

Chyba naprawdę nic więcej nie wiedziała.

Hejty leciał dalej, zadumany. Solie zabroniła mu robić krzywdę komukolwiek. W jego pojęciu zakaz obejmował także sylfy. Ale ten nie był z jego roju.

Trzymaj się z daleka, poleciał.

Airi zwiększyła dystans między nimi.

Przeleciał nad górami, obserwując lasy i skały. Było zimno, ale Solie tego nie czuła w jego ciepłych objęciach. Zanurzona w mroku, nie wiedziała, gdzie są. Niepokoiło ją to, ale panowała nad sobą.

Gdzie jest twoja ciotka? - spytał myślą, tak samo jak w rozmowie z sylfką.

Solie drgnęła, zaskoczona.

- No... na północny wschód od zamku, gdzie się spotkaliśmy. Tam są rozstaje. Ona mieszka na północ od nich, w pierwszej wsi za krzyżówką, przy piekarni. Potrafisz odnaleźć to miejsce?

Pewnie tak, choć nie podobało mu się, że znajdują się znowu tak blisko wrót. Ale nic nie mógł na to poradzić. Zawrócił ostro i poleciał w wybranym przez królową kierunku.

- Znajdę je - zapewnił. Tak widać trzeba.

Leciał wolniej niż w czasie wyprawy po ubrania, żeby nie narażać Solie na ryzyko. Rozkoszował się jej bliskością. Dziwnie się czuł, niosąc ją w powietrzu; była lekka i otaczała ją aura słodkiej, kojącej energii, tak innej od wszystkich odrażających sił tego miejsca, niejadalnych, nawet trujących. On mógł odżywiać się tylko energią swojej królowej.

Poniżej nie rozciągały się już góry i lasy, lecz pola. Dostrzegł zamek, z którego ją zabrał, otoczony murami i miastem. Na wschód prowadziła krętą kreską droga, o której Solie wspomniała. Nieopodal przecinała ją inna droga. Hejty szybował nad nimi, wzdłuż północnego odgałęzienia, które

prowadziło w głąb doliny porośniętej owocowymi drzewami. Leżało w niej niewielkie miasteczko, a raczej wioska o brukowanych ulicach i budynkach z jasnego kamienia.

Zapikował i ukrył się za drzewami, żeby nikt go nie spostrzegł. Nie wyczuwał obecności innych sylfów. Chyba większość mieszkała w zamku - kolejny powód, aby trzymać się z dala od niego. Powietrzna sylfka wciąż podążała ich tropem, trzymając się o kilometr z tyłu. Postanowił ją zignorować.

Wylądował za rzędem jabłoni, z których dawno już zerwano jabłka, i zmienił postać. Postawił Solie na nogach i niechętnie ją puścił. Rozejrzała się, szeroko otwierając oczy na widok sadu. Odsunęła kilka gałęzi i popatrzyła przed siebie. W dole zbocza zobaczyła domy

- To naprawdę wioska mojej ciotki! Tak szybko tu dotarliśmy?

Odwróciła się i z wdzięczności zarzuciła mu ramiona na szyję. Hejty natychmiast zamknął ją w objęciach, wtulając twarz w jej szyję. Solie zamarła i ze strachu wstrzymała oddech.

Zamknął oczy i dmuchnął jej w szyję, dotykając dłońmi jej pleców. Odżywiał się energią swojej królowej, a jej smak rozpalał go coraz bardziej. Czuł, jak jej serce szaleje; przycisnął ją mocno do siebie. Zadrzała, więc odchylił głowę i spojrzał na nią spod ciężkich powiek. Miała ogromne źrenice, rozszerzone pożądaniem, na które jeszcze nie była gotowa mimo łączącej ich więzi. Ale Hejty nie potrafił jej wypuścić z objęć... chyba że na rozkaz. Z trudem powstrzymywał się, by na nią nie napierać. Tak bardzo jej pragnął.

- C-co ty wyprawiasz? - szepnęła głosem, który zdradzał tęsknotę.

Jej usta niemal muskały jego usta. Czuł smak jej oddechu.

- Jesteś moją królową - odpowiedział, powoli gładząc jej plecy. - Należę do ciebie.

- Nie powinniśmy tego robić - wydusiła, ocierając się o niego twardymi sutkami.
Ależ skądże, właśnie powinniśmy, pomyślał. Świadczyła też o tym reakcja jej ciała.

- Pozwól mi, proszę - szepnął i liznął ją w szyję. Odepchnęła go, dysząc. Była taka piękna, kiedy się rumieniła.

- Nie! Przecież ja cię prawie nie znam. Kobiety... tak się nie zachowują! Nie z nieznajomymi. -
Popatrzyła na niego. - Przecież ty nawet nie jesteś człowiekiem!

- Ale wystarczająco go przypominam - zażartował. Pokręciła głową.

- Ciotka na mnie czeka - powiedziała. - Chodźmy. Ruszyła przez sad prawie biegiem.

A Hejty posłusznie za nią.

Solnie zadygotała na myśl, że omal nie zrobiła czegoś, co do tej pory wydawało jej się niewyobrażalne. Owszem, podobali jej się chłopcy, o niektórych nawet marzyła, ale przecież знаła Hejty'ego zaledwie od kilku godzin, a już... Zaczerwieniła się i spróbowała zmusić ciało, by zapomniało o całej sprawie. Żadna opowieść o wojowniczych sylfach nie wspominała o czymś takim.

Nie odważyła się obejrzeć. Nie miała pojęcia, jak się zachować. Może powinna kazać mu odejść?
Wiedziała tylko jedno: już nigdy więcej go nie dotknie, nawet gdy będzie chciała tylko mu coś podać. Coś w nim budziło w niej zbyt wiele emocji; postanowiła nie dać się porwać tej burzy.

Ciężko oddychała, walcząc z myślami, i w końcu trochę się uspokoiła. Wyszli z sadu na boczną uliczkę prowadzącą do miasta. W dzieciństwie chodziła tamtędy setki razy, więc doskonale znała drogę. Za chwilę dotrą do piekarni. Nikt ich nie zauważy, oprócz dzieci, które tak jak niegdyś

ona bawiły się wśród krzewów i teraz gapiły na jej ubranie oraz potargane włosy.

To były tylko dzieci, ale Hejty stanął między nimi a Solie, czujnie obserwując grupkę chłopców.

- Nic nam nie grozi - powiedziała Solie i omal nie dotknęła jego ramienia. Powstrzymała się w porę.

Trochę się odprężył, ale nie przestał przyglądać się chłopcom, którzy po chwili uciekli z wrzaskiem.

- Co im zrobiłeś? - zapytała zdziwiona.

- Nie lubię mężczyzn - warknął, mrużąc oczy.

- Przecież to dzieci - sprostowała.

- Ale płci męskiej.

I to mu chyba wystarczało.

Solie słyszała o tym w opowieściach: wojownicze sylfy nienawidzą mężczyzn. Powiadano, że nienawidzą właściwie wszystkich ludzi i innych sylfów też.

- A co czujesz do kobiet?

- Lubię je - odpowiedział z uśmiechem.

- I nienawidzisz mężczyzn.

- Tak.

Pokręciła głową.

- Jesteś dziwny. Ale myślę, że spodoba ci się piekarnia. Jeśli ciotka cię w ogóle do niej wpuści.

Solie nie zastanawiała się nad tym do tej pory. Kiedy uciekała z domu, nie zamierzała pojawić się u ciotki w towarzystwie mężczyzny. Poczowała ukłucie w sercu: ciekawe, czy rodzice za nią tęsknią.

Chyba tak. Może nawet na nią tu czekają.

A jak Hejty zareaguje na jej ojca? Pewnie nie najlepiej.

Znaleźli się już na tyłach piekarni: drzwi były pomalowane na jaskrawy niebieski kolor, a wzdłuż ściany stały sagi drewna na opał. Pachniało świeżym chlebem; z kominów buchał dym. Ślinka jej pociekła na myśl o jedzeniu, więc przyspieszyła, minęła studnię i zastukała do drzwi.

Otworzyła kobieta w średnim wieku, z chustką na głowie. Popatrzyła na Solie ogromnymi ze zdziwienia oczami.

- Dziecko! Co się z tobą działo? Otworzyła drzwi szerzej.

- Wchodź. Ciotka się przestraszy, jak cię zobaczy w takim stanie.

- Dzięki, Mimsy - rzekła Solie, wchodząc do piekarni. Kobieta chciała zamknąć drzwi, ale Hejty pospiesznie wcisnął się do środka.

- Hej! - zawołała zdumiona Mimsy. - Tu się nie wchodzi! Popatrzyła na niego, a on odpowiedział uśmiechem.

- Nie zostawię Solie - odparł wesoło.

- Mimsy, proszę cię... - zająknęła się dziewczyna. - Słuchaj, to długa historia, ale czy on może tu zostać? Obiecuję, że wszystko wytłumaczę ciotce.

Mimsy otaksowała go wzrokiem.

- To mi nie wygląda na długą historię - mruknęła i odsunęła się trochę. - Poczekajcie tutaj i nie dotykajcie niczego. Jesteście strasznie brudni. Przeprowadzę twoją ciotkę.

Gdy odeszła, Solie westchnęła ciężko i rozejrzała się dookoła. Piekarnia, która zajmowała połowę parteru, była nieskazitelnie czysta; lamy lśniły, a drewniany stół, gdzie wałkowano ciasto, był wyszorowany do białości. Pod ścianą wymurowano ogromne piece: w dwóch z nich właśnie piekły się bochenki. Na stole leżały gotowe chleby, czekały, aż Mimsy przełoży je na tacę i wyniesie do sklepu znajdującego się od ulicy.

Dwie inne pomocnice Maszy, dziewczęta z ubogich rodzin, gapiły się na Solie i Hejty'ego. Znały ją, ale nigdy nie widziały jej z mężczyzną. A już na pewno nie z takim. Solie zaczerwieniła się, choć udawała obojętność, ale Hejty czuł się jak u siebie w domu. Podszedł do dziewcząt z uśmiechem i zaczął z nimi miło, zwyczajnie gawędzić. Obie natychmiast się z nim oswoiły, jakby znały go od dawna. Solie zaczęła być

trochę zazdrosna, spostrzegła jednak, że nie dotykał żadnej z nich... Mimo wszystko nie powinnam być zazdrosna, pomyślała, marszcząc brwi.

Chwilę później drzwi otworzyły się na oścież i do środka weszła ciotka Masza - wysoka, o surowej, poważnej twarzy. Dla Solie zawsze była dobra. W siwych, upiętych w kok włosach wciąż lśniły rude pasma; biały fartuch przykrywał kwiecistą sukienkę. Masza zazwyczaj pomagała przy pieczeniu.

Popatrzyła na Solie i objęła ją; dziewczyna rzuciła się w jej ramiona, a ona westchnęła.

- Miałam nadzieję, że wystarczy ci rozumu, żeby tu nie przychodzić - powiedziała.

Zaskoczona Solie cofnęła się o krok.

- Są tu twój ojciec i narzeczony. Przyjechali, żeby cię zabrać do domu - dodała ciotka z żalem.

ROZDZIAŁ 5

Hejty podniósł wzrok, wyczuwając strach Solie. Rozmawiał z zadowolonymi dziewczętami, ciesząc się ich przyjaźnią, ale kiedy wydała lekki okrzyk, natychmiast skupił się na niej i stwardniał. Mało brakowało, a instynktownie przybrałby swoją prawdziwą postać, gotów do ataku albo obrony.

Powstrzymał się na widok kobiety, podobnej z twarzy do jego królowej. Poza tym Solie nie bała się jej, tylko tego, co od niej usłyszała.

- Są na górze - dodała kobieta. - Tłumaczyłam im, że cię tu nie ma, ale mój brat nie jest taki głupi.

Stwierdził, że w końcu tu przyjdiesz. - Rzuciła okiem na Hejty'ego. - Nie będzie zadowolony.

- Ale ja nie chcę wychodzić za mąż - jęknęła Solie. - Nie może mnie zmusić.

- Też tak uważam - odparła ciotka - ale prawo jest po jego stronie. Twój dziadek zgodził się, żebym nie wychodziła za nikogo, twój ojciec nie jest jednak taki... szlachetny. Ma prawo oddać cię każdemu mężczyźnie, którego wybierze. - Właściwie wypluła te słowa. - Co więcej, wydaje mu się, że Falthers to dobry wybór.

- Jest stary i gruby. - Solie się skrzywiła. - Ale ojcu się podoba, bo ma sklep spożywczy.

- A ty podobasz się Falthersowi, bo jesteś ruda i taka młoda.

Hejty nie wiedział, co to jest małżeństwo, ale powoli dochodził do wniosku, że to coś złego.

- Nie możesz nic zrobić? - poprosiła Solie. Ciotka popatrzyła na nią i westchnęła.

- Wyjdź tylnymi drzwiami i uciekaj do domu tego starego wdowca, który mieszka pod miastem.

Codziennie zanoszę mu świeży chleb. Powiedz mu, że cię przysłałam. Spróbuję przekonać twojego ojca, że jednak nie przyjdiesz. Kiedy sobie stąd pójdzie, pomyślimy, dokąd cię posłać, żeby cię nie znalazł. Zdajesz sobie sprawę, że zrywasz ze swoją rodziną, prawda?

- Trudno - szepnęła, spuszczaając głowę.

- W takim razie sama podjęłaś decyzję. - Masza przyjrzała się Hejty'emu. - Kim jest twój znajomy? - spytała.

- Jestem Hejty. - Uśmiechnął się do niej.

- Pomógł mi - dodała Solie, a w oczach zakręciły jej się łzy. - To mój przyjaciel.

Bardzo pragnął ją przytulić, ale mu zabroniła. Chociaż właściwie nie wydała rozkazu, tylko zwyczajnie to powiedziała. Czy to się liczy? Nie był pewny.

- Niech się nie pokazuje twojemu ojcu na oczy, bo wesele odbędzie się w przyspieszonym tempie, i to w sposób, który ci się nie spodoba.

Masza westchnęła i wypchnęła ich z piekarni.

- Zmykajcie. Koniecznie się wykąpcie, jak już tam dotrzecie. Jesteście okropnie brudni. A twoje włosy! Przyślę wam potem porządne ubrania.

Solie podziękowała ciotce i objęła ją czule. Podeszła do drzwi. Hejty natychmiast ruszył za nią jak cień. Wymknęli się z domu i podążyli boczną dróżką w tym samym kierunku, z którego przyszli. Chłopcy, których Hejty wystraszył, wrócili, wykrzykując obelgi; sylf warknął coś do nich, emanując nienawiścią. Znowu uciekli z krzykiem.

Trzasnęło otwierane okno.

- Hej! Stójcie! - krzyknął męski głos.

Solie jęknęła, a Hejty spojrział w górę, gotów zniszczyć całe pierwsze piętro budynku. Z okna wyrzwał mężczyzna, rudowłosy jak Solie, i zaczął wygrażać im pięścią. Hejty zasy-czał ze złości, ale królowa chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą. Ucieszył się, że go znowu dotknęła. Nie pozwoliła mu zabijać, przypomniał sobie. Trzeba ją zapytać, czy to dotyczy także bezpośrednich zagrożeń.

Rudowłosy zniknął z okna.

Hejty zauważył, że Solie krzywi się, bo żwir kłuje ją w stopy. Chwycił ją więc w ramiona, sam niewrażliwy na takie drobiazgi.

- Dokąd mam biec? - zapytał, gotów zabrać ją, dokąd tylko sobie zażyczy. Na przykład te gorące źródła były całkiem przyjemne.

- Do końca tej ścieżki - odparła. - Do domu z niebieskim kogutkiem na dachu. Tam się ukryjemy. Skinął głową i pognał tak prędko, że kontury wokół nich zaczęły się zamazywać. Przemknęli przez skrzyżowanie, płosząc konie na drodze, i już byli na miejscu. Hejty jednym susem pokonał wysoki do pasa płot.

Przywarła do niego, roztrzęsiona.

- Nie wiedziałam, że jesteś taki szybki - wykrztusiła tak przerażona, że nawet nie pomyślał o pieszczotach, przynajmniej do chwili, gdy postawił ją na ziemi.

- Przepraszam - szepnął.

Rozdygotana, niezgrabnie ruszyła przed siebie, prosto do otwartych drzwi, przez które wyszedł jakiś starszy pan z fajką. Hejty warknął na jego widok. Staruszek drgnął i omal nie wypuścił fajki z rąk, kiedy dosięgła go fala nienawiści. To mężczyzna i zbliżył się do królowej. Stanowi zagrożenie. Trzeba go zniszczyć, pomyślał Hejty.

Solie uderzyła swego wojowniczego sylfa w kark.

- Przestań natychmiast! Podbiegła do starszego pana.

- Panie Chole, błagam, niech pan nas gdzieś ukryje.

- Przed czym? - wyjąkał staruszek, z przerażeniem wpatrując się w sylfa.

- Błagam, nie ma czasu - prosiła.

Hejty był szybki jak wiatr, ale przyciągał uwagę ludzi. Ktoś mógł zobaczyć, jak wchodzili na podwórko. Poza tym piekarnia była blisko. Ojciec mógłby akurat wtedy przechodzić i zobaczyć ich przypadkiem. Hejty spojrzał na nią i się cofnął. Wyczuł, że nadchodzi mężczyzna, przed którym uciekali. Mógł się go łatwo pozbyć, ale królowa nie wydała mu rozkazu. Przygasił płomień nienawiści i zwrócił się do starego człowieka:

- Proszę, niech pan nas wpuści.

Miękki, łagodny głos uspokoił staruszka, który przyjrzał im się badawczo. Nie bardzo wiedział, co robić, ale w końcu uległ prośbie.

- Chodźcie - westchnął i cofnął się do środka.

Solie wpadła do pokoju, dotykając go ramieniem, więc Hejty zatrzymał się w progu i rzucił mu groźne spojrzenie. Obudził w sobie nienawiść tylko ze względu na królową, lecz mężczyzna dostrzegł wyzwanie w jego oczach, zadrżał i spuścił wzrok. Sylf skinął głową, udobruchany, i wszedł do domu. Meble w maleńkim pokoju były bardzo zniszczone, ale czyste. Pan Chole zamknął drzwi i dołączył do niespodzianych

gości, przezornie trzymając się z dala od Hejty'ego, a także od Solie. Hejty zadowolony skinął głową.

- Co się dzieje? - spytał niepewnie staruszek.

Hejty rzucił mu gniewne spojrzenie, po czym popatrzył na swoją królową.

Zakłopotana, potarła ręce.

- Ciotka nas tu przysłała. Masza piekarka

- Aha.

Solie wzięła głęboki oddech.

- Powiedziała, że nas pan ukryje. Ojciec mnie szuka. Wybrał mi mężczyznę i chce, żebym za niego wyszła.

Chole miał taką minę, jakby chciał się rozeźmiać, ale wystarczyło jedno spojrzenie na Hejty'ego, żeby spoważniał.

- Możecie tu zostać - mruknął.

- Dziękuję - wyjąkała Solie. - Bardzo panu dziękuję. Chciała objąć starego człowieka, ale Hejty mruknął złowieszczo. Chole odskoczył.

- Uspokój się, Hejty - zdenerwowała się.

Sylf uznał, że w piekarni, wśród kobiet, było o wiele przyjemniej.

Chole dał Solie pokój na strychu; leżał w nim nieduży słomiany siennik. Hejty miał spać na podłodze w dziennym pokoju. Potem staruszek poszedł sprawdzić, czy jej ojciec jest jeszcze u ciotki, a Solie rozgościła się w kuchni. Zagrzała balię letniej wody i przygotowała grzebień.

Westchnęła, spojrzała na balię i zdjęła tunikę. Kąpała się wprawdzie w gorących źródłach, ale nie miała czym umyć włosów, zresztą zasnęła, zanim zdążyła się dobrze wyszorować.

Uklękła i namydliła wilgotny ręcznik. Przesunęła ręką po włosach. Były strasznie poplątane. Jęknęła z bólu, kiedy wyrwała grzebieniem całe pasmo. Nagle wszystkie wydarzenia minionego dnia zwały się na nią jak lawina: porwanie przez

żołnierzy króla, rytuał, podczas którego omal nie zginęła, a Hejty pozabijał wszystkich naokoło, ucieczka, przybycie do wioski, decyzja ojca o jej zamążpójściu... Zakryła twarz dłońmi, rozplakała się rozpaczliwie i osunęła na stare deski kuchennej podłogi.

- Królowo? - Hejty pojawił się znikąd i ukląkł obok niej. Spoglądając tylko na jej twarz, objął jej ramiona i przyciągnął ją do siebie. W jego szeroko otwartych oczach malowały się niepokój i cień niepewności, gdy pogładził mokry od lez policzek, a potem spojrział na swoje palce. - Co to takiego? On jeden wytrwale stał u jej boku, całkowicie jej oddany, on jeden chciał jej wysłuchać. Panowała nad nim, bo robił wszystko, czego zapragnęła. Miała nad nim taką moc, jaką podobno tylko mężczyźni mają nad kobietami. Bez niego byłaby martwa. Popatrzyła na niego i zanosła się szlochem. Objęła go za szyję i wtuliła twarz w jego pierś. Nie dbała o swoje wcześniejsze postanowienie, by go nie dotykać. Potrzebowała czułości.

Hejty otoczył ją ramionami i zamruczał ze współczuciem. Ten dźwięk tak ją poruszył, że uniosła głowę i dotknęła wargami jego ust. Hejty odsunął się, nie wiedząc, o co chodzi, a ona, łkając, znowu się do niego przytuliła. Objął ją mocniej i po prostu czekał, aż się wypłacze. Płakała bardzo długo. Woda w balii wystygła, a skóra Solie całkiem wyschła.

Hejty tulił ją cały czas, na nic innego się nie odważył. Wyczuwała jego zdumienie i to ją przygnębiało. W końcu łzy przestały płynąć.

- Dzięki - mruknęła i wysunęła się z jego objęć. - Muszę... muszę umyć włosy.

- Tak, królowo - szepnął. Wstał i wyszedł do drugiego pokoju, wciąż niesamowicie zdziwiony.

Solie zaczerwieniła się i zabrała do mycia włosów w zimnej wodzie; zastanawiała się, dlaczego wciąż łąduje naga

w jego objęciach i właściwie dlaczego go pocałowała. Jego wargi miały słodki smak... Wypłakała się w jego ramionach i to jej pomogło.

Westchnęła i kiedy już umyła głowę, uczesała mokre włosy i wysuszyła je ręcznikiem. Włożyła bluzkę i sukienkę i nagle usłyszała warczenie Hejty'ego. Znowu wybuchnął gniewem.

Jak to możliwe, że ten stary człowiek potrafi znieść tak wielką nienawiść?

- Niech pan poczeka! - krzyknęła, wybiegając z kuchni. Roztrzęsiony pan Chole stał pod drzwiami.

Solie położyła

dłoń na ramieniu sylfa; natychmiast się uspokoił.

- Przepraszam - zwróciła się do wdowca. - On nie jest przyzwyczajony do ludzi. Po prostu się boi. To miły chłopak.

- To tobie się tak wydaje - parsknął ironicznie Chole. Ciężkim krokiem wszedł do środka, opierając się na

laskę, i usiadł na krześle pod oknem.

- Zachowuj się grzecznie! - szepnęła Solie do ucha Hejty'ego. - Rozumiesz? Przestań go straszyć!

- Tak, moja królowo.

Pan Chole usadowił się wygodnie i położył laskę na podłodze. Popatrzył na swoich gości, na Hejty'ego z niepokojem, a potem uśmiechnął się do Solie.

- Widziałem się z twoją ciotką - powiedział i podał jej bochenek chleba. - Mówi, że ojciec chodzi po domach i pyta o ciebie. Jest bardzo zdenerwowany.

Solie zeszywniała. Kochała ojca, wiedziała jednak, że jest surowym, despotycznym człowiekiem i bardzo chce, żeby ich rodzina się wzbogaciła. Pragnie ją oddać za żonę komuś, kogo ona nie kocha...

Wcale jej to właściwie nie dziwiło. Mimo to czuła się zraniona i nie miała ochoty się z nim spotkać.

Wiedziała, że nie potrafi mu przebaczyć, a on będzie starał się obudzić w niej wyrzuty sumienia. Nie chciała wychodzić za tego starego, obrzydliwego Falther-

sa. Zawsze się na nią gapił ze swego kantorka, kiedy tylko podrosła i przestała być płaska jak deska. Na samą myśl, że mógłby jej dotknąć...

Popatrzyła na Hejty'ego, przypominając sobie pocałunek. Nie umiała sobie nawet wyobrazić, jak ojciec by na to zareagował.

- Nie chcę się z nim spotkać - wydusiła. Staruszek wzruszy! ramionami.

- To samo powiedziała twoja ciotka. Rób, jak uważasz. Jeśli tu przyjdzie, powiem mu, że cię nie widziałem.

Obrzucił wzrokiem Hejty'ego i szybko odwrócił oczy.

- Nie możesz tu zostać na zawsze.

Wyraźnie chodziło mu o sylfa. Zresztą, ona też wkrótce przestałaby być mile widzianym gościem. Skinęła głową, starając się opanować strach. Coś wymyśli. Przecież dopóki ma Hejty'ego, nikt nie zrobi jej krzywdy.

Podziękowała starszemu panu, wzięła sylfa pod ramię i poprowadziła na strych.

Hejty popatrzył na nią z ciekawością, kiedy padła na siennik.

- O co tu chodzi? - spytał w końcu. - Kogo ty się tak boisz?

Wzruszyła ramionami. Szkoda, że tak źle jej się układa. Uznała, że powinien znać prawdę.

- Ojca. Chciał, żebym wyszła za mężczyznę, który mi się kompletnie nie podoba. Więc uciekłam z domu. Porwali mnie i tak się spotkaliśmy. - Zaczęła obgryzać paznokiec kciuka. - Myślałam, że wystarczy uciec do ciotki, ale przyszedł tu za mną.

- Aha - powiedział Hejty. - Mogę go zabić, jeśli chcesz -dodał po chwili.

- Nie! Ja tylko chcę, żeby mi pozwolił żyć po mojemu.

- Tak jest, królowo.

Westchnął i usiadł obok niej na twardej podłodze.

Solie umościła się na sienniku, wyczerpana i smutna. Choć jeszcze nie zapadł wieczór, była już bardzo zmęczona i marzyła o tym, żeby wreszcie przyszła ciotka i zabrała ją do siebie. Ale na to się nie zanosilo.

Hejty patrzył, jak zasypiała. Sam nie potrzebował snu. Obserwował, jak oddycha coraz głębiej, i myślał o tym ojcu, którego się bała. Najchętniej by go wytropił i zabił, zmiotł z powierzchni ziemi, żeby nie mógł już skrzywdzić jego królowej. Nie zabroniła mu tego wyraźnie, ale też i nie wydała rozkazu, żeby tak zrobił. Musiał więc czekać i mieć nadzieję, że ten człowiek będzie trzymał się z dala, bo jeśli zagrozi królowej, to on, Hejty, z nim skończy. Za nic nie pozwoli, żeby ktoś ją straszył. Przypomnił sobie chwilę, gdy dotknęła jego warg ustami, i zadrżał. Podobało mu się to.

Wyczuł, że na zewnątrz kręci się powietrzna sylfka, która ich śledziła. W tym momencie sylfka zniknęła, a on się odprężył. Spojrzał na Solie. Była bezpieczna na tyle, na ile mógł jej to zapewnić. Tak powinno być. Pragnął jej fizycznie, lecz nad pożądaniem przeważała głęboka potrzeba zapewnienia jej bezpieczeństwa oraz świadomość, że jego królowa daje mu wybór, nie tylko rozkazuje. Nie bardzo wiedział, jak sobie z tym radzić, ale czuł, że taki układ mu się podoba... prawie tak, jak ten pocałunek, i że będzie szczęśliwy, jak długo królowa pozwoli mu przebywać u swego boku.

Kilka godzin później, kiedy słońce zaczęło zniżać się nad horyzontem, usłyszał pukanie do drzwi. Chole podszedł do nich i otworzył. Hejty wyjrzał przez okno i na dole zobaczył czerwonowłosego mężczyznę. Sylf warknął, bo natychmiast go rozpoznał. Obok niego stał jakiś grubas.

Solie nadal spała. Popatrzył na nią i się zamyślił. Kiedy posłała go po ubrania, zabroniła mu zabijać, ale nie powiedziała, że tak ma być zawsze. Nie pozwoliła mu krzywdzić swojego ojca, ale nie wydała takiego rozkazu. To na pewno oznaczało, że decyzja należy do niego.

Postanowił tak wystraszyć tego człowieka, żeby zostawił jego królową w spokoju. Ruszył w kierunku schodów z paskudnym uśmiechem na wargach.

ROZDZIAŁ 6

Przed wyjazdem z miasta Leon wstąpił do domu, żeby przygotować się do długiej podróży. Zajechał pod niewielką przydomową stajnię i zsiadł z konia, odsuwając Rila od stajennego, który z niej wyszedł, żeby zająć się wierzchowcem. Ril spojrział na niego wściekle, ale stajenny, przyzwyczajony do emanującej z niego nienawiści, skłonił się im obu, zanim jastrząb przeskoczył na ramię Leona. Ruszyli w stronę domu.

Dworek stał na wąskiej i długiej działce w środku miasta, otoczonej wysokim kamiennym murem. Sam budynek też był z kamienia; brzydki, kwadratowy, bardzo stary klocek. Zbudował go jeden z przodków żony Leona. Jego przodkowie zazwyczaj nie mieli grosza przy duszy. Leon kochał to miejsce. Swoją dom.

Po drodze zastanawiał się, co wziąć ze sobą i gdzie szukać tej dziewczyny. Niewiele o niej wiedział, ale nie mogła przecież pochodzić z daleka, a wojowniczy sylf na pewno zwracał powszechną uwagę. Znajdzie ją bez trudu. Problem stanowi jej wojownik.

Drzwi dworku otworzyły się przed nim i wypadła z nich trójka dziewcząt w wieku od trzech do dwunastu lat; przywitały go i Rila głośnym krzykiem. Leon nie miał wątpliwości, że Ril niemal wszystkich i zawsze nienawidził. Nie cieszyło go to, ale nie był też tak o niego zazdrosny, żeby odmówić córkom przyjaźni z wojowniczym sylfem. Jastrząb poruszył się na jego ramieniu, rozkładając skrzydła. Leon się zaśmiał. - Idź do nich.

Ptak natychmiast podleciał do dziewcząt. Fruwał wokół nich, a one chwyciły się za ręce i ze śmiechem tańczyły. W końcu wylądował na ramieniu najstarszej, cicho gruchając. Cała trójka zaczęła go głaskać po grzbiecie i skrzydłach.

- A mnie nikt nie przytuli? - spytał Leon. Dziewczynki zachichotały. Dwie podbiegły, żeby go objąć, a dwunastolatka podeszła do ojca z wielką ostrożnością, żeby nie stracić Rila. Przytuliły się do niego i Leon, uradowany, pozwolił się prowadzić do domu.

Czekała tam jego żona, Betha. Uśmiechnęła się do niego i pogładziła po głowie ptaka, którego najstarsza córka podsunęła jej pod rękę.

- Nie wiedziałam, kiedy wrócisz - mruknęła i pocałowała męża.

- Obawiam się, że nie zostanę długo.

Pomyślał o tej dziewczynie z wojowniczym sylfem. Dom był sanktuarium. Ril nigdy tu nie emanował nienawiścią. Żadna z dziewczynek ani razu się przez niego nie popłakała. Leon miał tu spokój, którego bardzo teraz potrzebował, świadom, że czeka go trudne zadanie.

- Musisz znowu gdzieś jechać? - spytała Betha, marszcząc brwi.

- Niestety. Osobisty rozkaz króla.

Odwrócił się i położył dłoń na ramieniu najstarszej córki.

- Słuchaj, Lizzy, Ril potrzebuje solidnej rozrywki. Dacie radę?

- Tak jest, generale! - zawołała, salutując.

Jej młodsze siostrzyczki wybuchnęły śmiechem i cała trójka wybiegła z pokoju, zabierając ze sobą Rila. Leon odprowadził je wzrokiem i pokręcił głową. Dziewczyna z wojowniczym sylfem...

- Czasem zastanawiam się, czy według Rila jego panem jestem ja, czy te sroki - mruknął. - Gdyby wybrał jedną z nich, nie musiałbym się martwić o natrętnych chłopaków.

Na razie nie miał jeszcze takich zmartwień. A kiedy się pojawią, wystarczy, że wyjdzie zalotnikom na spotkanie z wojowniczym sylfem na ramieniu. To powinno ich przestraszyć. Albo przekreślić szanse córek na małżeństwo, pomyślał z żalem.

- Lizzy już się o niego dopytywała - odezwała się Betha, kładąc mu dłoń na piersi. - Ale to kwestia bardzo odległej przyszłości, prawda?

- Odległej? - Uśmiechnął się.

- Bardzo, bardzo odległej. Co najmniej o sześć dziesiątków lat.

- Tak jest, proszę pani - odparł, potem objął ją i ruszyli w stronę sypialni. Od dawna nauczyli się korzystać z każdej sprzyjającej chwili.

Ril rozluźnił się, uznając, że jest w domu. Owinięty w dziecięce ubranko i ułożony na plecach, lekko łąpał pazurami palce Cary, bo nie chciał, żeby mu wsadziła do dzioba drewniany smoczek. Trzyletnia Nali, ssąc kciuk, ciągnęła go za ogon, a z kołyski odzywało się niemowlę, dopraszając się zainteresowana.

- Zostaw go, Nali! - Lizzy upomniała siostrę i odciągnęła ją na bok. Mała zaczęła płakać, a niemowlak jej zawtórował. Cara zachichotała i zamiast wtykać Rilowi smoczek do dzioba, zaczęła nim w niego rzucać.

- Cara! - zdenerwowała się Lizzy. - Nie wygłupiaj się, podła.

Ril, zamknięty w ciele ptaka na rozkaz swego pana, zatrzepotał skrzydłami i zaczął śpiewać.

Dziewczęta momentalnie zamilkły i patrzyły na niego z podziwem. Zabroniono mu mówić, podobnie jak innym sylfom. Zabroniono też zmieniać kształt, ale nikt nie wspominał o śpiewaniu. Leon nie miał pojęcia, że on to umie. Ril śpiewał tylko dla dziewczynek, kiedy jego pan z żoną gdzieś sobie poszli. Kiedy urodziła się Lizzy, Ril był ogarnięty obłędem. Bez przerwy powracało do niego straszne wspomnienie: jego pan

mordujący jego królową, dziewczynę o okrągłej, piegowatej twarzy, na której malowało się przerażenie. Nigdy by nie odzyskał zdrowych zmysłów, gdyby nie to dziecko. Głęboko przeżył bóle porodowe Bethy i jej krzyki, które rozlegały się echem w korytarzu, gdzie kazali mu czekać. Wpadł do pokoju, w którym rodziła Betha, gotów zamordować każdego, kto chciałby wyrządzić krzywdę jedynej kobiecie w tym domu. Leon nawet nie zdawał sobie spraw, co sylf przeżywa. Akurat w tym momencie urodziła się Lizzy.

Zobaczył, jak przychodzi na świat przez cielesną bramę, podobnie jak on, i zupełnie stracił dla niej głowę. Uratowała go i od tej pory, kiedy tylko mógł, nie odstępował na krok ani jej, ani jej sióstr. Jego pan okazał mu serce, pozwalając trwać przy żonie podczas wszystkich porodów i bawić się z dziewczynkami. Ril wciąż zadawał sobie pytanie, czy naprawdę nienawidzi tego człowieka, ale za każdym razem, kiedy kusiło go, żeby mu wybaczyć ze względu na córki, powracało wspomnienie piegowatej twarzy. A jednak był mu wdzięczny.

Teraz śpiewał dziewczętom pieśni, które pamiętał z czasów, kiedy żył po drugiej stronie wrót, zanim skusiła go bliskość królowej. Śpiewał też o niej, o królowej, która go opuściła, choć się w niej zakochał. Carze i Nali zaczęły zamykać się oczy przy tej kołysance. Niemowlę, maleńka Ralad, usnęło. Tylko Lizzy przytomnie spoglądała na niego ciepłym wzrokiem.

Kiedy zasnęły, zdjęła mu ubranko.

- One są głupie - szepnęła.

Wcale tak nie myślał.

Podniosła go i zabrała w róg pokoju, który uważała za własny kącik. Otworzyła skrzynię z zabawkami i wyjęła klocki z literami, ich największy sekret. Rozejrzała się czujnie i wysypała je na dywan, cicho, żeby nie pobudzić sióstr.

Podszedł do klocków, popatrzył na nie, znalazł odpowiednie i ułożył je obok siebie dziobem, jeden po drugim.

Lizy spojrzała na napis.

- Kocham... cię - przeczytała. - Ojej, ja też cię kocham! -szepnęła, ucałowała go w głowę i poczochnęła pióra. Sięgnął po kolejne klocki. Na tym polegała ich wspólna tajemnica: mógł rozmawiać z Lizy w sekrecie przed jej ojcem. „Zostaniesz moją królową?”, napisał.

- Zawsze mnie o to prosisz - zaśmiała się. Złapała go za dziób i pokotyłała nim na boki. - Oczywiście, że tak!

Westchnął i zakłapał. Wiedział, że zbyt często to powtarza, ale był taki szczęśliwy, gdy słyszał wciąż tę samą odpowiedź. Jej ojciec zabił jego pierwszą królową, lecz Lizy należała do Rila od chwili narodzin. Po raz pierwszy zadał jej to pytanie, kiedy tylko nauczyła go zabawy w klocki, a ona odpowiedziała twierdząco. Pewnego dnia naprawdę zostanie jego królową, a on wiecznie będzie ją kochał. Najpierw jednak musi umrzeć jej ojciec. Wtedy oboje będą wolni.

Airi unosiła się wysoko na wietrze; leciała do swojego pana; prowadziła ją nieomylna świadomość jego obecności. Po raz pierwszy oddaliła się od Devona na tak długo, mimo to odnalazła go bez kłopotu. Siedział w swojej kwaterze w koszarach, gdzie mieszkali kawalerowie panujący nad sylfami, i ostrzył nóż. Wleciała przez otwarte okno, a on uśmiechnął się z ulgą.

- Airi! Wróciłaś!

Witaj, szepnęła w jego umyśle, otoczyła go powiewem, dmuchnęła na kłaczki kurzu na podłodze i utworzyła z nich twarz. Devon nie lubił sprzątać.

- Cieszę się, że już jesteś - powiedział. - Niepokoiłem się o ciebie. Co się działo?

Wojownik zabrał ją do gorących źródeł w dolinie, a potem do wsi na południe od nas. Tej, gdzie ty się urodziłaś. Devon drgnął, zaskoczony.

Są w domu mojego dawnego pana, na skraju wsi.

- Co takiego? Mieszkają u ojca?

Przerażony, zacisnął palce na rękojeści noża. Airi westchnęła, doskonale wiedząc, co to oznacza. Devon nigdy by się do tego sam nie przyznał, ale zawsze spieszył z pomocą słabszym. Donal Chole był słaby i stary, lecz wojowniczy sylf i tak uzna go za zagrożenie. Airi też to niepokoiło, choć z innych powodów. Jak długo wojownik będzie sam ze swoją królową, nie wydarzy się nic złego. Ale jeśli ktoś zagrozi jemu - albo, co gorsza, jej - z wioski pozostanie tylko dymiący krater. Donal pracował wśród wojowniczych sylfów, więc wiedział, że nie należy ich drażnić. Musiał jednak zdawać sobie sprawę, kto mieszka w jego domu. Tym razem mógł tego nie wiedzieć, stwierdziła. To przesądziło sprawę.

- Jedziemy tam - zdecydował Devon. Wstał i złapał worek podróżny.

Chcesz walczyć z wojowniczym sylfem?! Omal się nie zakrztusił.

- Na bogów, nie! Chcę się tylko upewnić, że ojcu nic się nie stało.

Chwycił miecz i przypasał go do boku.

- Mam trochę wolnego. Chodźmy wynająć konia.

Airi mogłaby go ponieść w razie potrzeby, ale powietrzne podróże przerażały go, a ona z trudem znajdowała na nie siły. Prosił o to tylko w wyjątkowo trudnych sytuacjach.

Najpierw poszedł zawiadomić przełożonych, że wyjeżdża. Frunęła za nim, a w przestronnej sali tańczyła wokół innych sylfów, porozumiewając się z nimi dotykiem i ruchem, bo przecież nie wolno im było mówić. Jednak po wielu wiekach niewolnictwa wypracowały swoje sposoby na obchodzenie narzuconych im zasad. Porozmawiała ze znajomymi ze swojego roju i nie tylko, a potem poleciała za swoim pa-

nem na dwór i razem ruszyli główną drogą prowadzącą na wschód, a potem na północ. Leon wyniósł na dwór juki; na plecach miał miecz i łuk. W towarzystwie Rila właściwie nie potrzebował broni, ale wołał nie ryzykować.

Ptak siedział na ramieniu Lizzy i gładził dziobem jej włosy. Zapłakana dziewczynka popatrzyła na ojca.

- Tato, naprawdę musisz jechać tak szybko? - zapytała. Jej siostry zostały w domu, bo podniosły taki lament, że

Leon nie mógł z nimi wytrzymać. Ucałował je i ucisnął, ale nie udało mu się ich tym uciszyć.

Betha położyła dłoń na ramieniu najstarszej córki i pokręciła głową.

- Wiesz, że muszę - odparł smutno, przywiązując juki. -Przestań się mazać.

- Ale...

- Mówię serio, bo inaczej... - ostrzegł i podszedł do niej, aby wziąć Rila z jej ramienia.

Sylf zamierzył się na niego dziobem i Leon cofnął dłoń, klnąc pod nosem.

- Ril! Spokój!

Ptak zasyczał, ale pozwolił się zabrać. Leon zastanawiał się, czy powinien pozwalać mu na zabawy z córkami. Stawał się coraz bardziej agresywny, kiedy go od nich zabierano. Ale kiedy zobaczył mokrą od łez twarzyczkę Lizzy, natychmiast zmiękł. Nigdy by mu tego nie wybaczyła.

- Niedługo wrócę - obiecał jej, a potem ucałował Be-thę. - Mam nadzieję, że już za kilka dni.

Odwrócił się, wsiadł na konia i przejechał przez bramę, machając ręką do żony. Odpowiedziała skinieniem dłoni.

Lizzy biegła przy koniu aż do granicy ich działki, ale potem Leon ruszył galopem. Gdy tylko wyjechał z domu, poczuł na sobie spojrzenie Rila i jego nienawiść, oślepiającą,

okrutną pogardę. Czasem była nieco słabsza, a czasem, gdy znaleźli się sami w lesie, znikła zupełnie. Leonowi wydawało się, że odczuwa wtedy inne emocje sylfa. Teraz jednak była tylko nienawiść - ostra i przeszywająca jak zawsze.

Koń zarżał ze strachu i wierzgnął. Leon westchnął ze znużeniem.

- Dzięki, Ril - mruknął. - Miło widzieć cię znowu.

Hejty zszedł ze strychu, przysłuchując się męskim głosom na zewnątrz. Pan Chole mówił właśnie, że Solie nie ma, ale nie umiał kłamać. Jąkał się strasznie. Hejty stanął za jego plecami. Starzec jęknął i odskoczył. Wpadł na ścianę i omal nie upadł.

Hejty nawet na niego nie spojrział; skupił się na tamtych dwóch. Ojciec Solie był nieco wyższy od niego; na łysiejącej głowie lśniły resztki rudych włosów. Drugi mężczyzna, prawie w wieku swojego towarzysza, był jeszcze wyższy, ale bardzo gruby; na jego twarzy malowała się wrogość.

- Idźcie stąd - warknął Hejty, ukrywając swoją aurę, by nie obudzić królowej. Na razie nie było takiej potrzeby.

- Ty - burknął jej ojciec i wskazał go palcem. - Byłeś z moją córką. Gdzie ona jest?

Grubas rozdziawił usta.

- Ona ma kochanka? Nie po to zapłaciłem takie pieniądze, by brać sobie dziewczuchę z gachem!

- Nie ma - zapewnił go gorączkowo ojciec. - Nigdy by czegoś takiego nie zrobiła. To dobra dziewczyna.

Rzucił Hejty'emu nienawistne spojrzenie.

- Ktoś ty, u diabła?

Hejty warknął. Był dumny ze swego imienia, ale ci ludzie go drażnili, więc go im nie zdradził. Poza tym nie mieli prawa przychodzić po jego królową.

- Idźcie sobie. Solie należy do mnie.

Na obu twarzach pojawił się identyczny wyraz osłupienia. Rozśmieszyłby pewnie Hejty'ego, gdyby był w nastroju do

żartów. Kusilo go, aby przybrać prawdziwą postać i uderzyć w nich falą nienawiści, nastroszyć się tak, jak ptaki stroszą pióra, by przegonić rywali. Ich żalostną wrogością nawet by się nie pożywił. Ale królowa jeszcze spała. Nie chciał jej budzić.

- Ty... - zaczął jej ojciec, czerwony ze złości. - Ty parszywy mały...

- Nie ró b tego - szepnął Chole, blady jak śmierć. Odsunął się od ściany, trzymając się za serce. - Nie prowokuj go. To wojowniczy sylf.

Grubas zaskrzeczał coś, nie rozumiejąc ani słowa, a ojciec tylko sucho się zaśmiał.

- To jakiś chory dowcip!

- Skądże - zapewnił Chole. - Czulem jego nienawiść. Przez długie lata pracowałem z powietrznym sylfem. Wiele razy wyczuwałem sylfy wojownicze. Solie kazała mu zachowywać się grzecznie, ale ja i tak wiedziałem, co się dzieje. To prawdziwy wojownik.

- Niemożliwe - warknął ojciec. - Skąd moja córka wzięłaby sobie wojowniczego sylfa?

- Nie wiem - wycharczał Chole. - Ale błagam, nie drażnijcie go.

- Sami - mruknął grubas do ojca Solie. - To jakaś bujda.

- Kłamie! - wrzasnął Sami. - To żaden sylf, tylko jakiś przybłęda, który się koło niej kręci. Idę na górę i wyciągnę ją stamtąd za włosy. W domu się policzymy. Pożałuje swojego nieposłuszeństwa!

Chciał wyminąć Hejty'ego. Pchnął go silną chłopską ręką i zdziwił się, że chłopak nawet nie drgnął. Sami zatrzymał i zbladł.

Tego już za wiele, stanowczo za wiele. On grozi królowej? Wszystkie instynkty sylfa zapłonęły i buchnął gniewem; w jednej chwili otoczyła ich aura nienawiści. Pomniejsze sylfy wiedziałyby, że czas brać nogi za pas. Wojownicy

przygotowaliby się do krwawej rozprawy. Dla tych, którzy mieli imiona, byłby to bój na śmierć i życie. Całe roje potrafiły walczyć ze sobą z powodu wybuchu gniewu jednego z wojowników, chyba że zabroniła im tego królowa.

Jego oczy zmieniły kolor z szaroniebieskiego, który tak podobał się Solie, na płonącą czerwień, typową dla wojowników. Hejty usłyszał jęk staruszka, który przebiegł obok Sarnia i dołączył do umykającego narzeczonego, ale ojciec Solie wciąż gapił się na niego jak wrośnięty w ziemię. Hejty znów warknął, z ust strzelały mu błyskawice.

- Trzymaj. Się. Z dala. Od. Mojej. Królowej. Dopiero wtedy Sami wrzasnął. Chciał wybiec z drzwi, lecz potknął się o próg i wylądował w piachu. Spojrzał przerażony na Hejty'ego, który właśnie zmieniał postać. Sylf rzucił się na niego, już jako dym i pioruny, a jego aura rozpostarła się na całą okolicę. Nagle stał się wielki jak dom, strasząc się i rozpościerając skrzydła. Jego głos huczał nad wsią; małe ludziki krzyczały ze strachu. Ten teren należy do niego - nic i nikt mu go nie odbierze! Ryknął i ten ryk poniósł się echem przez dolinę i odległe wzgórza.

Inne wojownicze sylfy odpowiedziały mu, rzucając wyzwania. Wrota! Nagle przypomniał sobie o nich. Przy wrotach mieszkały inne sylfy, samce dużo starsze od niego. Ale wrota były dość daleko. Załatwi to w parę minut, jeśli się pośpieszy. Potem zabierze królową i ucieknie, zanim pobratymcy uznają, że wyzwanie dotyczy ich osobiście.

Pochylił się nad Samlem i rozdziawił pełną kłów, ognistą paszczę, większą niż caty przeciwnik.

- Solie jest moja! - ryknął.

Człowiek już się nie ciskał, nie wściekał, lecz panikował... ale mimo wszystko lepiej go unicestwić. Solie nie musiałyby się nim wtedy przejmować. Otworzył szerzej paszczę, zamierzając go pożreć, ale w tym momencie ktoś dotknął skraju jego aury, co kazało mu zamigotać i z powrotem przybrać

ludzką postać, odzianą w tunikę, którą pochłonał podczas poprzedniej przemiany.

Za nim stała rozdygotana Solie; przytulała się do jego pleców i obejmowała go ramionami. Odwrócił się do niej, przymknął oczy i natychmiast się uspokoił. Czując jej zapach, zamruczał, zmuszając się, by pamiętać o wojowniczych sylfach, które mogą się tu zaraz pojawić, i o swoim braku doświadczenia - to mogło się dla niego źle skończyć.

- Hejty, nie rób krzywdy mojemu ojcu. Proszę cię. Jej zawsze by posłuchał. Oparł dłonie na biodrach.

- Tak jest, królowo.

Objęła go i cały gniew gdzieś wyparował. Jego aura opadła, a wraz z nią napięcie, które do tej pory przenikało całą wioskę.

- S-Solie?

Warknął, opuścił głowę i syknął na jej ojca - leżał nieruchomo tam, gdzie upadł, a twarz miał szarą jak popiół. Chole i grubas gdzieś zniknęli, choć wokół nich, w rozsądnej odległości, stali mieszkańcy wsi, uzbrojeni w to, co wpadło im w rękę. Gdy na nich warknął, zaczęli się cofać.

- Hejty - skarciła go. - Przestań.

Na moment rozluźniła uścisk, a potem objęła go mocniej.

- Odejdź, ojcie - poprosiła cicho. - Nie chcę, żeby Hejty cię skrzywdził.

- Ale... ale... - zająknął się.

Wciąż obejmowała Hejty'ego, przytulając się do niego z całej siły. Przymknął oczy i odprężył się pod jej dotykiem. Zapach królowej upajał go jak wino.

- On nic mi nie robi - powiedziała do ojca. - Uratował mi życie.

Hejty zorientował się, że Sami znalazł w sobie resztki odwagi. Może dlatego, że Solie przytrzymała swojego sylfa. Nie podobało mu się to, choć cieszył się jej bliskością i pragnął jej gorąco. Wziąłby ją tu i teraz, gdyby tylko

na to pozwoliła, i niech piekło pochłonie innych wojowników.

- Ale Solie, rodzice tak cię kochają!

- Nie chcę wychodzić za Falthersa, tato. Wiem, że ułożyłeś to małżeństwo, ale ja sobie go nie życzę - przerwała. - Poza tym Hejty zabiłby każdego mężczyznę, który by się do mnie zbliżył.

Na potwierdzenie jej słów Hejty uraczył Sarnia wyjątkowo wrednym uśmiechem. Ojciec Solie zadrżał, zrozumiał, że przegrał, i niezgrabnie odpełznął do tyłu, pozostawiając w progu córkę, która obejmowała wojowniczego sylfa i wtulała twarz w jego plecy. Hejty widział żal w jego oczach, ale nie dbał o to: wystarczyło mu, że stary odpuścił. Sami wstał i pobiegł przed siebie, ku stojącym w kręgu wieśniakom, którzy z niepewnymi minami wpatrywali się w ziemię, trzymając w dłoniach bezużyteczną broń. - Hejty - powiedziała Solie. - Ja... Ledwie zdążył dostrzec, że z góry spada na nich błysk skoncentrowanej energii. Nie zauważyłby go, gdyby nie spodziewał się czegoś takiego; a królowa go rozproszyła. Odwrócił się błyskawicznie, otoczył ją ramionami i osłonił przed pikującym wojowniczym sylfem w postaci jastrzębia. Domek eksplodował.

ROZDZIAŁ 7

Devon kłusował na wynajętym koniu. Kiedy wyjechali z miasta, zmusił go do spokojnego galopu, by zwierzę mogło biec przez dłuższy czas. Już kiedyś jeździł na tym karo-gniadym wałachu z białą łatą na nosie. Wiedział, że jest zdrowy i łagodny. Koń też był do niego przyzwyczajony

i galopował wesoło, z uszami nastawionymi do przodu. Pysk mu stwardniał po latach prowadzenia przez niewprawnych jeźdźców, ale wierzchowiec dobrze reagował na wędzidło i miał miękki krok. Airi leciała nad głową Devona, wichrząc mu włosy. W ten sposób okazywała uczucie. Próbował się wyciszyć. Szybciej i tak się nie da. Ojcu na pewno nic się nie stało. Prawdopodobnie dawno już zrobił to, do czego chciał go przekonać syn - złapał buty, płaszcz i zwiął, gdzie pieprz rośnie. Może nawet spotkają się na drodze do miasta. Ta myśl trochę go uspokoiła.

Trochę. Do wsi było ponad dwadzieścia kilometrów.

Usiadł wygodnie w siodle i starał się nie myśleć o tym, co się tam mogło wydarzyć. Zbyt wiele dziwnych rzeczy działo się ostatnio: dziewczyna z wojowniczym sylfem, dwóch wojowników wysłanych do walki z piratami, którzy odważyli się napaść na królewskie statki, pogłoski o śmierci następcy tronu. Nikt nic nie wiedział. A przynajmniej nic na pewno. Devon podejrzewał, że gdyby zaczęło krążyć jeszcze więcej plotek, nie dostałby urlopu. Powiadano nawet, że do zamku wezwano wszystkie wojownicze sylfy z całego królestwa! Ale tak zawsze gadano, tymczasem generałowie ze swymi wojownikami większość czasu spędzali w twierdzach i król nigdy nie wzywał ich jednocześnie. Te stworzenia potrafiły wyrządzić zbyt wiele szkód. Devon tylko raz widział magię wojowniczych sylfów w działaniu, a to była ledwie próba. Tego pagórka już nie ma. Ani przykutych do niego więźniów.

Teraz miał znaleźć się blisko wojowniczego sylfa, to była rzeczywistość, nie plotka. Wziął głęboki oddech, aby zapanować nad nerwami. Już czuł aurę nienawiści, niszczącej jego siły.

Airi nagle przestała igrać z jego włosami i przybrała postawę obronną. Obejrzał się. Drogą galopował jakiś jeździec; jego wielki siwek był o wiele szybszy od gniadego. Devon z przerażeniem rozpoznał Leona Petrule'a, dowódcę królewskiej

straży i mistrza wojowniczych sylfów. Trzymał ramię wysoko jak sokolnik, a Ril bez trudu utrzymywał się na nim, mimo podskoków konia. Sylf zmierzył Devona wściekłym spojrzeniem, a on skrzywił się, choć wiedział, czego się spodziewać.

Leon dopędził go i zwolnił, dostosowując się do jego prędkości. Siwek przez chwilę walczył z przytrzymującym go wędzidłem. Mistrz sylfów spojrział z góry na Devona, który poczuł, że powinien jakoś usprawiedliwić swoją obecność na tej drodze. Nie wątpił, że Petrule go rozpoznał. Airi unosiła się tuż nad nim, gotowa go pochwycić i uciekać. Pod warunkiem że uprzedzi wojowniczego sylfa.

Ptaka popatrzył na nią, a potem znowu wbił wzrok w Devona.

- Dobry wieczór, milordzie Petrule - wykrztusił w końcu. - Ładny wieczór na przejażdżkę.

- Trochę późno. Zawsze wyjeżdżasz na spacer tuż przed zachodem słońca?

Devon przełknął ślinę, próbując zachowywać się normalnie. Uratować mogło go tylko to, że w obecności Rila wszyscy mężczyźni stawali się nerwowi i ptak do tego przywykł.

- Jadę z wizytą do ojca - wyjął, co tylko po części było kłamstwem. - Źle się poczuł.

- Przykro mi.

Mistrz sylfów wbił wzrok w drogę. Ril syknął, bo koń go podrzucił, i aura nienawiści jeszcze bardziej zgęstniała. Jak Petrule sobie z tym radził i nie tracił zdrowych zmysłów? - przemknęło przez myśl Devonowi.

- A ty, milordzie? - spytał, przerażony własną odwagą. Mistrz wojowników zerknął na niego z ukosa. Devon

usiłował zachować kamienną twarz.

- Szukam kogoś - odpowiedział cicho królewski strażnik. Devonowi zrobiło się niedobrze. Doskonale wiedział,

kogo szuka ten człowiek. Co się stanie, jeśli ją odnajdzie? Devon popatrzył na Rila i spróbował sobie wyobrazić walczące wojownicze sylfy. Nie udało mu się.

- Ty też źle wyglądasz - zauważył Leon.
- To przez twojego sylfa, panie. On budzi lęk.
- To prawda. - Leon spojrział na jastrzębia z sympatią, choć trudno było w to uwierzyć. - Życie z powietrznym sylfem musi być dużo łatwiejsze.
- Tak, milordzie - wykrztusił Devon i poczuł, jak Airi tańczy nad nim.
- Łatwiejsze, nie łatwiejsze, wojownicze sylfy są warte każdej ceny - stwierdził Petrule.
- Tak, milordzie. - Devon nie znalazł innej odpowiedzi. Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Do zmierzchu

pozostała jeszcze godzina, ale słońce wisiało już nisko nad horyzontem. Devon zastanawiał się, dlaczego Leon wciąż jedzie obok niego, i w końcu uznał, że dla towarzystwa. Albo poznał się na kłamstwie.

Wreszcie zamajaczyły przed nimi rozstaje. Zebrał się na odwagę.

- Skręcam tutaj, milordzie - powiedział. - Wioska ojca leży po tamtej stronie.

Leon skinął głową.

- Pojadę razem z tobą. Taka sama dobra droga, jak każda inna.

- Tak, milordzie - odparł Devon, przygnębiony.

Na skrzyżowaniu skręcili i jechali po trawie, aby nie trząść się w koleinach, wyżłobionych przez setki wozów, które podróżowały tędy od wielu lat. Kiedy znów znaleźli się na równym północnym trakcie, ponaglili konie, galopując obok siebie. Robiło się coraz zimniej. Devon otulił się płaszczem.

- Znasz jakieś dziewczęta z tej wioski? - spytał nagle Leon. - Na przykład taką rudowłosą, która zawsze nosi zieloną spinkę z motylem?

Pokazał mu ozdobę na wyciągniętej dłoni.

Devon rozpoznał ją natychmiast i zaschło mu w gardle.

- E...

Nagle rozległ się ryk. Oba konie zarżały i stanęły dęba. Devon z trudem odzyskał panowanie nad gniadym - a także nad sobą, bo dotarła do niego fala obezwładniającej nienawiści, gdy czyjś głęboki głos krzyknął: „Solie jest moja!” Krzyk poniósł się echem po okolicy. Ril napiął się jak struna, rozpostarł skrzydła i nagle on także krzyknął, kierując strumień nienawiści tam, skąd dochodził głos. Siwek znowu stanął dęba. Leon zaklął i ściągnął uzdę jedną ręką, a drugą uniósł wysoko.

- Ril! Atak! - rozkazał.

Kiedy gwałtownie opuścił rękę, jastrząb poszybował w niebo jak strzała. Leciał w stronę wsi i po chwili zniknął w chmurach.

Devon wrzasnął, szarpnął wodze gniadego i zmusił go do szaleńczego cwału w kierunku ojcowskiego domu. Kopyta zatętniły po trawie.

Pół sekundy później minął go królewski strażnik, nisko pochylony nad szyją siwka. Devon uderzył konia piętami, starając się go dogonić. Airi zawyła ze strachu, śmigając u jego boku.

Solie krzyknęła z przerażenia, gdy świat eksplodował i wokół niej zatańczyły płomienie, choć Hejty opiekuńczo otoczył ją sobą. Na chwilę zatonęła w jego ciepłe i mroku. Słyszała tylko ryk i czuła moc nienawiści. Czuła też, że Hejty ją chroni; wiedziała, że on się boi. Coś uderzyło go tak mocno, że zadrżał. Nagłe uświadomiła sobie, że chroniąc ją, sylf nie może walczyć.

Hejty także to zrozumiał. Błyskawicznie przybrał ludzką postać, spowitą chmurą czerni jak eterycznymi skrzydłami, i odrzucił ją daleko od siebie. Jęknęła, spadając na ziemię, rozejrzała się. Domek płonął, a na środku alejki ziała głęboka dziura. Hejty stał tyłem do niej, w kręgu dymu i ognia.

Coś błysnęło na niebie. W powietrzu zaślnęły pióra ptaka, który śmignął w dół ku nim, podkulając szpony i składając skrzydła. Za cel obrał Hejty'ego, a przed nim pędziła niewidzialna fala, niszcząc wszystko po drodze.

Hejty skrzyżował ramiona i zatrzymał tę siłę; powietrze jęknęło i zadygotało. Ptak śmignął obok, wyrównał lot, a Hejty odwrócił się do niego i zmienił postać. Potężne czarne szpony zamknęły się tuż za ptasim ogonem. Jastrząb umknął i wzbił się w niebo, by znowu zaatakować.

Przerażona Solie poderwała się z ziemi. Wszyscy znali wojownicze sylfy z zamku. Ril był zamknięty w postaci ptaka; w odróżnieniu od niego, Hejty mógł zmieniać kształt; teraz z gromkim okrzykiem wyskoczył w powietrze. Ptak i czarna chmura wznieśli się wysoko, wysoko i zniknęli jej z oczu. Czują jednak ich nienawiść, nieprzepartą, wielką odrazę.

- Hejty! - krzyknęła ze strachu o niego. Nawet jeśli usłyszał, nie odpowiedział.

Oba sylfy pojawiły się znowu, szczepione w uścisku; jego moc spadła na wioskę i powaliła jego mieszkańców. Chwilę później powietrzem wstrząsnął potężny huk, który zagłuszył okrzyki przerażenia. Ludzie i zwierzęta rozbiegli się na wszystkie strony, ale nie mieli dokąd uciekać, bo walka toczyła się nad całą wsią, a błyskawice strzelały wszędzie. Jedna spaliła na popiół jakiś sklepik, druga trafiła w sad, w którym Solie i Hejty wylądowali tak niedawno.

Hejty rzucił się na drugiego sylfa, smagając go swoją energią, ale ptak uskakiwał przed atakami, zataczał kręgi oraz pętle i próbował dopaść go od tyłu. Hejty robił wszystko, żeby mu sprostać. Nie rozumiał, dlaczego wróg, o wiele przecież starszy, nie zmienia postaci. W końcu dotarło do niego, że on tego nie potrafi, i poczuł przyływ sił. W tej walce będzie miał przewagę. Kilka minut później stało się

jasne, że niewielką. Jego przeciwnik wprawdzie był tylko ptakiem, ale poruszał się zbyt szybko, żeby go trafić. Uskakiwał przed ciosami; konsekwencje ponosiły wioska i cała okolica. Połowa budynków stanęła w płomieniach, ludzie i zwierzęta uciekali, a ci, którym to się nie udało, leżeli nieruchomo na ziemi.

Hejty poczuł gniew, wstyd i wielki strach, że któraś z błyskawic trafi Solie. Ale drugi sylf nie celował w nią, interesował go tylko Hejty. A więc Solie była względnie bezpieczna. Czuł jej lęk, lecz nie ból. Wiedziałby, gdyby była ranna. Gdyby umarła, straciłby z nią kontakt. Myśl o tym go przeraziła, więc podwoił wysiłki, starając się unikać bezsensownych, chybionych ataków, które go wyczerpywały. Rzucił się do przodu, dążąc do bezpośredniej konfrontacji - i krzyknął, gdy ptak rozdarł pazurami jego ochronny płaszcz.

Nagle zrozumiał, że przegrywa. Rozpaczliwie zaczął szukać królowej. Musieli uciekać.

Leon wpadł galopem do wsi, przytulony do szyi konia. Kłął jak szewc. Wszystko zostało zniszczone; stwory zmagające się na niebie wyraźnie nie dbały o cywilów.

Wojownicze sylfy walczyły ze sobą niezwykle rzadko, a już na pewno nie w taki sposób. Mieszkały we wszystkich królestwach, ale wykorzystywano je najczęściej wyłącznie jako argument przeciwko wojnie albo inwazji. Pojedyńki między nimi były bardzo sformalizowane, każdy pozostawał przez cały czas pod ścisłą kontrolą.

Na północ od wioski rozciągał się szeroki, pustynny łąowy Płaskowyż, prawie tak wielki jak Eferem; w wyniku konfliktu między wojowniczymi sylfami kilka wieków temu życie przestało tam istnieć, wojownicy zostawili po sobie tylko kamienie i piasek, ścierając z powierzchni ziemi królestwo, które niegdyś istniało między Eferem a Para Dubh. Leon czasem polował z Rilem na rabusiów i piratów na tyle

głupich, by napadać na jego królestwo, ale stoczył z nim tylko trzy pojedynki. Wszystkie wygrał. Ril pewnie myślał, że łatwo mu pójdzie, wyrzucał sobie Leon. Nowy sylf nie panował nad sobą, jego kształt migotał i zmieniał się podczas walki, podobnie jak jego energia. A wioska zapłaciła za to swoim istnieniem.

Leon przeskoczył nad pogruchotanym wozem i grupką rozdygotanych mieszkańców, którzy się za nim skryli. Ril nie zniszczyłby celowo całej wioski - nie wolno mu było powodować dodatkowych szkód - lecz nawet on mógł się pomylić. W tej walce powinien jednak zwyciężyć, zanim ten bandyta zniszczy absolutnie wszystko wokoło. Leon spostrzegł dziewczynę chwilę później, zamarłą w przerażeniu na środku ulicy, przed płonąłą chatą, z dłońmi przyciśniętymi do policzków. Patrzyła w niebo, a jej długie włosy rozwiewały się nienaturalnie. Nie panowała nad swoim sylfem. Nie ze swojej winy, ale...

Wyciągnął miecz i skierował ku niej wierzchowca. Król wydał jasny i prosty rozkaz: zabić dziewczynę i wygnać sylfa. To nie będzie trudne, przekonywał się w myśli. Przecież nie pierwszy raz zabiję dziewczynę z powodu wojowniczego sylfa.

Devon wpadł na przerażonym koniu do wioski; sam też sparaliżowany strachem. Airi przycisnęła się do jego pleców, lodowata z lęku.

Wioska leżała w ruinach, ludzie uciekali drogą. Rozglądał się za ojcem, ale nigdzie go nie dostrzegł. Objechał dookoła wóz - i zobaczył Leona, który z wyciągniętym mieczem galopował ku rudowłosej dziewczynie. Stała odwrócona tyłem. Devon znał ją, widywał ją nieraz, kiedy tu mieszkał, a ona przychodziła w odwiedziny do ciotki. Rozpoznał jej spinkę w dłoni dowódcy straży.

- Airi! - krzyknął, nie wiedząc, co zrobić.

Musiła odgadnąć jego zamiary. Błyskawicznie śmignęła zza jego pleców, jak migotliwa chmura, minęła jeźdźca

i otoczyła sobą dziewczynę. Rozjarzyła się, porwała krzyczącą Solie w niebo i poniosła ją do swojego pana.

Devon zamarł; widział, że Leon osadził konia na tylnych nogach i zawrócił, patrząc na niego z gniewem. Ale Airi już przy nim była. Ściągnęła go z siodła, przycisnęła z całej siły do krzyczącej dziewczyny i umknęła z nimi nad dachami domów, na tyle nisko, by nie dosięgły jej uderzenia walczących sylfów. Po chwili zniknęła.

Hejty poczuł nagłe przerażenie Solie i odwrócił się ku niej, zapominając o wszystkim. Leciała wśród chmur, w objęciach powietrznej sylfki - tej, która ich śledziła. Wtulona w jakiegoś mężczyznę, zniknęła w sąsiedniej dolinie. On ją porwał.

- Solie! - wrzasnął sylf.

Ril trafił go w plecy i przeleciał przez niego na wylot. Hejty jęknął i zaczął spadać. Przyjmując ludzką postać, przebił dach domku i wylądował w dziennym pokoju. Deski ugięły się pod nim. Zwymiotował krwią. Czuł okropny ból i gorycz porażki. Przeciwnik krążył nad chatą na tle nocnego nieba, krzycząc triumfalnie.

Umiera, śmiertelnie raniony. Solie, sama, bez ochrony, zginie z rozkazu królowej wrogiego sylfa.

Hejty'emu pozostała tylko jedna szansa, jaką mają wszystkie niedawno wyklute sylfy; bez niej nigdy nie przeżyłyby i nie dorosły, by służyć swojej królowej; odrzucił od siebie nienawiść, a wraz z nią także i swoją postać. Zamigotał i stał się nicością, a potem ukrył się z dala od realnego świata.

Wpatrując się w zbocze, za którym zniknęła dziewczyna, Leon, zamyślony, wyciągnął rękę.

- Ril - powiedział tylko.

Sylf wylądował i zaczął czyścić sobie pióra. Leon posadził go przed sobą i przesunął ręką po jego ciele, szukając ran.

Był zmierzwiony, ale nic mu się nie stało. Jego pan westchnął z ulgą. Ril zajęty piórami z ogona nie zwracał na niego uwagi, choć pozwalał mu się dotykać. Jego nienawiść osłabła.

- Świetna robota, Ril - pochwali! Leon, gładząc go po grzbiecie, gdy ptak karmił się jego energią. Czasem udawało mu się to wyczuć, zwłaszcza jeśli sylf jadł więcej niż zwykle. Teraz też poczuł dziwne łaskotanie na skórze. - Dobry Ril - szepnął.

Ril posłał w jego stronę celną falę nienawiści, usiadł wygodniej, nastroszył się i wsunął głowę pod skrzydło. Chwilę później spał.

Leon pozwolił mu na to. Wojownicze sylfy rzadko sypiały. Na palcach jednej ręki mógł policzyć, ile razy widział śpiącego Rila. Spochmurniał, odwrócił wzrok od ruin i znowu spojrział na zbocze, za którym zniknęła dziewczyna. Słońce już zaszło i prawie nic nie było widać, więc i jej by nie dostrzegł. Nie spodziewał się, że władca tej powietrznej sylfki okaże się na tyle odważny, żeby wywinąć taki numer. Ładne mi odwiedziny u tatusia!

Zawrócił konia i ruszył powoli, by nie budzić Rila. Nie wiedział, czy tamten sylf zginął. Nie mógł teraz zapytać o to swojego jastrzębia, ale z jego zachowania wywnioskował, że tak się stało. Ril nie zasnąłby przecież w obliczu niebezpieczeństwa.

W zrujnowanej wiosce połowa domów legła w gruzach. Ci, co przeżyli, spoglądali na niego z przerażeniem. Leon spochmurniał jeszcze bardziej. Czekają go długie godziny pracy, bo Devon zdradził przecież, że jego ojciec mieszka w tym miejscu. Ciekawe, czy to prawda. Jeśli tak, trzeba będzie sprawdzić, co wie ten stary.

ROZDZIAŁ 8

Jasar z jękiem stoczył się z kobiety, sapnął, kładąc się na plecach, i otarł pot z czoła. Była jedną z dworek, niebrzydką wprawdzie, ale w łóżku dość nudną. Krzyczała często, więc wiedział, że ją zadowolił. Uśmiechnął się pod nosem. Każdą potrafił zadowolić.

Alica westchnęła i przeciągnęła się obok niego, a jej piersi zaśniły w blasku lampy. Popatrzył na nią z przyjemnością, naprawdę powabna, pomyślał.

- Jak cudownie - szepnęła, ułożyła się na boku i przytuliła głowę do jego ramienia. Palcami pogładziła jego tors. -Byłeś wspaniały.

Zmarszczył brwi, bo nie życzył sobie, żeby go dotykała, kiedy było już po wszystkim. Odepchnął ją, wstał i sięgnął po szlafrok. Brzydził się tym babskim obłapianiem. Dostał to, czego chciał, i koniec.

- Muszę się wykapać - powiedział. - Idź już.

Alica nie zrozumiała polecenia, w odróżnieniu od większości kobiet.

- Ale ja chcę jeszcze. A ty nie? - Zakotłowała piersiami. Parsknął pogardliwie.

- Nie. Może później.

I to o wiele później. Miał wiele kobiet na swojej liście, a wokół ganiało co najmniej pół tuzina bękartów, podobnych do niego jak dwie krople wody. Żadnego nie uznał za swoje dziecko. Nie widział powodu.

- Może jednak ci się spodoba? - zamruczała, wyginając się do tyłu.

Na pewno nie. Nie! Chociaż... Nagle coś przyszło mu do głowy. Wymyślił to w czasie zebrania rady królewskiej, ale nie miał jeszcze okazji tego wypróbować. Teraz chyba nadszedł dobry moment.

- Chciałabyś się zabawić, kochanie? - zagadnął ją z uśmiechem.

- Oczywiście! - Rozpromieniła się natychmiast.

Zaśmiał się, przekonany, że za minutę ta dziewczka zmieni zdanie. Nic go to nie obchodziło. To tylko dworka. Nie wolno jej się sprzeciwiać.

- Maczuga! - zawołał. - Chodź tutaj!

Drzwi otworzyły się i olbrzymi szary sylf wszedł do pokoju. Odgłos jego kroków niósł się echem na kamiennej posadzce. Alica zbladła. Maczuga spojrział na Jasara i pokój wypełniła znajoma aura nienawiści. Jasar tak do niej przywykł, że ledwie zwracał na nią uwagę. Stwór nie mógł mu przecież nic zrobić.

- Maczugo - zamruczał. - Lady Alica chce, żebyś się z nią kochał. Masz ją zadowolić.

Sylf zatrzymał się i ze zdziwienia zapomniał o nienawiści. Jasar wybuchnął śmiechem. Zaskoczony Maczuga zwrócił głowę w stronę kobiety i ruszył prosto ku niej.

- Nie... - zajęczała Alica, cofając się. - Błagam, nie!

- Lepiej uspokój się i spróbuj mieć z tego przyjemność -poradził Jasar, sadowiac się na krześle tuż obok łóżka. - Bo on to i tak robi.

Maczuga ukląkł na łóżku, a jego pan oblizwał wargi, patrząc, jak sylf przykrywa sobą kobietę, nie spuszczać z niej płonących oczu. Dworka zamarła z przerażenia; wpatrywała się w jego twarz, kiedy dopasowywał się do niej. Jasar pochylał się, chłonąc każdy szczegół. W końcu sylf poruszył się, a Alica jęknęła.

- Przynajmniej jesteś odpowiednio dobrze zbudowany -stwierdził po chwili dworzanin. - Choć myślałem, że masz większego. Co za rozczarowanie.

Maczuga nie zwrócił na niego uwagi. Jego nienawiść ledwie się czuło, gdy skupiał się na kobiecie.

Łóżko zatrzęsło się w rytm jego ruchów. Jasar patrzył, jak oczy Alicy stają się

coraz większe, a po chwili zaśmiał się, gdy jej głowa opadła do tyłu, a na twarzy pojawił się skurcz. Myślał, że to spazm bólu - tego się przecież spodziewał, widząc, że wchodzi w nią tak wielki penis, ale w tym momencie ona zaczęła dyszeć i jęczeć, wyginając ciało w łuk. Zorientował się, że to coś innego, nawet bardziej podniecającego. Maczuga uniósł się na rękach, podnosząc biodra kobiety z materaca. Przyspieszył, aż piersi Alicy zaczęły podskakiwać.

Mijały minuty, ale Jasar, zamiast rosnącego podniecenia zaczął czuć oburzenie. Alica krzyczała, nie panując już nad sobą, wiła się na łóżku, obejmowała sylfa i jęczała przenikliwie; widać było, jak wielką on daje jej rozkosz. Drżała, gdy targał nią orgazmem za orgazmem i przeżyła się, kiedy Maczuga klęczał nad nią, przyciągając ją do siebie coraz mocniej.

Jasar nigdy nie doprowadził kobiety do takiego stanu.

- Psiakrew! - zaklął, zrywając się z krzesła. - Ty podła suko.

Maczuga spojrział na niego i nagle skończył, zagłębiając się w nią jeszcze bardziej. To doprowadziło ją do ostateczności; krzyczała tak, że w końcu zachrypla. Sylf ułożył ją na łóżku z niezwykłą dla siebie delikatnością.

- Wynoś się! - wrzasnął Jasar. - I to już!

Maczuga wstał, opuścił pokój takim samym ciężkim krokiem, jakim do niego wszedł, znów otoczony aurą wielkiej nienawiści.

Jasar o to nie dbał. Stał nad łóżkiem i spojrział na wyczerpaną dworę. Na jej twarzy igrał lekki uśmiezek; leżała w lubieżnej pozie, z rozrzuconymi nogami i wilgotnymi udami.

- Och - szepnęła. - Ojej.

- Ty dziwko - warknął i uderzył ją pięścią. - Ty wredna dziwko!

Krzyknęła przeraźliwie, a on tłukł ją jak obłąkany; bliski płaczu wykrzykiwał przekleństwa. W końcu złapał ciężki

srebrny lichtarz, który stał przy łóżku, i wymierzył kolejny cios. Bił ją, aż z jej twarzy i głowy pozostała tylko krwawa plama, a jemu zrobiło się niedobrze - nie z powodu tego, jak ją poranił, tylko na myśl o wyczynach Maczugi.

- Jak on śmiał - wykrztusił, ocierając podbródek zakrwawioną ręką. - Jak śmiał!

I zaczął demolować pokój, żeby przestał mu przypominać o tym, co się stało; o tym, że jego własny niewolnik okazał się od niego lepszy.

Maczuga stał w przyległej alkowie, a jego uczucia zdradzała tylko dłoń powoli zaciskająca się w pięść.

Devon i Solie głośno krzyczeli, wznosząc się i spadając w powietrzu, gdy Airi żonglowała nimi rozpaczliwie, próbując utrzymać ich oboje i jednocześnie uciekać. Bardzo się bała, że wojowniczy sylf za chwilę dopadnie ją i zniszczy, mimo to śmignęła nad grzbietem wzgórza, a potem nad drugim zboczem. Dotknęła wierzchołków sosen, a potem zanurkowała nad rzeką, gdzie była mniej widoczna. Devon i dziewczyna wymiotowali, ale nie miała dość sił, by zapewnić im wygodę. Z trudem utrzymywała ich w powietrzu, coraz bardziej zmęczona. Dojrzały sylf, taki jak Huragan, potrafiłby bez trudu unieść całe miasto i uciec z nim w dowolne miejsce, ale Airi była młodziutka, choć tu na ziemi przeżyła już trzy pokolenia swoich panów.

Rzeka przepływająca przez miasteczko wiła się wśród lasów, zmierzając na północ. Airi leciała wzdłuż niej. Wciąż wyczuwała walkę, która toczyła się we wsi. Bała się, że wojowniczy sylf wkrótce ich doścignie. Nie wyobrażała sobie, żeby ten młody zostawił swoją panią, chyba że przegrał. A ten drugi nie zrezygnuje z pościgu. Jęknęła. Dobrze знаła swojego pana i wiedziała, że właśnie tego by od niej wymagał: ma uratować dziewczynę. Uratować ich wszystkich.

Kiedy zabrakło jej sił, łagodnie opuściła ich na porośniętą mchem łąkę. Straciła całą swoją moc. - Airi - jęknął Devon.

Wstał i podszedł do niej. Jego dłoń przeniknęła przez jej migotliwy cień. Zaklął i zaczął grzebać po kieszeniach, aż w końcu wyciągnął maleńki, cienki flet. Airi zadygotała, gdy przyłożył go do warg i zaczął grać. Grał dla niej od dziecka, ucząc się jej ulubionych rytmów i ukochanych melodii; szkolił go w tym jego ojciec, który z kolei nauczył się tego od dziadka. Obietnicę, że będą dla niej grać, złożyli jej, kiedy po raz pierwszy przeszła przez wrota. Devon nigdy jej nie zawiódł.

Muzyka działała na nią jak lekarstwo; Airi skupiała się na niej, chłonąc życiodajną energię, którą Devon ją darzył. Ten świat był dla niej obcy i trujący, ale gdy połączyła ją więź z Devonem, mogła się karmić jego aurą, a muzyka dodawała tej aurze słodczy. Dziewczyna, którą uratowała, wpatrywała się w nią i w jej pana, kiedy grał. Widziała tylko obłok rozedrganego powietrza i powoli opuszcza! ją strach. Devon przymknął oczy i zatracił się w muzyce; łagodne tony wypełniały całą łąkę. Słońce zaszło i na niebie pojawiły się gwiazdy. Z krzewów zawtórowało mu cykanie polnych koników, w harmonii z fletem.

Airi poczuła się lepiej i zaczęła podśpiewywać. Wojowniczy sylf mógł nadlecieć w każdej chwili, ale to nie miało już dla niej żadnego znaczenia. Jej pan grał tylko dla niej; nawet ta dziewczyna była nieważna. W końcu sylfka poczuła się na tyle dobrze, by przyjąć postać, w której najbardziej przypominała człowieka. Zwykle niechętnie to robiła, a teraz stała się przezroczystą, kruchą, szczupłą dziewczynką. Nawet ten kształt był zakazany i Devon mógłby zapłacić głową za to, że jej na to pozwalał. Usiadła na ziemi, podciągnęła kolana pod brodę i otoczyła je ramionami. Jej pan odłożył flet, a na jego twarzy odmalowała się ulga.

Rudowłosa siedziała tuż obok, dygocąc w starym, znoszonym ubraniu. Przerazona czujnie obserwowała ich oboje. Jej wojowniczy sylf się nie pojawiał. Airi wiedziała, co to oznacza: jego śmierć albo porażkę. Zrobiło jej się żal tej dziewczyny.

- My się znamy, prawda? - spytała Solie, przyglądając się Devonowi.

- Tak. - Schował flet do kieszeni, przysunął się do Airii i dotknął dłonią jej policzka. - Dobrze się czujesz? - spytał niskim głosem, z widoczną troską.

Uśmiechnęła się do niego. Wprawdzie to nie jego troska trzymała ją tutaj, ale dzięki niej była szczęśliwa.

Już dochodzę do siebie, zaszepiała w jego ucho. Dziękuję.

Skinął głową, znowu pogładził ją po policzku i wrócił do uratowanej dziewczyny. Popatrzył na nią i znów zbladł.

- Nazywam się Devon Chole - powiedział. - Za młodych lat często widywałem cię w naszej wiosce. Jesteś bratanicą piekarki, prawda?

- Tak. Na imię mi Solie. Czy wiesz może, co to było?

Ona tego nie wie? Airi pomyślała, że to możliwe. Przecież była tylko ofiarą, która miała zwabić wojowniczego sylfa, a stała się jego królową. Sylfka przypomniawszy sobie, jaka ona sama była wstrząśnięta, kiedy pierwszy raz przeszła przez wrota, a przecież jej nikt nie oszukał i nie zabrał nagrody. Dawno temu porozmawiała z kilkoma sylfami, posługując się językiem gestów, który opracowały, by obejść zakaz mówienia. Wiedziała, jakie to dla nich było straszne. Wszystkie dawno już odeszły. W odróżnieniu od innych sylfów, wojowników nie przekazywano z pokolenia na pokolenie; po śmierci swego pana po prostu znikwały. I chyba były z tego zadowolone, bo nigdy nie pogodziły się z tym, co im tu zrobiono. Zmuszono je do patrzenia, jak umierają ich partnerki, zanim stały się ich królowymi. A potem musieli służyć mordercom tych kobiet... Sylfowi Solie oszczędzono

tego cierpienia, ale przez to nie rozumiał, co się dzieje i ile miał szczęścia.

- Wiesz chyba, że związałaś się z wojowniczym syl-fem? - spytał Devon. Kiedy skinęła głową, dodał:

- Nigdy przedtem nie zdarzyło się coś takiego. Wyobrażam sobie co przeżywa król - westchnął. -

Wysłał za wami człowieka, 'Leona Petrule'a z Rilem, jego wojowniczym sylfem. To on zaatakował was we wsi. - Wziął głęboki oddech. - Kiedy Ril ściągał na siebie uwagę twojego wojownika, Leon cię wyśledził. Nie żyłabyś, gdyby Airi cię stamtąd nie zabrała.

Dziewczyna zbladła. Wargi zaczęły jej drżeć. Podniosła dłoń do ust, po chwili przypadła do ziemi i załkała spazmatycznie. Devon popatrzył na Airi, nie wiedząc, co robić, ale sylfka nie umiała mu poradzić. To on był panem. W końcu podszedł do dziewczyny i otoczył ją ramieniem. Przytuliła się do niego, zanosząc się szlochem, więc po prostu siedział i czekał, aż się wypłacze.

Długo to trwało. Airi znowu przybrała bezcielesną postać. Choć znużona, wzbija się w przestworza i sięgnęła myślą najdalej, jak potrafiła. Nad odległą wioską unosił się dym, ciemniejszy niż nocne niebo, ale nic poza nim nie widziała.' Nigdzie nie dostrzegła też śladu żadnego z wojowników. Nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle, ale nie zamierzała sprawdzać tego dokładniej bez wyraźnego polecenia Devona. Nie była przecież wojowniczką, a zmęczenie nie pozwoliłoby jej uciec. Choć przed chwilą zaczerpnęła energii, wciąż nie starczyłoby jej sił, nawet na to, żeby się dobrze ukryć. Musiała odpocząć.

Na łące Solie cicho rozmawiała z Devonem. Opowiadała mu, co się wydarzyło: jak przywiązała do siebie wojowniczego sylfa, przez co razem przeszli i co do niego czuje. Airi nie zawracała sobie tym głowy. Dziewczyna była głęboko związana z sylfem, w jej duszy widniał jego wzór. Zawsze będzie pragnęła czuć tę więź, rozłąka przyniesie jej cierpienie, tak

jak Devonowi, kiedy zabrakło przy nim jego sylfki. Bardzo to wszystko było skomplikowane. Niech Devon zdecyduje, co dalej robić, a Airi wykona jego polecenia. Poczekaj na rozkazy.

Znużona, została na warcie; przywołała w myśli muzykę i zatańczyła w jej rytm taniec niewidzialny dla ludzkiego oka.

Solie tuliła się do nieznanego mężczyzny i płakała, starając się zrozumieć, dlaczego cierpi tak z powodu kogoś, kogo tak mało zna. Bo cierpiała, i to bardzo. Tęskniła za Hejty; żadne z tych dwojga, którzy ją uratowali, nie potrafiło jej powiedzieć, czy on żyje. Prawdopodobnie zginął.

Nie mogła znieść myśli o jego śmierci. Opiekował się nią. Nieważne, że był stuknięty, bo warczał na wszystkich mężczyzn, którzy się do niej zbliżali, i desperacko pragnął jej fizycznie. Nawet wtedy czuła się przy nim bezpiecznie. Poza tym słuchał tego, co mówiła. Nie przywykła do tego - w jej rodzinie było zupełnie inaczej. Może tylko ciotka się nią interesowała, ale też ciągle dawała jej rady i nią dyrygowała. Hejty nie zmuszał jej do niczego. Wprawdzie zawsze przekręcał jej polecenia, ale mimo wszystko słuchał i jakimś sposobem wkraść się w jej serce. Bez niego zapanowała tam pustka. Pociągnęła nosem i wytarła oczy koszulą Devona. Czuła się winna z powodu Hejty'ego, wioski i wszystkiego, co się zdarzyło. Wyobrażała sobie, co powiedziałyby jej ciotka. „Jeśli weźmiesz winę na siebie, to prawdziwy winowajca się wymiga”. A jednak czuła się odpowiedzialna.

Powinna się domyślić, że król wyśle za nią pościg, i powinna zabrać sylfa daleko, gdzie nikt by ich nie odnalazł. Przecież mógł ją bez trudu zanieść, dokąd tylko chciała. Tymczasem ona wybrała wioskę położoną pod zamkiem i pozwoliła, aby Hejty w jej obronie odkrył się przed całym światem. Jak mogła być taka głupia? Teraz utraciła nawet jego, a do domu lepiej było nie wracać. Ojciec nigdy by jej nie przyjął, mieszkańcy

wioski winiliby ją o wszystko. Poza tym przestała wreszcie udawać idiotkę i zrozumiała, że król w końcu ją dopadnie, tym bardziej że nie miała już przy sobie wojowniczego sylfa. Będzie się chciał zemścić za śmierć syna, a także ją zabić na dowód, że kobiety, w odróżnieniu od mężczyzn, nie potrafią wiązać się z wojowniczymi sylfami. Musi uciekać, znaleźć się poza zasięgiem tego królewskiego łowcy... A po tym, co się zdarzyło, Devon musi uciekać razem z nią, bo popełnił przestępstwo, ratując jej życie. Groziło mu takie samo niebezpieczeństwo, jak jej. Sylfice Airi zresztą też.

- Przepraszam - załkała. - Ja was w to wplątałam. Devon pogłodził ją po włosach.

- Wplątałem się w to sam, bez twojego udziału, i dobrze o tym wiem. Nie obwiniaj się.

- Ale przecież nie możesz wrócić do domu! Ten człowiek będzie cię ścigał!

- To prawda. Usłyszała, jak westchnął.

- Staram się nad tym nie zastanawiać. Czasem trzeba zachować się jak prawdziwy mężczyzna.

Odsunął ją od siebie i otarł jej łzy chusteczką. Ciekawe, co zrobiłby Hejty, gdyby to widział. Na tę myśl zachciało jej się śmiać i płakać jednocześnie.

Devon też się uśmiechnął, choć usta miał mocno zaciśnięte, a na czole pojawiły mu się zmarszczki.

Nie znała go zbyt dobrze, ale zawsze wydawał jej się łagodny.

- Przede wszystkim musimy się przespać. Rano wyruszymy w drogę - powiedział. - Musimy też zdecydować, dokąd pójdziemy i co będziemy robić.

- Dokąd się skierujemy? - spytała, nadal pociągając nosem, choć już nie płakała. Poza tymi dwoma wioskami w ogóle nie znała okolicy.

- Jeszcze nie wiem. Chyba na północ. Jeśli obejdziemy Łowy Płaskowyż i przedostaniemy się przez góry, dotrzemy

do królestwa Para Dubh. Przed nami trudna droga, ale tam nikt nas nie będzie szukał.

Czuła, że w myślach dodał: przynajmniej taką mam nadzieję.

- Dobrze - zgodziła się, bo przecież nic innego nie potrafiła zaproponować. On miał płaszcz, buty, flet i powietrznego sylfa - za słabego, żeby ich zanieść daleko stąd - a ona tylko wytartą sukienkę... nawet butów z wioski nie zabrała. Mimo wszystko wstała i odetchnęła głęboko.

- Lepiej, żebyśmy się schronili pod drzewami. Chodźmy stąd.

ROZDZIAŁ 9

Dwudziestu ośmiu mężczyzn nie żyło, a ich sylfy odeszły w niebyt. Zbiory przepadły i udało się odzyskać zaledwie jedną trzecią bydła. Na szczęście mieli dość sprzętu, żeby zapewnić sobie schronienie, mogli też przywołać inne sylfy. Wszystko odbudują, pod warunkiem że żołnierze dadzą im spokój i że jakoś przetrwają zimę.

Morgal stał na skraju urwiska, pod którym rozbili obóz, i patrzył na swoje władztwo. Nie porażało ogromem: zbieranina namiotów i ogniska pod skalną stromizną. W prawie pięćdziesięciu namiotach mieszkała setka ludzi: mężczyzn, kobiet i dzieci, dziesięć ogniowych sylfów, osiem powietrznych, siedem ziemnych, cztery wodne i nawet jeden uzdrowiciel. W tamtej dolinie wszyscy tworzyli niesamowitą, pełną nadziei i energii społeczność. Tu była tylko zrozpaczona gromada biedaków. Wysłano przeciw nim wojownicze sylfy - dwóch wojowników, którzy wdarli się do ich wioski; wielu ludzi zabili, a pozostali rozproszyli się po Iłowym Płaskowyżu. Dopiero

po dwóch dniach zebrali się pod tą skałą; stracili połowę syl-fów i wielu przyjaciół... Morgal nie chciał liczyć poległych. Byli wśród nich wszyscy przywódcy. Zamknął oczy, czując na twarzy powiew lodowatego wiatru. Walczył ze sobą, by nie poddać się beznadziei. Wychudł, a jego ospowata twarz stała się kanciasta; mizerne racje żywnościowe nie poprawiły jego wyglądu. Lewą rękę miał zabandażowaną, oddychanie sprawiało mu ból, sylfka uzdrowicielka, wyczerpana, nie mogła mu na razie pomóc. Gdyby nie ona, straciłby o wiele więcej ludzi. Czeka ją jeszcze mnóstwo pracy. Będzie musiał przez jakiś czas sam dawać sobie radę.

Z tyłu zamigotało światelko: ognista postać dziewczyny, wpatrzonej w jałową równinę. Wydawało się, że całe jej ciało jest z migotliwego żaru; nosiła odpowiednie do swego wyglądu imię: Żarka. Morgal popatrzył na nią z napięciem.

- Żarko, wracają po nas? - spytał. Wzruszyła ramionami.

- Nie-odparła.

Odprężył się. Wszystkie sylfy stały na warcie, wypatrując napastników. Potrafiły wyczuwać się nawzajem na sporą odległość, więc wiadomo było, że pierwsze dostrzegą wojowników. Wprawdzie sylfy potrafiły ukrywać swoją energię, ale wojownicy nie uważali tego za konieczne. Morgal miał tylko nadzieję, że ta „spora” odległość naprawdę okaże się spora.

Zszedł z urwiska. Żarka trzymała się blisko, ale uważała, żeby nie nagrzewać obolałych miejsc na jego ciele. Ludzie spoglądali na niego i witali go pochyleniem głów, a potem wracali do pracy. W obozie było wielu mężczyzn, ale po pogromie proporcje zmieniły się na korzyść kobiet - owdowiałych i związanych z partnerami. Były też dzieci; bawiły się między namiotami, jakby nigdy nic, choć dwie trzecie z nich właśnie zostało sierotami.

- Powinniśmy przewidzieć ten atak - mruknął pod nosem. Ta myśl nie dawała mu spokoju. - Staliśmy się arogancy i beztroscy. Drogo za to zapłaciliśmy.

Wszyscy jego towarzysze byli rolnikami z górskich wiosek z Para Dubh, zbyt biednymi i pospolitymi, by dostać na własność sylfy od króla albo od kapłanów, którzy żądali sowitych opłat. Większość tych ludzi niedawno jednak związała się z sylfami, dzięki zbuntowanemu kapłanowi - on im w tym pomógł. Mogli więc założyć własną Wspólnotę. Przyjaciele kapłana Petra pragnęli dla siebie lepszej przyszłości, której nie mogła im zapewnić skostniała hierarchia Para Dubh, dlatego założyli tę Wspólnotę na bezludnym skraju Iłowego Płaskowyzu, w bezśnieżnej dolinie, gdzie nie hulały wiatry. Mogli tam mieszkać długie lata, gdyby nie ich głupota. Za podszeptem przywódcy Wspólnoty zaczęli napadać na statki powietrzne kursujące między królestwem Eferem a Para Dubh. Zdobyte w ten sposób bogactwa sprawiały, że Wspólnota bogaciła się o wiele szybciej, niż się spodziewali, więc nikt się nie zastanawiał, czy to bezpieczne. Wtedy pojawiły się wojownicze sylfy. Morgał modlił się, aby ich władcy uznali, że walczą ze zwykłymi piratami, i uwierzyli, że wybili ich w pień.

Przed nim wyrósł namiot taki jak inne, rozbity obok baryłek z wodą. Morgał wszedł do środka. Kobiety zajmujące się rannymi popatrzyły do niego. Na siennikach leżało siedem ofiar bitwy, czekając na leczenie. Oczywiście rannych było dużo więcej, ale tu zebrano najtrudniejsze przypadki - ludzi, którzy bez pomocy by zmarli.

Osoba udzielająca im tej pomocy spojrzała na Morgala, po czym odwróciła się do mężczyzny, którym się właśnie zajmowała. Niełatwo było ją dojrzeć: wprawdzie miała kobiece kształty, ale była prawie całkiem przezroczysta i bezcielesna. Blakła coraz bardziej, przekazując swoją energię rannemu, a jej pan, Zem, niewysoki i nerwowy, przyglądał jej się, zmartwiony. Morgał nie znał nikogo bardziej związanego ze swoim sylfem.

Właśnie podbiegł, załamując ręce.

- Morgal, pozwól mi ją powstrzymać - błagał, patrząc przez ramię, jak uzdrowicielka kładzie widmową dłoń na czole rannego. Zamigotała i jego oddech natychmiast się wyrównał i pogłębił, choć twarz pozostała nienaturalnie blada. - Łut Szczęścia się wykończy!

Morgal westchnął, w nadziei że to tylko histeria Zema.

- Jeśli przestanie leczyć, nasi przyjaciele poumierają.

- A jeśli nie przestanie, za chwilę nie będzie miał się nimi kto zająć! - Zem prawie płakał. - Przecież jest naszą jedyną uzdrowicielką!

- A czy ona sama chce już przestać? - spytał Morgal.

- Wiesz dobrze, że nie - mruknął Zem. - Ona nie potrafi inaczej. Jeśli nikt poważnie się nie rozchoruje, zajmie się leczeniem trądziku.

Łut Szczęścia, pochylona nad siennikiem, popatrzyła na nich, po czym przemknęła do następnego chorego. Usiadła przy nim i położyła mu dłoń na czole. Leczyła rannych etapami, co trwało dłużej, ale pochłaniało mniej energii. Morgal od samego początku był pod wrażeniem tej metody. Fascynowała go nadal, choć nie miał teraz szans na leczenie.

- Nic jej nie będzie.

- A jeśli coś się jej jednak stanie? - jęknął Zem. Morgal spojrzął na swoją ogniową sylfkę.

- Żarko, czy Łut Szczęścia dobrze się czuje?

- Tak.

- Widzisz? Żarko twierdzi, że wszystko jest w porządku - przekonywał Zema.

- Co ona może wiedzieć? Przecież jest ogniowym sylfem, a Łut Szczęścia uzdrowicielką! Są zupełnie różne! Morgal kręcił głową.

- Po prostu daj jej pracować. Sama zdecyduje, kiedy odpocząć. Zdaje sobie sprawę, jak wiele dla nas znaczy.

Na moment pochwycił spojrzenie sylfki, ale nie raczyła mu odpowiedzieć. Odzywała się tylko do Zema, który na

szczęście wciąż uznawał przywództwo Morgala. W przeciwnym razie pewnie oboje by odeszli. Szkoda, że w obozie jest tylko jedna uzdrowicielka... ale to najrzadsze z sylfów, a rytuałowi przyzywania ich wiele można zarzucić. Członkowie Wspólnoty umieli otworzyć wrota, a ich sylfy wyczuć, kto jest po drugiej stronie, ale nie potrafili namierzyć sylfa odpowiedniego rodzaju. Nie natrafili na drugą uzdrowicielkę, a poza tym brakowało im mężczyzn o wyjątkowej psychice, takich jak Zem, którzy by przyciągnęli potrzebnego im sylfa. Zem ciągle chorował, dopóki Łut Szczęścia go nie odnalazła. Albo tylko narzekał. Utrzymywanie go w zdrowiu było dla niej niewyczerpanym źródłem szczęścia.

Morgał patrzył, jak sylfka przenosi się do następnego pacjenta; zatrzymała się na moment, by dotknąć dłonią swojego pana. Zem wziął głęboki oddech i zadrzał. Morgał odwrócił wzrok.

- Sam decyduj - mruknął i wyszedł, żeby nie słyszeć więcej narzekań. Chciał tylko sprawdzić stan rannych. Jeszcze niedawno Łut Szczęścia zajmowała się dwunastoma. Zem zażarcie się z nią kłócił, ale uparła się, żeby wszystkich wyleczyć w ciągu tygodnia. Może jutro uda się namówić ją do odpoczynku, jeśli jej pacjentom przestanie grozić śmierć.

Na dworze robiło się coraz zimniej. Zadrzał, więc Żarka przysunęła się, żeby go ogrzać. Niedługo zacznie padać śnieg i powstanie kolejny problem. Nie wiedział, co powiedzieć tym ludziom. Ich prawdziwi przywódcy zginęli. Morgał był ledwie pomocnikiem, a teraz okazało się, że ma największe doświadczenie wśród tych, którzy przeżyli. Powołali nową radę, a jego ogłosili przywódcą. Tyle że kiedyś on także zachęcał do napadów na statki Eferem dla wzbogacenia Wspólnoty i szybszego rozwoju wyśnionego królestwa. Tylko on z grupy ludzi, którzy planowali te ataki, ocalał i teraz samotnie dźwigał ciężar odpowiedzialności za katastrofę.

Byli zbyt stabi, by stanąć do otwartej walki. Ich sylfy nic nie znaczyły wobec wojowniczych, a tych przecież nigdy nie zdobędą, bo aby je zwabić, należy poświęcić życie kobiety. Nikt ze Wspólnoty nie miał morderczych zamiarów, nikt nie zabiłby nawet ochotniczki. Pamiętał, jak podczas ataku statek ruszył prosto na nich, zamiast uciekać, i wyskoczy! z niego rycerz w zbroi i z czerwonym jastrzębiem...

Zamknął oczy. Stało się. Większość ludzi umknęła, dzięki swoim sylfom. Na pewno uda im się to znowu.

Podszedł do namiotu, rozbitego na skraju obozu. Gdy do niego wszedł, ich jedyny kapłan - człowiek, dzięki któremu to wszystko stało się możliwe - podniósł wzrok znad nakreślonego właśnie kręgu, gotowego do napełnienia energią, potrzebną do otwarcia dla sylfów. Wielu mieszkańców obozu nie było jeszcze powiązanych z żadnym. Ściągali więc do siebie tyle, ile się dało; jeśli im się powiedzie, może w końcu trafi się kolejny uzdrowiciel.

Morgał kiwnął głową Petrowi i usiadł na drewnianym krześle w kącie namiotu. Żarka podfrunęła do niego, przyjmując postać kuli ognia; ogrzewała bolące mięśnie, ale nie parzyła.

- Już wkrótce? - spytał.

- Tak.

Kapłan przyklęknął nad kręgiem. Jego łysinę, podobnie jak resztę ciała, pokrywały głębokie blizny. Kiedy Morgał go poznał, Petr nie miał języka; dopiero Łut Szczęścia po jakimś czasie sprawiła, że mu odrósł. Nie wiadomo, co takiego zrobił kapłan, że spotkała go taka kara, ale był torturowany, a jego ziemski sylf został przegnany; potem porzucono go na pustkowiu, skazując na pewną śmierć. Znaleźli go tam przywódcy Wspólnoty, a on z wdzięczności przekazał im tajemnicę przyzywania sylfów, choć sam nie związał się już z żadnym. Morgał doskonale go rozumiał. Nie wyobrażał sobie, że ktoś mógłby zastąpić Żarkę.

Obserwował kapłana przy pracy. Dobrze wiedział, że aby dokonać rytuału, nie wystarczy nauczyć się tylko rysunków. Petr miał wieloletnie doświadczenie i Morgal był nieskończenie wdzięczny losowi, że przeżył atak wojowniczych sylfów. Nie rozmawiali o tym, ale Morgal ocalał tylko dlatego, że złapał kapłana za rękę i uciekł, opuszczając towarzyszy w potrzebie. Każdy nosił w sobie własne rany i słabości. Morgal siedział i patrzył na krąg, z nadzieją że przez wrota przejdzie wystarczająco dużo sylfów, aby grupa przetrwała zimę.

Hejty odzyskał świadomość o wschodzie słońca, starał się zrobić to niepostrzeżenie. Ostrożnie zbadał otoczenie w poszukiwaniu śladów drugiego wojowniczego sylfa. Czuł, że tamten unosi się na obrzeżach jego percepcji, ale jego aura była stłumiona. Pewnie odpoczywał.

Młody sylf wcale nie czuł dumy, że doprowadził przeciwnika do takiego stanu. Sam odniósł poważne rany; ledwo się trzyma! i brakowało mu energii. Ból był obezwładniający, ale nie odważył się dłużej czekać z leczeniem, bo pewnie by nie przetrwał. Mógł wprawdzie zostać w tym miejscu i przeżyć albo umrzeć, ale Solie go potrzebowała. Zniknęła gdzieś z mężczyzną, więc Hejty musiał jej szukać.

Powoli, w postaci bardziej przypominającej obłok kurzu niż konkretną istotę, wymknął się z kryjówki i popęztał po zniszczonej podłodze, oby jak najdalej od drugiego sylfa. Całkowicie wchłonął do wewnątrz swoją aurę, by wróg go nie wyczuł i nie mógł wytropić. Był bez niej prawie ślepy i bezbronny jak dziecko. Teraz lepiej rozumiał Solie, która tak bardzo obawiała się nagości. Ona też była wtedy bezbronna. To... poniżające.

Przesunął się po podłodze i wydostał na zewnątrz przez szczelinę w ścianie. Zanurzył się w blasku porannego słońca i rozgrzał nieco, kiedy sunął jak cień ścieżką w stronę lasu. Potem pomknął przez sady i wzgórze, po delikatnym

tropie, który prowadził na północ, tam gdzie zniknęła jego królowa.

Było to niesłychanie trudne, bo postać chmury, którą zwykle przybierał, została niemal całkowicie zniszczona; ledwie udawało mu się utrzymać jej kształt. W końcu musiał się zatrzymać i przyjąć ludzką postać, tworząc zarysy, w których mógł zaznaczyć swoją obecność; dzięki temu uniknął rozwiania się w nicość.

Przemiana okazała się równie bolesna, jak ciosy tamtego wojowniczego sylfa. Uklęknął na wilgotnej, pokrytej liśćmi ziemi i wtulił w nią twarz, płacząc z bólu; po raz pierwszy poczuł zimno. Fizycznie przypominał chłopaka, którego wymarzyła sobie Solie, ale psychicznie był jedną wielką bolesną raną. Nieprzyjaciel go okaleczył.

- Solie - jęknął.

Z nią wszystko byłoby inaczej. Dałaby mu energię, której tak bardzo potrzebował. Musiał do niej dotrzeć. Instynkt pchał go ku niej z ogromną siłą, mimo wyczerpania. Dokuczała mu samotność, której nigdy przedtem nie zaznał. Bywał gniewny i porywczy, ale nie samotny. Nie obroniłby jej, ale mógł przecież być przy niej, a ona przy nim. Więc warto żyć.

Siłą woli zmusił się, by wstać, choć krztusił się i dygotał. Ziemia raniła go w stopy, potknął się i upadł na kolana. Poczuł dotkliwy ból.

W końcu znalazł złamane drzewko mniej więcej swojej wysokości, poobrywał z niego gałęzie i użył jako laski. Potem powoli ruszył w ślad za swoją królową.

Ril, pogrążony w głębokim śnie o Lizzy, drgnął i się obudził. Otworzył oczy i rozejrzał się w świetle poranka. Przez chwilę wydawało mu się, że coś poczuł... Nastroszył pióra i czujnie nadśluchiwał innym zmysłem niż słuch.

Był przekonany, że zabił tamtego - albo zranił tak poważnie, że wyciekła z niego cała energia, lecz teraz stracił

tę pewność. Przystąpił z nogi na nogę i rozłożył skrzydła, gotów zaatakować i skończyć to, co zaczął. Ale niczego już nie czuł. Prawie niczego.

Leon rozmawiał z jakimś przestraszonym starcem, tkwiąc nad dziurą w ziemi, gdzie jeszcze niedawno stał dom; spojrzął na sylfa, unosząc brew. Nie odezwał się do niego ani słowem.

Ril widział wielu panów, którzy przemawiali do swoich sylfów, nie zważając na to, że stworom nie wolno było odpowiadać. Leon nie był aż taki głupi. Trzymał język za zębami i pozwolił mu penetrować otoczenie. Ril w skupieniu szukał wątlej nitki nienawiści - ona zdradziłaby obecność jego ofiary.

Odwrócił głowę. Leon też to zrobił i ruszył powoli w kierunku, w którym sylf patrzył, wysuwając przed siebie rękę, na której go trzymał. Przeszli przez całą wioskę do zrujnowanego domku - do niego wpadł bezwładny sylf. Starzec podążył za nimi, bo Leon nakazał mu to gestem. Przesadził Rila na ramię i uniósł je, ostrożnie wchodząc w ruiny i ocierając kurz z twarzy. Ril wbił pazury w jego skórę. Podłoga była splamiona energią, która wyciekła z ciała tamtego sylfa jak krew; tylko Ril dostrzegł wirujące barwy. Patrzył, nadśluchiwał i w końcu zaskrzeczał. Leon zatrzymał się, a kiedy ptak spojrzął na tylną ścianę chaty, zaniósł go tam.

Drogę znaczył słabo wyczuwalny ślad, zaledwie sugestia energii, która wyciekła przez szczelinę, nie szerszą niż centymetr. Ril popatrzył na nią, a potem na swojego pana.

- Psiakrew! - zaklął Leon i wyszedł z ruin. Poleciał starcowi, aby na niego poczekał, i obszedł szczątki domu.

Smuga energii wiodła przez sad, do lasu otaczającego wioskę. Ril pochylił się i wskazywał Leonowi, dokąd iść. Wspięli się na wzgórze, weszli między drzewa i dotarli tropem na polankę.

Ril rozejrzał się i niezadowolony zatrzepotał skrzydłami. Ścigany wróg zmienił postać i zamknął swoją energię w fizycznym kształcie. Stłumił aurę i stał się właściwie nie

wyczuwalny. Zmysły Rila, ptaka, były tak przytępione, że nie mógł go teraz wytropić. Leon przyglądał mu się i czekał. Ril posłał mu nienawistną myśl, wyrażając w ten sposób złość. Mężczyzna drgnął i pokręcił głową. Przesadził go na drugie ramię i obszedł polankę wokół, wpatrując się w ziemię. Chwilę później powoli ruszył na północ, po śladach. Ril do tej pory nie opanował tej umiejętności. Zakłapał dziobem, ale nie wykazywał zainteresowania tym, co robi jego pan.

Wędrowali krętą ścieżką między drzewami, w górę zbocza. W kilku miejscach rzeczywiście było widać pobrużdżoną ziemię, lecz Rila to nie obchodziło. Teraz Leon prowadził pościg. Wspięli się na wzgórze i znowu zagłębili w las; w końcu dotarli na urwisty brzeg rzeki. Zatrzymali się, spoglądając na nurt.

Nic.

Ril zaskrzeczał z gniewu i rozłożył skrzydła. Przefrunął na jedno z drzew, usadowił się na gałęzi i czekał, aż jego pan skieruje się z powrotem do wsi. Leon zostawił go w spokoju. Obaj czuli to samo. Tym razem ponieśli klęskę.

Pod nawisem urwiska, w zagłębieniu, którego nie zauważył, dopóki niemal do niego nie wpadł, Hejty przykleił się do gliniastej ściany, starając się nie wydać żadnego dźwięku, nawet nie oddychać. Czuł obu łowców nad sobą. Zabiliby go, gdyby go znaleźli. Po raz pierwszy w życiu ogarnął go strach. Jego zawadiacka fantazja gdzieś zniknęła. Stracił wolę walki. Krył się, marząc, żeby wreszcie odeszli, ale kiedy to w końcu zrobili, został w kryjówce jakiś czas, dopóki nie wygnały go z niej zimno i rozpacz. Ruszył dalej, krzywiąc się z bólu; powoli, lecz nieugięcie zdązał na północ.

ROZDZIAŁ 10

Trzydzieści kilometrów na północ od wioski, z której uciekli, leżało miasteczko. Zaopatrywali się w nim miejscowi drwale, traperzy i wędrowcy, którym niestraszne byty długie, niebezpieczne wyprawy do Para Dubh. Okolica była tu bardziej surowa, a postawni mężczyźni na ulicach śmiali się i pokrzykiwali. Przekleństwa brzmiały tu równie często, jak słowa powitania.

Solie przyglądała się im niespokojnie, otulona płaszczem Devona. Przywarła do jego ramienia. Nie podobało jej się tutaj, lecz nie miała wyboru. Nadchodził wieczór; wędrowali od świtu. Zgłodnieli, nie mieli także odpowiedniej odzieży. Devon oddał jej swój płaszcz, więc nie marzła, ale i on potrzebował okrycia. Poza tym Solie szła boso i stało się jasne, że daleko nie zajdzie. Jej stopy, poodbijane i pokaleczone, sprawiały jej ból przy każdym kroku, Airi wciąż była zbyt męczona, żeby ją nieść. Sylfka unosiła się nad głową swojego pana. Była niewidzialna, ale on twierdził, że wyczuwa jej obecność.

Bez Devona Solie nigdy by nie dotarła tak daleko. Nie narzekał, nie złościł się, że idą zbyt wolno, pomagał jej, gdy tego potrzebowała, i w odróżnieniu od Hejty'ego nie próbował zaciągnąć jej do łóżka. Zresztą, wcale jej nie interesował. Był dla niej bardziej jak brat.

Próbowała nie myśleć o Hejty, lecz pustka, jaka po nim została, wciąż w niej trwała. Bardzo za nim tęskniła. Devon nie komentował jej smutku, nawet jeśli go wyczuwał. Kiedy zaczynała płakać, odwracał wzrok.

- Jesteś pewny, że będzie cię na to stać? - szepnęła, starając się nie zwracać uwagi mieszkańców. Jeszcze nigdy nie była w tak dużym mieście; miała wrażenie, że wszystkie kobiety na jego ulicach czekają tylko, by się sprzedać mężczyznom. Wstrętne!

- Raczej tak - uspokoił ją Devon. - Wystarczy na jedzenie i pokój w gospodzie, jeśli ceny nie są tu zbyt wygórowane.

Powiedział to jakby z wahaniem, więc przysunęła się do niego jeszcze bardziej. Bez zapasów ich szanse na przetrwanie były niewielkie. Musieli przecież dotrzeć do odległego Para Dubh.

Dziwiło ją, że nikt nie zwracał na nich uwagi. W jej wsi nieznajomi przyciągali powszechne zainteresowanie. Tutaj nikt na nich nie spojrział, nawet kiedy ruszyli w stronę sklepu w środku miasta.

- Ja będę mówił, dobrze? - zaproponował Devon. Skinęła głową.

W sklepie była niewyobrażalna dla niej ilość towarów, spiętrzonych na półkach aż pod sufit: talerze, lalki, bele materiałów, narzędzia, broń, materiały górnicze, suszone owoce i mnóstwo przeróżnych innych rzeczy. Nigdy czegoś takiego nie widziała, więc gapiała się na nie jak dziecko, które dostało za dużo prezentów. Devon wziął ją za rękę i pociągnął za sobą do pojemnika z butami. Wygrzebał małe trzewiki.

- Przymierz - powiedział.

Ostrożnie wsunęła w nie obolałe, zmarznięte stopy.

- Chyba są za duże - wybąkała. Podał jej kilka par wełnianych skarpet.

- Spróbuj teraz.

Kiedy je włożyła, buty zrobiły się nieco wygodniejsze, choć wciąż czuła się w nich dziwnie, takie były duże i brzydkie.

Devon ruszył w głąb sklepu i wybrał prosty szary płaszcz z sukna, trochę za długi, ale niezwykle ciepły. Otuliła się nim natychmiast.

- Dzięki - szepnęła.

- Nie ma za co. Poszukajmy jakiegoś worka na żywność.

Po chwili znalazł skórzany plecak i włożył do niego patelnię, talerze, jakieś przybory i metalowe pudełko na krzesiwo. Na moment zatrzymał się przed półką z przyprawami, ale

zamiast po nie sięgnął po zwój liny i mydło. Potem ruszył z tym wszystkim do lady, żeby się targować. Solie szła z tyłu, żeby mu nie przeszkadzać, tym bardziej że jego rozmowa ze sprzedawcą zmieniła się w coś, co przypominało gorącą sprzeczkę. Stała i patrzyła, jak poruszają się jego włosy, mimo że nie było wiatru. To Airi się nimi bawiła. Solie przyglądała się temu z ciekawością, choć ledwie mogła dostrzec migotanie powietrza w miejscu, gdzie unosiła się sylfka, i to tylko wtedy, kiedy zasłaniała sobą zapaloną na półce świecę.

Airi w niczym nie przypominała Hejty'ego. Przede wszystkim była kobietą, zresztą tak samo jak inne sylfy, z wyjątkiem wojowniczych. Rzadko przyjmowała konkretną postać, przeważnie pozostając niewidzialna. Hejty zawsze był widoczny, podobnie jak inne wojownicze sylfy, tamte jednak nie mogły zmieniać postaci. Przez chwilę zastanawiała się, czy kiedyś w życiu przeszła obok niewidzialnego sylfa. Raczej nie. Jej wioska była tak mała, że żaden mistrz sylfów na pewno do niej nie zawitał.

Ogarnęła ją dziwna tęsknota za domem i rodziną. Mieszkali w małej chatce. Dziewczęta miały wspólny pokój. Solie właściwie nie winiła ojca, że chciał ją wydać za męża, żeby opuściła dom, tyle tylko że wybrał odpychającego kandydata. Zateęskniła za nimi... choć czuła się dobrze w tym sklepie na środku nieznanego miasta, kiedy słuchała, jak Devon próbuje wytargować niższą cenę za stosik rzeczy.

Westchnęła i zaczęła przyglądać się kolekcji fajek w pudełku. Poczowała ukłucie bólu. Bardzo tęskniła za Hejtem... zapadł jej w serce tak głęboko, jak ona jemu. Gorąco pragnęła, żeby do niej wrócił, choć jego nienawiść do mężczyzn ściągała na nich same kłopoty. Gdyby tu był, to zamiast się targować, pewnie po prostu urwałby głowę temu sklepikarzowi.

Znowu popatrzyła na Devona, a potem podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Konie ciągnęły wozy po bruku, między

nimi jechało kilku jeźdźców. Wiedziała, że ich dwoje nie stać na konia. Devon zostawił swojego we wsi. Czowała, że się tym niepokoi. Martwił się, że zwierzę nie trafi do domu. Solie żałowała, że nie mają wierzchowca. Bez niego czekała ich długa piesza wędrówka.

W pewnym momencie pod sklep podjechał wóz ciągnięty przez dwa stare konie. Woźnica zeskoczył z siodła, przywiązał zwierzęta do koniowiązu i wszedł do środka. Solie usunęła mu się z drogi. Miał takie wielkie sińce pod oczami... Rozejrzała się nerwowo. Skinął jej głową, patrząc gdzieś w bok i podszedł do półki z belami białego płótna. Z braku zajęcia zaczęła mu się przyglądać i zastanawiać, co chce kupić.

Devon dobił targu ze sklepikarzem; ponarzekał trochę na drożyznę, gdy ten pakował zakupy do plecaka. Wsunął mu w dłoń parę monet, odwrócił się i włożył resztę do kieszeni. Idąc w stronę Solie, minął mężczyznę, który przed chwilą wszedł do sklepu. Obaj stanęli jak wryci i wbili w siebie wzrok. Nagle powiał wiatr. To Airi pokazała, co potrafi. Solie nie miała pojęcia dlaczego; gapiała się na sylfkę, która zawisała w powietrzu nad swoim panem w postaci naburmuszonej dziewczynki. Sklepikarz nic nie zauważył, bo poszedł na zaplecze, by schować pieniądze.

Devon i drugi mężczyzna mierzyli się wzrokiem. Zapachniało ziemią. Sekundę później ze szczelin w podłodze między nimi uniosła się chmura kurzu. Devon odsunął się i spojrzał z niepokojem na Solie. Nagle dotarło do niej, że ten kurz to ziemny sylf. Bali się wojowników, zapominając, że mogą ich ścigać panowie innych sylfów. Obserwowała, jak rośnie napięcie między mężczyznami, aż w końcu stało się nie do zniesienia.

- Przestańcie! - krzyknęła i doskoczyła do nich. Uważała jednak, by nie dotknąć żadnej z sylfek. One się cofnęły. Devon i ten drugi popatrzyli na nią, z zaskoczeniem. - Poddaję się! Poddaję! On nie ma z tym nic wspólnego!

Właściciel ziemnej sylfki otworzył usta ze zdziwienia.

- Poddajesz się? To wy mnie nie śledzicie?

- Dlaczego mielibyśmy to robić? - spytał Devon. - Myślałem, że to ty nas śledzisz.

Tamten uspokoił się i uśmiechnął.

- Cal Porter. Miło was poznać - przedstawił się i wyciągnął rękę.

Devon potrząsnął nią, zdziwiony. Solie odprężyła się i odetchnęła z ulgą. Dwie sylfki znów stały się niewidzialne.

- Śmiertelnie mnie przestraszyliście - powiedział pogodnie Cal. - Myślałem, że król albo ktoś z jego ludzi kazał wam mnie ścigać, choć zupełnie nie wiem, dlaczego ktoś miałby mnie odnaleźć właśnie w tym miasteczku albo szukać akurat mnie. Jestem zwykłym człowiekiem. Nikomu nie mówiłem, czym się zajmuję, i nikt mnie o to nie pytał. Tu nikt nie zadaje pytań. Nikogo nie obchodzi, co robisz, jeśli nie wchodzisz ludziom w drogę. Tylko strasznie tu drogo. Zastanawiam się, czy uda mi się wszystko kupić, i szczerze mówiąc, nawet nie za bardzo wiem, co dokładnie wybrać. Dostałem wiadomość, bardzo krótką. Szkoda, że Stria nie może przenosić listów. Nie potrafi latać, zresztą nie lubię się z nią rozstawać. Czuję się tu samotny, poza tym pomaga mi z wozem...

Gadając jak najęty, zdjął z półki bełę materiału i zaniósł ją do lady. Solie i Devon popatrzyli na siebie - czy ten człowiek potrafi utrzymać coś w tajemnicy? Zostawił bełę i poszedł szukać czegoś jeszcze: brał z półek maści, eliksiry i inne rzeczy potrzebne do leczenia, a przy tym opowiadał im o swoim koniu, bolących nogach, braku pieniędzy i ziemnym sylfie. Solie nigdy w życiu nie spotkała kogoś takiego.

- Ehm... - przewał mu Devon. - Chwileczkę. Powiedz mi, dlaczego się nas przestraszyłeś?

Gaduła spojrział na niego, a potem na sklepikarza, który właśnie wychodził na zaplecze po zioła dla niego. Cal pochylił się ku Devonowi.

- Należę do Wspólnoty - zwierzył się szeptem. - Kilka dni temu nasi zostali zaatakowani. Dopiero wczoraj się o tym dowiedziałem. Dlatego muszę kupić tyle środków opatrunkowych, ile się da. Straciliśmy prawie wszystko, wielu jest rannych.

Solie zamrugła.

- Do Wspólnoty? - spytała.

- Tak - odparł.

Kiedy wrócił sklepikarz, wziął zioła, po czym odesłał go po sól.

- To grupa ludzi, którym nie podoba się, co robi król Para Dubh, bo nie daje sylfów nikomu oprócz swoich lizusów. Wynieśliśmy się więc z jego królestwa i próbujemy utworzyć własny kraj, według naszych zasad. Na północy, bo tam nikt nie mieszka.

Solie zapało dech w piersiach. A gdyby tak tam się ukryli?

- Czy możemy z tobą pojechać? - spytała.

- Z sylfem? Oczywiście. Zawsze przydadzą się nowi rekruci. - Cal z dumą wypiął pierś.

Solie spojrzała na Devona. Był miły, ale nie wyobrażała sobie życia jako nieustannej ucieczki.

- Mówiłeś, że ktoś was zaatakował - przypomniał Devon, nie patrząc na nią.

- Tak - potwierdził Cal, ścisząc głos. Sklepikarz właśnie wrócił, więc nowy znajomy pociągnął ich między półki

i zaczął wybierać koce. - My... tak jakby porywaliśmy statki, no i w końcu trafiliśmy na taki, który miał na pokładzie wojowniczego sylfa. - Słyszając przerażone westchnienie Solie, dodał: - Ja nie zachęcałem do tych napadów. Uważałem, że to zły pomysł, ale oni twierdzili, iż w ten sposób szybko staniemy się samowystarczalni. Nikomu nie robiliśmy krzywdy, załogę puszczałyśmy wolno. Zresztą, porwaliśmy tylko dwa statki, bo potem trafiliśmy na tego wojownika i... Podobno strasznie dużo ludzi zginęło.

- Tam były dwa wojownicze sylfy, nie jeden - sprostował Devon. - Ril i Mace. To cud, że w ogóle ktoś przeżył. - Zmarszczył brwi. - Jak mogliście być tacy głupi?

- Ja nie! - zastrzegł się Cal. - Mówiłem wam już!

- Jasne.

Devon dopiero teraz spojrzął na Solie.

- Chyba nam wystarczy to, co usłyszeliśmy. Ci ludzie wyraźnie mają własne problemy.

Solie wbiła wzrok w ziemię.

- Ale... musimy gdzieś się podziać.

- Założę się o każde pieniądze, że Ril i Leon są na naszym tropie - odparł.

- Ale teraz, kiedy Hejty nie żyje... - Głos uwiązł Solie w gardle. Otarła łzę. - Nie mają powodu, żeby nas ścigać. Przynajmniej chcę w to wierzyć, nawet jeśli to kłamstwo, pomyślała.

- Kto to jest Hejty? - spytał Cal.

- Mój przyjaciel. Zabili go - odparła, zamrugła i rozplakała się na dobre. Już tyle razy go opłakiwała, ale widać nie dość. Zasłoniła twarz rozdygotanymi dłońmi. Mężczyźni wpatrywali się w nią, zakłopotani, nie wiedząc, co zrobić.

- Może mimo wszystko powinniście ze mną pojechać - odezwał się w końcu Cal. - Skoro wszystkich nas ścigają wojownicze sylfy... Devon westchnął.

- Dobrze. Jeśli Solie zechce. Jak uważasz?

Z trudem się opanowała. Szczerze mówiąc, nie obchodziło jej, gdzie się podzieją. Chciała tylko, aby było tam w miarę bezpiecznie i żeby przebywali wśród ludzi... No i żeby mogła porozmawiać z jakimiś kobietami i się im wypłakać.

- Jedźmy z nim.

- Dobrze. - Devon wzruszył ramionami. - Postanowione. Kupili koce i wiele innych rzeczy, także leki.

Calowi

nie starczyło pieniędzy, więc Devon dołożył ze swoich.

Przynajmniej będziemy mieć jedzenie, pomyślała Solie, żując kawałek suszonej wołowiny i obserwując, jak Devon pomaga w ładowaniu wozu. Mimo że ułożyli w nim mnóstwo zapasów, zostało jeszcze sporo miejsca dla pasażerów.

Godzinę później byli już poza miastem. Jechali na północ starą drogą przez las.

- Dalej będzie jeszcze gorsza - powiedział wesoło Cal.

Zmierzali na bezdroża, gdzie ugrzęźliby bez pomocy sylfek. Wiał zimny wiatr, ale Solie, w nowym płaszczu, nie marzła. Zresztą Airi i tak osłaniała ich od podmuchów. Druga sylfka pojawiła się z tyłu wozu, w postaci dziecka wyglądającego tak, jakby je ulepiono z piasku, i zaczęła bawić się kulkami, prezentem od Cala. Solie patrzyła na nią i znowu wspominała Hejty'ego. Otuliła się płaszczem i próbowała czym innym zająć myśli, lecz jej się to nie udało. Miała wrażenie, że wciąż go wyczuwa, że on wędruje samotnie, błąka się po świecie i jej szuka.

Zamknęła oczy i nasunęła kaptur, zdecydowana przespać się choć trochę, dopóki wóz w miarę spokojnie toczył się na północ.

Hejty przedzierał się przez lasy; nogi miał aż do kolan oblepione błotem i sosnowymi igłami. Z licznych obtarć ciekła krew. Wyczuwał Solie gdzieś daleko przed sobą i szedł jej śladem nieomylnie, prostą drogą - jeśli było to możliwe. Obchodził przeszkody, których nie potrafił pokonać, i wracał na szlak, wiernie podążając za swoją królową.

Nie wiedział, jak długo idzie, i wcale go to nie interesowało. Po prostu musiał ją odnaleźć, nie zważając na ból i strach. Zapanował nad swoją wojowniczą naturą, kierowała nim tylko ta nierozwalna więź. Czuł obecność swojej królowej; zawsze tak będzie.

Wyczuwał też lekkie ślady pozostawione przez innych członków jego roju w tym obcym świecie twardych kształtów.

Nie byto ich wiele, ale istniały. Przywołał je rozpaczliwie... lecz wyczuł tylko żal... i rozpacz innego wojowniczego sylfa, który nie mógł przyjść mu z pomocą, choć bardzo chciał. Szepnął z oddali, że Hejty może liczyć wyłącznie na siebie. I na Solie, jeśli uda mu się ją odnaleźć.

Hejty był pewien, że ją odnajdzie. Musi ją odnaleźć i chronić. Jedynie to się liczy.

Potyając się, wędrował wąską ścieżką, wsparły na swojej prowizorycznej lasce. Było zimno... a on nie przywykł do zimna. Do tej pory go nie znał... tak samo jak nic nie wiedział o śmierci. Uśmiechnął się, szczerząc zęby, które tak niedawno sam sobie ukształtował, i szukał sił... szedł i szedł, z nisko opuszczoną głową. Jeśli wytrzyma, to do niej dołączy. Niestety czuł, że Solie wciąż się oddala, i to szybko. Czyżby nie czuła, że on za nią podąża?

Z rozpaczą uświadomił sobie, że w ten sposób nigdy do niej nie dotrze. Ale nie miał już sił, by zmienić kształt. Energia stale z niego wyciekała. Tamten wojownik dobrze znał się na swoim rzemiośle.

Hejty zadrżał. Wiedział, że za nic się nie podda... i nagle potknął się i upadł. Pociemniało mu w oczach.

Nagle świat odzyskał barwy, a w uszach zabrzmiał mu stuk kopyt. Otworzył oczy i zorientował się, że leży wyciągnięty jak długi na drodze i że nie umarł. Ale wszystko go bolało. W dodatku, właśnie ktoś nadjeżdżał. Zmusił się, by unieść głowę, oparł się na łokciach i zobaczył przed sobą nogi siwego konia. Ledwie przytomny, spojrział wyżej, na postawnego jeźdźca, który patrzył na niego znad gęstej brody i futrzanej opończy.

- Co za widok - powiedział tamten pogodnie, a Hejty, zanim znowu zemdlał, zdążył jeszcze przekląć pecha, który ściągnął na niego kolejnego cholernego ludzkiego samca.

ROZDZIAŁ 11

Naciskając wargi, Leon maszerował korytarzem ku drzwiom królewskiej sali audiencyjnej. Ril na jego ramieniu, sztywny z gniewu, ciskał nienawiść we wszystkie strony.

Nie udało im się niczego dowiedzieć ani od tego starego człowieka, ani od ciotki dziewczyny, ani od jej ojca -niczego poza tym, że miała na imię Solie, a swojego sylfa nazwała Hejty, i że on jej nie znienawidził, choć ledwie nad nim panowała. Ciotka nie zdawała sobie nawet sprawy, że to nie był człowiek, i tylko ojciec Devona rozpoznał w nim wojowniczego sylfa... nikt poza nim się nie zorientował, przynajmniej do chwili, kiedy Hejty zaatakował ojca Solie.

Leon zrobił, co mógł, i był gotów znowu wyruszyć w drogę tropem tej pary, gdy dotarł do niego powietrzny sylf z rozkazem, aby natychmiast stawiał się u króla. Stwór przybył w fatalnym momencie. Leon wiedział, że jeśli teraz straci ich z oczu, to prawdopodobnie ich już nie odnajdzie. Czas był wrogiem każdego tropiciela. Dziewczyna nie nauczyła się jeszcze panować nad swoim sylfem, a on odniósł rany. Jeśli ich szukać, to tylko teraz. A Leonowi kazano zwlekać. Co gorsza, domyślał się, że król chce sprawdzić, co on robi, i że zażąda głowy wszystkich ludzi, którzy wiedzieli, kim jest Hejty. Leon zmarnuje wiele cennego czasu, a wojowniczy sylf ucieknie.

Właśnie przechodził koło alkowy, w której sylfy czekały na swoich panów przebywających w sali audiencji. Stał w niej Maczuga. Cisnął w niego falą nienawiści, ale Leon był w tak paskudnym nastroju, że się tym nie przejął - a Ril, ku jego zdziwieniu, zasyczał wściekle na olbrzymiego wojownika.

Leon westchnął i posadził go na grzędzie.

- Zaraz wracam - powiedział i ruszył ku drzwiom. Oba sylfy w milczeniu wbiły wzrok w jego plecy.

Lokaj otworzył przed nim drzwi i go zaanonsował. Leon wszedł i skłonił się mężczyźnie na tronie. U stóp tronu stał rozzłoszczony Jasar. Za plecami władcy siedział Thrall i przyglądał mu się zimno, wysyłając dławiącą aurę nienawiści.

- Wasza Wysokość, stawilem się na rozkaz - odezwał się Leon.

- Dobrze - mruknął król i potarł policzek. - Opowiedz, co tam się działo.

Leon się wyprężył. Im szybciej zda raport, tym szybciej stąd wyjdzie.

- Dziewczyna ma na imię Solie. Nazwała swojego wojownika Hejty i zabrała go do piekarni swojej ciotki w wiosce Otalo, na południe stąd.

- Hej, ty - powtórzył sucho Jasar.

- Właśnie - przytaknął Leon. - Ril walczył z nim i zranił go poważnie, ale tamten uciekł po walce.

Razem z dziewczyną kierują się na północ; towarzyszy im niejaki Devon Chole, pan powietrznej sylfki. Nie wiem jeszcze, dlaczego im pomaga. Zapytam, kiedy go odnajdę.

Zamilkł, patrząc, jak król obgryza paznokiec kciuka. Alcor wpatrywał się najpierw przez chwilę w niego, potem w Jasara i znowu w niego.

- Zabierzesz go ze sobą - rozkazał.

- Co?! - wykrzyknęli obaj jednocześnie, Leon z obrzydzeniem, Jasar przerażony.

- Wasza Wysokość - wykrztusił dworak, robiąc krok w stronę tronu. - Nie wyślesz mnie chyba w taką dzicz!

- Ależ wyślę, już zdecydowałem - warknął król. - Nie powinieneś zabijać tej dworki. Zejdź mi z oczu.

Jasar cofnął się gwałtownie i obrzucił nienawistnym spojrzeniem Leona, jakby to była jego wina.

- Tak jest, Wasza Wysokość. Kolejna wyprawa na statku powietrznym będzie niezwykle ciekawa. - To ostatnie słowo niemal wypłynął z ust.

Król spojrział na niego, rozbawiony.

- Wątpię, żeby Leon potrafił tropić ludzi z pokładu statku.

- Nie, Wasza Wysokość. Pojedziemy konno.

- Konno? - zapał wstrząśnięty elegancik. Król odesłał go machnięciem ręki.

- Czekam na raport - oświadczył.

Leon skłonił się i wyszedł. Jego twarz nie zdradzała emocji, ale był wściekły. Alcora nie obchodziło, czy ktoś dowiedział się o istnieniu wojowniczego sylfa, przynajmniej na razie, ale jego nowy towarzysz okazał się beznadziejny, nawet gorzej. Ostatnio, gdy pracowali razem, przygotowując zasadzkę na piratów, Jasar zawłaszczył kabinę kapitana i nosa z niej nie wystawił. Wprawdzie wysłał swojego sylfa do walki, gdy go o to poproszono, ale prawdopodobnie zrobił to w obronie własnej.

Poza tym kazał Maczudze wracać, zanim wykonali zadanie. Jedyłą dobrą stroną takiego zachowania było to, że Leon właściwie nie widywał tego dworaka. Niestety, teraz będzie inaczej.

Skierował się prosto do alkowy, świadom, że Jasar idzie tuż za nim, klnąc jak szewc. Leon wziął Rila i odwrócił się do elegancika.

- Wyruszamy za godzinę, milordzie. Przygotuj się - powiedział, starając się, aby na jego twarzy ani w głosie nie pozostał najmniejszy ślad pogardy.

Jasar spojrział na niego jak na wariata.

- Za godzinę? Przecież ja nie zdążę się przygotować! Wyjedziemy rano.

Leon zmrużył oczy.

- Do tego czasu tamci mogą zniknąć na dobre.

Ale Jasar już się odwrócił i odszedł. Maczuga kroczył za nim.

- Do zobaczenia rano! - zawołał jeszcze dworak i pomachał ręką. - Po śniadaniu.

Leon odprowadził go wzrokiem i dopiero wtedy zorientował się, że zgrzyta zębami. Ril popatrzył na niego ucie-

szony, na chwilę zapominając o nienawiści. Leon ruszył do wyjścia. Jeśli ma zostać tu na noc, to przecież może spędzić ten czas z rodziną.

Hejty'emu było wreszcie ciepło. Opierał się o coś ruchomego, a w uszach brzmiał mu równy tętent. Tylko stopy mu zmarzły. Otaczał go zapach futra i zwierząt.

Powoli otworzył oczy. Siedział na koniu, przed jakimś człowiekiem, okryty wraz z nim tym samym płaszczem. Tylko jego stopy spod niego wystawały i obijały się o boki konia, marznąc w zimnym nocnym powietrzu. Słyszał bicie serca jeźdźca i jego oddech.

Szczerze mówiąc, czuł się lepiej - był obolały, ale mniej zmęczony. Zamrugał i znieruchomiał.

Jeździec, który obejmował go ramieniem, pachniał krwią i brudem.

Pachniał?

Hejty wyprostował się jak struna, sapnął i odsunął się, ale mężczyzna mocno go przytrzymał, żeby nie spadł z siodła.

- Spokojnie - odezwał się. - Nie szarp się, bo spłoszysz konia.

Zaskoczony Hejty spojrzał przez ramię na brodatą twarz - to ten mężczyzna znalazł go na drodze. Mało brakowało, a sylf posiałby mu falę nienawiści, ale w porę się powstrzymał. Wprawdzie czuł się już lepiej, lecz wciąż był za słaby, żeby zmienić postać, zbyt przerażony. Nie wiedział, gdzie podział się tamten wojowniczy sylf. Nie chciał z nikim walczyć. Solie kazała mu się ukrywać. Przełknął ślinę i postanowił wykonać to polecenie.

- Kim jesteś? - wykrztusił.

- Galway. Znalazłem cię ledwie żywego w lesie. Pomyślałem, że zawiozę cię do najbliższego miasta.

- Dlaczego... - szepnął Hejty i przerwał, żeby odkaszlnąć. - Dlaczego to robisz?

Galway wzruszył ramionami.

- Mam w domu gromadkę dzieciaków, syna w twoim wieku. Gdyby się zgubił tak jak ty, na pewno chciałbym, żeby ktoś się nim zajął. Jak ci na imię?

Hejty odwrócił wzrok. Nienawidził tego obcego, gardził nim, ale.... przecież on uratował go od śmierci.

- Hejty - szepnął.

- Hej, ty? Dziwne imię dla chłopaka. Hejty rzucił mu gniewne spojrzenie.

- Wcale nie! Galway zamachał ręką.

- Dziwne to nie znaczy złe. Może być.

Hejty nie odpowiedział. Patrzył w dal i siedział tak sztywno, że rozboleły go plecy. Nie chciał, żeby tamten go dotykał, nie chciał jego bliskości, był jednak zbyt słaby, żeby iść o własnych siłach.

Niezależnie od tego, czym powodował się ten mężczyzna, wiózł go we właściwym kierunku. Wyczuwał królową: poruszała się w sporej odległości od niego, wciąż zdążała na północ. Może z pomocą tego człowieka uda mu się ją dogonić.

Skrzywił się. Niedobrze mu się robiło na samą myśl o proszeniu go o pomoc, ale nie miał dość sił, żeby grozić, a co dopiero walczyć lub zmienić postać. Nie odważył się też otoczyć aurą nienawiści.

Musiał więc odwołać się do współczucia.

Zamknął oczy, wziął głęboki oddech i aby się uspokoić, przywołał obraz Solie, mówiąc sobie, że robi to dla niej.

- Możesz mi pomóc? - spytał powoli. - Muszę kogoś odnaleźć.

- Aha! A kto to taki?

- Moja kr... dziewczyna. Podróżuje na północ.

- To daleko nie zajedzie, chyba że wybiera się do Para Dubh.

Objechali zwalone drzewo. Teraz dopiero Hejty zorientował się, że za nimi biegnie jeszcze jedno zwierzę, ze stosem futer na grzbiecie.

- Dlaczego cię zostawiła?

Omiał co nie smagnął go nienawiścią.

- Tak wyszło. Nie wie, co się ze mną dzieje. Przeciągnął się lekko, krzywiąc z bólu. Udało mu się trochę odsunąć od jeźdźca.

- Muszę ją dogonić. Pomożesz mi?

- Hm... - Galway zastanawiał się długą chwilę, podczas gdy Hejty myślał, jaki rodzaj śmierci wybrałby dla niego za tę zwłokę. - Mam na północy pozastawiane pułapki. Mogę cię kawałek podwieźć. Lubię towarzystwo.

Hejty odwrócił wzrok bez słowa, ponizony, lecz szczęśliwy. Może dogoni królową.

Devon siedział na koźle obok Cala, starając się nie słuchać jego gadaniny. Airi bawiła się jego włosami, Solie spała na stosie zapasów, a Stria układała klocki i turlała szklane kulki. Devon dziwił się, że od czasu do czasu odzywała się na głos do swojego pana. W Eferem było to zabronione, ale ta Wspólnota, do której teraz jechali, najwyraźniej rządziła się innymi prawami. Pozwoli! więc Airi mówić na głos, ale ona i tak odzywała się tylko w jego umyśle. Oboje lubili tę intymność, więc nie poruszał już więcej tego tematu.

Co to za społeczność? Był zbyt napięty, by o to pytać. Martwił się o ojca, tak że omiał nie zwariował. Poza tym nie wiedział, czy ktoś ich śledzi. W końcu spojrzał na swoją sylfkę. Koniecznie musiał znać prawdę. Nie może naprowadzić Leona i jego sylfa na Cala i Strię, bo niechybnie zginą.

- Airi - szepnął. - Wróć do wioski i odnajdź mojego ojca. Sprawdź, jak się czuje, i dowiedz się, czy ktoś nas śledzi. Jeśli ci się uda, zobacz też, co z ojcem i ciotką Solie. Ale uważaj na siebie! Nie ryzykuj.

Dobrze, odpowiedziała i zniknęła na skrzydłach wiatru.

Devon westchnął, owinał się płaszczem i wpatrzył w las, przez który jechali. Ona wróci. Jak dla niej, to niewielka odległość. Potrafi być dyskretna. Nic jej się nie stanie. Ale i tak będzie liczył sekundy do jej powrotu.

Zapatrzony w krajobraz, wcale się nim nie zachwycił. Sosnowy las z krzaczastym poszyciem, wąwozy i niskie wzgórza, kręta droga, stale wznosząca się w górę. Konie, choć znużone, ciągnęły jednak wóz; szarpnięcia i podskoki obudziły w końcu Solie, a Devonowi zrobiło się od nich niedobrze. Cal bez przerwy gadał, tym razem o swoim dzieciństwie.

Okrażając jakąś skałę, natrafili na szeroką rozpadlinę.

Devon chrząknął, niepewny, czy Cal w ogóle ją zauważył. Właśnie rozwlekle opowiadał o swoim synu i puścił konie zupełnie swobodnie, pozwalając, żeby same wybierały drogę; tylko od czasu do czasu rzucał na nią okiem. Szły powoli w stronę rozpadliny; Devon zaczął się modlić, żeby instynkt kazał im się zatrzymać.

- Stria! - krzyknął nagle Cal.

Sylfka siedząca z tyłu zgarnęła kulki, schowała je do woreczka, a potem zeskoczyła z wozu. Devon patrzył, jak przebiegła obok nich, zanurkowała w głąb ziemi i zniknęła.

Rozpadlina wypełniła się w jednej chwili, a konie szły dalej spokojnie. Był to najrówniejszy kawałek drogi w ich podróży. Devon się obejrzał. Kiedy tylko konie przeszły na drugą stronę, Stria pojawiła się z powrotem i pobięła za wozem.

Popatrzył na Cal.

- Fajna sztuczka - powiedział. Cal się rozpromienił.

- Dlatego dali mi tę pracę. Przez niektóre miejsca nie można przejechać wozem, ale Stria potrafi przeprowadzić mnie przez każde. Jest niesamowita.

Uśmiechnął się promiennie do sylfki, a ona znów usadowiła się z tyłu wozu i wyjęła kulki. Zerknęła na swojego pana i rozciągnęła w uśmiechu szerokie usta z mnóstwem zębów.

Devon wbił wzrok w drogę. Sylfy mogą przybierać dowolny wygląd, przypomniał sobie. Ciekawe, co robi jego.

Airi znalazła wysoki prąd powietrza, które płynęło tam, gdzie i ona, i pozwoliła się swobodnie nieść. Wciąż trochę zmęczona i zdenerwowana, chętnie się jednak czymś zajęła. Devon był przerażony tym, że uratowała Solie, choć nic nie powiedział i nie powie. Wiedziała, że podjęła dobrą decyzję, ale bardzo utrudniła mu życie, wbrew sobie. Tymrazem więc zamierzała się szczególnie postarać, choć i tak zawsze z radością spełniała jego życzenia. Przynajmniej tyle mogła dla niego zrobić.

Potrafiła wyczuć jego ojca na odległość, bo pozostał jej panem, mimo że przekazał ją synowi. Z Devonem łączyła ją silna więź, ale wzorce starszego pana wyryły się w niej na zawsze. Nie musiała się jednak nimi kierować, a od czasu kiedy Donal Chole oddał ją synowi, całkiem o nich zapomniała.

Podobnie było z jego dziadkiem. Wzdragła się na myśl o powrocie do swojego roju; wiedziała, że tak się stanie, gdy poumierają wszyscy jej panowie. Pragnęła mieć kogoś, dla kogo byłaby czymś więcej niż przedmiotem posiadania, kogoś, kto chciałby z nią być przez całe życie i kto przynajmniej zapytałby ją, czy zgodziłaby się należeć do kogoś innego. Miała nadzieję, że Devon to zrobi, kiedy nadejdzie czas, choć sama oczywiście nigdy nie poruszyłaby tego tematu.

Jemu przynajmniej mogła zadawać pytania. Jako jedyny z jej panów pozwolił jej mówić. Ojciec Devona był przerażony, gdy się o tym dowiedział. Sam się nigdy do niej nie odezwał, teraz będzie musiał.

Poszybowała w dół do miasteczka, ostrożnie rozglądając się za innymi sylfami. Nie dostrzegła ani nie wyczuła żadnego w pobliżu. Wojownicze sylfy rzadko się ukrywały; wyraźnie czuła tylko obecność tych, które przebywały w zamku.

Unosząc się nad ruinami, zaglądała w twarz ludziom, aż w końcu znalazła ojca Devona. Siedział przy stoliku przed piekarnią i pił coś, trzymając kubek w rozdygotanej dłoni.

Donal, odezwała się szeptem w jego umyśle. Przestraszony, wypluł łyk cofi na serwetę i spojrzał niepewnie na migocącą chmurkę, której postać przybrała.

- Airi? - wykrztusił i rozejrzał się, by sprawdzić, czy nikt ich nie widzi. - Gdzie mój syn?

Jest bezpieczny, szepnęła do niego w ten sam sposób jak do Devona. *Jedziemy na północ. Czy ktoś nas śledzi?* Ukradkiem pokręcił głową.

- Nie. Pan wojowniczego sylfa pytał mnie o was, ale potem wrócił do zamku.

Airi zadrżała z radości i zarazem żalu. Jeśli zrezygnowali z pościgu, to znaczy, że wojowniczy sylf jednak zginął. De-vonowi nic już nie grozi. Tylko szkoda jej było Solie.

A ciotka i ojciec Solie?

- Nic im się nie stało - odparł Donal.

Widziała, że nieswojo się czuje, kiedy z nią rozmawia.

Dziękuję, odpowiedziała, ale on machnął ręką, wyraźnie nie chcąc przyciągnąć niczyjej uwagi. Airi wzbiła się do góry i pofrunęła do swojego pana, zadowolona, że wszyscy są bezpieczni, a ona przekaże mu tę radosną wiadomość. Wprawdzie ani Devon, ani Solie nie powinni wracać do domu, lecz przynajmniej nikt ich nie będzie szukał. Spokojnie mogą przyłączyć się do Wspólnoty.

Tym razem musiała walczyć z prądami powietrznymi, ale jej się nie spieszyło; poza tym Devon był niedaleko, oczywiście z jej punktu widzenia. Tańczyła i wirowała w locie, do wtóru jego melodii, które przywoływała sobie w myśli.

ROZDZIAŁ 12

Tuż przed świtem Leon po cichu zszedł po schodach, niosąc na ramieniu juki i broń. Betha podążała za nim z lampą w dłoni. Ucieszyła się na jego widok i rozczarowała perspektywą rychłego rozstania, ale wiedziała, że tak być musi.

Pozwolił odprowadzić się do drzwi. Położył rzeczy na ziemi i polecił służącemu, by osiodłał konia.

- Wracaj szybko - poprosiła. - Tęsknimy za tobą.

- Najszybciej jak tylko będę mógł - zapewnił, pocałował ją lekko i wziął lampę z jej dłoni. - Pójdę po Rila. - I poszedł po schodach do pokoju dziecięcego. Wszystkie cztery dziewczynki spały, spokojnie oddychając w ciszy. Leon postawił lampę na podłodze i podkradł się do łóżka najstarszej. Spała zwinięta na boku, a Ril siedział na poduszce obok jej głowy. Popatrzył na niego płonącymi oczyma.

- Daj spokój - szepnął Leon, podsuwając mu rękę. - Bo się obudzi.

Ptaka bezszelestnie przeskoczył na jego dłoń. Leon podniósł go i na palcach wyszedł z pokoju.

Dziewczynki nawet się nie poruszyły.

Zabrał go na dół, a potem na dwór, gdzie Betha czekała już przy koniu. Służący trzymał wodze siwka, ziewając i przecierając oczy. Wszystkie rzeczy starannie umocował za siodłem.

Leon mu podziękował i pocałował żonę jeszcze raz. Wskoczył na siodło i wyjechał za bramę, a potem pokłusował do zamku. Po pięciu minutach był już na dziedzińcu i specjalnie się nie zdziwił, nie widząc śladu Jaskra ani Maczugi.

- Ładnie się zaczyna - mruknął.

Objechał powoli dziedziniec, lecz dworak się nie pojawił.

- Ril, obudź jego lordowską wysokość.

Sylf spojrział na niego z niedowierzaniem, a potem niechętnie rozłożył skrzydła i pofrunął na drugie piętro jednej z wież. Leon przypuszczał, że poleciał szukać Maczugi. Usadowił się na parapecie jednego z okien i zaskrzeczał tak głośno i przeraźliwie, że pewnie słyhać go było nawet w domu Leona, który modlił się tylko, żeby wrzask nie obudził króla. Miał nadzieję, że Lizzy i jej siostry dalej śpią, zwłaszcza ta najmłodsza. Jeszcze tego by brakowało jego żonie.

Ril kogoś obudził. Szybko odfrunął z parapetu, unikając ciosu wielkiej, okutej w zbroję pięści, która się na niego zamachnęła. Leon uśmiechnął się pod nosem. Maczuga nie zaatakowałaby bez wyraźnego rozkazu. Oznaczało to, że Jasar już nie śpi.

Dziesięć minut później na dziedzińcu pojawił się sługa w liberii, podszedł do niego dumnie i się uklonił.

- Lord Jasar Doliard z Sialmeadow przesyła wyrazy ubolewania, ale nie będzie mógł dołączyć do was przez kilka godzin. Musi udać się na przechadzkę dla zdrowia - wyrecytował.

Leon nachylił się do niego.

- Powiedz jego lordowskiej wysokości, że jeśli nie zjawi się tu za pięć minut, pošlę Rila po jego jaja. Reszta może zostać w zamku.

Przycupnięty na jego ramieniu Ril zagruchał przenikliwie. Sługa zbladł, znów się uklonił i pospiesznie udał do zamku. Po dziesięciu minutach wyszedł z niego sam Jasar, w szlafroku. Za nim kroczył Maczuga. Leon widział, że dworak jest wściekły. Obaj popatrzyli na siebie gniewnie, otoczeni aurą wściekłości, którą roztaczały ich sylfy.

- Jak śmiesz! - warknął Jasar. - Nie wiesz, kim ja jestem?

- Doskonale wiem - odparł Leon. - Ubieraj się szybko albo wsiadaj na konia w szlafroku. Wszystko mi jedno.

- Nigdzie nie pojedę, dopóki się nie przygotuję!

- Chcesz, żeby tamten wojowniczy sylf uciekł?! - krzyknął Leon. - Chcesz tłumaczyć się z tego królowi? No, zbieraj się!

Jasar pienił się ze złości, na twarz wystąpiły mu czerwone plamy. Ale Leon go przekonał, więc odwrócił się, zwymyślał służącego, kazał mu przyprowadzić konia i przygotować rzeczy. Potem poszedł się ubrać. Maczuga go nie odstępował.

Nie pojawił się przez następną godzinę, doprowadzając Leona do szału. Słońce stało już wysoko nad horyzontem. Jeśli będą zwlekać, nie znajdą żadnych tropów. Co gorsza, kiedy Jasar się w końcu pojawił, okazało się, że ubrał się kompletnie nieodpowiednio: strój z koronek i aksamitu, wysokie buty i ozdobny płaszcz, na pewno niechroniący go przed deszczem.

Dworak rzucił mu gniewne spojrzenie i wsiadł na swojego konia - delikatną klacz, która nie wyglądała na odporną na trudy. Maczuga chwycił uzdę jucznego konia, dźwigającego na grzbiecie stos rzeczy. Leon nigdy czegoś takiego nie widział, ale tylko wzruszył ramionami. Zawrócił siwka i ruszył przodem, nie dbając o Jasara, który kłął jak szewc, starając się go dopędzić. Pewnie myślał, że będzie mu rozkazywał. Leon nie zamierzał na to pozwalać, dobrze pamiętał bezsensowną rozprawę z piratami. Wyjechali z miasta, kierując się w stronę wioski, gdzie Ril walczył z sylfem. Leon miał nadzieję, że odnajdzie ślad tamtego nad rzeką; tam go zgubił. Ale nie upłynęło dwadzieścia minut, a Jasar już zażądał postoju. - Oszalałeś?! - ryknął Leon. - Dopiero ruszyliśmy!

- Jestem zmęczony. To siodło jest za twarde!

- Co ty jesteś, baba? Nie zatrzymujemy się!

- Nie będziesz mi rozkazywał, prostaku!

Leon, doprowadzony do ostateczności, uniósł dłoń.

- Ril.

Jastrząb zasyczał i rozłożył skrzydła.

- M-maczuga! - wyjąkał Jasar, szarpiąc konia za wodze. Potężny sylf zasłonił go sobą i wbił wzrok w Leona.

- Naprawdę chcesz się przekonać, kto ma lepszego sylfa? I dowiedzieć się, co ci mogę zrobić, kiedy one będą

się ze sobą pojedynkować? Przestań wreszcie jęczeć i jedź za mną. Zmusili mnie, żebym cię zabrał, ale nie pozwolę ci schrzanić tej misji. Zrozumiano, szanowny milordzie? -wyrzucił z siebie rozsierdzony Leon.

Jasar popatrzył na niego. Dolna warga mu drżała

- Tak.

- Dobrze. - Leon spiął konia i ruszył przed siebie. Jasar nie nasłałby na niego Maczugi, gdyby choć trochę

obawiał się, że przegra. Mimo to Leon spojrzał na Rila, rzucając mu niemy, ale wyraźny rozkaz: obserwuj ich.

Ptaka odpowiedział wściekłym spojrzeniem, ale jego nienawiść na moment znikła; widać się z nim zgadzał. Odwrócił się na ramieniu Leona i jechał tak, obserwując tamtych bez mrugnięcia okiem. Po chwili Jasar zaczął się na to uskarżać, ale Leon nie zareagował.

Do Otalo dotarli koło południa. Leon spostrzegł starca, którego przesłuchiwał, i ciotkę dziewczyny. Oboje stali przed piekarnią i przyglądali im się z przerażeniem, ale nie chciało mu się do nich odzywać; uzyskał od nich wszystkie potrzebne mu informacje. Prowadząc za sobą dworzanię i oba wojownicze sylfy, przejechał szybko przez cichą wioskę i zagłębił się w las. Na urwisku nad rzeką zeskoczył z konia, żeby się rozejrzeć.

Psiakrew! Trop był bardzo wyraźny. Sylf schował się w rozpadlinie tuż pod ścianą urwiska, a potem wspinał się na nie i podążył na północ, zostawiając mnóstwo śladów.

- Mam go - syknął przez zaciśnięte zęby.

Kiedy wsiadał na konia, przez myśl przemknęło mu, żeby posłać Rila przodem, ale nie był pewny, czy ptak umiałby sam wytropić uciekiniera.

- To świetnie - odparł Jasar. Siedział na koniu i gapił się przed siebie, przyciskając do nosa chusteczkę, jakby czuł jakiś przykry zapach. Leon wzniósł oczy do nieba i wskoczył na siwka. Jeśli im się powiedzie, szybko odnajdą sylfa

i załatwią sprawę. Potem pozbędzie się tego gamonia, który mu tylko zawadzał.

Dotknął piętami boków wierzchowca i ruszył w głąb lasu; pochylony w siodle, wypatrywał śladów uciekiniera. Jasar westchnął i podążył za nim. Z tyłu Maczuga prowadził jucznego konia.

Galway wyszedł ze sklepu z ciężkim mieszkiem pieniędzy, bo sprzedał futra za dobrą cenę. Zobaczył, że jego towarzysz zniknął. Uniósł brwi i stojąc przy koniach, popatrzył wzdłuż drogi wiodącej na rozstaje, gdzie rozdzielała się na trakt do Para Dubh i starą ścieżkę, prowadzącą na Iłowy Płaskowyż. Chłopak wprawdzie nalegał, żeby nie tracili czasu w mieście, ale przecież nie ruszył chyba dalej piechotą, prawda? Galway chciał mu kupić buty i płaszcz, a potem zaprowadzić go do lekarza. Młody nie był ranny, ale wyraźnie coś mu dolegało. Czyżby był szalony albo głupi?

Na to wygląda, pomyślał traper, odwiązał konie i wskoczył na siodło. Nie zostawi go przecież w tym stanie, bo dzieciak nie wie, co robi. Bardzo przypominał Galwaya w młodości: humorzasty, obraźliwy i pełen idiotycznych pomysłów. Ktoś dorosły powinien wbić mu do głowy trochę rozumu i przypilnować, żeby nie wyrządził sobie krzywdy. Galway miał sporo szczęścia, że kiedyś spotkał kogoś takiego, i zawsze chciał oddać komuś podobną przysługę.

Rozbawiony tym, że młodzi zawsze chcą, żeby wszystko działało się „zaraz, natychmiast”, zawrócił konia i ruszył spokojnym kłusem na północ, prowadząc za sobą jucznego. Miał dużo pieniędzy i objechał już wszystkie pułapki. Zostało mu trochę wolnego czasu. Wprawdzie chciał wrócić wcześniej do żony i dzieci, ale rodzina przywykła do jego nieobecności. Mógł się zająć chłopakiem. Może zabierze go do domu i zatrzyma u siebie. Nie byłby to jego pierwszy wychowanek.

Chłopak odszedł dalej, niż Galway przypuszczał. Włókł się boso, w cienkiej tunice, z trudem opierając się na swej prowizorycznej lasce. Minał już rozdroże i podążał drogą prowadzącą naokoło Iłowego Płaskowyżu do Para Dubh. Tylko durnie skracali sobie drogę przez płaskowyż.

Galway zauważył, że dzieciak napiął się, wyczuwając jego obecność. Zwolnił i jechał obok niego. Wokół były tylko krzaki, drzewa i kamienie. Po niebie przewalały się ciemne chmury, a chłód zwiastował rychły śnieg.

- Ładny dzionek - odezwał się Galway, opierając dłoń na biodrze. W drugiej trzymał wodze.

Hejty nie odpowiedział, uparcie wpatrując się przed siebie.

- Ale chyba spadnie śnieg - mówił dalej. - W nocy zrobi się naprawdę zimno. Na płaskowyżu bywa bardzo mroźno, gdy znad gór nadciągnie arktyczne powietrze. Pomyślałeś o tym? Przecież jesteś boso!

Hejty skrzywił się i rzucił mu wściekłe spojrzenie. Tak nieraz patrzył na Galwaya jego szesnastoletni syn.

- Idź sobie! - warknął. - Bo cię zabiję!

- Niby czym? Tym kijem? Chyba trochę za cienki.

- Nie wiesz, kim jestem? - burknął dzieciak. Wyglądał tak, jakby miał się zaraz rozplakać. - Jestem niebezpieczny! Idź sobie stąd! Nie chcę od ciebie pomocy!

- Hm, tak mówisz, ale zdaje mi się, że jest inaczej. Poza tym przywykłem do niebezpieczeństw. Może cię podwieźć, skoro i tak zmierzamy w tym samym kierunku?

Hejty zadrżał i spróbował przyspieszyć, chociaż wyraźnie opadł z sił. Galway bez trudu dotrzymywał mu kroku: czekał, aż chłopak się zmęczy. Wkrótce. Dzieciakiem targała wściekłość i wyraźnie nie panował na emocjami. Zaraz się załamie.

- Spadaj! - zasyczał Hejty. - Obyś zdechł, draniu! Nie rozumiesz? Nie zbliżaj się do mnie! Nienawidzę cię!

Potknął się i omal nie upadł. Zbladł, choć przed chwilą poczerwieniał ze złości. Galway miał już dosyć.

- Ale ja cię nie nienawidzę - odpowiedział, podjechał bliżej, pochylił się, złapał go za ramię, wciągnął na siodło i otulił płaszczem. Hejty dygotał; próbował go odepchnąć, ale Galway przycisnął go tak mocno, że dzieciak nie mógł się ruszyć.

- Dlaczego jesteś dla mnie taki cholernie dobry? - zatkał, poddając się w końcu.

- Bo umrzesz, jeśli cię tu zostawię; nie każdy na tym świecie to podła świnia - odparł traper.

Nie mógł go od razu zabrać do domu, musiał się z nim najpierw dogadać. Chłopak chciał jechać na północ, więc pojedą. Iyala zrozumie.

Galway przynaglił konia, aby pokazać Hejty'emu, że szybciej dotrze do celu, jeśli nie będzie się sprzeciwiał. Dzieciak oparł się o niego. Pewnie z wyczerpania, ale zawsze to coś. Galpowali na północ. Nieważne dokąd. Przynajmniej na razie. Wystarczyło, że wiezie go tam, gdzie chłopak chce dotrzeć. Przecież na Iłowym Płaskowyżu nic nie ma.

Bardzo się zdziwił, kiedy okazało się, że był w błędzie.

ROZDZIAŁ 13

Trzydzieści kilometrów od miasta, w którym spotkali Cala, las skończył się i teren zaczął opadać, a ścieżka wiodła zakosami na skalistą i iłowatą równinę. Gdzieś tam lśniły niewielkie jeziorka. W oddali majaczyły wysokie, zaśnieżone góry. Solie siedziała wygodnie między Caliem a Devonem i się przyglądała. Cała kraina, aż po horyzont, była pusta

i zimna, zupełnie bez życia. Nic dziwnego, że król się nią nie interesował. Żaden człowiek by tu nie zamieszkał.

Droga zaczęła schodzić w dół, wciąż tak nierówna, jak w lesie. Właściwie w ogóle zniknęła, jakby nikt nie próbował podróżować przez to pustkowie.

Wóz był ciężki, a konie stare, ale z pomocą sylfów pewnie uda im się pokonać jeszcze z piętnaście kilometrów, zanim zapadnie zmrok. Solie popatrzyła na chmury z nadzieją, że nie zaczną padać śnieg. I tak było zimno. Lepiej, żeby nie utknęli w zaspach.

- Daleko jeszcze do obozu Wspólnoty? - spytała.

- Cztery dni drogi, jeśli utrzymamy dobre tempo - odrzekł Cal. - Zbudowaliśmy miasteczko w dolinie na północny wschód stąd. Zaoraliśmy ziemię; zaczęła rodzić, niedługo miały być żniwa. Całkiem nieźle to wyglądało. Zbocza doliny chroniły nas od wiatrów. W paru jaskiniach znaleźliśmy jakieś stare malowidła. Nie wiadomo, kto je namalował, ale na pewno strasznie dawno temu. Były na nich konie, jelenie i mnóstwo innych zwierząt.

- A gdzie jesteście teraz? - spytał Devon.

- Och, przepraszam. - Cal pokręcił głową. - Dostałem wiadomość, że są przy urwisku. To taka bardzo stroma ściana. Niektórzy z nas uważają, że zrobiono ją specjalnie, tylko że nie wiadomo po co. Od przodu nikt nie może się tam dostać bez sylfów, ale z drugiej strony zbocze jest na tyle łagodne, że da się po nim wjechać wozem. Trochę tam stromo i daleko do wody, ale to bezpieczne miejsce. Chyba dlatego tam się przenieśli. Ze szczytu rozciąga się rozległy widok. Będą wiedzieli o naszym przyjeździe na długo przed tym, zanim do nich dotrzemy.

Solie westchnęła; zastanawiała się co dalej. A może tamci wynieśli się gdzieś indziej? Ale wtedy wysłaliby prawdopodobnie kolejną wiadomość.

Potarła skronie. Bolały ją głowa i serce, bo wciąż myślała o Hejtm. Jak głupia bez przerwy oglądała się do tyłu, jakby

miał zaraz wyjechać galopem z lasu. Znowu się odwróciła dla pewności. Devon położył jej dłoń na ramieniu.

- Wszystko w porządku? - spytał cicho, żeby Cal go nie usłyszał.

- Ja., nie mogę przestać myśleć o Hejty. Prawie go nie znałam, a tak bardzo za nim tęsknię - zwierzyła mu się.

- Podobno zawsze tak jest, kiedy się straci swojego sylfa albo kiedy go odbierają... przykro mi, Solie.

- Poglądził ją po ramieniu.

Zagryzła wargę.

- Czy to z czasem przechodzi?

- Ojciec twierdzi, że tak. Wie, bo przecież oddał mi Airi. Odwróciła wzrok, nie chcąc więcej poruszać tego tematu.

Przynajmniej Devon z Airi byli bezpieczni i nikt ich nie śledził. Mogli przyłączyć się do Wspólnoty i zacząć nowe życie.

Może tam jest jakaś poczta i uda jej się namówić De-vona, żeby napisał w jej imieniu list do ciotki. Ale raczej będzie musiał poprosić Airi, żeby go zniosła. W milczeniu zastanawiała się nad treścią tego listu, ciągle jednak wracała myślą do Hejty'ego. Znowu zagryzła wargę i wpatrzyła się w swoje dłonie. Lepiej w ogóle o niczym nie myśleć.

Galway spokojnie galopował drogą, do chwili gdy wyjechali z lasu i znaleźli się na zboczu opadającym ku równinie. To, co tam ujrzął, sprawiło, że uniósł brew z prawdziwym zainteresowaniem. W dali widać było powoli poruszający się wóz; żółte koła wyraźnie odcinały się od szarego ładu.

- A to dopiero - mruknął pod nosem. - Chłopak rzeczywiście za kimś jechał. Tyle że bez pomocy nigdy by tego kogoś nie doścignął. Zakładając, że tym wozem rzeczywiście podróżuje jego dziewczyna.

Tracił Hejty'ego, który zasnął zaraz po tym, jak bez zastanowienia obrzucił go przekleństwami.

- Hejty! Popatrz.

Chłopak poruszył się, wyprostował i zamrugał. Galway musiał położyć mu dłoń na głowie i obrócić ją we właściwą stronę, a potem wskazać palcem wóz. Dopiero wtedy go zauważył.

Omam nie spadł z konia, tak się zaczął wyrywać. Galway ledwie zdążył go złapać i zamknąć w niedźwiedzim uścisku, bo spłoszyłby konia i obaj by z niego spadli.

- Uspokój się! - huknął. - Bo zlecisz na łeb!

- Błagam! - wyjęczał Hejty, wyciągając ręce. - Solie! Błagam!

Z rozpaczą popatrzył na Galwaya. Raz jeden spojrział mu prosto w oczy.

- Błagam! Zabierz mnie do niej.

Chłopcy i dziewczęta, zawsze tacy sami. Galway ukrył uśmiech; wiedział, że chłopak śmiertelnie by się na niego obraził. Ponaglił konia. Hejty naprężył się jak struna i wbił w przestrzeń wzrok pełen napięcia; wibrował z emocji. Galway postanowił nie uświadamiać mu, że dziewczyny przecież wcale może nie być na tym wozie. Wolał się nie mądrzyć, bo do niedawna sam nie przypuszczał, że na tym pustkowiu kogoś dościgną. Nawet on sam nigdy się tu nie zapuszczał. Nikt tędy nie jeździł, droga kończyła się po jakichś siedmiu kilometrach. Nie miał pojęcia, jak ci ludzie chcą podążać dalej.

Konie biegły równo, spokojnym tempem. Mogły je utrzymywać godzinami. Powoli dopędzali wóz. Galway nie próbował się kryć, ale tamci i tak dostrzegli ich dopiero wtedy, gdy byli już bardzo blisko. Dzielili ich niecały kilometr, gdy ludzie siedzący na koźle zaczęli się oglądać. Nagle jedna z postaci wstała. Jej długie włosy, widoczne nawet z tej odległości, powiewały na wietrze.

- Solie! - krzyknął Hejty. - Solie!

Z oddali napłynął dźwięk jej głosu; wołała chłopca po imieniu.

Galway się uśmiechnął. Lubił szczęśliwe zakończenia.

Hejty omal nie oszalał. Widział Solie, słyszał, jak wykrzykuje jego imię, i zalała go fala obłędnej wdzięczności do człowieka, który go trzymał w ramionach. Nie mógł sobie z tym poradzić. Przecież wszyscy mężczyźni są źli. Podpowiadał mu to instynkt. Tyle że akurat ten uratował mu życie i zawiózł go do królowej.

Konie pędziły galopem, ale dla niego i tak za wolno. Patrzył, jak Solie zeskakuje z wozu i biegnie ku niemu z wyciągniętymi ramionami. Jęknął cicho, a gdy Galway w końcu ściągnął wodze i zatrzymał wierzchowca obok niej, Hejty zsunął się prosto w jej objęcia. Nie utrzymała jego ciężaru i przewróciła się na ziemię.

Niezgrabnie upadła na plecy. Kamień wbił jej się w żebro, przygniał ją Hejty, ale to było nieważne. Żył, naprawdę żył, czuła ciepło jego ciała i pocałunki. Nie obchodziło ją, że ludzie na nich patrzą. Oddała mu pocałunek i przytuliła go czule, a potem rozplakała się z ulgi. Nie panowała nad sobą. Czuła jego umysł, jego niesamowitą radość, i zanosła się jeszcze gwałtowniejszym szlochem. A on całował ją i całował: wargi, policzki, oczy, szyję...

Devon podszedł do niej powoli. Z jednej strony cieszył się, że sylf żyje, a z drugiej bał się go śmiertelnie. Airi przytuliła się do jego pleców, promieniując chłodem, co oznaczało, że się z nim zgadza. Mężczyzna, który przywiózł Hejty'ego, zsiadł z konia i łagodnie popatrzył na Devona. Devon odpowiedział spojrzeniem, zdumiony, jak tamtemu udaje się zachować taki spokój.

- Galway - przedstawił się traper, wyciągając rękę.

- Devon. - Uścisnął jego dłoń. - Znalazłeś go? Galway popatrzył na zakochanych i zaśmiał się cicho.

- Tak. W lesie. Omal nie zamarzył na śmierć. Powiedział, że musi dogonić swoją dziewczynę. Cieszę się, że mu się udało. Straszny z niego uparciuch.

- Uparciuch? - Devon otworzył usta ze zdziwienia.

- Uhm. Trochę się stawiał, ale na pewno ma dobre serce. Devon spojrział na wojowniczego sylfa, zastanawiając się,

czy mówią o tej samej osobie. Sądząc z zachowania Solie, to na pewno był Hej ty. Tyle że nie emanował aurą nienawiści. Solie wprawdzie twierdziła, że on jej nie nienawidzi, ale żeby aż tak...

Widząc, że sylf właśnie wsunął jej język głęboko do ust, rzeczywiście nie należało się po nim spodziewać nienawiści.

Cal popatrzył na nich, rozbawiony.

- To jest ten Hejty?

- Na to wygląda - odparł Devon.

- Myślałem, że nie żyje.

- Ja też.

- Nie żyje? To dlatego na niego nie czekaliście? - spytał Galway.

Devon zawahał się, nie wiedząc, co odpowiedzieć, ale Cal nie miał oporów.

- Właśnie. Myśleli, że zabił go wojowniczy sylf. Nie mam pojęcia, jak udało mu się uciec. Ja bym nie potrafił bić się z sylfem. Chybabym się od razu zsikał w majtki i błagał o łaskę, chociaż wątpię, żeby to coś dało. Tak bym się pewnie zachował, gdybym był świadkiem ataku tamtych dwóch na naszą Wspólnotę.

Ten człowiek naprawdę nie umiał niczego utrzymać w tajemnicy. Devon rzucił mu potępiające spojrzenie, tyle że Galway wcale nie wyglądał na zaskoczonego. Był tak spokojny, że prawdopodobnie nic nie wytrąciłoby go z równowagi, nawet wiadomość, że właśnie uratował wojowniczego sylfa.

- Wspólnotę? - powtórzył. Popatrzył na wyładowany wóz, a potem na pustynny krajobraz. - Aha. To do niej jedzicie. Chyba się do was na trochę przyłączę. Czuję się odpowiedzialny za tego chłopaka. Chciałbym wiedzieć, co się z nim będzie dalej działo.

W jego głosie zabrzmiała karcąca nuta. I słusznie, pomyślał Devon. Z jego punktu widzenia, zostawili Hejty'ego samego, na pewną śmierć, tymczasem on postanowił się upewnić, że chłopcu już nic takiego nie grozi.

Nie wiedząc, czy kiedykolwiek nadarzy się okazja, by wyprowadzić go z błędu, Devon po prostu skinął głową.

- Dobrze.

Cal otworzył usta i zaraz je zamknął. Widać uświadomił sobie, że ten człowiek nie nadaje się na rekruta, według wymogów Wspólnoty.

- Ehm... - odezwał się jednak po chwili. - Nie wiem, czy się im spodobaś. Przed nami długa droga, długa i niełatwa, a tam, dokąd jedziemy, też nie jest za ciekawie.

- Nieważne - odparł Galway. - I tak pojedę z wami. Odwrócił się od nich i podszedł do młodych, który obści-

skiwali się tak mocno, jakby chcieli się nawzajem podusić. Złapał sylfa za tunikę i podniósł go, uwalniając dziewczynę.

- Wystarczy, później też będzie na to czas.

Devon krzyknął, przerażony, gotów uciekać przed furią wojowniczego sylfa. Sądząc po minie, Solie też się wystraszyła. Devon zauważyłby, że wyraz twarzy Hejty'ego jest komiczny, gdyby nie wiedział, jakie spustoszeń dokonał ten niby-chłopiec podczas pojedynku z Rilem. Nic się jednak nie wydarzyło. Hejty chwiał się na nogach, aż Galway podtrzymał go ramieniem.

- Nie chcesz chyba, żeby się od ciebie zarazila, prawda? - spytał.

- Jesteś chory? - jęknęła Solie i wstała z ziemi. Hejty uśmiechnął się, wpatrując się w nią maślanymi oczyma, a potem wzruszył ramionami.

Devon wziął głęboki oddech. Nie podobało mu się to.

- Mogę z nimi chwilę porozmawiać na osobności? -zapytał.

- Jasne - odparł Galway.

Podszedł do koni i podprowadził je do wozu. Cal zamrugał i podążył za nim, starając się przekonać go, żeby zostawił ich w spokoju.

Devon zebrał się na odwagę i spojrzał na dziewczynę i sylfa. Miał nadzieję, że uda mu się czegoś dowiedzieć, nie wzbudzając jego złości. Jakim cudem Galway dawał sobie z nim radę?

Solie popatrzyła na niego niepewnie i objęła Hejty'ego. Sylf oparł głowę na jej ramieniu, wyraźnie wyczerpany.

- Myślałem, że nie żyjesz - odezwał się Devon cicho. -Wszyscy tak myśleliśmy. Nigdy byśmy cię nie zostawili, gdybyśmy wiedzieli, że przeżyłeś.

Wojownik uniósł głowę i rzucił mu gniewne spojrzenie, ale już po chwili ukrył twarz na piersi Solie.

- Schowałem się - odpowiedział miękko. - Kiedy niebezpieczeństwo minęło, poszedłem w ślad za królową.

- Wiedziałaś - szepnęła Solie. - Nie mam pojęcia skąd, ale wiedziałaś. Wiedziałaś, że żyjesz.

Uśmiechnął się do niej. Devon zmarszczył brwi.

- Dlaczego tak długo trwało, zanim nas dopędziłeś? I dlaczego przestałeś tak... no...

- Budzić lęk? - Sylf westchnął. - Chyba umieram.

W odpowiedzi na przerażone westchnienie Solie przytulił ją do siebie.

- Mimo to jestem szczęśliwy.

- Jak możesz być szczęśliwy, skoro umierasz? - jęknęła.

- Bo jestem z tobą.

Solie z rozpaczą popatrzyła na Devona. Odwrócił wzrok. Nie miał pojęcia, jak się leczy umierające wojownicze sylfy. Nic nie wiedział o ich zdrowiu. Przecież one nie chorują!

- Airi? - zapytał. - Możemy mu jakoś pomóc? *My nie.*

Westchnął i pokręcił głową. W ludzkiej postaci, bez otaczającej go aury nienawiści, Hejty nie wyglądał na wojowniczego sylfa, tylko na chorego chłopca.

- Nie mówmy nikomu, kim on jest, dobrze? Nie wiem, jak oni by to przyjęli. Chodźmy - dodał, kiedy zapłakana Solie skinęła głową.

Pomógł im podejść do wozu. Hejty opierał się ciężko na Solie. Devon zastanawiał się, czy sylf aż tak źle się czuje, czy po prostu chce być blisko niej. Wdrapali się na wóz, a Solie okryła chłopaka kocami. Devon usiadł z Calem na koźle i ruszyli w drogę. Galway bez trudu nadażał za nimi. Devon, zmartwiony, starał się nie oglądać na zakochaną parę z tyłu. Co to wszystko znaczy?

Solie leżała w wozie na kocach okrywających Hejty'ego. Sylf opierał się o worek ryżu i spoglądał na nią rozradowany, tuląc w dłoniach jej twarz.

Ona też musiała go stale dotykać. Głaskała go po włosach i policzkach, a on odpowiadał na to pomrukiwaniem. Żył! Wypełniał sobą tę straszną pustkę, która jeszcze niedawno ją przytłaczała. Jej wojowniczy sylf był tuż obok i czuła, jak bardzo jest szczęśliwy. Otarła łzę i pochyliła się, by go pocałować.

Uśmiechnął się do niej. Wyglądał bardzo źle.

- Też za tobą tęskniłem.

- Co się z tobą działo?

Wóz najechał na kamień. Hejty skrzywił się, a ona, widząc to, zagryzła wargę.

- Był starszy ode mnie. Myślałem, że go pokonam, bo nie mógł zmienić swojej postaci, ale on mnie i tak zniszczył. -Na moment odwrócił wzrok. - Zabiłby cię.

- Devon z Airi mnie uratowali. Byłeś bardzo dzielny. Gdyby nie ty, nie udałoby mi się stamtąd uciec. Znowu uśmiechnął się radośnie.

- Nie umrzesz, prawda? Nie mówiłeś chyba serio. - Głos jej się załamał. - Przecież dopiero mnie odnalazłeś.
- Nie wiem... - odparł ponuro. - Zranił mnie... Ja... Ja spróbuję się pozbierać.
- Pochyliła głowę i przycisnęła czoło do jego czoła. Objął ją za szyję; jego ręka wydawała się bardzo ciężka.
- Nie umieraj - szepnęła. - Nie wolno ci umrzeć, rozumiesz? W ciągu trzech dni dotrzemy na miejsce.
- Tak, królowo.
- To rozumiem. - Pocałowała go w czubek nosa. - Jeśli mnie opuścisz, nie będę mogła być dalej twoją królową. - Uśmiechnęła się.
- W takim razie cię nie opuszczę - obiecał. - Nigdy.

ROZDZIAŁ 14

Pierwszy raz w życiu Leon i jego wojowniczy sylf byli dokładnie tego samego zdania. Obaj uznali, że Jasar Doliard powinien jak najprędzej zejść z tego świata. Leon podejrzewał, że Maczuga, choć był wojowniczym sylfem tamtego, też by się z nimi zgodził.

Tropiąc ślady w gęstym leśnym poszyciu, Leon wbijał wzrok w ziemię i z całych sił zmuszał się, by nie zwracać uwagi na jadącego za nim dworaka. Ale okazało się to niemożliwe. Jasar bez przerwy narzekał. Chciał zatrzymać się na postój albo jechać wolniej, albo szybciej, życzył sobie gorących posiłków lub przekąsek. Chciał też rozbijać obóz na długo przed zmrokiem i ruszać w drogę późnym rankiem. Gdyby nie Maczuga, Leon dawno wyprułby z niego flaki i pochował trupa.

Jasar nie przestawał wrzeszczeć na swojego sylfa, nieustannie go poniżał. Leon stwierdził, że to najgłupsza rzecz,

jaką można zrobić na tym świecie. Aura nienawiści, jaką emanowały spokojne wojownicze sylfy, porażała wszystkich w ich otoczeniu, a co dopiero aura zirytowanego wojownika. Maczuga maszerował z tyłu, prowadząc jucznego konia. Promieniował tak straszną pogardą, że więdły liście na drzewach. Leona koszmarnie rozboleła od tego głowa. Nawet Rila to chyba drażniło. Minał drugi dzień podróży, a oni wciąż znajdowali się w środku lasu, tropiąc wojowniczego sylfa w ludzkiej postaci. Powinno to być łatwe, ale Leon, obolały, nie potrafił się skupić. Sylfa zabrał ze sobą ktoś na koniu - tyle udało mu się odczytać ze śladów, nie potrafił jednak odgadnąć, kto to był. Wyglądało to bardzo dziwnie, ale przynajmniej podążali właściwym tropem.

Wędrowali na północ, ku pogranicznemu miasteczku, w którym zaopatrywali się miejscowi drwale i traperzy. Pewnie sylf przyłączył się do któregoś z nich. Ale dlaczego? Jak poważne odniósł obrażenia?

Jadący z tyłu Jasar znowu wrzeszczał do swojego sylfa - coś o małym penisie. Było to tak absurdalne, że Leon w końcu odwrócił się do nich tak gwałtownie, że omal nie zrzucił Rila z ramienia. Sylf wbił głęboko szpony w skórzany ochraniacz. Leon skrzywił się i jeszcze bardziej się zirytował.

- Zamkniesz się wreszcie?! - huknął. - Twój sylf pewnie w ogóle nie ma fiuta! Skończ z tymi porównaniami!

Twarz Jasara stężała ze złości. Maczuga z ponurą miną minął ich obu.

- Nic o tym nie wiesz - odparł lodowato dworak.

- Wiem jedno, że zaraz przez ciebie zwariuję. Przestań drażnić Maczugę. Sieje taką nienawiść, że rozboleła mnie głowa.

- Nie wytrzymujesz? - zadrwił Jasar. - Ale twardziel z tego dowódcy królewskiej straży! Boi się zwykłej nienawiści wojowniczego sylfa.

- Jak to się stało, że w ogóle dostałeś sylfa? - Leon ze zdziwienia pokręcił głową. - Dziwne, że nikt nie zadusił cię jeszcze w kołysce.

- Lepiej uważaj, bo ciebie ktoś zadźga we śnie - odgrażał się Jasar.

Leon zazgrzytał zębami, a Ril zaskrzeczał przenikliwie. Tropiciel wiedział, że sylf za nim nie przepada, ale Jasara wyraźnie nienawidził o wiele bardziej. Zrobiło mu się szczerze żal Maczugi. Tak się rozeźlił, że przestał uważać na słowa. Jasar i tak niewiele mógł mu zrobić, zwłaszcza gdy Ril był w pobliżu.

- Idiota! - warknął. - I zwyrodnialec. Na pewno cieszyłeś się, kiedy mordując tę kobietę, przywoływałeś Maczugę.

- A ty nie? Założę się, że też miałeś z tego frajdę!

- Ten widok wciąż prześladowuje mnie po nocach! Nigdy bym tego nie zrobił, ale nie miałem wyboru! - ryknął Leon. - A ciebie dlatego tu ze mną wysłali, że spodobało ci się zabijanie kobiet! Doprowadzasz mnie do szału!

Słyszał oczywiście o zabiciu dziewczyny. Jasar znalazł jakieś chore wytłumaczenie na to, że zamordował bezbronną dworkę. Leon nigdy nie widział większego tchórza. Ten gnój bał się, nawet gdy miał przy sobie Maczugę. W dodatku uwielbiał dręczyć słabszych.

- Zamknij się! - wrzasnął. Jego wojowniczy sylf szedł przed siebie, nie oglądając się na nich. - Maczuga! Wracaj!

Sylf wrócił i aura nienawiści znów ich otoczyła.

Dwie godziny później znaleźli się w mieście. Choć nastąpiło dopiero popołudnie, Leon z przyjemnością powitał postój. Głowa dokuczała mu coraz bardziej, żołądek ścisnął się boleśnie. Tęsknił za rodziną tak mocno, że było mu od tego niedobrze. Najchętniej zabiłby towarzysza podróży.

Jasar niezmiernie ucieszył się na widok miasteczka, natomiast jego mieszkańcy spanikowali.

Wojownicze sylfy

były w tak okropnym nastroju, że ulice świeciły pustkami, zanim na nie wjechali. Nie napotykając żywej duszy, dotarli do jedynej gospody w mieście.

- Oni nazywają to gospodą? - spytał pogardliwie Jasar. Leon bez słowa zsiadł z konia i wniósł Rila do środka.

Mężczyźni, którzy się tam skryli, patrzyli z przerażeniem, jak wchodzi i zwraca się do karczmarza.

- Chcę mieć pokój jak najdalej od tego skunksa, który czeka na dziedzińcu. I niech ktoś się zajmie moim koniem. Jedzenie proszę podać mi do pokoju. Szybko.

Znużony, skierował się ku schodom. Przestraszona kobieta w fartuchu wyprzedziła go, by pokazać mu drogę.

- P-proszę za mną - wyjąkała, unosząc spódnicę, żeby wejść na schody.

Ruszył za nią.

Była chuda, ale młoda i ładna, i miała sympatyczną buzię. Teraz ze strachem zerkała przez ramię na Rila. Spojrzał na niego.

- Ona się ciebie boi - powiedział.

Złote oko spoczęło na nim i aura nienawiści przygaśla, przynajmniej ta, która emanowała od niego, bo Maczuga wciąż był wściekły, tyle że tkwił na dworze. Dziewczyna uspokoiła się trochę i popatrzyła na Leona wielkimi oczami.

- On się pana słucha? - wykrztusiła.

- Kiedy nie ma innego wyjścia - przyznał.

Zachichotała, ale zaraz udała, że kaszle; starała się zachować powagę. Ril przechylił łeb na bok i Leon też musiał powstrzymać śmiech. Ból głowy osłabł.

Dziewczyna zaprowadziła go do pokoju na końcu korytarza. Był czysty, skromny i miły. Otworzyła okno, a Leon posadził Rila na oparciu krzesła. Sylf obserwował otoczenie, równie spokojny, jak wśród rodziny. Dziewczyna wyczuła jego wzrok i drgnęła, ale chyba niezbyt się przejęła.

- Nie jest wcale taki straszny, prawda? - spytał Leon. Dał jej miedziaka. - Za fatygę. - Przez chwilę trzymał pieniążek na jej dłoni. - Mój towarzysz podróży, ten z wielkim wojowniczym sylfem... ostrzeż swoje koleżanki, niech go unikają. Potrafi być bardzo... nieprzyjemny.

Dziewczyna zamrugła i dygnęła.

- Dziękuję za życzliwość, wasza lordowska mość.

- Nie jestem lordem. Gdyby ten człowiek... narzucił się któregoś z was, krzyknijcie tylko: „Ril!” Wtedy nadejdzie pomoc.

Popatrzył na sylfa.

- Zrozumiano?

- Tak, milordzie - powiedziała służąca, a ptak skinał głową.

Leon odprawił ją i ciężko usiadł na łóżku. Odpoczywał chwilę, a potem ściągnął buty i odstawił je na bok. Skóra stała się szorstka. Trzeba je będzie nasmarować sadłem, bo zaczną przemakać. Postanowił, że przejrzy cały sprzęt, żeby sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku. Nie ufał nawet samemu sobie, kiedy podróżował w tak koszmarnej atmosferze.

- Gdzie się podziała twoja nienawiść? - spytał Rila. - Myślałem, że mi dowalisz, jak tylko ona sobie pójdzie.

Ptak łypnął na niego złotym okiem.

- Co? Nienawidzisz Jasara tak bardzo, że ja wypadam lepiej przez porównanie?

Mrugnięcie.

- To ma być potwierdzenie? - Leon przesunął dłonią po włosach. - Chyba muszę być bardzo zmęczony, skoro zadaję pytania, na które nie możesz mi odpowiedzieć - mruknął.

Pomyślał o sylfie, którego tropili. Tamtemu wolno było mówić. Jego pani nie wiedziała o zakazie.

Znowu spojrzął na Rila.

- Do diabła, jak to się mogło stać? Wiem, że nie potrafisz mi tego wyjaśnić, po prostu myślę na głos. Jakim cudem

ta dziewczyna związała się z wojowniczym sylfem, kiedy was, dranie, może zwabić tylko śmierć kobiety? Dlaczego tak bardzo lubicie kobiety, skoro potrzeba aż śmierci jednej z nich, żeby stworzyć z wami więź?

Ril cisnął w niego tak potężną kulą nienawiści, że Leon zachwiał się i krzyknął z bólu. Nagle uświadomił sobie, że jego sylf skrzeczy tak przeraźliwie, że dzwonią szyby w oknach. Z daleka rozległ się krzyk Jasara, który kazał mu się zamknąć i groził, że naśle na niego Maczugę.

Leon upadł na łóżko, przyciskając dłonie do czoła, by powstrzymać koszmarną migrenę. Ril nigdy przedtem czegoś takiego nie zrobił. Leon nie wiedział nawet, że sylf potrafi uderzyć z taką mocą. Musiał być wściekły. Tropicielel wyprostował się powoli i usiadł. Spojrzał na ptaka, choć przed oczami tańczyły mu migrenowe plamy. Zawsze marzył, że zdobędzie jego przyjaźń. Czasem wydawało mu się, że ma na to szansę, kiedy Ril jakby zapominał, że musi go nienawidzić. Ale w tym momencie stracił wszelką nadzieję i poczuł szczery żal.

Wiedział, że więź między panem a zwykłym sylfem jest obustronna i w pewnym sensie bardziej intymna niż małżeństwo. Ludzie mówili, że wojownicze sylfy są inne, ale on w to nie wierzył.

Wymyślono to po to, by jakoś radzić sobie z tą nienawiścią i głębokim smutkiem, który nieodłącznie jej towarzyszył. Choć może to tylko Leon się smucił, czując, jak szczerze Ril go nie znosi.

- Co ja takiego zrobiłem, że cię tak rozdrażniło? - szepnął.

Ril rozłożył skrzydła i zasyczał.

Nagle rozległo się ciche, nieśmiałe stukanie do drzwi.

- M-milordzie? - zapytał dziewczęcy głos. - Przyniosłam jedzenie.

Leon westchnął. Ril nigdy nie odpowiadał. Na żadne pytania.

- Wejdz! - zawołał.

W drzwiach stanęła ta sama służąca co przedtem. Gdy Ril powściągnął swoją nienawiść, weszła do środka, z talerzem i kubkiem na tacy. Postawiła je na stole, a potem lekko dygnęła.

- M-milordzie? - odezwała się, spuszczać głowę -Mój tata prowadzi tę gospodę. Prosił, żebym pana spytała, jak uspokoić tego drugiego sylfa. Jest w stajni, ale wszyscy naokoło wariują ze strachu.

Typowe dla Jasara. Zostawił swojego sylfa na zewnątrz, ryzykując zamach na siebie. Leon żałował, że nikt jeszcze nie wykorzystał takiej okazji.

- Jak ci na imię, panienko? - zapytał.

- Sally, milordzie. Podszedł i ujął ją za rękę.

- Słuchaj, Sally, jeśli chcesz uspokoić Maczugę, poczekaj, aż jego pan zamknie się w pokoju; potem idź do tego sylfa i powiedz mu, że się go boisz. Jestem pewny, że przestanie się ciskać.

- J-ja, panie?

- Tylko ty. Nie twój ojciec. Nie twoi bracia. Ty. Odwrócił się i podszedł do stołu.

- Dziękuję, milordzie.

Gdy wybiegła, Leon zasiadł do posiłku, odkładając wszystko inne na później.

Sally postanowiła posłuchać Leona. Wyszła na dwór, a potem ruszyła do stajni, mnąc w dłoniach fartuszek. Ojciec wyraźnie uczeplił się rady, że to ona powinna uspokoić sylfa. Innych ochotników nie było, a poza tym nikt nie chciał mieć do czynienia z tym drugim szlachcicem. Rzucił talerzem w służącą; a oni przecież nie wiedzieli, co takiemu podaje się do jedzenia. Miała szczęście, że obsługiwała tego miłego. Szkoda tylko, że musi iść do tego sylfa.

Ze stajni emanowała namacalna nienawiść. Gdyby nie obawa przed różgą ojca, Sally nigdy by się nie odważyła tam wejść.

- Panie Maczugo? - szepnęła nieśmiało. Osłupiała, gdy nienawiść zgasła w jednej chwili. Podeszła do niego z lękiem, żeby wytłumaczyć, o co jej chodzi.

- Panie Maczugo? - powtórzyła.

Wojowniczy sylf wysunął się z cienia do boksu i spojrzał na nią. Przełknęła ślinę. Był ogromny, a spod hełmu świeciły czerwone, niesamowite oczy. Ale teraz nie bała się go aż tak bardzo. Przycisnęła dłoń do piersi i znowu przełknęła ślinę.

- Tata prosi, żeby pan nas tak nie straszył. Ja... pan mnie przeraża. Czy mógłby pan przestać?

Sylf bez słowa skinął głową, a ona odetchnęła głęboko, drżąc na całym ciele.

- Dziękuję - szepnęła i wybiegła na dwór, głęboko poruszona czymś, co nie miało nic wspólnego ze strachem.

Trzęsąc się, wpadła do gospody i zajęła się pracą. Ale kiedy wszyscy już głęboko spali, wróciła do stajni i wyszła z niej dopiero przed samym świtem.

Ziemna sylfka Styria pracowała jak szalona, wyrównując ziemię i popychając po niej kamienną płytę, na której tkwiły wóz Cala i konie. Poruszali się z obłądną szybkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Przerażeni ludzie kurczowo trzymali się wozu; szalejącym ze strachu zwierzętom musieli założyć opaski na oczy.

Solie jęczała ze strachu, ze wszystkich sił ściskając dłoń Hejty'ego. To z jego powodu poruszali się tak szybko, pozostawiając za sobą pas zrytej ziemi. Osłaniała ich Airi, żeby pęd powietrza nie zdmuchnął nikogo z platformy. Ziemna sylfka była dużo starsza i silniejsza od Arii, która drżała ze zmęczenia.

Tylko spokojne wsparcie koleżanki nie pozwalało

jej paść z wyczerpania. Podróżowali w ten sposób od świtu, kiedy Solie obudziła się i spostrzegła, że Hejty w nocy otarł się o śmierć.

Leżał na wozie i słuchał ich rozmów. Czuł przerażenie mężczyzn i strach swojej królowej. Ale nie mógł już wstać, bo miał za mało energii; nie dość nawet, żeby pożywić się aurą Solie. Leżał tylko i oddychał ciężko, czując, jak powoli odpływa w poczuciu porażki. Nakazywała mu, żeby się nie poddawał, ale tego rozkazu nie mógł już wykonać. Ril trafił go z mistrzowską precyzją.

Odgarnęła mu włosy z czoła... te miękkie loki stworzył na jej życzenie. Jej dotyk nappełnił go szczęściem, ale i żalem. Zabrakło mu czasu, żeby się z nią kochać, żeby ostatecznie ukształtować więź, która uczyniłaby ją królową jego roju i rodu. Zawiódł jako wojowniczy sylf, przegrywając pierwszą walkę. Nie był godny Solie.

- Przepraszam - szepnął. Gwałtownie pokręciła głową.

- Nie poddawaj się - rozkazała. - Zaraz będziemy na miejscu.

- Już jesteśmy - poprawił ją Galway, wciąż trzymając się wozu.

Solie się wyprostowała. Nad nimi wznosiły się ogromne, strome góry; błyskawicznie rosły, w miarę gdy pędzili ku nim po równinie. Przed nią strzelało w niebo urwisko o idealnie prostej krawędzi, jakby wycięła je jakaś niewyobrażalnie potężna siła. Stria właśnie obracała wóz, by wjechać na nie od tyłu. Zbocza były tam łagodniejsze, choć porośnięte niskimi, kolczastymi krzakami i pokryte skalnymi odłamkami. W górę wiodła zryta koleinami droga, ukryta wśród pagórków i ocieniona szczytami. Na płaskowyżu rozciągającym się tuż za tym dziwnym wzniesieniem spokojnie pasły się stadka bydła, pożywiając się belami siana. Konie uwiązano, a krów i owiec pilnowali

pasterze w szerokich płaszczach, chroniących przed wiatrem i zimnem.

Stria wciąż przesuwała wóz w błyskawicznym tempie, mijając przestraszone zwierzęta i ich opiekunów. Solie patrzyła, jak pasterze nikną w oddali, choć próbowali ich gonić.

Nagle otoczyły ich sylfy, ogniowe i powietrzne, krzycząc dziwnymi głosami, by się zatrzymali. Cal odkrzyknął, że są przyjaciółmi. Solie spojrzała na Hejty'ego i ujęła jego dłoń.

- Jesteśmy na miejscu, Hejty. Odwagi. W odpowiedzi zamknął oczy.

Oddychał bardzo powoli. Ledwie wyczuwała jego serce.

- Hejty? Dotarliśmy do celu!

Platforma z wozem i końmi wjechała na szczyt urwiska, zwolniła i zatrzymała się przed obozowiskiem i skalnymi kopułami, utworzonymi przez ziemne sylfy. Mimo zimna zaczęli się gromadzić ludzie, szepcząc coś między sobą. Większość z nich była uzbrojona.

Devon uniósł ręce, gdy Galway chwycił Hejty'ego w ramiona, razem z kocem i pościelą, i zeskoczył z wozu. Solie siadła za traperem, który obracał się z sylfem na rękach, niepewny, dokąd iść.

- Pilnie potrzebujemy pomocy! - krzyknął. - Macie lekarza, prawda?

Podszedł do nich jakiś mężczyzna o rzednących włosach, z ręką na temblaku.

- Kim jesteście? - zagadnął i spojrzał na Cal. - Co ty narobiłeś?

Cal próbował odpowiedzieć, ale zaczął się jąkać.

- Nie kłóćcie się. - Galway podszedł do nieznanego ze stanowczą miną. - Ten chłopak umiera.

Solie patrzyła ze strachem na mężczyznę, modląc się, żeby potrafił im pomóc.

- Nie wiem, czy dacie radę coś zrobić... - zaczął Devon, rozkładając ręce. Solie spojrzała na niego z gniewem. - Czy lekarz pomoże.

- Proszę - zaczęła btagać, nie dbając o to, że mogą wziąć ją za histeryczkę. - Proszę, uratujcie go. Nie wyobrażała już sobie życia bez Hejty'ego u swojego boku i bez jego emocji w umyśle. Uzależniła się od niego i nie przeżyłaby tej straty.

Uzbrojeni mężczyźni zaczęli coś szeptać. Między nimi pojawiły się kobiety i mnóstwo sylfów, które przeważnie przypominały dzieci. Zresztą ludzkie dzieci też przyszły im się przyjrzeć.

Jedna z sylfek zaczęła się ku nim przepychać przez tłum. Podbiegła do Hejty'ego. Miała sylwetkę dorosłej kobiety o tak miękkich i niewyraźnych zarysach, jak rzeźba wystawiona przez wieki na powiewy wiatru. Z błyszczącymi oczyma zbliżyła się do niego. Solie poczuła jej moc, tak jak wcześniej wyczuwała potęgę wrogiego wojowniczego sylfa. Ale ta moc była inna; nie niosła ze sobą zagrożenia.

- Łut Szczęścia! - krzyknął ktoś. - Czekaj!

Sylfka nie zwróciła na to uwagi, tylko chwyciła Hejty'e-go. Opadła na kolana i przycisnęła go do siebie, emanując mocą. Czuła jego ból, gdy jeszcze był na równinie, niesiony ku niej przez powietrzne i ziemne sylfy. Ukrył swoją aurę, żeby nie ujawniać, kim jest, ale ona ją wyczuwała. To był wojownik, więc musiała go uleczyć. Zawsze uzdrawiano ich pierwszych, nawet przed królowymi. Przecież oni bronili roju. A ten był ranny. Jeśli przeżyje, będą mieli własnego wojownika - wprawdzie młodego, ale jednak wojownika!

Wyczuła miejsce rozdarcia; ktoś przeciął jego ochronny płaszcz, tak że energia wyciekała kroplami, osłabiając chłopaka; nie mógł się już sam odżywiać i powoli umierał. Ale jego płaszcz wciąż istniał, więc zaczęła go pracowicie łątać, zaszywać otwarte rany. Całą swoją moc przelała w jego ciało.

Słyszała narzekanie swojego pana, lecz to, co robiła, miało służyć także i jego ochronie, a poza tym nie umiał wydawać stanowczych rozkazów. W miarę uzdrawiania sama blakła

coraz bardziej. Splatała ciało wojownika na powrót, choć jej własne szybko się rozpadało.

Solie z podziwem patrzyła, jak sylfka lśni, otaczając połyskliwym światłem nieruchome ciało Hejty'ego. Wszyscy umilkli. Stali nieruchomo na zimnym wietrze, patrząc na ten cud. Niewiele właściwie widzieli, ale Solie doskonale zdawała sobie sprawę, co się dzieje. Jej więź z Hejtem powróciła w całej pełni. Poczowała, jak zapłonął w nim przenikliwy ból i nagle ustąpił, a potem Hejty zaczął odzyskiwać siły. Wyczerpana, padła na kolana.

W końcu uzdrowicielka osiągnęła swój cel. Sama była tak osłabiona, że została z niej tylko maleńka kulka energii. Zadrżała, uniosła się w powietrze i chwiejnie pofrunęła do jakiegoś przestraszonego łysego mężczyzny, który czule ujął ją w dłonie i zaniósł do namiotu, krocząc ostrożnie pośród rozstępujących się przed nim ludzi.

Człowiek z temblakiem popatrzył za nim, a potem z ponurą miną zwrócił się do przybyszów, wyraźnie niezadowolony z tego, do jakiego stanu doprowadziła się uzdrowicielka dla jakiegoś obcego.

- Kim jesteście? - warknął.

Uzbrojeni mężczyźni skupili się wokół niego, w otoczeniu swoich sylfów.

- Solie?

Hejty usiadł na ziemi, podrapał się w głowę i rzucił wściekle spojrzenie na mężczyzn, choć nie ujawniał swojej aury. Widziała, że jest zmęczony, ale wyczuwała w nim tylko oszołomienie, nie ból.

Podbiegła do niego z cichym okrzykiem i go objęła.

- Och, Hejty! Ty żyjesz!

Uszczęśliwiony, też ją uścisnął, lecz nie spuszczał oczu z kręgu uzbrojonych mężczyzn.

- Nie rób tego - szepnęła. - Chyba że nie będzie innego sposobu.

Napiął ramiona na znak, że rozumie.

- Nie znam moich towarzyszy za dobrze - odezwał się Galway w odpowiedzi na pytanie tamtego. - Ja nazywam się Galway, a ten chłopak to Hejty. Jestem traperem, poluję od strony Eferem. Znalazłem Hejty'ego w lesie. Ona jest z nim. - Wskazał na Solie, a potem uniósł kciuk i wycelował go w Devona i Cala.

Devon popatrzył na zbrojnych i powoli opuścił dłonie.

- Nazywam się Devon Chole, a ta dziewczyna to Solie. Hejty jest z nią. Moja powietrzna sylfka ma na imię Airi. My... No cóż, uciekamy przed ludźmi króla. Cal powiedział, że nas przyjmiecie.

Cal uśmiechnął się półgębkiem.

- To prawda. No. Tak powiedziałem - wykrztusił. Przywódca przesunął wzrokiem po ich twarzach i westchnął.

- Dobra. Jak widać Łut Szczęścia uznała, że jesteście tego warci. Więc witajcie we Wspólnocie. Ja nazywam się Morgal. Kieruję radą, która tu rządzi. Będziecie mi podlegać.

Cal zbladł.

- Co się stało z Norem i resztą?

- Nie żyją. Wzięli na siebie atak wojowniczych sylfów, kiedy my uciekaliśmy - wyjaśnił Morgal. - Wiedziecie, że zostaliśmy zaatakowani? - zapytał towarzyszy Cala.

- Nie - odpowiedział Galway.

- Tak - odparł Devon w tej samej chwili. Morgal pokręcił głową.

- To była wyłącznie nasza wina - przyznał. - Powinniście to wiedzieć, jeśli chcecie tu zostać.

Napadliśmy na kilka powietrznych statków należących do Eferem, żeby zdobyć zapasy na zimę. To się już nie powtórzy. Nie mamy wiele, ale znajdzie się dla was miejsce, pod warunkiem że będziecie chętni do pracy. Devonie, twoja powietrzna sylfka nam się przyda. Chłopak i dziewczyna mogą pomagać w gospodaro-

waniu. Dzięki temu nie nabroją za dużo. A ty... - Spojrzał na Galwaya.

- Długo tu nie zabawię. Pojechałem z nimi, bo chciałem się upewnić, że chłopakowi nic się nie stanie.

Chyba że nie pozwalacie nikomu stąd odjechać? - spytał traper.

- Pozwalamy - westchnął Morgal. - Nie jesteśmy okrutni. Po prostu obiecaj, że nikomu nie zdradzisz, gdzie obozujemy. I tak nas niedługo wytropią.

- Obiecuję. - Galway uściśnął mu dłoń.

Solie z wdzięcznością przytuliła się do swego sylfa.

- Jesteśmy bezpieczni, Hejty. Możemy tu zostać!

- Co to takiego „gospodarowanie”? - zapytał.

ROZDZIAŁ 15

Sylfy harowały, doprowadzając wodę na szczyt wzgórza i drążąc w nim tunele i jaskinie, aby ludzie mieli gdzie się skryć przed nękającym ich nieustannie zimnem, więc większość prac w obozie powierzono młodzieży, po to, żeby wykorzystać jej energię, lecz i po to, żeby nie broiła, jak to określił Morgal.

Spoglądając wokół z przerażeniem, Hejty ujął w dłonie kamień, podniósł go, wyginając się pod ciężarem, podreptał na skraj urwiska i zrzucił go w dół. To samo zrobił nieszczęśnik obok niego.

- To już koniec? - zapytał go cienkim głosem.

Tamten, krostowaty piętnastolatek o imieniu Relig, rzucił mu wrogie spojrzenie. Hejty uważał, że traktuje tego człowieka naprawdę dobrze, bo nie zagroził mu śmiercią.

- Musimy przed obiadem wywalić cały stos, bo ta stara wiedźma nie da nam jeść - padła wzgardliwa odpowiedź.

Hejty popatrzył na wielką stertę kamieni i pożałował gorzko, że Solie kazała mu ukryć swoją prawdziwą naturę. Relig mruknął coś o latrynie i zniknął za załomem skały. Hejty natychmiast wykorzystał jego nieobecność, złapał kilka dużych kamieni i nie ruszając się z miejsca, cisnął je w przepaść. Właśnie chwycił mniejsze, kiedy spostrzegł, że zbliża się jakiś samiec. Natychmiast ujął jeden z nich tak, jak robili to ludzie, i podreptał w stronę urwiska.

Zrozumiał wreszcie, choć nie bez oporów, że samce w tym świecie są zupełnie inne niż w jego rodzinnej krainie. Galway uratował mu życie, a Devon ocalił Solie. Cal był idiotą, ale pomógł im dotrzeć do tego miejsca. Hejty uznał, że stać go na odrobinę wyrozumiałości, tym bardziej że uszczęśliwiał w ten sposób Solie.

Zza stosu kamieni wyszedł chłopiec, który omal nie zachwiał jego szlachetnym postanowieniem i omal też go nie przekonał, że zabijanie ludzi ma jednak dobre strony. Bevan był przywódcą nastolatków, czy tego chcieli, czy nie; lubował się w dręczeniu słabszych kolegów. Hejty już po kilku dniach szczerze go znienawidził. Marzył o tym, żeby ukazał mu się w postaci wojowniczego sylfa.

- Cześć, gnojku - zaczął Bevan i z wrednym uśmiechem popatrzył na kamienie. - Tylko tyle dzisiaj zrobiłeś? Ja bym już wszystkie zrzucił.

- Idź stąd - mruknął Hejty. Chłopak się uśmiechnął.

- Co, boisz się mnie?

- Nie.

- Kłamiesz - zadrwił i podszedł bliżej. Był trochę wyższy niż Hejty w ludzkiej postaci. I o wiele brzydszy. Tak przynajmniej twierdziła Solie.

- Solie mówi, że jesteś brzydki - oświadczył Hejty. Chłopak poczerwieniał.

- Chcesz w ryj?

Wrócił Relig. Chciał znów wziąć się do roboty, lecz kiedy zobaczył, co się dzieje, podbiegł do kolegów.

- Chcesz umrzeć? - odparł Hejty, rozeźlony. Z trudem nad sobą panował, ale przywołał wspomnienie wojownika w postaci ptaka i swojej niedawnej klęski. Solie kazała mu zachowywać się jak człowiek. Była jego królową. Tym razem jej usłucha, bez względu na okoliczności.

Bevan przysunął się do niego i rzucił mu zaczepne spojrzenie.

- Ty lepiej ze mną nie zaczynaj.

Hejty upuścił mu na nogę kamień, który trzymał w rękach.

Bevan zawył. Kilka sekund później tłukli się nawzajem pięściami. Bevanowi nie udawało się go dosięgnąć, a zraniona pewność siebie Hejty'ego cudownym sposobem odżyła, kiedy zaczął wygrywać. Po chwili Bevan leżał twarzą do ziemi, a Hejty z ciekawością sprawdzał, czy ludzie potrafią oddychać z piaskiem w nosie. W tym momencie ktoś złapał go za koszulę i odciągnął od przeciwnika. Sekundę później Galway obrzucił go spokojnym spojrzeniem. Sądząc z miny, raczej nie był zachwycony.

- Widziałeś, co właśnie zrobiłem? - pochwalił się Hejty. - Wygrałem!

- Widziałem - odparł traper, odwracając go w drugą stronę. Nieopodal stała kobieta w czerni, czerwona na twarzy; kipiała ze złości. Hejty przypomniał sobie, że widział ją rano i że to ona przydzieliła mu tę pracę.

- Cześć - powiedział z uroczym uśmiechem. - Czy to ty jesteś ta stara wiedźma?

Solie, wychowana na wsi, przywykła do ciężkiej pracy, mimo to wolałaby już nigdy w życiu nie obierać takiej masy ziemniaków. Westchnęła i ściągnęła z głowy chustkę. Oprócz ziemniaczanego puree, do jedzenia dostała tylko kromkę chleba i parę gotowanych marchewek.

Jakiś chłopak chciał usiąść obok niej, ale ktoś go odciągnął i miejsce przy niej zajął Hejty z talerzem w ręku. Nawet nie spojrzął na posiłek. Uśmiechnął się promiennie.

- Cześć!

Solie odpowiedziała uśmiechem. Był taki uroczy... Jej serce wyrywało się do niego. Łącząca ich więź z każdym dniem stawała się mocniejsza; coraz wyraźniej wyczuwała jego emocje. Albo może on je coraz wyraźniej przesyłał. Tak czy inaczej, w jego obecności czuła się swobodnie, a wcześniejsze opory słabły z dnia na dzień. Może uda im się gdzieś ukryć, żeby się całować... Tyle że muszą zejść z oczu wdowie Blackwell, która opiekowała się tutejszymi sierotami, czyli dwiema trzecimi wszystkich dzieci. Solie nasłuchiwała się o niej różnych strasznych rzeczy.

- Co robiłeś całe rano? - spytała.

- Nosilem kamienie. A potem pobiłem takiego jednego. I kazali mi wykopywać odchody z jakiejś dziury - przerwał. - Co to są odchody?

- Lepiej, żebyś nie wiedział. Myłeś ręce? Spojrzął na nie, zdziwiony.

- To idź je umyć - poleciła, więc wstał i natychmiast wyszedł.

Trójka dziewcząt siedzących po przeciwnej stronie stołu pochyliła się ku niej. Były nimi wyraźnie zafascynowane i każda chciała coś powiedzieć.

- Ale przystojniak! Gdzie go poznałaś?

- To twój narzeczony?

- Chętnie bym z nim poszła za namiot gospodarczy. Słyszac to, wszystkie umilkły i zaskoczone popatrzyły

na tę, która się do tego przyznała, z wyglądu dwa albo trzy lata młodszą od Solie.

- No, co?! Wy o tym nie myślałyście? - spytała i zwróciła się do Solie. - Byłaś już tam z nim?

Spojrzwały na nią, zaintrygowane.

Zaczerwieniła się.

- Ja... - Myślała o tym, ale jak to powiedzieć? Hejty to nie człowiek. Przecież nie może z nim być! Czy na pewno? W końcu już się całowali i to było wspaniałe. A on tak bardzo jej pragnął. Za każdym razem, kiedy się widzieli, z coraz większym trudem mu się opierała.

- Jasne, jasne. Już tam z nim była - zawyrokowała trzecia dziewczynka.

- Nie! - wykrztusiła Solie, a one chichotały jak szalone. - Nie mogłabym!

- Dlaczego nie? Jest taki piękny. Mam na imię Lorena. Ty jesteś Solie? - Dziewczynka podała jej dłoń. Solie ją uścisnęła.

- Tak. Przyjechaliśmy przed paroma dniami.

- Dało się zauważyć. Tłoku tu nie ma. To Mel i Aneala -przedstawiła swoje koleżanki.

- Słyszałam, że dzisiaj pobił się z Bevanem - szepnęła Mel. - Musi być strasznie odważny.

- Tak - przyznała Solie niepewnie. Hejty zdążył jej już o tym wspomnieć. Dobrze, że nikogo nie zabił.

- Podobno Łut Szczęścia, nasza uzdrowicielka, pozwoliła, żeby umarł ktoś inny, bo zajęła się leczeniem twojego chłopaka - dodała Aneala. - Mój kuzyn mówił, że Brev się wylize, ale on umarł dzisiaj rano, gdyż Łut była za słaba po tym, jak uzdrowiła tego twojego. - Popatrzyła na Solie z powagą. - Nikt nie rozumie, dlaczego wołała pomoc obcemu, zamiast jednemu z nas. Brev od dawna należał do Wspólnoty.

Solie z trudem opanowała przerażenie. Tkwiała w kuchni i nic o tym nie słyszała. Wczoraj, kiedy wróciła na noc do namiotu, który dzieliła z kilkoma dziewczętami, nie chciała z nimi rozmawiać; myślała tylko o Hejty i o tym, jak bardzo jest zmęczona.

- Co takiego?

- Brev - powtórzyła Aneala. - Nasz kowal. Został ze swoją ogniową sylfką, żeby zatrzymać wojowników. Ją zabili, a on ledwie przeżył. Właściwie, jego też zabili, no bo umarł dziś w nocy...

- Hej - przerwała jej Mel. - Przecież to nie wina Solie. Łut Szczęścia wyrywała się do niego jak szalona. Co, wołałabyś, żeby umarł chłopak Solie?!

- Powiedz to żonie kowala!

Solie, przygnębiona, wbiła wzrok w ziemię. Chwilę później Hejty już siedział obok niej i szeroko się uśmiechał.

- Wróciłem! - oświadczył. Nagle wyczuł jej nastrój i zaczął odczytywać emocje. Spojrzał ze złością na dziewczęta.

- Co jej powiedziałyście? - W jego głosie nie było jednak groźby. Nigdy nie zagroziłby kobiecie.

- Nic - odparła słodko Loren, a jej koleżanki zaczerwieniły się po same uszy. Hejty łypnął na nią wściekle, wiedząc, że ona kłamie, a potem odwrócił się do Solie.

- Wszystko w porządku - zapewnił cicho i pocałował ją w ramię.

Poczuła w całym ciele rozkoszne mrowienie i aż westchnęła, na co koleżanki wybuchnęły śmiechem.

Hejty potraktował to jako zaproszenie; przysunął się bliżej, gładził ją po plecach i chciał pocałować.

Solie pomyślała, że to świetny pomysł. Naprawdę.

Chwilę później Hejty zamarł, gdy oberwał drewnianą łyżką po głowie.

- Mam was rozsadzić? - warknęła wdowa Blackwell.

Jak się wkrótce dowiedzieli, Wspólnotę tworzyło dwustu mieszkańców różnych wiosek rozrzuconych w górach Para Dubh, którzy pragnęli osiągnąć coś więcej, niż pozwalano prostym chłopom z tego królestwa. Wszędzie kręciło się mnóstwo kobiet i dzieci - Devon zaraz po przyjeździe nie myślał,

że jest ich aż tyle, ale niestety przeważały wdowy i sieroty. Przed potyczką Wspólnota liczyła wielu mężczyzn. Większość z nich zginęła, ze wszystkimi przywódcami łącznie.

Było tam też więcej sylfów, niż Devon kiedykolwiek widział w jednym miejscu, choć mieszkał w koszarach. W Eferem sylfy rzadko pojawiały się na widoku, zazwyczaj pracowały w ukryciu i w milczeniu. Nawet w koszarach chowały się po kątach albo pozostawały niewidzialne. Z wyjątkiem wojowniczych sylfów, z oczywistych powodów zawsze widocznych. We Wspólnocie nie było wojowników, a zwykłych sylfów w niczym nie ograniczano. Pojawiały się w tak przeróżnych kształtach, że z trudem udawało się przypisać je do jakiegoś żywiołu, choć najchętniej przybierały postać małych, trochę dziwnych dzieci. I wszystkie mogły mówić. Ćwierkały jak ptaki, ignorując kompletnie ludzi, z wyjątkiem swoich panów. Plotkowały przy pracy, zmieniając urwisko w sieć mieszkalnych korytarzy i wykonując zadania, którym żaden człowiek by nie sprostał.

- To wy tak się zachowujecie wśród swoich? - Devon, oszołomiony, zwrócił się do Airi.

Obserwował, jak grupka ziemnych i wodnych sylfów kopie podziemny tunel doprowadzający wodę na urwisko. Wyglądały jak grupka rozchichotanych dziesięciolatków, tyle że były brązowe albo niebieskie, a ich ciała przypominały ziemię lub wodę. Piszczwały za każdym razem, kiedy im się coś udało. Ich panowie chodzili między nimi jak nauczyciele w szkole, służąc radą i pomocą.

- Tak - potwierdziła radośnie. - To dobry rój. Powiedziała to na głos, przybierając postać przezroczystej, długowłosej dziewczyny. - Podoba mi się tu - dodała.

Devon spojrział na nią, zdziwiony. Rzadko przyjmowała widzialną postać i do tej pory nigdy nie odzywała się na głos. Zauważył, że jest do niego podobna, jakby był jej ojcem albo wujem, i się wzruszył.

- Rój? - zapytał.

- W domu mieszkamy w rojach - odpowiedziała. - W tym świecie ich nie ma, ale zebrało się nas tu tyle, że postanowiliśmy założyć własny. Jestem bardzo szczęśliwa. Nigdy nie marzyłam, że jakiś rój mnie adoptuje.

- Mówisz, że w Eferem nie ma rojów adoptujących syl-fy? - zainteresował się. Nigdy nie pytał jej o miejsce, skąd przybyła. Nikt nie zadawał takich pytań. Niektórzy nawet uważali, że sylfy przychodzą z nicości albo z piekła. Bo niby dlaczego chciało im się przenikać przez wrota?

- Nie. Za dużo zakazów. Nie wolno nam mówić na głos, więc nikt nie mógł podzielić się takim pomysłem, nawet gdyby na niego wpadł...Tu jest o wiele lepiej. Możemy zostać?

Devon widział, jak wiele prac przeprowadzono, aby zmienić urwisko w dom.

- Pewnie.

Gdzie niby mieli się podziać, jeśli nie tutaj?

Dziękuję! - Airi znowu zniknęła, a Devon poczuł powiew wiatru. *Podoba mi się tu. One mnie lubią. Jestem mile widziana. Wszyscy ze sobą rozmawiają.*

Spojrzał tam, gdzie wyczuwał jej obecność, bo sylfka była niewidzialna.

- Czy to dotyczy także Hejty'ego?

Nie. On się dalej ukrywa. Wojownicze sylfy nie zadają się z takimi maluchami jak my. Są inne. Ale może zechce zostać naszym wojownikiem i będzie nas bronił. Wtedy wszyscy poczują się bezpiecznie.

Devon powątpiewał, że mężczyźni z nowego „roju” Airi będą szczęśliwi, gdy się dowiedzą, że wśród nich jest wojowniczy sylf. Chyba każda rodzina we Wspólnocie straciła kogoś w potyczce z Rilem i Maczugą. Obecność wojowniczego sylfa, choćby tak młodego, będzie dla nich przerażająca. Jeśli Hejty przypadkiem się ujawni, cała grupa przestanie być mile widziana.

- Devon.

Zatopiony w myślach, odwrócił się i uśmiechnął do nadchodzącego Galwaya. Wiat przenikliwy wiatr, przesywał Devona mimo ciepłego płaszcza, ale traper nie zważał na chłód.

- Niezwykle miejsce, prawda? - zapytał. Devon skinął głową.

- Bardzo. To niesamowite, ile udało im się zrobić w tak krótkim czasie. Kiedy wyruszasz w drogę?

- Posiedzę jeszcze parę dni. Ryzykuję, że złapią mnie śniegi, ale ciekaw jestem, co w końcu tu powstanie. Poza tym chcę poobserwować, jak chłopak daje sobie radę.

Devon zaśmiał się cicho.

- Wydaje mi się, że Hejty nie potrzebuje takich wskazówek, o jakich myślisz.

- Jest młody. Młodzi zawsze potrzebują opieki. Galway się obejrzał.

- Morgal powiedział, że będą namierzać uzdrowicielkę. Może warto popatrzeć.

Zeszli w dół zbocza, z początku łagodnego, dalej stromego; drogę dla cięższych wozów należało poprowadzić zakosami. Przed ludźmi można tu się było doskonale bronić, lecz przed wojowniczymi sylfami nigdzie nie uda się uciec.

Devon spostrzegł ziemską sylfkę. Stała obok swojego pana i krytycznym okiem wpatrywała się w ziemię. Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się od ucha do ucha. Niemal w tym samym momencie zanurkowała w głąb ziemi; Devon poczuł drzenie pod stopami. Na powierzchni pojawiła się szczelina, a pan sylfki gestem polecił im obu, żeby się cofnęli. Szczelina poszerzyła się na dziesięć metrów, a potem zaczęły się w niej formować schody, prowadzące w dół. Śladem ziemnego sylfa poszedł ogniowy, oświetlając komnatę, która stale się powiększała.

Devonowi zaparło dech w piersiach.

- Co wy robicie?

Wiedział, że wkopują się w zbocze, ale ten korytarz sięgał kilkadziesiąt metrów w dół!

- Kopie my jaskinie mieszkalne - wyjaśnił mężczyzna. - Całe podziemne miasto. Sylfy to wymyśliły. Dzięki temu nie będziemy musieli tkwić na tym cholernym wietrze.

Odsunął się, gdy nad dziurą pojawiła się kamienna płyta; wygięła się i utworzyła kopułę nad wejściem.

Naprawdę przygotowują siedzibę dla roju, uświadomił sobie Devon ze zdumieniem. Airi znowu zmierzwiła mu włosy.

Będzie bardzo wygodnie, zapewniła go. To nasz dom.

Pod warunkiem że ludzie zaadaptują się do takich warunków. Devon pokręcił głową i ruszył za Galwayem. - Nie wiem, jak bym się czuł, zamieszkując dziurę w ziemi - mruknął traper, jakby czytał w jego myślach.

- Ja też nie wiem - przyznał Devon.

Na skraju rzędu namiotów sypialnych stał jeden większy. Galway wszedł pierwszy i już po chwili obaj obserwowali ogromny, ozdobny krąg nakreślony na ziemi i stojącego nad nim kapłana w długiej szacie, o twarzy poznaczonej straszliwymi bliznami. Nigdzie nie było ołtarza, a na środku kręgu stał młody człowiek i nerwowo spoglądał na intonującego zaklęcia duchownego. Oddychał świszcząco i trzymał się za serce. Morgał podniósł na nich wzrok. Jego ogniowa sylfka leżała na ziemi w postaci płonącej gałęzi.

- Witajcie - powiedział ciepło. Zdażył już ich polubić; był zbyt prostolinijny lub zbyt zapracowany, żeby żywić podejrzenia w stosunku do ludzi.

- Witaj. Co robicie? - spytał Devon. Morgał wskazał na młodego człowieka.

- Jes z trudem oddycha. Mamy nadzieję, że jest wystarczająco słaby, aby zwabić uzdrowicielkę.

Kapłan wznosił ręce, nie przestając śpiewać; krąg się rozjarzył. Rytuał pod żadnym względem nie przypominał

wspaniałych obrzędów, które Devon kilkakrotnie widział; był pozbawiony właściwie wszystkich ozdobników. Mimo to nad chłopcem pojawił się krąg pustki. Młody człowiek zgiął się wpół w ataku kaszlu.

Wszyscy czekali niecierpliwie, ale nic się nie wydarzyło. Milczeli dobre dziesięć minut, w końcu kapłan opuścił ręce i krąg przestał migotać. Wrota zostały zamknięte.

- Widocznie nie było w pobliżu żadnej uzdrowicielki - mruknął duchowny.

Morgał westchnął.

- Szczerze mówiąc, nie dziwi mnie to. Rzadko opuszczają rodzinne ule, więc trudno je spotkać. Kiedy Żarka mi powiedziała, że jedna z nich kręci się koło wrót, pomyśleliśmy, że może ją zwabimy. Ale pewnie była zbyt zajęta, żeby zauważyć chłopaka. Albo powstrzymał ją jakiś wojowniczy sylf.

Dobrze, że sam nie próbował się tu przedostać.

- Wiesz o rojach? - spytał Devon, wciąż zastanawiając się nad słowami Airi.

- Co nieco. Wiem, że sylfy budują tu własny rój. Dzięki temu wszyscy mamy jakiś cel; poza tym schronienie pod ziemią pozwoli nam przetrwać zimę. - Morgał pokiwał głową. - Gdybyście mogli zajrzeć do Raseba, który pracuje u podnóża góry, to przydzieliliby wam jakieś zadania. I dał coś do roboty Airi. Bardzo cenimy pomoc każdego powietrznego sylfa.

- Oczywiście. - Galway odwrócił się i wyszedł, a Devon za nim, nieco wolniej.

Po chwili zobaczył w oddali grupkę młodych ludzi, prowadzonych przez ubraną na czarno kobietę. Pewnie szli do jakiejś kolejnej pracy. Wśród nich był Hejty; za każdym razem, gdy wdowa się od nich odwracała, kradł rozchichotanej Solie całusa. Wyglądali jak para zupełnie normalnych nastolatków, którym hormony kompletnie zamieszały w głowie. Devon wziął głęboki oddech i spojrzał w drugą stronę. Jako

odpowiedzialny dorosły człowiek powinien ich powstrzymać, zanim zrobią jakieś głupstwo. Miał jednak dość rozsądku, aby wiedzieć, że nie należy stawać między wojowniczym sylfem a jego pragnieniami, ruszył więc za Galwayem.

ROZDZIAŁ 16

Solie sypiała na sienniku w namiocie, który dzieliła z trzema innymi dziewczętami. Aby dać im namiastkę prywatności, między posłaniami zawieszono koce. Teraz była z tego zadowolona; leżała na posłaniu, zagryzając wargę, kiedy Hejty się do niej przytulał. Zadarł jej nocną koszulę aż po szyję i lizał jej sutki; tłumiała jęki. Jej opory dawno zniknęły. Kiedy, uszczęśliwiony, pieścił raz jedną, raz drugą drobną pierś, uświadomiła sobie, rozmarzona, że za chwilę pozwoli, żeby jej ściągnął majtki. Hejty czytał w jej myślach, więc bez trudu odnajdywał najwrażliwsze miejsca na jej ciele; chciał poznać je wszystkie. Delikatnie ssał jej piersi, wyczuwając, jak ona pod nim drży, a potem przesunął się w dół i okrył pocałunkami jej brzuch. Siennik szeleścił, lecz on o to nie dbał. Pozostałe dziewczęta spały, a królowa go pragnęła. To pożądanie wyrwało go z łóżka w namiocie po drugiej stronie urwiska i przyciągnęło do niej. A teraz pozwalała, by stali się jednością.

Tkanina, którą osłoniła dolną część swojego ciała, trochę mu przeszkadzała, ale kiedy zaczął ją pieścić w tym miejscu, Solie wydała stłumiony jęk i zadygotała.

Wyczuł na zewnątrz namiotu wdowę Blackwell; robiła obchód, zaglądając do młodzieży, powierzonej jej opiece. Spojrzał przez ramię w tamtą stronę, a potem znów skoncentrował się na swojej królowej. Nie może wziąć jej tutaj - to

zbyt niebezpieczne. Instynkt nakazywał mu szukać lepszego miejsca. W domu byłoby w samym centrum ulla, a drzwi strzegłyby inne wojownicze sylfy. Tu nie stać ich na taki luksus.

- Chodź ze mną, Solie - poprosił.

- Dokąd? - szepnęła.

- Tam, gdzie nikt nas nie znajdzie.

- D-dobrze - wykrztusiła po krótkiej chwili i pozwoliła, żeby wziął ją za rękę.

Wyszli przez tylną połę namiotu. Hejty, nie błędząc, prowadzi! ją wśród ciemności. Obok przepłynęło w powietrzu kilka sylfów, ale nie odezwały się ani słowem. Zabrał ją na skraj urwiska. Cicho krzyknęła i odsunęła się od niego.

- Nic się nie stanie - obiecał, obejmując ją ramionami. -Nie dam ci spaść.

Po raz pierwszy od walki z Rilem zmienił postać, otaczając Solie swoim ochronnym płaszczem; uleciał z urwiska w powietrze. Solie przywarta do niego, gdy niósł ją na równinę, z dala od koni, bydła i pasterzy, śmigając coraz szybciej, żeby ze strachu nie zmieniła zdania. Wylądował miękko, ułożył ją na piaszczystej wydmie i okrył sobą, żeby nie zmarzła. Pocałował ją w szyję.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała.

- W bezpiecznym miejscu.

Tak, bezpiecznym. Nie wyczuwał w pobliżu niczyjej obecności.

Pospiesznie ściągnął z niej całe ubranie, ale uważał, by na nią nie patrzeć, bo przecież mu tego zabroniła. Odwracał głowę, nawet kiedy pieścił jej pierś i ssał sutek. Solie spojrzała na jego twarz, łagodnie rysującą się w blasku księżyca.

- Możesz na mnie patrzeć - szepnęła. Popatrzył. Była piękna.

Powoli zdjął z niej majtki, a ona zadrżała ze strachu. Na co mu pozwala? Ale Hejty znowu zaczęła ją całować, lizać wrażliwą skórę na wewnętrznej powierzchni uda, więc bezsilnie

osunęła się na piasek. Czy przyzwoitość ma jakikolwiek sens? Należą przecież do siebie, a to zbyt wspaniałe, żeby się tego pozbawiać.

- Hejty - jęknęła.

Sylf skubał ją i lizał, budząc ogniste napięcie, które pełzło w górę jej ciała. Mogła tylko chwycić go za włosy i dygotać z rozkoszy. Nie przeszkadzało mu to; całował ją coraz namiętniej, aż wreszcie zaczął pieścić językiem środek jej kobiecości; sapnęła. Miała wrażenie, że zaraz wybuchnie; on także to czuł. Przekazywał jej te uczucia, a jego zachwyty podniecał ją jeszcze bardziej. Krzyczała, jęczała w ciemności i na pół świadomie przyciągała go do siebie.

Wtedy ogień nieco osłabł i mogła puścić jego włosy. Poglądził ją, uszczęśliwiony, i wsunął się na nią, idealnie między jej uda. Pozwoliła mu na to, wzdychając z zadowoleniem. Poruszył się, przywarł do niej i zatopił w niej zachwycony wzrok, którego ani na moment nie odwracał.

Pchnął energicznie. Jej ciało przez chwilę stawiało opór, więc łagodniej wsunął się w nią. Otoczyła go swym gorącym i wilgocią.

- Wielkie nieba - szepnęła, blednąc.

Był w niej, był w swojej królowej! Oszołomiony szczęściem, pocałował ją i omal nie zapomniał, że ma się poruszać; wysunął się lekko, po czym delikatnie wszedł w nią znowu, kołysząc się w rytmie, do którego błyskawicznie zaczęła się dostosowywać. Znowu jęknęła z rozkoszy i wbijała palce w jego plecy, aby przyciągnąć go jeszcze bardziej

Była fantastyczna. Hejty zaczął poruszać się coraz szybciej, napierać coraz mocniej. Jej żar otaczał go zewsząd. Uniosła biodra i ich brzuchy starły się ze sobą. Co za ekstaza! Kochał ją, a jego umysł wysyłał ku niej wzorzec, który odzwierciedlał jego namiętność. Poczł jej zachwyconą odpowiedź, przyjął ją i zrozumiał, a potem instynktownie wysłał w świat.

Nie była już niewinną dziewczyną, lecz władczynią ich wszystkich i dzięki temu aktowi zajęła miejsce królowej panującej nad rojem pozbawionym przywódcy. Hejty poczuł, kiedy to się stało, i jako jej partner nadał jej wzorcowi moc i zasięg. Solie stała się królową!

Usłyszały to wszystkie sylfy w promieniu wielu kilometrów, a także te, które były jeszcze dalej, ale należały do tego samego roju co Hejty.

Sylfy Wspólnoty odpowiedziały na wezwanie; lekceważąc polecenia zaskoczonych ludzi, zebrały się na krawędzi urwiska i wpatrywały w ciemność. Oto wybrano królową, partnerkę wojowniczego sylfa: wszystkie, choć pochodziły z wielu różnych rojów, teraz odczuły dobroć nowej pani i zrozumiały, że wreszcie mają własny dom. Zebrały się więc, aby oddać jej cześć, choć żaden nie zbliżył się zanadto, żeby nie niepokoić wojownika. Nie było takiej potrzeby, mimo że ludzie wpadli w panikę i sięgnęli po broń.

Airi ogarnął spokój, jakiego nie zaznała od chwili, kiedy przeszła przez wrota. Rój ma królową i wojowniczego sylfa, więc wszyscy są bezpieczni.

Dwieście kilometrów stamtąd Maczuga odwrócił się nagle. Skierował wzrok ku północy, w stronę Iłowego Płaskowyzu, a jego oczy zaśniły. Jasar i Leon spali, a Ril spojrzał na niego znudzony, nic nie rozumiejąc.

Nie powiedziałałby mu, o co chodzi, nawet gdyby mógł. Królowa! Królowa z jego rodu! Czuł, kiedy objęła władzę u boku swojego wybranka. Gdyby mógł, z gromkim okrzykiem popędziłby do niej, aby ją chronić. Królowa! Gdy jej partner wysyłał do wszystkich sylfów jej radość i wzorzec, Maczuga przyjął je chętnie i zapisał w swojej duszy jak własne. Stała się jego królową i więzią z tym światem. Westchnął uszczęśliwiony, wreszcie wolny w sercu, nawet jeśli

nie mógł jeszcze zmienić postaci. Spojrzał na leżącego na ziemi Jasara. Na wszystko przyjdzie czas. Solie krzyczała z rozkoszy. Czuła bezbrzeżną radość swojego wybranka, kiedy się w niej poruszał, i zalała ją fala szczęścia; nie potrafiła rozdzielić od siebie tych uczuć ani powiedzieć, kto tu kogo uszczęśliwia. W jej podbrzuszu płonął ogień jeszcze gorętszy niż przedtem i pragnęła, aby Hejty rozpalał go coraz mocniej. Wbiła palce w jego plecy, w jego ochronny płaszcz, a on stał się pół człowiekiem, pół chmurą energii, napierając na nią coraz gwałtowniej. Całowała go i on ją całował; spływała potem.

Rozkosz była przemożna, aż w końcu doszła do szczytu. Solie wygięła się, a jej krzyk przeszedł w wysoki pisk. Hejty sapnął i pchnął ją po raz ostatni, dygocąc i przywierając do niej z całych sił. Chwilę później, kompletnie wyczerpani, oboje opadli na piasek.

- Wielkie nieba - szepnęła. - To było niesamowite. - Delikatnie pogładziła swojego kochanka po policzku. Westchnął, usatysfakcjonowany. - Dziękuję.

- Nie ma za co - wymruczał z twarzą wtuloną w jej szyję. Zagryzła wargę.

- Tylko nie mów o tym nikomu, dobrze?

- Jasne - obiecał.

Przez tłum sylfów przebiegło westchnienie. Stało się. Mają królową.

Blisko nich Devon wbijał oczy w ciemność, nie wiedząc, co dzieje się na równinie. Zgromadzeni wokół mężczyźni nie kryli przerażenia. Kobiety szykowały się do ucieczki wraz z dziećmi.

Sylfy zaczęły się rozchodzić, gawędząc ze sobą, jakby nigdy nic.

- Airi! - zawołał Devon. Stojący obok Galway napiął cięciwę łuku. - Gdzie jesteś?!

Sylfka pojawiła się przy nim; czuł, jak wszyscy odprężają się powoli, gdy ich sylfy zaczęły zachowywać się normalnie. Dopiero teraz uświadomił sobie, w jakim stresie żyją ci ludzie. Boją się kolejnego ataku. I chyba słusznie. Królowi Alcorowi na pewno nie podoba się ich obecność, choć zamieszkali na jałowej ziemi, która stała się ich domem wyłącznie dzięki pomocy sylfów. Wcześniej czy później nastąpi ten przerażający atak... a on, Devon, należy do ich Wspólnoty. Nie ma dokąd pójść.

Mężczyźni zaczęli się rozchodzić. Wszyscy wracali do łóżek. Napięcie opadło. Devon popatrzył na Airi.

- Co się stało? - zapytał.

Dobre rzeczy. Rój jest teraz kompletny.

Rozejrzał się po zdziwionych twarzach innych właścicieli sylfów, którzy pewnie zadali to samo pytanie, i już miał poprosić ją o wyjaśnienie, kiedy usłyszał krzyk. Znowu stężeli w napięciu, ale w krzyku brzmiał gniew, a nie przerażenie. Przez tłum przeciskała się wdowa Blackwell, wyraźnie kogoś szukając.

Jeden z mężczyzn się uśmiechnął.

- Zapodział ci się jakiś dzieciak?

- Nie żartuj sobie - warknęła. - Dwójki z nich nie ma w namiotach. Tego nowego chłopaka i dziewczyny. Wleję im, ile wlezie!

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem. Posypały się żarty na temat nastolatków. Tylko Devon poczuł lodowaty strach. Zapatrzył się w ciemność.

- Hejty, coś ty narobił... - szepnął.

- Co mówisz? - zapytał Galway.

Devon najpierw zobaczył wojowniczego sylfa: czarną plamę na tle jeszcze głębszej czerni i parę płonących oczu. Chwilę później Hejty wylądował na urwisku i rozpostarł ochronny płaszcz, pod którym kryła się Solie w nocnej koszuli. Przyjął ludzką postać. Odbyło się to tak szybko,

że Devon nic by nie zauważył, gdyby akurat patrzył w inną stronę. Ale wszyscy usłyszeli krzyk przestraszonej Solie.

Mężczyźni, którzy właśnie rozchodzili się do namiotów, obejrzelili się i oczywiście zobaczyli ich na środku urwiska. Wdowa też.

- Gdzie wy się podziewacie! - zagrzmiała. - Wymykasz się z łóżka w nocnej koszuli, z chłopakiem?! Co ty sobie wyobrażasz?

Energicznie ruszyła ku nim. Mężczyźni przypatrywali się całej scenie, zanosząc się śmiechem.

Galway też chichotał otwarcie, ale Devon czuł, jak serce tłucze mu się w piersi coraz mocniej.

Powinien ostrzec tę kobietę, lecz się bał.

Wdowa chciała złapać Solie za ramię, ale Hejty stanął między nimi. Nagle wszystkie sylfy zniknęły, nawet Airi. Wyczuwając ich nieobecność, ludzie jęknęli z przerażenia. Znowu ogarnął ich strach.

Wdowa na nic nie zważała.

- Odsuń się. - Devon lekko popchnął Galwaya w tył i sam też się cofnął. Zdziwiony traper nie protestował.

- Co tu się dzieje? - spytał Morgal z ciemności. - Czy wszyscy mają swoje sylfy?

- Już nas atakują?! - krzyknął ktoś z drugiej strony. - Sylfy zniknęły!

Głupie nie są, chciał powiedzieć Devon.

- Cofnijcie się - wychrypiał, czując suchość w gardle. Hejty z kamienną twarzą wpatrywał się w panią Blackwell.

- Nie dotykaj Solie - ostrzegł.

Zamarła, wbijając w niego wzrok tak jak wszyscy. Hejty nie emanował nienawiścią. Na pewno nie.

Ale jego aura była potężna i niosła ze sobą groźbę przemocy. Devon skamieniał z przerażenia. Od dziecka powtarzano mu, że za żadną cenę nie wolno drażnić wojowniczych sylfów. Że trzeba trzymać się od nich z dala. Każdą komórką ciała czuł, że sprowadzają śmierć.

Hejty obrzucił zgromadzonych gniewnym spojrzeniem. Obejmował Solie, a swoją pozą wyraźnie ostrzegał. Ona podniosła na niego wzrok, położyła mu dłoń na ramieniu i szepnęła coś do ucha. Uśmiechnął się i aura zniknęła.

- Hejty odprowadzi mnie do namiotu - powiedziała do wdowy i odbiegli oboje, trzymając się za ręce. Uzbrojeni mężczyźni rozstąpili się, aby ich przepuścić i po chwili młodzi zniknęli w ciemności. Devon poczuł, jak kolana się pod nim uginają. Pani Blackwell obrzuciła zgromadzonych oszołomionym, przerażonym wzrokiem.

Morgał przepchnął się do środka, również wyraźnie przerażony.

- Czy też to czuliście? Co to było? Nikt się nie odezwał.

Roztrzęsiony Devon wrócił do namiotu. Galway poszedł za nim, zajrzał mu w oczy i już o nic nie pytał. To dobrze. Pytania padną wkrótce, kiedy wszyscy się uspokoją. Devon nie miał pojęcia, co na nie odpowiedzieć.

Solie zanurkowała do namiotu, a Hejty za nią. Dziewczęta zapiszczały na jego widok, ale on nie widział nikogo poza swoją królową. Solie usiadła na sienniku. Ona... ona kochała się z Hejtem, i ach... to było wspaniałe. Uśmiechnął się do niej, odczytując jej uczucia. Odpowiedziała gniewnym spojrzeniem.

- Jak mocno odbierasz moje uczucia? - spytała z irytacją. *Bardzo, bardzo mocno*, zamruczał w jej myśli. Podskoczyła. Zrobił to po raz pierwszy. To było trochę niesamowite, ale dobrze go słyszała. Nadal nie wiedziała, czy sama odbiera jego emocje, czy on się jej z nimi narzuca, ale wyraźnie wyczuwała, jak bardzo jest szczęśliwy i zaspokojony. Co więcej, mogła teraz wyczuwać emocje innych sylfów, które, też szczęśliwe, kręciły się wokół namiotu. Wszyscy byli szczęśliwi, tylko nie ona. Ona była oszołomiona.

Hejty ujął jej dłoń.

- Wszystko będzie dobrze, Solie.

Patrzyła, jak siada obok niej. Oczy mu błyszczały. Wszystko będzie dobrze? - powątpiewała. Czują się zupełnie inaczej niż przedtem i wydawało jej się, że to z powodu utraty dziewictwa.

- Co się stało? - szepnęła. - Co ty ze mną zrobiłeś? *Jesteś moją królową*, odpowiedział.

Pokręciła głową.

- Ciągle mi to powtarzasz, ale teraz dzieje się coś innego. Wyczuwam też pozostałe sylfy. Dlaczego?

Spojrzał na nią pokornie.

Me wiem, przyznał. Ja także tego nie rozumiem.

- Dlaczego? - jęknęła.

Dziewczęta patrzyły na nią zdziwione, jak prowadzi rozmowę sama ze sobą.

- Przecież ty to zrobiłeś. I nic nie rozumiesz? Pochyliła się, bo nie potrafiła się na niego długo gniewać.

Zagryzła wargę i objęła go czule, a on odpowiedział jej pocałunkiem. Uspokoila się, zapomniała o tej dziwnej nowej świadomości, no i o tym, że jej towarzyszki podglądają ich przez szparę w kocach.

Hejty ułożył ją znowu na łóżku.

Nie widziała, jak zmierzył je wściekłym, ostrzegawczym spojrzeniem. Przestraszone, umknęły natychmiast, a on, zadowolony, zajął się swoją królową. Sam też nie rozumiał nic z tego, co się stało, ale cieszył się, że również pozostałe sylfy uznały władzę Solie. Przynajmniej nie będą się do niej zbliżać. Ludzie także się o wszystkim dowiedzą. Te dziewczyny muszą znaleźć sobie jakieś inne miejsce do spania, bo on zamierza spędzić tu resztę nocy na uszczęśliwianiu swojej królowej.

Galway złapał kociołek, który zaczął gwizdać na ogniu, i zalał herbatę wrzątkiem. Kuląc się z zimna, zaniósł kubek

do namiotu, który dzielił z kilkoma nieżonatymi mężczyznami. W środku było o wiele cieplej, więc zdjął płaszcz i podszedł do pryczy po prawej stronie. Siedział tam rozdygotany Devon, z twarzą szarą jak popiół. Przyciskał dłoń do ust. Galway nie rozumiał, co się dzieje, ale widział wyraźnie, że tamten jest przerażony.

Podał Devonowi kubek i zmusił go, by napił się gorącej herbaty.

- Powiesz mi wreszcie, co się stało? - zapytał.

- Lepiej, żebyś nie wiedział. Wierz mi, naprawdę. Mało brakowało, a pozabijałby nas wszystkich.

- Hejty? - spytał zdziwiony Galway. - Odbiło ci.

- Daj spokój.

Ktoś uchylił połę namiotu. Fala zimna poprzedziła wejście Morgala i kilku innych mężczyzn, którzy teraz kierowali Wspólnotą. Wszyscy byli poruszeni i wściekli. Devon odstawił kubek. Ręce tak mu się trzęsły, że omal go nie upuścił.

- Co się dzieje z sylfami? - wybuchnął Morgal. - Wy chyba coś wiecie.

- Ja nie. - Galway wzruszył ramionami i popatrzył na Devona. - Ale on uważa, że Hejty jest niebezpieczny.

- Hejty? - odezwał się Morgal. - A kto to taki?

- Ten chory chłopak - przypomniał mu jeden z jego towarzyszy, Norlud. - Ten, przez którego Łut Szczęścia omal się nie wykończyła.

- Co właściwie mu było? - spytał Borish, trzeci z nich. - Nie widziałem żadnych ran.

Devon przecesał włosy palcami, patrząc na nich pustym wzrokiem.

- Stoczył walkę z jednym z wojowniczych sylfów, które was zaatakowały. Zniszczyły przy tym całą wioskę, w której się zatrzymaliśmy.

Mężczyźni ze Wspólnoty mu nie uwierzyli.

- To niemożliwe.

Devon wziął głęboki oddech. Nie wolno mu już dłużej trzymać tego w tajemnicy. Ktoś mógłby w końcu przez to zginąć.

- Hejty... - głos zamarł mu w gardle. - Hejty jest wojowniczym sylfem.

ROZDZIAŁ 17

Ośmiu mężczyzn spojrzało na niego ze zdumieniem.

- Przecież to zwykły chłopak! - krzyknął Galway. Devon nie przypuszczał, że traper potrafi tak się zirytować. - Zwykły chłopak!

Pokręcił głową, w gardle mu zaschło.

- Niestety, nie. Widziałem na własne oczy, jak zniszczył tę wioskę, jak wyrwał ścianę zamku zaraz potem, gdy zabił następcę tronu. Widziałem, jak wysyła nienawiść w promieniu wielu kilometrów. To wojowniczy sylf. Nie wiadomo, dlaczego coś poszło nie tak podczas rytuału przywołania i teraz należy do Solie.

Wpatrywał się uważnie w mężczyzn. Byli wstrząśnięci, ale musiał powiedzieć im wszystko.

- Ona jest jego panią. Kazała mu przyjąć ludzką postać, żeby się nie wyróżniał. Tylko... tylko zdaje mi się, że on coś z nią zrobił dziś w nocy. - Zaśmiał się gorzko. - Zawsze jasno dawał do zrozumienia, że jej pragnie.

- Dlaczego cię nie zabił? - wyjąkał rozdygotany Bo-rish. - Ani żadnego z nas?

- Bo Solie mu nie pozwala. Ale omal nie zabił mojego ojca. Ci, którzy przypadkiem weszli mu w drogę, zginęli. Nie wiem, jak wielką władzę ona ma nad nim.

Byli załamani.

- Co robić? - spytał najstarszy z nich, Bock.

- To samo, co w bliskości innych wojowniczych sylfów. Przede wszystkim go nie drażnić. Nie prowokować go, a od niej trzymać się z dala. Nie wolno jej dotykać. Będzie zabija! w jej obronie.

- Nie wierzę ci - warknął Galway. - To normalny chłopak.

- Czułeś tę aurę na urwisku, prawda? Kiedy wszystkie sylfy zniknęły? Mój jeszcze nie wrócił. A wasze? W ten sposób Hejty ostrzegał, żeby się do niej nie zbliżać.

- Ale... - Galway usiadł powoli, kręcąc głową. - Przecież sam znalazłem go w lesie. I nic mi nie zrobił.

- Bo był ranny. Potrzebował twojej pomocy. Ril prawie rozszarpał go podczas walki. Przedtem nie miał siły, żeby nam zagrozić, teraz jednak jest już zdrowy.

- Dlaczego Łut Szczęścia go uleczyła? - szepnął Morgał, szary na twarzy. Miał we Wspólnocie wojowniczego sylfa, nad którym nikt nie panował. I przybył wkrótce po tym, jak dwa inne wymordowały jedną trzecią jego towarzyszy. Devon widział, że Morgał szaleje ze strachu.

- Kto to wie. Sylfy myślą inaczej niż ludzie.

- Może będzie bronił Wspólnoty - zasugerował Norgal.

- Bzdury! - warknął Bock.

- Potrzebuję na to dowodu - stwierdził Morgał. Devon popatrzył na niego. - Udowodnij, że to wojowniczy sylf. Dlaczego miałbym ci wierzyć na słowo?

- Chcesz poczekać, aż kogoś zabije? - spytał Devon.

- Skądże. Ale ja też widziałem wojownicze sylfy i nie wierzę, że on jest jednym z nich. Musisz to udowodnić. - Morgał wziął głęboki oddech. - Dopiero wtedy podejmiemy decyzję.

Devon pokręcił głową. Musi porozmawiać z Solie, jeśli to w ogóle możliwe. Myślał o tym ze strachem. Po tym, co zaszło w nocy między tą parą, Hejty zachowywał się o wiele bardziej opiekuńczo. Devon westchnął i potarł palcami skronie. Niewykluczone, że tym dowodem będzie jego zmasakrowane ciało.

Tak czy inaczej, trzeba poczekać do rana. Nie zamierzał niepokoić tych dwojga. Pewnie żadne z nich nie zmruży oka tej nocy.

Leon od lat budził się o brzasku, choć Betha w domu zawsze na to narzekała. Wylegiwanie się do późna uważał za świetny pomysł, tylko jakoś mu się to nigdy nie udawało. Od kiedy wyjechali, zawsze wstawał o świcie, przygotowywał się do podróży i robił sobie śniadanie; hałasował przy tym niemiłosiernie, czekając, aż Jasar niechętnie zwlecze się z posłania i poleci Maczudze, żeby zrobił śniadanie, a potem posprzątał. Dworak kazał nawet swojemu sylfowi siebie golić. Dopiero potem, z wielkimi oporami wyruszał w drogę. Udało się skrócić ten rytuał do godziny, ale Leon i tak się złościł. Tego ranka, kiedy się obudził, otworzył oczy i popatrzył na Rila, przycupniętego na jukach przy jego głowie. Ptak nie zwracał na niego uwagi, obserwując coś po drugiej stronie ogniska. Leon zamrugnął, przetoczył się na bok i też spojrzął w tamtą stronę.

Maczuga zwijał obozowisko. Spakował już większość rzeczy. Oba konie były osiodłane. Leon przyglądał się temu ze zdziwieniem, zastanawiając się, skąd u Jasara taki zapał, ale dworak chrapał w najlepsze.

Leon patrzył, jak Maczuga podchodzi do namiotu swojego pana, wyciąga maszt i zaczyna składać tkaninę, odsłaniając wciąż śpiącego Jasara. Leon uniósł brew. Sylf zaniósł namiot do jucznego konia, przytroczył go i wrócił do swojego pana. Złapał za koc, wyciągnął go spod Jasara i zaczął zwijać. To w końcu obudziło dworaka. Na wpół ubrany, rozciągnięty na ziemi, zaczął obrzucać sylfa wyzwiskami, ale Maczuga ignorował go zupełnie i dalej zwijał koc.

To było absurdalne. Wojownicze sylfy nie zwykły robić niczego z własnej inicjatywy, no, poza zabijaniem. Maczuga jednak wyraźnie szykował ich do drogi. Ruszył w stronę

Leona, który stoczył się z siennika, zanim sylf go z niego zrzucił. Po chwili jego koc wisiał przy siodle siwka. Coś takiego zdarzyło się po raz pierwszy.

Ril, który odfrunął na bok, wylądował na ramieniu Leona i łypnął na niego, równie zdumiony jak jego pan.

- Maczuga! - warknął Jasar. - Ty śmierdzielu! Nie ruszaj moich rzeczy!

Sylf nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

Leon wstał, przytrzymując dłonią napiętego jak struna Rila. Cofnął się kilka kroków i popatrzył na wielkiego w swojej zbroi sylfa.

- Chodź tu! - nakazał Jasar podwładnemu.

Z niechęcią, która poważnie by zaniepokoiła Leona, gdyby promieniował nią Ril, Maczuga podszedł do swego pana, a ten zaczął go karcić za niestosowne zachowanie.

- Daj mi śniadanie! - zażądał w końcu.

Maczuga podszedł do koni. Wyciągnął z juków garść suszonego mięsa i rzucił nią w Jasara, do którego w końcu dotarło, że dzieje się coś niedobrego. Z przerażeniem popatrzył na swojego sylfa, a potem na Leona.

- Co mu odbiło? - zaskomlął.

Leon nie miał bladego pojęcia. Nigdy nie widział takiego buntu wojowniczego sylfa. Złapał płaszcz i pogładził Rila; gdyby był wystarczająco skupiony, by obserwować własne zachowanie, uznałby, że zrobił to nerwowo.

- Ubieraj się i wsiadaj na konia - polecił dworzaninowi. - Nieswojo się tu czuję.

Jasar rozejrzał się po pustynnej równinie. Obozowali pod potężną skałą, która osłaniała ich od wiatru, ale powietrze było tak mroźne, że z ich ust, gdy oddychali, buchała para. Ciężkie chmury wróżyły rychłą śnieżycę. Poza nielicznymi szarymi krzakami, w okolicy nie było żadnych oznak życia.

- Coś nam grozi? Dlatego on chce, żebyśmy się stąd wynieśli?

Zaniepokojony Jasar ubrał się niezdarnie i wsiadł na siodło szybciej niż kiedykolwiek przedtem. Maczuga prawie biegiem ruszył przez Iłowy Płaskowyż, a oni pospieszyli za nim. Wkrótce trakt się skończył. Sylf podążał dalej, wzdłuż jakiegoś dziwnego, zrytego śladu. Prowadził jucznego konia i maszerował niestrudzenie. Tuż za nim jechał Jasar; już się pozbierał, więc zaczął narzekać na zimno. Leon jechał trochę wolniej; wolał trzymać się w bezpiecznej odległości od sylfa. Ril tak się denerwował, że zapomniał zalać go falą nienawiści. Nie spuszczał oka z Maczugi. Zrobiło się bardzo nieprzyjemnie.

Solie obudziła się w objęciach Hejty'ego. Nie słysząc bicia jego serca, uniosła głowę; zaniepokojona. Uśmiechnął się na powitanie.

- Dzień dobry. - Był wypoczęty i zdrowy.

- Wypałeś się?

- Ja dużo nie śpiam.

Zamrugła i rozejrzała się po namiocie. Leżeli razem na wąskim sienniku. Zaczerwieniła się, przypominając sobie, co robili w nocy.

- Gdzie dziewczęta?

- Poszły sobie.

Pocałował jej nagie ramię. Zadrżała i szybko złapała sukienkę. Więc usiadł za nią i pocałował ją w plecy. Próbował jej przeszkadzać, a jednak udało jej się naciągnąć ubranie przez głowę.

- Głodny? - spytała.

- Już nie. Pożywiłem się twoją energią, gdy spałaś.

- Co takiego? - Wytrzeszczyła na niego oczy. No tak, właściwie nigdy nie widziała, jak jadł. Brał jedzenie, kiedy mu je dawano, ale nigdy nie wkładał go do ust. - To ja cię karmię?

- Żywię się twoją wewnętrzną energią. Tylko to mogę jeść - oświadczył z radością.

Zamrugła. Nie słyszała, żeby sylfy żywiły się swoimi panami.

- Jak często to robisz?

- Raz albo dwa razy dziennie. Nawet tego nie zauważasz. Racja.

- A w domu?

- Karmiły mnie sylfy żywiciela. Ale twoja energia jest smaczniejsza.

Wstał, chwycił nową koszulę i spodnie, włożył je, a potem wsunął stopy w za duże buty. Solie okryła się płaszczem i wyszli z namiotu.

Na dworze panowało przenikliwe zimno; porywisty wiatr, który chyba nigdy tu nie ustawał, dmuchał z większą niż zwykle siłą po płaskim urwisku. Ludzie chodzili z pochylonymi głowami, a młodzież, z którą Solie pracowała od Miku dni, gdzieś zniknęła. Był późny ranek, ale nikt ich nie obudził. To znaczy jej, bo Hejty i tak nie spał. Rozejrzała się wokół i zamarła.

Nieopodal wdowa Blackwell kłóciła się z Morgalem, wskazując co chwila na namiot Solie. Devon stał obok i obserwował ich oboje. Solie zaczerwieniła się, a potem podskoczyła z piskiem, kiedy Hejty polizał ją w szyję.

- Opanuj się! - zasyczała.

Jeszcze tego brakowało, żeby wdowa to zauważyła. Solie wołała nie myśleć, co zaraz od niej usłyszy. Skrzywiła się, gdy pani Blackwell znacząco popatrzyła na nią, ale na szczęście starsza kobieta uniosła ręce do nieba i pomaszerowała ku innym namiotom.

Dwaj mężczyźni podeszli do Solie. Nerwowo przełknęła ślinę, a Hejty zawarczał.

- Cicho! - skarciła go szeptem. - Przecież nic mi nie zrobią. Tylko sobie pokrzyczą i palną mi wykład.

A już na pewno sprawią, że poczuję się jak szmata... Bądź dla nich miły.

- Dobrze, królowo - westchnął.

Morgał patrzył wprost na nią, ale Devon unikał jej wzroku. Zrozumiała, że się boi - nie jej, lecz Hejty'ego. Morgał, zdezorientowany, też się bał. Pewnie chcieli, żeby odpowiedziała im na parę pytań. Zamrugła, zdziwiona. Ich emocje były słabe, ale czytelne. Poczła je niejasno już wtedy, gdy zbliżyli się na kilka metrów, teraz jednak czuła je mocniej, co ją zaniepokoiło. Spojrzała na Hejty'ego. Jego wyczuwała bardzo wyraźnie, tak jak w nocy wszystkie sylfy. Czy zawsze tak będzie?

Uśmiechnął się szeroko.

- Solie - zaczął Devon, nie patrząc jej w oczy. - Hejty. Jak się macie?

- Dobrze, dziękuję - odparła, świadoma zainteresowania sylfa tą rozmową. Nie emanował nienawiścią do Devona. Tyle przeszedł, że nauczył się nad nią panować.

Devon nie zdawał sobie sprawy, że nic mu nie grozi, i zalewały go fale strachu.

- To świetnie. Wiesz, Solie, najpierw powinienem z tobą porozmawiać, ale jakoś tak... wczoraj powiedziałem Morgałowi, że Hejty jest wojowniczym sylfem. A on chce na to dowodu.

Czy każą im odejść? Solie zamrugła i popatrzyła na swojego wybranka. Zagryzła wargę, a potem zajrzała w szaroniebieskie oczy.

- Możesz mu to pokazać? Tylko trochę, żeby ludzie nie powariowali?

Hejty zmarszczył brwi i zamknął oczy. Kiedy je otworzył, płonęła w nich czerwień. Wysłał pasemko nienawiści. Obaj mężczyźni natychmiast się cofnęli. Mrugnął znowu i spojrzał na nich normalnym wzrokiem.

- Przekonałeś się? - wykrztusił Devon. Morgał skinął głową, blady jak ściana.

- Czego tu szukasz? - odezwał się do Hejty'ego.

Sylf podrapał się w nos, wyraźnie zdziwiony pytaniem.

- Chcę służyć mojej królowej i dbać o jej bezpieczeństwo. To mało?

Morgał wydał wargi.

- Jeśli tu zostaniesz, będziesz bronił całej Wspólnoty?

- Oczywiście, bo królowa tu jest. Przecież nie mogę inaczej, prawda?

Mężczyźni trochę się uspokoiłi. Solie obserwowała ich niepewnie, choć wyczuła, że dobrze na te słowa zareagowali. Wiedziała już, że nie będą się jej czepiać. Nigdy się z czymś takim nie spotkała. Zazwyczaj wszyscy jej rozkazywali.

Przywyknij do tego, odezwał się Hejty w jej myślach. *Królowej nikt nie ma prawa rozkazywać.*

Już niedługo. Już niedługo będzie ze swoją królową.

Maczuga rażno maszerował przez równinę. Porzucił wstęgę zrytej ziemi i szedł teraz ku królowej niestrudzenie, najprostszą drogą. Wyczuwał ją doskonale z dowolnej odległości, tak jak wszystkich innych członków swojego roju, bardzo licznego od chwili, kiedy królowa objęła władzę i podporządkowała sobie wiele innych sylfów. Co za radość!

Wyczuwał też jej wybranka, tego młodego sylfa, któremu nie mógł pomóc, kiedy tamten stanął na progu śmierci. Dzieciak doskonale się sprawił. Maczuga nie zamierzał odbierać mu jego pozycji.

Wojownicze sylfy nie walczyły ze sobą wewnątrz rojów. Królowa sama wybierała sobie partnerów. Większość wojowników nigdy nie pozyskiwała jej względów. Liczył się sam dotyk jej duszy; wszyscy od chwili wyklucia się z jaja instynktownie pragnęli jej bronić i jej służyć. Nikt nie przypuszczał, że zerwie tę więź, przechodząc przez wrota, ale tak się właśnie działo. Maczuga stracił już nadzieję, że w tym świecie kiedyś się z kimś połączy.

Ril emanował ciekawością, pytając bez stów o przyczynę jego podniecenia. W swoim świecie nigdy by się ze sobą nie kontaktowali jako sylfy z różnych rojów. Ale Ril nie miał

królowej. Kiedy nowa pani objęła władzę, był zbyt daleko, żeby znaleźć się pod jej panowaniem. Ale mogła go przyjąć do roju. Zawsze przyłączano do niego sylfy z pokonanej gromady. Teraz Ril mógłby z tego skorzystać. Połączyłaby ich prawdziwa przyjaźń, a nie tylko cień tego uczucia, które zbliżało ich, osamotnionych w tym wrogim świecie. Jeden wojowniczy sylf to za mało, żeby bronić królowej i zapewnić jej odpowiednie warunki życia. Trzy to już coś.

Niestety, nie miał sposobu, by powiedzieć o tym Rilowi. Wyczuwali nawzajem swoje emocje, ale nie mogli porozumiewać się w obecności panów, którzy je także odbierali. Zresztą instynkt nie pozwalał, żeby jeden drugiemu zaufał. To minie, kiedy obaj będą należeć do tej samej królowej. Wtedy wszystko stanie się możliwe.

Maczuga najchętniej by biegł, lecz mu tego zabroniono. Parł więc przed siebie żwawym krokiem, przekazując Rilowi aureę szczęścia, ale tamten nic nie rozumiał. Maczugę kusiło, aby śmiać się z tego do rozpuku, tym bardziej że pokonali już wiele kilometrów, a rój był coraz bliżej.

ROZDZIAŁ 10

W końcu stwierdzili, że lepiej nie mówić nikomu, kim jest Hejty. Ludzie mogliby wpaść w panikę, a i bez tego wszyscy mieli dość kłopotów, bo zbliżała się zima. Członkowie rady obawiali się buntu.

Solie i Hejty'ego zwolniono więc tylko z pracy, żeby ktoś nie rozdrażnił sylfa.

Nie doszło więc do spotkania z wdową, którego Solie tak się obawiała. Co więcej, dostali wraz z Hejtyem osobny, niewielki stary namiot. Pani Blackwell się to nie podobało, lecz przywódcy kazali jej zostawić tę parę w spokoju.

Skupiła się więc na dyscyplinowaniu pozostałej gromadki, żeby młodzież nie poszła w ślady Solie i Hejty'ego. Wszyscy patrzyli na nich z zazdrością, kiedy tylko jędrza spuściła ich z oka. Nikt nie chciał też siadać koło nich. Solie było trochę przykro z tego powodu, ale miała przecież Hejty'ego i jego niegasnące uczucie, toteż przeważnie czuła się szczęśliwa.

- Milo tu będzie, kiedy powstaną te jaskinie - powiedziała do niego trzy dni później, gdy szli na kolację.

Wiatr stawał się coraz bardziej mroźny; powietrze pachniało śniegiem. Trochę już padało; w miejscach osłoniętych od wiatru utworzyły się białe łąty. Ale sylfy prawie skończyły robotę. Ziemne pracowały bez ustanku, ryjąc w urwisku korytarze i komnaty, ogniowe ogrzewały całe miejsce, wodne doprowadzały wodę, a powietrzne wietrzyły pomieszczenia.

Hejty zaprowadził ją w głąb ziemi, żeby wybrała dla nich jeden z dużych pokoi w samym środku.

Zaskoczyło ją, że sylfy zgodziły się na to i zmobilizowały, żeby wykończyć go jak najszybciej.

Większość ludzi musiała poczekać jeszcze kilka dni na przeprowadzkę z namiotów, jednak oni oboje mieli zamieszkać u siebie już wieczorem. Zdumiewało ją, że nikt z dorosłych nie sprzeciwiał się temu.

Pewnie nikt nie chciał spierać się z Hejtem.

- To prawda - odparł, rozglądając się wokół. Zauważyła, że ostatnio często to robił. Nie wiedziała, przed czym chce ją tak bronić, lecz się uparł. Gdy budziła się w nocy, nigdy go przy niej nie było. Za każdym razem, kiedy szła go szukać, odnajdowała go na krawędzi urwiska, zapatrzonego w noc.

- Dobry wieczór.

Odwróciła się i spostrzegła zbliżającego się do nich Galwaya. Hejty rozpromienił się wewnątrz na jego widok. Galway, zupełnie spokojny, skinął im głową i otulił się płaszczem. Solie nie miała pojęcia, czy powiedziano mu, kim jest Hejty. Pewnie nie. Traktował ich tak samo jak wcześniej i wcale się nie bał.

- Wkrótce rozpęta się śnieżycyca - stwierdził.

Solie popatrzyła na równinę. Zabieliła się już na obrzeżach.

- Tak myślisz?

- Za parę dni podróżowanie stanie się bardzo trudne. Muszę wyruszyć jutro rano. Chciałem pożegnać się z wami obojgiem, bo może nie uda mi się z wami zobaczyć przed wyjazdem.

Hejty wpatrywał się w niego uważnie. Solie nie potrafiła rozwikłać jego uczuć, wiedziała tylko, że mu trochę smutno. Nie chciał, żeby traper wyjeżdżał. Nie bardzo rozumiała, dlaczego aż tak polubił tego człowieka, ale nie miała nic przeciwko temu.

- Naprawdę musisz jechać? - zapytała.

- Tak, jeśli nie zamierzam spędzić tu całej zimy.

Klepnął Hejty'ego w ramię, więc uznała, że nie zna prawdy. Zresztą sylf nie zrobiłby mu krzywdy.

Choć nie czuł wobec niego wdzięczności, Solie jasno dała mu do zrozumienia, że nie może używać przemocy, nie wolno mu krzywdzić ludzi, chyba że w ten sposób ratuje czyjeś życie.

- Przyjadę do was na wiosnę. Dobrze?

- Dobrze. - Hejty się rozchmurzył. Traper uśmiechnął się do niego.

W pobliżu, nad skrajem urwiska przefruwały powietrzne sylfy, wnosząc na szczyt worki mąki z magazynów u podnóża. Wyglądało to tak, jakby worki same latały w powietrzu. Sylfy były zadowolone i z radością pracowały dla dobra roju. Ich uczucia działały na Solie dziwnie kojąco.

Jeden z nich śmignął obok z wiadrem mleka; obok frunęły ziemniaki, pozornie bez niczyjej pomocy.

Jednak po chwili poczuła, jak przytrzymujące je prądy powietrza mierzwią jej włosy. Galway nie odezwał się ani słowem. Wszyscy zaczęli się przyzwyczajać do takich dziwów.

- Jadłeś już? - zapytała.

- Jeszcze nie. Zjemy razem?

Solie z uśmiechem skinęła głową i ruszyła w stronę namiotu jadalnego, z nadzieją że dotrą tam, zanim jedzenie ostygnie. Galway ruszył za nią, ale Hejty się ociągał. Zawołała go i obejrzała się. Nie patrzył na nią, tylko wbijał wzrok w ciemniejącą z nadejściem wieczoru równinę. Powoli przekroczył linię zabezpieczającą urwisko, chłonąc wszystkimi zmysłami to, co działo się w oddali.

Solie ogarnęła fala strachu, gdy Hejty zaczął warczeć.

W miarę upływu dnia góry stawały się coraz wyższe, a przed nimi odsłoniło się urwisko, które przypominało obronne fortyfikacje zamku. Wyglądało nienaturalnie, jakby ktoś uciał część wzniesienia od frontu i z góry. Leon domyślał się, że to prawdopodobnie dzieło wojowniczych sylfów - pozostałość po dawnych wojnach. Albo fort zbudowany przez ziemne sylfy jeszcze przed tymi wojnami jako placówka obronna. To bez znaczenia. Ważne, że teraz jest zamieszkały.

Obserwował przez lunetę namioty na szczycie i trzody bydła u podnóża. Wstęga przeoranej ziemi, wzdłuż której wędrowali, wiodła prosto w tamtą stronę. Maczuga też się tam kierował. Maszerował już kilkaset metrów przed nim.

Widząc, jak blisko jest do celu, sylf nie pozwolił Jasaro-wi się zatrzymać, mimo że zapadał zmrok. Leonowi to nie przeszkadzało. Nawet lepiej zaatakować ich w ciemności, pomyślał. Pewnie i tak nikt tam nie stoi na straży, jednak w nocy uda im się podejść o wiele bliżej niż za dnia.

- Wezwij swojego sylfa, bo jeśli podejdziesz za blisko, to go wyczują - ostrzegł Jasara.

Dworak spojrzał na niego, urażony, ale przywołał Maczugę. Nienawiść dwóch wojowniczych sylfów wyczuwa się na dużą odległość, ale tamci wciąż byli poza zasięgiem. Ludzie, których Leon podglądał przez lunetę, zachowywali się całkiem normalnie. Nie spodziewali się ataku.

- Widzisz coś? - warknął Jasar. Też chciał popatrzeć przez lunetę, ale nigdy by się nie zniżył, żeby go poprosić.

- Tak. Widzę piratów.

Z tej samej grupy, na którą wtedy urządzili zasadzkę. Leon był tego pewny. Rozpoznał wozy u podnóża urwiska. Skrzywił się. Myślał, że wytłukli wszystkich, ale tamci uszkodzili ich statek samobójczym atakiem kilkunastu ogniowych sylfów. Poza tym ludźmi króla dowodził Jasar. Nakazał odwrót, a Leon, szczerze mówiąc, przyjął to z ulgą. Gdyby wysłał Rila do walki przeciw komukolwiek, nawet piratom, oznaczałoby to, że zgodził się na mord.

Popatrzył na swojego towarzysza, zastanawiając się, czy Jasar spostrzegł, że są w tej samej okolicy, co przedtem. Znaleźli się jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów od miejsca, w którym urządzili zasadzkę, co więcej, ta równina wyglądała identycznie.

Sądząc ze znudzonej miny, jeszcze się nie zorientował. I nic dziwnego, całą wyprawę przesiedział przecież w kabinie statku. Nie wyglądał na zainteresowanego, ale to nie on szedł w bój. Leon spojrzał na Maczugę. Czy w ogóle powinniśmy dawać mu swobodę, zważywszy na jego niedawne zachowanie? - pomyślał. Wprawdzie ślad był wyraźny, ale wcale nie musieli z niego korzystać, bo Maczuga sam ich tu doprowadził.

Przynajmniej Ril zachowywał się normalnie. Leon pogłaskał go i poczuł w odpowiedzi nienawiść, mimo że jastrząb nie próbował się przed nim bronić. Wiedział, że Ril lubi głaskanie, choć nigdy by się do tego nie przyznał. Pod osłoną nienawiści Leon wyczuwał iskrę zadowolenia i oczekiwanie na swobodny lot.

- Poczekaj minutkę - powiedział. - Zaraz ruszysz do walki.

Albo po prostu urządzisz tam jatkę, poprawił się w myśli. Tym razem ci ludzie nie mieli żadnych szans. Jeśli dziewczyna,

która ukradła wojowniczego sylfa, rzeczywiście dotarła aż tutaj, dla niej także nie było nadziei. Jej sylf raz już przegrał z Rilem. Teraz będzie musiał stawić czoło dwóm wojownikom.

To niesprawiedliwe. I tamta zasadzka, i ta napaść. Szczerze mówiąc, na myśl o zabiciu dziewczyny robiło mu się niedobrze.

- Zaatakuj wojownika - polecił Rilowi. - Dziewczynę zabij wyłącznie w ostateczności, jeśli nie będzie wyboru. Resztę ludzi zostaw w spokoju.

Król nic o nich nie wspominał, kiedy wydawał rozkazy, a oni już wcześniej dostali odpowiednią nauczkę. Nie trzeba ich zabijać bez potrzeby. Piraci czy nie, załóg nawet nie tknęli, obrabowali tylko łódzie. Gdyby pozabijali żeglarzy, załatwiłby ich za pierwszym razem, choćby Jasar wypluł sobie płuca, wrzeszcząc, że statek zaraz spadnie.

Elegancik spojrział na niego z niesmakiem, kiedy usłyszał te rozkazy.

- Co z tobą? Litość to strata czasu. Machnął ręką do Maczugi.

- Zabij wszystkich na tym urwisku - polecił. - Zaczynij od dziewczyny. Jazda.

Maczuga natychmiast ruszył biegiem do obozowiska.

- Jasna cholera! - Leon nagle szarpnął wodze konia i zwierzę stanęło dęba. Opuścił ramię, podrzucając jastrzębia w powietrze.

- Ril! Leć!

Ptak odfrunął z krzykiem, pozostawiając Maczugę w tyle. Mimo to Jasar uśmiechnął się drwiąco do Leona, który najchętniej uderzyłby go w tę roześmianą gębę.

Zaskoczony Hejty drgnął nagle, a wzór jego energii skamieniał. Jego zmysły były bardziej wyostrzone niż zwykłych sylfów, więc prawie od razu wyczuł nadejście dwóch

wojowników. Jeden należał do jego roju... ten milczący, który nie chciał się do niego odzywać, a ten drugi... ten drugi omal go wcześniej nie zabił.

W pobliżu jedna z sylfek niosła właśnie koszyk z suszonym mięsem. Zawahała się; wzorzec jej energii wyrażał osłupienie. Potem zaczęła krzyczeć, ostrzegając przed atakiem wojowniczego sylfa.

Wszystkie inne natychmiast ukryły się w ulu - niech walczy ich wojownik.

Hejty odwrócił się do Solie, blady jak śmierć.

- Zaraz zaatakują nas dwa wojownicze sylfy - wydusił przerażony. Wiedział, że jeśli go pokonają, Solie zginie, nie wyobrażał sobie, jak zwycięży je oba. Były starsze, silniejsze... - Muszę iść - powiedział tylko.

Kiedy się odwrócił, zawołała go po imieniu.

- Kocham cię! - załkała, przywierając do niego. - Nie odchodź!

Zadrżał. Tego jednego, jedynego rozkazu nie mógł wykonać.

- Muszę - powtórzył. - Po to tu jestem.

Galway popatrzył na niego spokojnie. Zewsząd zaczęli zbiegać się uzbrojeni mężczyźni, wśród nich Devon i Morgal. Większość uciekła pod ziemię z sylfami. Niektórych sylfy dosłownie wciągnęły do środka, mimo że wrywali się do boju.

- Nie ryzykuj życia bez potrzeby, chłopcze - powiedział traper.

- Dobrze.

Hejty odsunął Solie, choć pragnął ją pocałować, i przez chwilę przyglądał się zebranym mężczyznom. Bardzo wielu nie zdawało sobie sprawy, co im grozi, ale wszyscy gotowali się do walki. Ucieszyło go to, bo czuł, że jego poświęcenie ma sens.

Podbiegł do skraju urwiska i skoczył w przepaść. Słyszał, jak krzyczą ze zdziwienia, a potem ze strachu, kiedy

zmienił postać. Był uwity z dymu i błyskawicy, a jego czarne skrzydła sięgały daleko. Popędził naprzeciw swoim wrogom, wysyłając ku nim pełen nienawiści krzyk, który poniósł się echem po równinie.

Ril pomknął do ataku. Wyczuwał obecność przeciwnika, jego strach, nienawiść i brak doświadczenia. Ten młodziak mimo wszystko zamierzał z nim walczyć. Nie miał wyboru. Wzbijał się ku niemu pod ostrym kątem. Pewnie zorientował się, że Maczuga jest z tego samego roju... Nie wiedział tylko, że Jasar rozkazał zabić jego panią. To głupie, pomyślał Ril. Ten dzieciak nawet nie doszedł do siebie po ostatniej walce. Będzie łatwym łupem - ale zanim on się z nim upora, Maczuga powybijają wszystkich na urwisku.

Rzucając wyzwanie fali nienawiści emanującej od wroga, Ril zwinął skrzydła i zanurkował ku niemu, żeby czym prędzej z nim skończyć.

Maczuga pędził w stronę urwiska szybciej niż galopujący koń, a jednak wolniej niż skrzydlaty Ril. Widział, jak jastrząb pikuje, a młody sylf startuje z urwiska, by z nim walczyć. Dzieciak nie miał żadnych szans. Ril był dużo starszy i bardziej doświadczony.

Maczuga pochylił się i podniósł ciężki kamień. Zamachnął się, wycelował i rzucił.

Zaledwie kilka metrów od celu Ril skoncentrował falę energii, którą chciał cisnąć w przeciwnika. Byli tak blisko, że energia, po przedarciu się przez płaszcz sylfa, prawdopodobnie zmiotłaby także dużą część urwiska, więc musiał celować dokładnie, tak żeby trafić tylko w niego. Zgadzał się z Leonem.

Niech Maczuga morduje ludzi i inne sylfy, jeśli musi. Oni będą się od tego trzymać z daleka.

Zebrał siły... i w tym momencie kamień ciśnięty z impetem błyskawicy rozdarł mu lewe skrzydło.

- Co jest, do cholery?! - wrzasnął Leon, opuszczając gwałtownie lunetę.

Jasar uśmiechnął się ironicznie.

- O co ci chodzi?

- Twój pieprzony sylf zaatakował Rila!

Leon był wściekły. Najchętniej by kogoś zamordował. Nie, najpierw by go torturował, a dopiero potem zabił. Widział, jak odległy punkt, Ril, spada coraz niżej, a młody sylf pikuje, żeby go wykończyć. Dwa nikle cienie na wieczornym niebie. Znowu przyłożył lunetę do oka i patrzył, jak Ril z trudem porusza złamanym skrzydłem, bije nim powietrze, a potem poddaje się i po prostu spada, aby wymknąć się chmurze pazurów, która chciała go pochwycić.

Maczuga gnał dalej po równinie, mijając stada przerażonego bydła. Skoczył na ścianę urwiska i zaczął się wspinać, wbijając palce w litą skałę.

Leon wepchnął lunetę do kieszeni i stuknął palcem Jasara.

- Jeśli Ril zginie, ty także umrzesz!

Wbił pięty w boki siwka i pogalopował przed siebie.

Jasar patrzył z przerażeniem, jak jego towarzysz pędzi w ogień walki. Spojrzał na swojego wojowniczego sylfa, którego ledwie widział w oddali, i złapał wodze jucznego konia. Zawrócił i po krótkiej chwili galopował w przeciwną stronę, najszybciej jak mógł.

Hejty był tak zdziwiony nagłym atakiem, że przegapił szansę na zabicie sylfa w postaci jastrzębia. Ptak, krzycząc z bólu, spadał w dół, bo złamane skrzydło nie chciało go nieść. Zmusił się, by je wyprostować, zatrzepotał nim i wysłał falę energii. Hejty odskoczył, ale i tak dostał cios prosto w płuca. Stracił równowagę i odzyskał ją nie bez trudu.

Drugi wojowniczy sylf, ten z jego roju, wspinał się po urwisku zdumiewająco szybko, prosto ku niczego niepodjęzawającej Solie. Hejty poczuł przyływ nadziei. To on rzucił

kamieniem. Będzie bronił królowej! We dwóch łatwo poradzą sobie z tym trzecim. Ciężkozbrojny sylf był już w dwóch trzecich wysokości urwiska, tuż pod miejscem, gdzie stała Solie. Hejty zanurkował i popędził ku swojej królowej, na spotkanie nowego towarzysza. Ril walczył z bólem, zmuszając się do poruszania złamanym skrzydłem. Wiedział, że właściwie jest bezbronny. Zdrada Maczugi go poraziła. W desperacji zaczął rozglądać się za swoim panem. Leon galopował przez równinę ku urwisku. Ril czuł, że pędzi mu na pomoc. Jak nigdy, ucieszył się, że należy do kogoś takiego.

Jego młody nieprzyjaciel nie wykorzystał przewagi, tylko śmignął z powrotem na urwisko. Ril widział z daleka jego panią i Maczugę, który wspinał się w górę. Wściekły, oszalały z bólu jastrząb złożył skrzydła i zanurkował w tamtą stronę. Otrzymał jasne rozkazy: zabić sylfa, jeśli da radę, albo dziewczynę, jeśli sylf mu się wymknie. Był zbyt okaleczony, żeby próbować walki z tym młodziakiem, ale dziewczyny nikt nie chronił. Wydał przenikliwy pisk i zaatakował.

Solie stała wraz z Devonem i innymi mężczyznami ze Wspólnoty, patrząc, jak Hejty walczy z sylfem. Nie zauważyła, jak tamtego trafił kamień, ale widziała, jak spada i jak Hejty zawraca ku niej.

- Po co on wraca? - jęknął Morgal. - Powinien z nim skończyć!

Sekundę później na skraju urwiska pojawiła się potężna postać - olbrzymia zbroja o płonących ślepiach. Solie krzyknęła ze strachu, choć pod warstwą nienawiści wyczuła radość tego stwora. Mężczyźni rozbiegli się w panice, tylko Devon rozpaczliwie próbował się zmusić, by stanąć w jej obronie, ale ciało nie chciało go słuchać i nie mógł się nawet poruszyć. Olbrzymi wojowniczy sylf to zauważył... i rzucił się na nią.

Hejty natychmiast znalazł się między nimi. Krzyknął przenikliwie, ale ciężkozbrojny, olbrzymi stwór odrzucił go na bok i znowu skoczył ku Solie. Hejty, rozciągnięty jak długi na ziemi, wstrząśnięty i zaskoczony, patrzył na niego z przerażeniem. Solie poczuła wokół siebie ramiona drugiego sylfa i ciepły dotyk jego rękawic.

- Nie! - krzyknęła. - Przestań! Nie rób mi krzywdy!

Hełm - twarz tamtego - znalazł się zaledwie kilka centymetrów od niej. Zamrugwała, czując, że nienawiść gdzieś zniknęła - przynajmniej pasmo przeznaczone dla niej. Teraz emanowała tylko z góry, z jastrzębia, który właśnie nurkował, by ją zabić.

Zbrojny sylf odepchnął ją na bok i błyskawicznie się odwrócił. Hejty pochwycił ją i zasłonił własnym ciałem. Olbrzym wyskoczył w niebo wspaniałym susem, złapał w dłonie nurkującego ptaka i wylądował na skale, omal się nie przewracając. Jastrząb wrzeszczał, wbijał szpony w jego zbroję i walił go zdrowym skrzydłem w twarz. Przez szczyt urwiska przetaczały się potężne fale mocy, ale Hejty osłonił Solie własną energią. Ludzie uciekali z krzykiem; ci, którzy nie zdążyli umknąć, przewracali się jak papierowe figurki.

Energia płynąca od zbrojnego sylfa starła się z tą, która emanowała z jastrzębia. Solie pisnęła ze strachu, kiedy ciśnienie powietrza zaczęło niezdolnie wzrastać, bo oba sylfy napierały na siebie z siłą zdolną zmienić w parę skałę, gdzie toczyła się walka. W końcu wielki rycerz wbił jastrzębia w ziemię. Ptak osłabł zupełnie, a aura jego nienawiści zgasła. Solie patrzyła na to wszystko, leżąc na plecach, osłonięta ciałem Hejty'ego.

Jej wybranek również obserwował potężnego szarego wojownika, niepewny, po czyjej stronie olbrzym się opowie. Instykt mówił mu, że dołączy do nich, ale przez chwilę... Przez chwilę bał się bardziej niż kiedykolwiek przez całe życie, bo leżąc na swojej królowej, nie wiedział, co robić.

Maczuga popatrzył w dół. Był autentycznie szczęśliwy. Od dawna nie zaznał tego uczucia... a teraz witał je znowu, dzięki szczuplutkiej dziewczynie leżącej pod przerażonym, młodziutkim wojowniczym sylfem. Dzieciak omal nie popełnił kardynalnego błędu, ufając instynktowi, który rozpoznał Maczugę jako wojownika z jego roju. Nie wiedział o rozkazie Jasara: zabić wszystkich, a najpierw dziewczynę.

Uratowało ich tylko jedno: Maczuga nie mógł zabić swojej królowej, wykonać rozkazu Jasara, nawet zanim ona sama poleciła mu, żeby przestał. Szkoda tylko, że nie może im tego wszystkiego powiedzieć.

Wielki sylf był zadowolony. Solie przełknęła ślinę, wciąż przerażona umiejętnością odczytywania cudzych nastrojów, mimo to postanowiła mu się bliżej przyjrzeć. Miała wrażenie, że chce jej coś powiedzieć.

- Jak ci na imię? - spytała w końcu.

Hejty objął ją i wstał, pociągając ją za sobą. Popatrzył gniewnie na swojego olbrzymiego pobratymca. Ale tamten milczał, wpatrzony w Solie.

- Nazywa się Maczuga - odezwał się Devon. Stał kilka metrów od nich, z twarzą szarą jak popiół, zakrwawiony i brudny. - To sylf wojowniczy lorda Jasara Doliarda. Nie może mówić.

- To jeden z tych, które nas zaatakowały - szepnął Mor-gal. - Wielkie nieba!

- C-co takiego? - Solie rozejrzała się wokół, w nadziei że ktoś podpowie jej, co robić. Niestety, wszyscy patrzyli na nią i czekali na jej decyzję. Napięcie stawało się nieznośne, więc postanowiła je rozładować. - Możesz mówić, jeżeli chcesz - powiedziała do niego.

- Dobrze, królowo - odparł.

Wszyscy gwałtownie nabrali powietrza. Niewiele brakowało, a Devon przewróciłby się ze zdziwienia.

- Ty mówisz? - sapnął. - Przecież to zabronione! Maczuga nie zwrócił na niego uwagi, skupił się na Solie.
- Mm... - Dziewczyna przełknęła ślinę i oparła się o Hej-ty'ego. Potrzebowała jego ciepła. Nie odrywając wzroku od drugiego sylfa, objął ją ramieniem i uścisnął krzepiąco. Pomogło. - Dlaczego właściwie się odezwałeś, skoro to zabronione?
- Dałaś mi pozwolenie, królowo. Czemu właściwie wszyscy ją tak nazywali?
- Jakim cudem zostałam twoją królową?
- Niesiesz w sobie wzorzec roju. Twoje rozkazy są święte. On też to czuje. - Skinął głową w stronę Hejty'ego. Solie zerknęła na swojego wybranka; z każdym słowem Maczugi coraz bardziej się uspokajał. W końcu całkiem rozluźnił mięśnie i popatrzył na nieprzytomnego jastrzębia, który zwisał z dłoni Maczugi.
- Hejty? - szepnęła.
- Spojrzał na nią, a potem na drugiego sylfa.
- On należy do roju. Przez chwilę nie byłem tego pewny, ale teraz wszystko jest już dobrze.
- Łypnął wrogo na ptaka.
- Mogę go zabić?
- Nie! - krzyknęła.
- Galway postanowił się wtrącić.
- Być może okaże się to konieczne - powiedział. W odróżnieniu od innych ludzi, wcale się nie bał. Po prostu otarł krew z rozciętego policzka i czekał, co jeszcze się wydarzy, skoro bitwa się skończyła. Nie wszyscy byli tak spokojni jak on.
- Co tu się dzieje? - spytał Morgal. - Niech ktoś mi to wyjaśni! - Trzymał się w bezpiecznej odległości wraz z resztą mężczyzn i wpatrywał się w Maczugę, przerażony. Olbrzymi sylf nie zaszczycił go nawet spojrzeniem.
- Czy możesz nam wyjaśnić, co tu się dzieje? - powtórzyła Solie.

- Wysłano nas, żebyśmy cię zabili - odpowiedział natychmiast Maczuga. - Ja miałem rozkaz pozabijać wszystkich na tym wzgórzu, najpierw ciebie, ale nie mogłem skrzywdzić królowej.

- Co? - wyszeptała, zdziwiona. Hejty ją przytulił.

- Jesteś królową roju - oznajmił Maczuga i wskazał na Hejty'ego. - On to sprawił. Mam obowiązek chronić cię i być ci posłusznym, i to jest ważniejsze niż rozkazy mojego pana.

Otworzyła usta ze zdziwienia.

- Czułem, kiedy zostałeś królową. Od tej pory podążałem do ciebie.

- Podążałeś... do mnie? - powtórzyła.

- Tak, królowo.

Nogi się pod nią ugięły. Wszystko to działo się zbyt szybko. Teraz miała już dwa wojownicze sylfy!

- A co z nim? - Wskazała omdlałego jastrzębia.

- Ril jest z innego roju, ale nie ma swojej królowej. - Oczy Maczugi załśniły. - Możesz go przyjąć do siebie.

- Do siebie? - powtórzyła.

- To jakiś obłęd! - krzyknął Morgal, który zapanował nad strachem i wybuchnął gniewem. - Nie będziemy przecież...

Maczuga łypnął na niego i nagle powietrze stężało od nienawiści. Morgal jęknął i odskoczył do tyłu, inni też. Tylko Galway się nie ruszył.

Solie popatrzyła na jastrzębia.

- Dlaczego miałabym to zrobić? - zapytała. Hejty pocałował ją w ramię.

- Bo w przeciwnym razie będziemy musieli go zabić.

- Co powinnam zrobić? - szepnęła.

- Pozwól, że przekażę mu twój wzór - zaproponował Maczuga. - Twoją władzę nad nim. Bez królowej nie będzie mógł się przed tym obronić.

Uniósł jastrzębia i mocno nim potrząsnął. Solie zadrżała i szeroko otworzyła oczy.

Gdy Ril oprzytomniał, mętnie uświadomił sobie, że został zaatakowany, zdradzony i okaleczony. Ból promieniował ze skrzydła. Umysł wypełniała mgła, zwłaszcza że zwisał głową w dół. Był w rękach Maczugi. Dotarło to do niego, gdy tamten złapał go za szyję i postawił na ziemi jak przyduszonego kurczaka. Wtedy dopiero spostrzegł dziewczynę - spoglądała na niego oczyma rozszerzonymi ze strachu.

W tym momencie Maczuga skupił się, przejął wzorzec duszy tej dziewczyny i przeniósł go na Rila. Ten zadygotał. Nie była zwykłym panem sylfa, lecz królową. Wzorzec królowej! Tylko że nie była sylfem, ale kobietą, która związała ze sobą sylfa i sprawiła, że przyjął jej wzorzec. Ril nie podlegał jej władzy, więc krzyknął przenikliwie, próbując zogniskować na niej swoją moc i nienawiść.

Dziewczyna cofnęła się, zakrywając usta dłońmi. Młody sylf objął ją i spojrzał na niego oczyma lśnącymi czerwienią. Ril skierował wściekłość przeciw nim wszystkim razem i każdemu z osobna, ale wtedy Maczuga jeszcze silniej narzucił mu wzorzec królowej. Wcisnął go w szczeliny umysłu Rila, który kiedyś, bardzo dawno temu, miał własną królową... lecz ona nie wybrała go sobie na partnera, więc zwabiony obietnicą miłości przeniknął przez wrota i skończył jako niewolnik mężczyzny. Żaden samiec nie potrafił utkać takiego wzoru, dziewczynie jednak to się udało; im bardziej zdecydowanie Maczuga go właczał, tym głębiej wzorzec zapadał w umysł Rila i powoli nabierał sensu. W końcu Ril, zamiast walczyć dalej, prawie zaczął pomagać Maczudze. Ta dziewczyna była jego królową, wzorem, któremu winien posłuszeństwo, i sensem życia. Zadygotał, przemienił swoją energię i uległ nowej władczyni. Maczuga zwrócił mu wtedy wolność i przyjaźnie objął go ramieniem. Ril należał teraz do tego samego roju, jak wszystkie inne sylfy na urwisku i w głębi niego.

Jestem w roju, pomyślał rozmarzony jastrząb. Nie przypuszczał, że go to kiedyś spotka. Bardzo to przeżywał.

- Witaj - wykrztusiła Solie. - Słuchaj, no... możesz mówić, jeśli chcesz. I zmieniać kształt, jeśli chcesz. Och, to był dobry rój. Naprawdę dobry rój.

Choć bitwa się zakończyła, na urwisku wciąż panowało zamieszanie. Leon przywiązał konia w ustronnym miejscu, zostawił płaszcz na siodle i mimo zimna ruszył przed siebie w samych spodniach i tunice, z mieczem na plecach i nożem w dłoni. Większość piratów schroniła się w namiotach, co ułatwiło mu zadanie. Przekradł się obok wartowników, którzy gapili się na cienie, więc nie potrafili dostrzec jego postaci, ciemniejszej plamy na tle czerni. To byli amatorzy i w dodatku było ich mało, więc ominął ich bez trudu i wspinał się na zbocze.

Musiał dotrzeć do Rila. Niepokoił się, ale nie mógł działać pochopnie; spokojnie podążał śladem więzi, jaka łączyła go z sylfem. Panowie przeważnie nie potrafili wyczuć swoich sylfów, jeśli nie emanowały nienawiścią, ale Leon przez długie lata starał się zaprzyjaźnić z Rilem i teraz wyczuwał jego obecność. Minęło go kilka sylfów w różnych postaciach, tak jednak zaaferowanych, że żaden nie zwrócił na niego uwagi. Tylko wojownicze nadawały się na wartowników.

Piraci w namiotach dyskutowali gorączkowo. Większość chciała zwinąć obóz i pójść, dokąd oczy poniosą, ale Leona mało to obchodziło. Chciał tylko odzyskać Rila. Kilka razy usłyszał słowa „wojowniczy sylf” i zacisnął wargi. Jak ci ludzie zechcą wykorzystać swoje nieoczekiwane zwycięstwo? Czy go zabiją? Maczuga i ten drugi sylf mogą to zrobić bez trudu.

Wyczuwał ból i znużenie Rila równie mocno, jakby to były jego uczucia; zatęsknił za znajomą nienawiścią swojego wojowniczego sylfa, bo ona oznaczała, że jest cały i zdrowy. Teraz emocje Rila bardzo osłabły i stały się prawie niewyczuwalne. Leon przeklął Jasara i podążył dalej. Jakim cudem

ten człowiek stracił panowanie nad własnym wojowniczym sylfem?

Ścieżka doprowadziła go do osłoniętej kopuły, spiralnej klatki schodowej, wiodącej w głąb urwiska. Ukląkł na brzegu otworu i zajrzał do środka. Żadnych wartowników. Mocniej zacisnął nóż w dłoni i ruszył w dół.

Schody miały co najmniej osiemdziesiąt stopni, ale powietrze w szybie było zaskakująco ciepłe i świeże, a stopnie oświetlono pochodniami. Dotarł do podstawy schodów i znalazł się w szerokim atrium o lśniących ścianach; jego postać odbijała się w stu lustrzanych płaszczyznach.

Odchodziło stąd w różnych kierunkach kilka korytarzy, a w ścianach wycięto kilka otworów drzwiowych, lecz on bezbłędnie wyczuwał obecność Rila. Podążył właściwym korytarzem o ścianach równie połyskliwych jak atrium. Dobiegły go czyjeś głosy.

- Jesteście po naszej stronie, czy nie? - pytał jakiś mężczyzna, rozgniewany i przestraszony zarazem. - Odpowiadajcie!

- Proszę, odpowiedz mu - wtrąciła się jakaś kobieta.

- Jesteśmy posłuszni królowej - odparł głęboki, dudniący głos. - Jeśli każe nam was chronić, spełnimy jej rozkaz.

- Nadal nic nie rozumiem - skarżył się ktoś inny. - O co chodzi z tymi królowymi?

Leon podkraść się pod uchylone drzwi, zza których odezwał się inny, wyższy głos:

- Przybyliśmy tu dla królowych, kobiet, które nam obiecano, a których nie mamy w naszych rojach.

Leon zajrzał za drzwi i znieruchomiał ze zdumienia. To był głos Rila, siedzącego na ramieniu rudowłosej dziewczyny.

- Tyle że w chwili, kiedy przechodziliśmy przez wrota, te dziewczyny zabijano. W ten sposób wpadaliśmy w pułapkę i stawaliśmy się poddanymi mężczyzn.

- Hejty uniknął tego losu - podjął Maczuga. To on mówił tym głębokim głosem. - Solie przeżyła, stworzyła z nim więź i została jego panią. Pogłębili ten związek i wtedy została królową wszystkich sylfów, które znalazły się wystarczająco blisko niej albo pochodziły z tego samego roju, co Hejty. Potem przyłączyliśmy do naszego roju Rila.

- Ona żyje - powiedział cicho jastrząb, spoglądając na Solie. - Oszalałem z rozpaczy, kiedy umarła moja królowa, ale ta żyje.

Leon z przerażeniem wpatrywał się w swojego wojowniczego sylfa; zupełnie zapomniał, że znajduje się na terytorium wroga i zginie, kiedy zostanie odkryty. Ril. Jak mogłem zrobić coś tak straszego mojemu sylfowi? - pomyślał. Wrócił pamięcią do dziewczyny, do tej przerażonej, drobnej, brązowowłosej smarkatej, która spoglądała na niego z takim strachem. Zrobiło mu się niedobrze. Ril przyszedł do tego świata dla niej, a nie dla niego. A on ją zamordował.

Cofnął się niezdarnie. Nóż wypadł mu z ręki, a rozpacz zapała mu dech w piersiach. Miał wrażenie, że zalała go cała nienawiść, którą Ril ciskał w niego przez te wszystkie lata. Nic dziwnego, że sylf tak bardzo nim gardził.

- Za drzwiami! - zawołał ktoś przestraszonym głosem. Nagle padł na niego czyjś cień. Leon podniósł wzrok.

Maczuga. Pięść wojowniczego sylfa twardo wylądowała na jego głowie.

ROZDZIAŁ 19

Rn stał w komnacie królowej i zmieniał kształt tak, jak kobieta zmienia stroje, szukając takiego, który by mu najbardziej odpowiadał.

Solie chichotała; siedziała na beli siana, która służyła jej za fotel. Hejty leżał na jej nogach i obserwował całą scenę, a Maczuga w milczeniu tkwił przy drzwiach. Najstarszemu sylfowi spodobała się pierwsza postać, którą przyjął, więc stał się potężnym, umięśnionym, bardzo wysokim mężczyzną. Ale Ril nie potrafił się zdecydować. Za długo żył w postaci ptaka, a przedtem mógł być, czym zapragnął, albo w ogóle nie przyjmować żadnego kształtu.

Królowa chciała, żeby się nie wyróżniał. Ril spojrział na swoje odbicie w błyszczącej jak lustro ścianie i bardziej się skupił. Stał się trochę wyższy i szczuplejszy, włosy mu zjaśniały i skróciły się lekko z tyłu, choć na czoło opadały w blond lokach. Przypominał jednego z bohaterów ulubionej książki Lizzy, lecz jego szare tęczęwki lśniły równie twardo, jak oczy jastrzębia.

- Teraz jest bardzo dobrze - pochwaliła życzliwie Solie.

Spuścił wzrok i westchnął. Szczerze mówiąc, było mu to obojętne. Mógł równie dobrze zostać ptakiem. Poprawił tunikę, którą miał na sobie przez cały czas, i usiadł bok królowej, opierając się o przykrytą płótnem słomę.

Wszyscy byli zadowoleni. Solie dobrze się czuła w ich obecności. Maczuga emanował takim spokojem, jakby od zawsze był jej strażnikiem i nie łączyła go więź ze znienawidzonym panem.

Nawet Hejty był szczęśliwy, gdy przekonał się w końcu, że nikt nie chce dzielić łoża z jego królową. Ril natomiast nie rozumiał, co się z nim dzieje. Dziwnie się niepokoił. Cieszył się, że należy do roju i ma królową, ale czegoś mu brakowało. Jak zawsze. Dlatego właśnie przeszedł przez wrota.

Popatrzył na królową. Ten problem jej nie dotyczył. Pochwyciła jego spojrzenie i zdziwiła się, więc szybko odwrócił wzrok. Żaden sylf nie potrafił ukryć swoich uczuć przed królową. On miał szczęście, że ta dziewczyna w niewielkim stopniu przechwytywała jego myśli. Prawdziwa królowa z je-

go świata widziałaby wszystko jak na dłoni. Tyle że niewiele by ją to obchodziło.

Solie zmarszczyła brwi, zdezorientowana, i spojrzała na Hejty'ego, a on odpowiedział radosnym uśmiechem.

W korytarzu rozległy się czyjeś kroki i trzy sylfy natychmiast zaczęły czujnie nasłuchiwać. Zbliżała się jakaś kobieta. Maczuga otworzył drzwi, kiedy do nich zapukała, przezornie stając między nią a królową. Ril także napiął mięśnie, gotów zniszczyć nieprzyjaciela, nawet jeśli okaże się samicą.

- Zejdiesz mi z drogi, czy nie? Biedna dziewczyna niedługo będzie musiała sama tu wszystko robić, bo każdy się boi do niej podejść. Może ona wcale nie zamierza spędzić reszty życia w towarzystwie waszej trójki?

Maczuga odsunął się, obserwując z rozbawieniem niemłoda kobietę w czarnej sukni. Odepchnęła go łokciem i wkroczyła do komnaty, niosąc w dłoniach przykrytą tacę. Postawiła ją na beli siana i z gniewem spojrzała na Solie.

- Chcesz tu siedzieć do końca swoich dni? - warknęła, opierając dłonie na biodrach.

Solie zaczerwieniła się, a trzy wojownicze sylfy popatrzyły na siebie. Co się robi w takich sytuacjach? W ich rodzinnym świecie nikt nie krzychał na królowe.

- A ty - kobieta zwróciła się do Hejty'ego - złaż na ziemię. Jazda! Co ty jesteś, kot? Kto to widział, bez przerwy trzymać głowę ludziom na kolanach!

Złapała go za ucho i pociągnęła, nie szczędząc wymówek.

Maczuga zachichotał spod drzwi.

Ril obserwował kobietę. Zachowywała się hałaśliwie i bezczelnie, ale jej śmiałość go nie zmyliła.

Bała się tak samo jak wszyscy, tylko nie chciała tego okazywać. Pachniała kobietą, płodnością i siłą.

Intrygujące. Niby nie królowa, a jednak...

Skarciła gniewnym wzrokiem wszystkich trzech po kolei.

- Nie gapcie się, bo to nieładnie - rzuciła, a potem zwróciła się do Solie: - Zjedz coś, kochanie. I wyjdź w końcu na zewnątrz. Siedzisz tu cały dzień. Spadł śnieg i zrobiło się bardzo pięknie. Pomożesz mi w kuchni przy wieczornym posiłku, a te bezużyteczne lenie też się na coś przydadzą. Zepsujesz sobie opinię, jeśli będziesz całymi dniami siedzieć w jaskini z trzema mężczyznami.

- Przecież oni nie są prawdziwymi mężczyznami - sprostowała Solie, jednak bez zwykłej pewności w głosie.

- Jak to nie? To lenie, co potrafią tylko się bić. Dobrze, że chociaż nie piją. - Pogłaskała Solie po głowie. - Czekam na ciebie za godzinę.

Odwróciła się i pogroziła sylfom palcem.

- A wy dobrze się zachowujcie! Dryblasy z was, ale dam radę przetrzepać wam skórę, jeśli mnie do tego zmusicie.

Solie westchnęła, kiedy kobieta wyszła z komnaty, szeleszcząc suknią; sylfy znów skupiły się na niej.

- Ona ma rację. Chyba zaczynam się czuć jak w pułapce. Ril posmutniał, wiedział, że trochę w tym jego winy,

lecz więc była taka świeża! Nie trwała nawet jednego dnia. Czuł się tak, jakby dopiero się wykluł, więc ani na chwilę nie chciał rozstawać się z królową. Rozumiał ją jednak doskonale. Była wprawdzie ich władczynią, ale też człowiekiem. Oszaleje, jeśli nieustannie będzie musiała znosić ich obecność.

Podniósł się z ociąganiem.

- Stanę na straży - oświadczył.

Wystarczy, jeśli jeden z nich będzie jej pilnował. Zresztą, ktoś powinien przejść się wokół obozowiska.

Tunika ocierała się o jego nogi - dziwne, nowe uczucie -kiedy ruszył korytarzem, a potem wspiał się po schodach. Jakaś postać niemal przykleiła się do ściany, kiedy ją mijał. Na dworze sypał śnieg, płatki wpadały przez otwór na schody, ale Ril nie czuł zimna pod bosymi stopami. A jednak zadrżał,

kiedy wyszedł z szybu. Przy okazji zmiany kształtu uleczył swoje złamane skrzydło, lecz nie odzyskał jeszcze pełni sił. Nic poważnego, ale dawało się odczuć.

Oczywiście wszyscy wyczuwali jego obecność. Zdawał sobie sprawę, że się wyróżnia, chodząc boso po śniegu, w za dużej tunice, i nie wiedział, co ludziom powiedziano o nocnej walce, lecz mało go to obchodziło. Podeszedł do krawędzi urwiska i obrzucił uważnym spojrzeniem Iłowy Płaskowyż. Ziemia jeszcze nie całkiem była pokryta śniegiem; sterczały z niej szare, ostre grzbiety skał. Nic się tam nie poruszało; wyczuwał tylko obecność żywych istot na urwisku i w jego głębi: inne sylfy, ich panów i ludzi. Wszystkich, bez wyjątku. Nikt go nie nienawidził. Nikt mu nie zagrażał.

Obok niego pojawił się Maczuga, ubrany trochę cieplej - miał na sobie spodnie i buty. Też zapatrzył się w dal.

- Gdybym wiedział, że mogę, poszedłbym za moim panem - powiedział. - Jest zmarznięty i przestraszony, więc byłby łatwym łupem. Ale nie chcę zostawiać królowej na tak długo. Poza tym on wciąż może mi rozkazywać, a ja muszę go słuchać.

- Jeśli go zabijesz, wrócisz do roju w naszym świecie. Rój wiąże cię z tym miejscem.

- Nie. Mój wzorzec jest teraz związany z królową. Wiąż z nią utrzyma mnie tutaj, kiedy ten łajdak zginie. - Maczuga popatrzył na niego. - Twój pan nadal tu jest, ale od kiedy masz królową, która cię wiąże ze światem, już go nie potrzebujesz.

Ril zamknął oczy i poczuł smak palącej nienawiści. Jej strumień wydostał się na zewnątrz. Ktoś krzyknął. Niechętnie zamknął aurę w sobie. Solie wyraźnie mu rozkazała: żadnych popisów. Ale wciąż czuł wrogość.

- To prawda - potwierdził z zapalem.

- Podoba mi się tu - oznajmił Maczuga. - Dobry punkt obserwacyjny.

Ril odwrócił się; wiedział, że jego towarzysz będzie stał na warcie, jak długo okaże się to konieczne, a Hejty ochroni królową i zadba o jej wygodę. Ruszył w kierunku schodów. Nie potrzebował aury, by przerażać spotkanych przygodnie ludzi: wystarczyło spojrzeć mu w oczy.

Hejty patrzył, jak Solie się posila, szczęśliwy, że może z nią być i że wokół są inne sylfy i wojownicy. W swoim roju nigdy by nie osiągnął takiej pozycji. Wybrała tylko jego na swojego partnera i wyraźnie dała mu do zrozumienia, że to się nie zmieni. Nigdy nie zaznał takiej miłości.

Solie zjadła trochę gulaszu i pokręciła głową.

- Znowu się na mnie gapisz - mruknęła.

- Och, przepraszam.

Odwrócił wzrok. W sali panował półmrok, bo oświetlały ją tylko świece i lampki olejne, ale było tu ciepło i bezpiecznie. Po zakończeniu prac wszyscy się tutaj przeniosą, czy jednak ludzie długo wytrzymają pod ziemią? Pewnie im się tu spodoba, kiedy na zewnątrz zrobi się naprawdę zimno.

Hejty polubi! to miejsce. Przypominało jego rodzinny rój, choć trochę różniło się kształtem. Gdyby jednak królowa wolała mieszkać wśród śniegów, posłusznie podążyłby za nią.

Solie jadła dalej gulasz, zagryzając kromką chleba. Racji żywnościowych jeszcze nie ograniczono do minimum, więc smakowała pieczywo, wiedząc, że wkrótce go zabraknie.

- Ciekawe, co się jeszcze zdarzy? - spytała, kiedy skończyła jeść.

- A kto mówi, że coś się zdarzy? - odpowiedział pytaniem Hejty.

Wzruszyła ramionami.

- Chyba nikt. Wygląda na to, że wygraliśmy. Mamy trzy wojownicze sylfy. Kto nas powstrzyma? - Skrzywiła się i podrapała po głowie. - Tylko że to, co się dzieje, jest trochę dziwne. Trudno mi się do tego wszystkiego przyzwyczaić.

Hejty się uśmiechnął.

- To pomyśl, jak czują się Ril i Maczuga.

Przypomniał sobie, co opowiedzieli im o swoich przeżyciach od chwili przejścia przez wrota, i zrobiło mu się zimno. Ten nowy rój był rajem, nawet bez porównywania go z koszmarami, które musieli znosić.

Solie zadrżała.

- Zastanawiałam się nad tym. Mam ciebie dlatego, że księżę nie zabił mnie podczas rytuału. Na tym to przecież polega, prawda? Kobieta ma zwabić wojowniczego sylfa. Co się stanie, kiedy ktoś jeszcze na to wpadnie? Ktoś, kto uzna nas za wrogów?

Hejty nie odpowiedział.

- I co zrobimy z Rilem i Maczugą? Przyciągnęło ich tu pragnienie kobiety - zaśmiała się cicho. - Nie zamierzam z nimi sypiać. Zaczną się czuć osamotnieni, prawda?

Wzruszył ramionami.

- Tu jest mnóstwo kobiet - mruknął. - Może sobie jakąś znajdą.

- Żeby się z nią spotykać?

- No. Coś w tym rodzaju. Maczuga twierdzi, że miał setki kobiet. W naszym świecie to niemożliwe. W roju jest zawsze tylko jedna królowa. Ale możemy kochać się z każdą kobietą. On już się rozgląda wśród tutejszych dziewczyn. Mówił mi.

Solie otworzyła szeroko oczy.

- Nie miałam pojęcia, że wojowniczy sylf może chodzić z dziewczyną...

- Maczuga z żadną nie chodził. Tylko z nimi spał. Solie oniemiała.

- Co? Zaraz, zaraz, wspomniałeś chyba o setkach?

- No tak. - Hejty znów wzruszył ramionami. Solie zaczęła chichotać, wyobrażając to sobie.

- Wdowa Blackwell go zabije! Widzisz już tę scenę?

Zasłoniła usta dłonią i śmiała się głośno, myśląc o tym, jak Maczuga zakrada się do namiotów dziewcząt, a wdowa wygania go stamtąd swoją chochlą.

Hejty śmiał się razem z nią, bardziej uszczęśliwiony jej dobrym nastrojem niż sytuacją. Jej królewski wzorzec był nadrzędny, ale sylfom wolno przyjmować tyle wzorców, ile zechcą. Właśnie dlatego mogą łączyć się z ludźmi. Jego towarzysze w końcu będą musieli znaleźć sobie nowych panów. W tym ubogim w energię świecie karmili ich ludzie, z którym się związali. A Solie nie może przecież wciąż karmić sobą trzech wojowniczych sylfów.

Oczywiście, Ril i Maczuga muszą zerwać ze swoimi poprzednimi właścicielami. Solie zabroniła im emanować gniewem, tłumacząc, że ludzkie samce w niczym nie przypominają samców w ich świecie, więc nie są wrogami. Hejty jej wierzył, bo przecież spotkał Galwaya. Ale ci panowie, którzy zrobili z tamtych swoich niewolników? To najgorsi wrogowie, jakich sylf może sobie wyobrazić. Ril i Maczuga powinni znaleźć sobie odpowiednie kobiety i doprowadzić do śmierci swoich poprzednich władców. Solie to chyba nie rozgniewa.

Rada nie miała zbyt dużej władzy: składała się przecież z ludzi, którzy przeżyli napaść wojowniczych sylfów i próbowali jakoś kierować Wspólnotą, mimo że czegoś takiego nigdy nie robili; szczególnie zależało im też na rządzeniu. Kiedy do Wspólnoty dołączyły te same dwa sylfy, które ją wcześniej zaatakowały, zapanowało w niej kompletne rozprężenie. Właściwie wszyscy chcieli zabrać stąd rodziny i uciec. Wokół radnych siedzących przy długim stole na końcu największego namiotu kłębił się tłum mężczyzn.

- Jak mogliście do tego dopuścić?! - zawołał ktoś, przekrzykując pozostałych. - Mieliśmy stada, pola, własne domy. Teraz gnieździmy się w jakiejś sylfiej norze, z tymi samymi stworami, które nas tu zagnały!

Poparł go chór okrzyków. Morgał próbował ich uciszyć, rozpaczliwie machając ręką; szczerze żałował, że nie żyją założyciele Wspólnoty. To oni stworzyli tę grupę i prowadzili ją dalej, zachęcali, by wiązać się z sylfami i korzystać z ich pomocy w uprawie nieurodzajnej gleby. Ziemia urodziła dobre plony, wystarczyłoby ich na całą zimę... gdyby wojownicze sylfy ich nie zniszczyły.

- Uspokójcie się! - wrzasnął. - Uspokójcie!

- Niech się stąd wynoszą! - krzyknął ktoś inny, z twarzą wykrzywioną strachem. - Albo je zabijcie!

- Nie da się zabić wojowniczego sylfa - zaśmiał się sucho Morgał.

Galway obserwował ich kłótnię ze swojego miejsca obok masztu w namiocie. Spojrzał na Devona, który podniósł rękę, ale nie po to, żeby zwrócić czyjąś uwagę. Po prostu dotykał swojej powietrznej sylfki, żeby się uspokoić. Wyczerpany, ledwie trzymał się na nogach, jak wszyscy. To znużenie i strach zaraz sprawia, że ci ludzie zrobią coś, czego później nie da się naprawić.

Odsunął się od masztu, o który się opierał, i postąpił krok do przodu.

- Jeśli zaczniecie grozić wojowniczym sylfom, one zaczną się bronić - odezwał się podniesionym głosem. - Są groźne tylko wtedy, gdy mają powód do walki.

Zebrani zwrócili się do niego, pełni gniewu i nieufności.

- Traktujcie ich z szacunkiem, a nie sprawiaj nikomu kłopotu - dodał.

- Jesteś po ich stronie! Przyjechałeś tu z nimi! - zapiał Zem, związany z jedyną sylfką uzdrowicielką we Wspólnocie.

Galway wzruszył ramionami.

- To prawda. A Hejty nawet nie tknął mnie palcem. Zapadła cisza.

- Przemyslcie to sobie - przerwał ją po chwili. - Mówicie, że zagnał was tu atak wojowniczych sylfów. Ale teraz sami

macie trzy. Nie pozwolą, żeby coś wam zagroziło, chyba że je stąd przepędzicie, choć wątpię, żeby wam się to udało. Nie zostawią dziewczyny, a jeśli jej zagroziecie - podniósł palec - to zmiotą z powierzchni ziemi całą tę górę.

Zgromadzonych przeszył zimny dreszcz. Galway pokiwał głową.

- One tu zostaną, czy wam się to podoba, czy nie. Dlaczego nie wykorzystać tego jak najlepiej? Mamy wojownicze sylfy. One nas ochronią. Myślicie, że już nikt na was nie napadnie? Gdybyście tak uważali, nie chowalibyście się w tej fortecy.

W namiocie zapanowała cisza, niektórzy tylko pomrukiwali.

- Wojownicze sylfy nie są naszym jedynym zmartwieniem - odezwał się nagle jeden z mężczyzn. - Jak przetrwamy zimę? Nie starczy nam jedzenia, a tu nie ma na co polować. Nie bez powodu mówi się, że ten płaskowyż to pustynia.

- A co z więźniem? - zawtórował mu ktoś inny. - Chcemy go powiesić! Po co ta zwłoka?!

Większość zebranych poparła go gromkim okrzykiem. Galway odwrócił się z westchnieniem i wyszedł z namiotu. Nie miał ochoty tego słuchać. Devon podążył za nim.

- Miałeś rację - stwierdził, kiedy znaleźli się na dworze.

- Nie było innego wyjścia. - Traper patrzył na wirujące płatki śniegu. - Powinienem wcześniej stąd wyruszyć. Jeśli nie przestanie padać, to utkwię tu na dobre. A to miejsce przestanie być mile z trójką rozzłoszczonych wojowniczych sylfów. Wolałbym, żeby nie uważały ludzi za zagrożenie.

- Mówisz o nich tak spokojnie - powiedział Devon, wyraźnie zdziwiony. - Ja się ich śmiertelnie boję. Nie wiem, jak możesz znosić ich obecność.

Galway się roześmiał.

- Mogę, bo zarabiam na życie, polując na niebezpieczne zwierzęta. Czasem bywają naprawdę przerażające. Hejty to

dobry chłopak. Skoro on niezbyt przejmuję się tym, że jest wojowniczym sylfem, to dlaczego ja miałbym się tym przejmować?

- Sporo osób ma inne zdanie - odparł Devon.

- Kobiety zgodzą się ze mną. Dobrze wiedzą, kto najlepiej obroni ich dzieci.

Galway rzucił okiem na namiot rady, z którego wciąż dochodziły odgłosy gorącej kłótni o jedzenie, egzekucję i obecność sylfów. Powiedział już, co chciał powiedzieć. Dalsza dyskusja tylko osłabi jego argumenty.

Nagle przyszło mu coś do głowy.

- Dobrze by chyba było, gdyby zobaczyli, że wojownicze sylfy mogą zrobić coś pożytecznego, z czym ludzie nie dają sobie rady.

Klepnął swojego towarzysza w ramię i ruszył energicznie przez śnieg.

- Dokąd idziesz? - spytał Devon.

- Idę prosić o przysługę.

ROZDZIAŁ 20

Leon klęczał na zimnej podłodze pokoju wykutego w litej skale; jedynym źródłem światła była tu duża świeczka, z której spływały potoki wosku. Zabrali mu buty i broń, a ręce i nogi związali z tyłu, łącząc pęta krótkim sznurem, niepozwalającym mu zmienić pozycji. Stopy i dłonie mu zdrętwiały, a na głowie miał solidnego guza po uderzeniu Maczugi. Trochę ćmiło mu się w oczach i po każdym poruszeniu robiło się niedobrze.

Starał się więc nie ruszać, po prostu klęczał, oszołomiony bólem i zmęczeniem, z głową pochyloną na piersi. Wszystko, w co kiedykolwiek wierzył, właśnie się załamało:

jego świat rozpadł się w chwili, gdy on usłyszał głos swojego wojowniczego sylfa. Zabił tę dziewczynkę bez powodu, bez sensu, tylko dlatego, że polecił mu to król, do którego od dawna nie żywił szacunku.

Ril nigdy nie należał do niego. Pracowali razem od piętnastu lat, mieszkali ze sobą... sylf patrzył, jak dorastają jego córki. Przez cały ten czas go nienawidził, ale nie tak bardzo jak normalnie sylfy swoich panów, więc Leon pochlebiał sobie, że Ril chyba go trochę polubił, a nawet że odwzajemnia jego uczucia. Teraz wiedział, jak bardzo się oszukiwał. Był zdrajcą. Mordercą. Zniewolił istotę, która zaryzykowała wszystko, co miała, przechodząc przez wrota, i bardzo ją zawiódł.

Szyja i plecy bolały go coraz bardziej, a kolana w zetknięciu z twardą kamienną posadzką płonęły żywym ogniem. W ustach mu zaschło, z oczu strumieniem płynęły łzy, niknąc w gęstej brodzie.

Marzył o tym, żeby ktoś tu przyszedł i go zabił; przez minionych piętnaście lat pamięć podsuwała mu stale scenę śmierci tej dziewczyny, sekunda po sekundzie. Nie wiedział, dlaczego Maczuga okazał się tak okrutny i nie zabił go od razu.

Drzwi - cienka, idealnie wyważona kamienna płyta - uchyliły się i do pokoju wpadło trochę świeżego powietrza. Światło z korytarza oślepiło Leona; zamrugał i podniósł wzrok. W drzwiach stał mężczyzna w prostej, za dużej tunice, która sięgała mu aż do kolan. Nie miał na sobie nic poza tym; na bosych stopach osadziło się trochę śniegu. Był wysoki i szczupły, a jego twarz otaczały blond loki. Wygląda jak jeden z ulubionych bohaterów książkowych mojej Lizzy, pomyślał Leon. Tylko że w oczach przybysza płonęła nienawiść. Patrzyły znajomo, choć były szare, a nie złote.

- Ril? - szepnął.

Twarc sylfa wykrzywił gniew. Głowa znów opadła Leonowi na pierś.

- Wielkie nieba - wyjąkał.

Ril panował nad nienawiścią, nie wysyłał jej w przestrzeń, ale Leon, mimo wszystko wciąż jego pan, doskonale ją wyczuwał. Docierały do niego pogarda, wściekłość i ból, który Rilowi sprawiała rana. Docierało też to, co normalnie skrywało się pod aurą wrogości: burza emocji, o które nawet go nie podejrzewał. I Leon, przybity, pochylił głowę jeszcze niżej. Obaj milczeli. Po piętnastu latach niewoli jego sylf wyraźnie nie potrafił znaleźć słów.

Leon odezwał się pierwszy:

- Wybacz.

To słowo wytrąciło Rila z równowagi.

- Jak śmiesz żądać tego ode mnie?! - krzyknął.

Aura jego nienawiści pojawiła się na moment, a potem równie szybko zniknęła.

- A co innego mam ci powiedzieć?

- Zabiłeś ją! - wrzasnął sylf. Pochylił się nad swoim panem, chwycił go za gardło i postawił na równe nogi. - Była bezbronna, a ty ją zabiłeś!

Leon czuł, że się dusi, i instynktownie próbował złapać oddech, choć zarazem marzył, aby sylf wreszcie zakończył jego mękę.

- Wiem. Przepraszam. Błagam!

To mogła być Lizzie albo inna z jego córek.

- Ty!... - Ril ścisnął go mocniej... ale w końcu odepchnął od siebie z całej siły. - Nie mogę cię zabić! Te przekłete rozkazy wciąż mnie krępują!

Leon leżał na podłodze, a powykręcane ręce i nogi płonęły mu z bólu. Z trudem łapał powietrze. Tylko jedno mogło przywrócić mu odrobinę szacunku do samego siebie. Albo i nie.

- Zwalniam cię! - wykrztusił. - Ze wszystkiego! Zrób ze mną, co chcesz!

Ril wpatrywał się w niego, czując, jak słabną zakazy. Leon nadal był jego panem. Sylf mógł odżywiać się jego

energiją, więc zaciągnął się nią i nasycił do woli. Koła go i uzdrawiała. Ale wszystkie ograniczenia zniknęły. Nie tylko te, które przełamała Solie, pozwalając mu mówić i zmieniać postać. Wszystkie. Wciąż wyczuwał emocje Leona, tak jak Leon wyczuwał jego. Bez osłony - aury nienawiści - chłonał wyrzuty sumienia, żal, bezgraniczną miłość do żony, córek, a nawet do niego. Mówił sobie, że to mało, że jego pan musi zginąć za wszystkie zbrodnie, które popełnił, pamięć jednak podsuwała mu miłe obrazy: Leon głaszcze jego pióra, delikatnie go dotyka, zgadza się, żeby bawił się z jego córkami, mimo że wszyscy mu to odradzają, no i wyrusza na szaleńczą wyprawę do wnętrza urwiska, by uratować jego, Rila, rannego w pojedynku z dwoma wojowniczymi sylfami. Leon zawsze poświęcał mu uwagę, a przecież on po to właśnie przeszedł przez wrota: żeby być dla kogoś ważnym.

Twarz wojowniczego sylfa wykrzywił przerażający grymas.

- Niech cię piekło pochłonie! - wydusił. - Na zawsze!

Odwrócił się i wybiegł.

Leon leżał tam, gdzie upadł, i cicho płakał, ogarnięty uczuciami, których nie potrafił nazwać.

Upojony wolnością, Hejty wznosił się wysoko nad równiną, ogarniając zmysłami jałowy płaskowyż, i igrał z wiatrem. Ciągłe padał śnieg, ale on śmigał sobie pośród płatków, kierując się na wschód. Nie wiedział, co tam jest, bo przybył razem z Solie z południa, był jednak pewien, że coś znajdzie.

Z wrodzonym optymizmem leciał dalej, tylko lekko obniżył lot. Pędził tak szybko, że wkrótce pokonał cały płaskowyż i poszybował nad górami, a potem nad lasem na ich zachodnich zboczach.

Czego właściwie szuka?... Nie miał pojęcia, co jest w tych zaśnieżonych górskich dolinach. Galway nie powiedział nic konkretnego poza tym, żeby unikał ludzi i ich siedzib. Solie

powtórzyła to samo, kiedy zostawiał ją pod opieką Maczugi. Trochę dziwnie czuł się z dala od niej, ale rozpierała go duma, że powierzono mu takie zadanie.

Przemknął przez jakiś wąwóz, a potem wzbił się wyżej, zaskoczony, gdy znalazł się w dolinie, wśród pastwisk. Na horyzoncie majaczyło jakieś wielkie miasto. Nikt nie zauważył sylfa, choć poruszał się jako chmura skrzydlatego, czarnego dymu wielkości sporego domku. Tylko psy zaczęły szczekać.

Wzniósł się pod same chmury i leciał, starając się nie zdradzić swojej obecności.

Wszędzie były tu ludzkie siedziby. Z pierwszej doliny biegła wstążka drogi, prowadząc do następnej, gdzie wyrastało jeszcze więcej wiosek. Nie mogąc obniżyć lotu, Hejty mijał dolinę za doliną, aż w końcu ziemia zniknęła. Pod nim rozciągał się ogromny, bezkresny przestwór wodny. Na brzegu wybudowano potężne miasto i zamek; kamienne nabrzeża przecinały błękitną wodę, a przy nich stało mnóstwo statków. Na falach unosiło się ich nawet więcej: łowiono ryby w lodowatej wodzie.

Zaintrygowany tym Hejty przemknął nad łodziami i dopiero potem obniżył lot.

Woda dziwnie pachniała i ciągle się poruszała, badał ją swoimi czułymi zmysłami, szukając życia... i zdziwił się, bo znajdował je niemal wszędzie. Woda wydawała się go pełna, niestety pływające w niej stworzonka raczej nie nadawały się do jego celów. Zwolnił i sięgnął dalej; dostrzegł ławice rybek, które śmigają, jakby kierował nimi czyjś umysł. Nie, ich też ze sobą nie zabierze.

W końcu znalazł to, czego potrzebował. Było jeszcze dalej i wyrzucało przed siebie wysokie fontanny wody. Większość tych stworzeń okazała się dla niego za duża, ale kilka nadawało się akurat dla Galwaya; Hejty nie wątpił, że uniesie je bez trudu. To znaczy miał nadzieję, że traperowi chodziło właśnie o coś takiego. Nie wspominał nic o ogromnych połaciach wody.

Hejty zanurkował, wysłał ładunek mocy na tyle silny, by oszołomić, a nie unicestwić. Trafił prosto w cel: stworzenie wystrzeliło z wody ku przerażeniu swojego stada, które zanurzyło się teraz znacznie głębiej. Wbił pazury w ciało zwierzęcia, zanim spadło z powrotem do wody, i wzniósł się z nim w powietrze. Niestety, łup okazał się cięższy, niż Hejty myślał, i ledwie dał radę go unieść. Krzyknął przenikliwie i omal go nie upuścił. Wreszcie, kiedy skoncentrował się wyłącznie na tym zadaniu, jakoś udało mu się nabrać wysokości.

Drżąc z wysiłku, ruszył do domu; jego ogromny łup dyndał w powietrzu, więc sylf nie mógł pozostać niezauważony. Widział ludzi - stali na ulicach miasta i gapili się na niego. Chciał wzbić się wyżej, lecz zabrakło mu sił. Wysunął więcej szponów i wbił je w stworzenie, bo te, którymi już je przytrzymał, zaczęły przeszywać cielsko na wylot. Potem wysłał do domu prośbę o pomoc. Wkrótce napłynęła stłumiona odpowiedź, więc uparcie parł dalej, powoli pokonując prądy powietrza nad dolinami i górami, których wcześniej tam chyba nie było. Ril dotarł do niego kilka godzin później.

Starszy sylf był od rana w fatalnym nastroju; zapikował spomiędzy chmur, jak do walki. Aż się zakrztusił, gdy zobaczył, co taszczy Hejty. Łup był ledwie o połowę mniejszy od Hejty'ego.

Co to takiego?

Nie wiem. Galway mnie o to prosił. Po co mu to? Chyba do jedzenia.

Hejty poprawił chwyt i omal nie puścił zdobyczy. *Pomóż mi!*

Ril wzdrygnął się z obrzydzenia, ale zbliżył się i przejął część ciężaru. Razem udało im się unieść stworzenie powyżej pułapu chmur, gdzie prądy powietrzne były mniej zdradliwe

i nikt sylfów nie widział. Hejty, zadowolony, z ulgą leciał w stronę domu.

Galway kazał ci to przynieść? - spytał w końcu Ril, migocąc ze zdziwienia. *Dlaczego usłuchałeś człowieka?*

Hejty się zastanowił.

Solie powiedziała, że mężczyźni to nie wojownicy i nie musimy ich tak traktować. No i że mamy przestać uważać ich za wrogów.

Mężczyźni to naprawdę wrogowie, oświadczył Ril.

Ale nie Galway, sprzeciwi! się Hejty. Był dla mnie dobry. Umarłbym, gdyby nie on. Zamilkł na chwilę. Chyba go lubię. To mój przyjaciel. Jeśli ktoś jest dla ciebie dobry, to nieważne, czy to samiec, czy samica, prawda? Po prostu przyjaciel.

Nie, to ważne.

Przecież my jesteśmy przyjaciółmi, odparł Hejty.

Ril wyrzucił z siebie smugę czarnego dymu.

To co innego. Należymy do tego samego roju.

I co z tego? Z początku nie należałeś do nas. A teraz się przyjaźnimy. Chcę, żeby tacy ludzie jak Galway też byli moimi przyjaciółmi.

Nie potrzebuję przyjaźni żadnego człowieka! - ryknął Ril i odleciał.

Hejty zapiszczał ze zdziwienia i owinał się wokół swojej zdobyczy, starając się jej nie upuścić podczas ledwie kontrolowanej utraty wysokości. Na szczęście minął góry, więc omal nie wylądował na zaśnieżonej równinie, lecz jakoś prześliznął się nad nią i powoli, w ponurym nastroju, podążał w stronę domu. Ril był już tylko kropką na horyzoncie; nienawiść sylfa rozchodziła się jedynie po łączach, które służyły do komunikowania się wewnątrz roju, bo Solie zabroniła emanować nią na zewnątrz.

Od Maczugi napłynęło ledwie słyszalne pytanie o to, co się dzieje. Hejty tylko warknął, bo sam nie wiedział. Ścisłej

owinał stworzenie swoim energetycznym płaszczem - mimo to na pokrytą śniegiem ziemię padały krople krwi - i parł przed siebie.

Dopiero u schyłku dnia dotarł do domu. Zupełnie opadł z sił. Nie dał rady pokonać pionowej ściany urwiska, więc okrążył ją i poleciał nad łagodniejszym zboczem, ku zdumieniu członków Wspólnoty. Dzieci goniły go z krzykiem. Wreszcie spostrzegł Solie; wyszła z kuchni, trzymając w jednej ręce nóż, a w drugiej do połowy obrany ziemniak. Szeroko otworzyła oczy, zdziwiona i zachwycona zarazem. Tuż za nią stał Maczuga, obojętny jak zwykle, ale ludzie nadbiegający ze wszystkich stron nie kryli zdumienia. Tym razem nikt się go nie bał. Hejty wyczuł ich radość i ulgę i nagle zrozumiał, o co chodziło Galwayowi: traper chciał pokazać Wspólnocie, że wojownicze sylfy potrafią zapewnić żywność na zimę.

Hejty podfrunął do swojej królowej i puścił łup. Pięciometrowy wieloryb z łomotem spadł na ośnieżoną ziemię. Sylf przybrał ludzką postać i potykając się, padł w ramiona Solie, kompletnie wyczerpany. Chciwie pił jej pulsującą energię.

- Wystarczy tego mięsa? - spytał błagalnie. Zachichotała.

- O tak. Na pewno.

Tego wieczoru wreszcie się najedli, a raczej objedli tłustymi stekami z wieloryba. To, czego nie zdołali zjeść, już się wędziło, a tłuszcz wykorzystano do zrobienia świec i oleju. Praca była ciężka i nieprzyjemna, ale wszyscy promieniali szczęściem, po raz pierwszy od wielu miesięcy.

Solie siedziała przy stole ze swoimi sylfami. Żaden z nich nie jadł, za to ona delectowała się posiłkiem. Proszono ją już, żeby jej wojownicy zdobyli więcej jedzenia, także warzywa i owoce, jeśli to możliwe. Inne sylfy się do tego nie nadawały, bo nie potrafiły zabić nawet rośliny. Choć pomagały przy

oraniu ziemi i uprawie zbóż, żniwami zajmowali się ludzie. Wojownicze sylfy natomiast zabijały bez oporów.

- Macie coś przeciwko zaopatrywaniu nas w żywność? - spytała ich, jedząc. Mięso wieloryba, tłuste, lecz smaczne, zaspokoilo wszystkie potrzeby Wspólnoty.

Hejty wzruszył ramionami.

- Nie, jeśli nie będzie trzeba nosić wielkich ciężarów. Chyba sobie coś naciągnąłem.

Ril odwrócił wzrok, ale Maczuga powoli skinął głową.

- Nie ma problemu, pod warunkiem że któryś z nas zawsze będzie tu stał na warcie.

Solie uśmiechnęła się do nich. Nie przyzwyczaiła się jeszcze do tej niezwykłej empatii i rzadko z niej korzystała, żeby nie zwariować, jej sylfy przełamywały jednak wszelkie blokady. Maczuga był jak spokojne jezioro, silny i łagodny. Hejty jak ożywcza fontanna, szczęśliwy i pełen emocji. Za to Ril... Ril przypominał mroczne moczary albo tamę na chwilę przed pęknięciem.

Popatrzyła na niego. Przyglądał się ludzkim rodzinom. Nie ujawniał aury, ale jego paskudny nastrój jej się udzielał. Coś go dręczyło, a ona nie wiedziała, co z tym zrobić. Był o wiele starszy od niej. Czy powinna wtrącać się w jego prywatne sprawy? Choć niby należał do niej, prawie go nie znała.

Westchnęła. Odechciało jej się jeść. Poza tym opadła z sił. Od chwili przybycia w to miejsce nie opuszczało jej zmęczenie, a tego wieczoru czuła się wyjątkowo źle. Wiedziała, że sylfy karmią się jej energią, lecz do tej pory nie uświadamiała sobie, że może jej kiedyś zabraknąć. Zachowanie Rila bardzo ją wyczerpywało.

Wbiła oczy w talerz. Maczuga pochylał się nad stołem i strzelił! drugiego sylfa w ucho. Ril odwrócił się błyskawicznie, rozwścieczony, ale jego potężny kolega wskazał mu kciukiem Solie.

- Przestań ją wyczerpywać. Hejty pochłonał dziś bardzo dużo jej energii.

Ril popatrzył na Solie, i ta natychmiast zaczęła odzyskiwać siły. Hejty przytulił się do niej.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Tak - odparła. Apetyt jej wrócił, włożyła więc do ust kolejny kęs.

- Jeśli jesteś zmęczony, pożyw się u tego twojego pana - powiedział Maczuga do Rila. - Tylko jeden z nas powinien brać energię od Solie.

- Ty jakoś nie idziesz do swojego pana - warknął Ril.

- Znajdę sobie kogoś innego - odparł Maczuga spokojnie. - Jest w czym wybierać. Może ty też to zrób.

Gdy Ril skrzywił się, Hejty uśmiechnął się do Solie.

- Przepraszam, że wziąłem aż tyle.

- Bo musiałeś - odparła. - Ten wieloryb był ogromny! Poza tym niedawno walczyłeś. Dam sobie radę.

- Nie będziesz dłużej zajmować się nami trzema - obiecał Maczuga.

Siedząca trochę dalej rodzina skończyła posiłek i wstała, żeby odnieść naczynia. Ale zamiast omijać sylfy, ci ludzie podeszli do ich stołu.

- Bardzo wam dziękujemy - powiedziała z błyszczącymi oczyma kobieta. - Po raz pierwszy od bardzo dawna porządnie się najedliśmy.

Dzieci patrzyły z podziwem na wojowników, nawet mąż zdobył się na to, by podnieść głowę i spojrzeć wprost na nich.

- Dzięki, naprawdę - wymamrotał.

Wojownicze sylfy nie odpowiedziały, bo żaden nie miał zwyczaju gawędzić z ludźmi. Solie wyczuła jednak ich nastrój. Hejty był zadowolony z pochwały. Dość łatwo pogodził się z obecnością mężczyzn. Maczuga był spokojny - przyjął te słowa obojętnie, ale nie zamierzał też nikomu grozić. Ril napiął się tak mocno, że mógł w każdej chwili wybuchnąć. Solie z wahaniem położyła mu dłoń na ramieniu. Najpierw

zesztywniał, a potem uspokoił się siłą woli i posłał jej w myśli: *Przepraszam*. Od tej rodziny rozpoczęła się prawdziwa procesja ludzi, którzy podchodzili do nich z podziękowaniami. Solie wiedziała, że Wspólnocie brakuje jedzenia, lecz do tej pory nie zdawała sobie sprawy z powagi sytuacji. Jej sylfy prawdopodobnie uratowały tę gromadę, więc obdarzyła je promiennym uśmiechem, z nadzieją że to dopiero początek.

ROZDZIAŁ 21

W drodze do zamku Jasar zajeździł jednego z koni, a drugi galopował resztką sił, spieniony i zdyszany, gdy wpadli na dziedziniec przez główną bramę. Dworzanin, mimo że umorusany i przerażony, zmierzył władcym spojrzeniem stajennego, który wyszedł przytrzymać konia.

- Powiadom króla o moim przyjeździe - rozkazał i zsiadł z wierzchowca, krzywiąc się niemiłosiernie, gdy mięśnie jego nóg i pośladków zaprotestowały przeciw kolejnym wysiłkom. To rozzłościło Jasara jeszcze bardziej. - Muszę z nim porozmawiać na osobności, ale najpierw się wykąpię!

Odwrócił się energicznie i wkroczył do zamku. Służba i pomniejsi dworzanie pierzchali mu z drogi. Czuł się upokorzony, że widzą go w takim stanie, lecz cieszył się, że wrócił. Przemykając pod ścianami, dotarł do swoich apartamentów i z głębokim westchnieniem wszedł do środka. Był w domu, z dala od pustych dróg i zimnych wiatrów, z dala od gróźb Leona i zdradliwego wojowniczego sylfa. Strach, który nękał go nieprzerwanie od pięciu dni, zniknął w obliczu wszelkich wygod. Strzelił palcami i polecił, aby służba przygotowała mu kąpiel i rozebrała go z brudnych szat.

Alkowa Maczugi w rogu głównej komnaty świeciła pustkami. Jasar obrzucił ją wściekłym spojrzeniem, a potem odwrócił się tyłem, żeby nie przypominała mu, co się stało. Wyprawa zakończyła się porażką, a jeśli źle pogra, to król jego o wszystko obwini. Mimo wszystko czuł, że odzyskuje pewność siebie. Stąpił po znajomym gruncie, nie wątpił więc, że da sobie radę. Kąpiel trwała godzinę; polecił służbie dwukrotnie zmieniać wodę. Wiedział, że król każe mu czekać co najmniej dwa razy dłużej, a lepił się od brudu. Nawet po wyjściu z wody nie czuł się dość czysty, choć inteligencja podpowiadała mu, że to raczej kwestia nieczystego sumienia. Podczas ablucji żaden służący nie odezwał się do niego ani słowem; gdyby któryś się odważył, zostałby natychmiast zwolniony. Jasar wyczuwał, że wszyscy zadają sobie pytanie, co się stało z Maczugą. Już szepczą o tym po całym zamku. Czerwieniał się ze wstydu na samą myśl o tym. Warknął i uderzył jednego ze sług w twarz, bo uznał, że za wolno się rusza. Wygramolił się z wanny i wyciągnął ręce, by mu włożono szlafrok. Przewiązał się paskiem i przeszedł do ubieralni. Odziali go w aksamity i jedwabie, z koronkami przy szyi i mankietach. Na nogi włożyli mu miękkie buty. Wzdychał z zadowoleniem, gdy układali mu włosy i skropili go perfumami. Dobrze było pozwolić się pielęgnować, a potem ubrać się jak należy, bo kosztowne tkaniny i przedmioty dawały mu poczucie wyższości nad tymi wszystkimi, którzy się z niego podśmiewali i go krytykowali. Zrzucił na ramiona krótką pelerynę z gronostajów i udał się na spotkanie z królem. Alcor oczekiwał go w tej samej sali audiencyjnej, w której wydawał im polecenia, gdy wyruszali na wyprawę. Thrall prężył się za królem, jak zwykle, i obojętnie patrzył na Jasara. - Z czym przychodzisz? - warknął władca, gdy Jasar podszedł do stóp podwyższenia, na którym stał tron, i skłonił się głęboko.

Jasar wyprostował się i spojrzał w oczy swojego pana. Bezpośredniość króla go nie zaniepokoiła. Bardziej by się zmartwił, gdyby władca spytał go o zdrowie, co zazwyczaj oznaczało, że zamierza wtrącać się w jego życie prywatne. Szorstkie pytanie Alcora świadczyło o tym, że wymaga on prostej odpowiedzi.

- Wasza Wysokość - zaczął. - Przynoszę straszne nowiny. Leon Petrule cię zdradził. Przeszedł na stronę piratów, a jego wojowniczy sylf zabił mojego.

Alcor długo milczał. Jasar obserwował, jak się namyśla. Król, choć niegłupi, wszędzie widział wrogów, a Jasar umiejętnie podsyczał ten lęk. Był na tyle ostrożny, że nigdy nie lgał mu prosto w oczy, i Alcor zdawał sobie z tego sprawę. Jasar wiedział, że reputacja uczciwego człowieka kiedyś mu się przyda. Wyglądało na to, że właśnie nadszedł ten dzień.

- Mój dowódca straży zdradził, a twój wojowniczy sylf zginął z ręki innego? To jak to się stało, że ty sam ocalałeś? - Alcor zmrużył oczy.

- Maczuga poświęcił się dla mnie - odparł gładko dworzanin i złączył dłonie w modlitewnym geście. - Natrafiliśmy na grupę piratów, przeciwko którym wysłałeś nas poprzednio, panie. Powiedziano mi wtedy, że wszyscy zginęli, ale kiedy trop dziewczyny zaprowadził nas do ich siedziby, Ril zaatakował Maczugę. Przepraszam, że nie przewidziałem tej zdrady. Leon zdecydowanie im sprzyja. Zabiłby mnie, gdyby mógł.

Król zmarszczył brwi i zaczął skubać dolną wargę.

- A co z dziewczyną?

- Przystała do nich, razem ze swoim sylfem. Maczuga nie miał z nimi szans.

Pokręcił głową, tak modulując głos, żeby zabrzmiał w nim smutek.

- Wygląda na to, że Leon celowo skłamał, mówiąc, że dziewczyna jest niewinna. Ojciec Belican miał rację. Została

podstawiona. Piraci są o wiele lepiej zorganizowani i o wiele bardziej niebezpieczni, niż myśleliśmy. Król poprawił się na tronie i się zadumał. Całkiem niezłe kłamstwo. Pomimo paniki Jasarowi udało się je wymyślić podczas ucieczki. Jedno z najlepszych, jakich w ogóle kiedykolwiek użył. Cała wina spadała na barki Leona, a on może z tego wyjść jeszcze potężniejszy i bardziej szanowany niż przedtem. Omal nie oblizał ust. Czekał.

- To poważna sprawa - powiedział w końcu król. Jasara ucieszyła nuta niepewności w jego głosie. Alcor mu uwierzył. Nic dziwnego, Jasarowi nie brakowało sprytu. - Zwołać radę - rozkazał władca słudze, który wszedł do sali, słysząc jego klaśnięcie w dłonie. - Musimy to przedyskutować.

Potem spojrzał na Jasara.

- Wiele dla nas uczyniłeś, przywożąc te wieści - przyznał, a dworak skłonił się znowu, starając się, by jego twarz nie zdradzała zadowolenia. - Zostaniesz nagrodzony, gdy tylko powrócisz po bitwie.

- Gdy tylko powrócę, Wasza Wysokość?

Król wykrzywił wargi w uśmiechu. Jasar zaczął się teraz zastanawiać, czy rzeczywiście Alcor mu uwierzył.

- Wiesz, gdzie przebywają ci piraci - stwierdził władca. - Ktoś musi poprowadzić armię i sylfy, które wyślę, żeby ich zniszczyć. Znasz doskonale teren. Będziesz najlepszym dowódcą.

Krew zastygła Jasarowi w żyłach. Ma tam wrócić? Przecież Leon pragnie jego śmierci, a Maczuga robi to, co mu się żywnie podoba! Żaden wojowniczy sylf do tej pory nie wypowiedział posłuszeństwa swojemu panu. Nagle zobaczył przerażającą wizję: oto Maczuga idzie prosto po niego.

- Wasza Wysokość, ja nie mogę... ja stałbym się celem ataku. Leon groził, że mnie zabije, a przecież wciąż ma wojowniczego sylfa.

Król leniwie machnął ręką i popatrzył przez ramię na Thralla.

- W takim razie i ciebie musimy wyposażyć w sylfa, prawda? - powiedział.

Jasar zamarł. Alcor polećtał jego próżność. Drugi wojowniczy sylf? Ktoś, kto będzie bardziej posłuszny niż Maczuga? Ktoś, kogo Leon się nie spodziewa? Uśmiechnął się i skłonił ponownie, głębiej niż przedtem.

- Tak, panie. Życzenie Waszej Wysokości jest dla mnie rozkazem.

Postanowili nie mówić dzieciom ani nastolatkom o egzekucji. Młodzież nie powinna oglądać takich strasznych rzeczy. Prawie nikt nie dowie się, że ten człowiek został powieszony, tym bardziej że prawie nikt nie wiedział o jego uwięzieniu.

- Niech zachowają niewinność - mruknął cicho Devon. Airi przytuliła się do jego pleców, kiedy obserwował, jak

ziemne sylfy tworzą kamienny filar na skraju urwiska, a potem ramię wyciągnięte nad przepaścią. U podstawy leżała lina, która miała zacisnąć się na szyi więźnia. Wystarczy go zepchnąć ze stromizny, żeby powiesił się pod własnym ciężarem.

Me podoba mi się to, rozpaczała Airi. Czy on naprawdę musi umrzeć?

Devon pokręcił głową. Decyzja nie należała do niego. Podjęli ją Morgal i inni mężczyźni. Zbyt wielu ludzi zginęło z ręki Leona Petrule'a. Rilowi można było wybaczyć, ale jego panu nie. Galway oddalił się, nie patrząc, jak Stria z innymi sylfami buduje szafot, i zajął się końmi. Jego reakcja wyraźnie mówiła, co o tym myśli. Devon zastanawiał się, czy powinien przyjąć nieme zaproszenie trapera, aby się do niego przyłączył.

- Nie mogę powiedzieć, żebym miał im to za złe - zwierzy! się Airi.

Królowa będzie nieszczęśliwa.

- Nikt chyba nie zamierza jej pytać o zdanie.

Devon popatrzył na tłum gromadzący się przy schodach, które prowadziły do siedziby roju. Solie i Hejty byli pod ziemią, Maczuga też, i pracowali przy urządzaniu nowego domu. Coraz więcej mieszkańców Wspólnoty przenosiło się do środka, chroniąc się przed śniegiem i mrozem, bo było tam ciepło i przytulnie, choć ciemno w miejscach, gdzie nie docierały ogniowe sylfy. Kuchnię też tam przeniesiono; królowała w niej wdowa Blackwell; dziś zapędziła do pracy wszystkich młodych, żeby nie widzieli, co się dzieje. Prawdopodobnie żadne z nich nie zdawało sobie sprawy, że dorośli zgromadzili się na zboczu urwiska i mimo przejmującego zimna czekali na egzekucję.

Devon się obejrzał. W oddali Ril wpatrywał się w przestrzeń. Ostatnio zawsze stawał na warcie. Ktoś znalazł mu bardziej dopasowaną tunikę i spodnie, więc teraz właściwie nie wyróżniał się z tłumu - poza tym że mimo przenikliwego wiatru nie miał na sobie płaszcza i że wszyscy omijali go szerokim łukiem.

Dziwne, jak łatwo wszystkie trzy sylfy przystosowały się do nowych warunków. Hejty, wesoły i przyjazny, był powszechnie lubiany. Maczuga zdobył wielką popularność wśród kobiet, więc niektórzy mężczyźni zgrzytali zębami na jego widok, a wdowa Blackwell nie spuszczała z niego oka, gdy zanadto zbliżał się do jej podopiecznych. Problem stanowił Ril. Milczący i wiecznie wściekły, sprawiał, że ludzie się go bali. Devon miał nadzieję, że egzekucja jego pana jest mu obojętna. Nawet jeśli o niej wiedział, nic po sobie nie pokazywał. Nawet nie spojrzął na szafot.

Tłum gęstniał; na górze zebrali się już prawie wszyscy dorośli; trzymali się blisko siebie, żeby nie marznąć, i cicho ze sobą rozmawiali. Wokół śmigały sylfy; powietrzne były przeważnie niewidoczne, ziemne wyglądały solidnie

i konkretnie, wodne i ogniowe zmieniały postać zależnie od upodobania. Wszystkie świergotały jak dzieci; niektóre wypytywały swoich panów, co się dzieje, i - sądząc po ich minach - odpowiedź im się nie podobała.

- Nie musisz na to patrzeć - odezwał się do Airi. - Wiem, że nie lubisz zabijania.

Zostanę z tobą, odparła lojalnie. Uśmiechnął się i zanucił jej półgłosem kilka nut. Przytuliła się do niego, przyjmując postać dziewczynki.

Tłum zakolysał się i zaszumiał, a potem się cofnął. Devon zobaczył Leona po raz pierwszy, od chwili gdy go pojmano. Dowódca królewskiej straży zwisał bezwładnie między dwoma mężczyznami, którzy ciągnęli go przez śnieg; na bladym czole widniał wyraźny siniec. Dłonie i stopy miał związane; był bosy, nie okryto go nawet płaszczem.

Devon przełknął ślinę. To nie powinno się zdarzyć, pomyślał. Ludzie ze Wspólnoty uważali inaczej: pluli na Leona, obrzucali go obelgami i naigrawali się z niego. Kilku płakało, lecz wszyscy pragnęli jego śmierci i Devon nie mógł ich o to winić. Leon Petrule był bardzo niebezpiecznym człowiekiem. Miał nadzieję, że umrze szybko. Sądząc z tego, co przygotowano, istniała na to duża szansa. Król Alcor lubił poddawać torturom skazanych na śmierć. Tutaj będzie inaczej; skazaniec po prostu skręci kark. Devon zadrzał i na samą myśl o tym poczuł, jak piecze go szyja. Zmusił się jednak, by się nie wycofać; miał równie dobre powody do pozostania, jak Galway do odejścia: kierował nim szacunek dla Wspólnoty i dla samego Leona.

Nie odwróci! się, gdy prowadzono skazańca na urwisko. Nikt tego nie zrobił, więc nikt nie widział, co się dzieje z tyłu.

Stojąc na warcie trzeci dzień z rzędu, Ril poczuł swędzenie pod skórą swojej nowej, ludzkiej postaci. Nie wiedział, co to jest, a brakowało mu instynktu, który kazałby mu się

podrapać. Swędzenie stawało się coraz bardziej dokuczliwe. Hejty zaczął mu się czujnie przyglądać, a Maczuga bez słowa wystawiał go na kolejne warty.

Od kilku dni nie widział królowej. Dobrze wiedział dlaczego: Maczuga obawia! się jego załamania, więc go do niej nie dopuszczał. On sam także zaczął się tego obawiać. Czuł, jak kiełkuje w nim obłęd, podobny do tego, który ogarnął go, kiedy zginęła jego pierwsza ludzka królowa i kiedy na świat przychodziła Lizzy. Trzymano go więc na obrzeżach nowego roju, tak samo jak robiono to w jego rodzinnym ulu.

Tak, znowu był bliski załamania i nie wiedział, jak temu zaradzić. Wciąż miał przed oczyma Leona - jak zabijał brą-zowowłosą dziewczynę, jak wyciągał do niego ramię, żeby mógł na nim usiąść, jak pędził mu na pomoc, gdy Maczuga strącił go na ziemię. I jak oddał mu wolność, pozwalając na wszystko, nawet na zabicie go.

Powinien go wtedy zabić. Chciał to zrobić, ale wyczuł wyrzuty sumienia w duszy tego człowieka. Nieważne. Nienawidził go wówczas i zawsze będzie nienawidził. Był teraz wojowniczym sylfem królowej, która знаła jego imię!

Chociaż... wciąż pragnął Lizzy.

Czy znienawidziłaby go, gdyby zabił jej ojca? A Solie? Zabroniła wojowniczym sylfom krzywdzić ludzi, więc nie zgodziłaby się na to, nawet gdyby ją błagał. Tak bardzo tego pragnął! Leon też. Jak mógł mu dać to, czego tamten pragnął, skoro go tak nienawidził? Ale pozwolić mu dalej żyć? Co się z nim dzieje?

Ril drżał, chciał gdzieś biec, z czymś walczyć, ukryć twarz na kolanach Solie i krzyczeć, aż to wszystko minie. Chciał zabić Leona. Zrzucić go z urwiska i patrzeć, jak spada. Chciał mu być posłuszny. Nienawidził tego człowieka, ale coś wciąż go powstrzymywało, coś silniejszego nawet od królowej. Obłęd przyzywał go do siebie, obiecując ukojenie.

Niedaleko zebrał się tłum ludzi, wokół jakiegoś dziwnego urządzenia. Ril czuł ich bliskość, ale nie interesował się nimi. Tyle że ich emocje stawały się coraz intensywniejsze, bliskie szaleństwa i w końcu przeniknęły jego obojętność, choć o wiele później niż dotarły do Maczugi albo Hejty'ego. Spojrzał w stronę tłumu i zamrugał, gdy dostrzegł i jednocześnie wyczuł swojego pana, związanego sznurem. Wlekli go ku tej rzeczy, którą w końcu rozpoznał - ku szubienicy. Emocje Leona były niejasne, mętne, smutne, wyrzuty sumienia mieszały się z ulgą. Widział przed sobą własną śmierć i witał ją z radością.

Ril także ją ujrzał. Zamarł, szeroko otwierając oczy. Wstrząśnięty, nie spostrzegł, że traci ludzką postać. Oni chcą zabić jego pana? Nie wolno mu na to pozwolić! Ale przecież Leon zwrócił mu wolność. Może więc pozostać obojętny. Ci ludzie zabiją dla niego Leona, a on będzie mógł pójść do Lizzy bez przeszkód, bez poczucia winy. Marzył o tym od lat.

Nie. Wcale nie. Nienawidził Leona - albo wmówił to sobie - dobrze jednak im się razem pracowało, lepiej niż innym sylfom ze swoimi panami. Leon rozumiał go doskonale, mimo litanii zakazów. Dał mu tyle wolności, ile mógł. Kochał go, choć w zamian dostawał nienawiść. Dopiero teraz Ril odczuł tę miłość w całej pełni. Leon pragnął umrzeć, w nadziei że w ten sposób odkupi uczynek, który popełnił wbrew samemu sobie.

Sylf przybrał postać migotliwej chmury dymu i wyładowań elektrycznych i jęknął przejmująco.

Przestał odrzucać od siebie to, co było takie oczywiste. On też kochał Leona. To uczucie niezauważenie rosło w nim przez lata. Chciał, żeby Leon żył. Dlatego nie potrafił go zabić i dlatego teraz próbował zniszczyć sam siebie. Tak, mimo wszystko kochał swojego pana.

Pognałby mu teraz na ratunek, ale ten błysk zrozumienia i towarzyszący mu wstrząs sprawiły, że nie potrafił się

skupić i zogniskować ani swojej postaci, ani mocy. Mógłby pozabijać wszystkich, włącznie z Leonem, a Solie wydała przecież wyraźny rozkaz: „Nie wolno nikogo krzywdzić”.

Solie! Ona potrafi to powstrzymać.

Czekaj na mnie! - wykrzyknął w myśli i śmignął jak strzała za plecami tłumu i w dół po schodach.

Musiał ją odnaleźć, póki nie będzie za późno.

Leon ucieszył się, kiedy w końcu po niego przyszli. Wiedział, że to się stanie. Nieważne, jak źle się czuł i jak bardzo pragnął prosić ich o wybaczenie. Przyczyni! się do śmierci wielu z nich i musiał za to zapłacić. Milczał, żeby ułatwić im to zadanie.

Rozpacz na myśl, że nie zobaczy swojej rodziny, mieszała się z ulgą. To, co zrobił Rilowi...

Świadomość tego rozdarła mu serce, które wciąż krwawiło. Do tej pory uważał się za człowieka honoru, aż nagle okazało się, że jest niczym. Albo raczej zwykłym mordercą. Kochał Rila, obwinił go o nienawiść i ani przez chwilę się nie zastanawiał, że ta niezmierna pogarda ma jakąś przyczynę. Wydawało mu się nawet, że w jakimś sensie Ril też go kocha. Teraz nadszedł czas, by za to zapłacić. Zabrano go z celi i powleczono korytarzami podziemnego pałacu na dokuczliwe zimno, które sprawiało, że dzwonił zębami. Zacisnął oczy smagane wiatrem i pozwolił się ciągnąć przez tłum, który rykiem żądał jego śmierci, aż na skraj urwiska. Kiedy w końcu podniósł wzrok, zobaczył nad sobą kamienną szubienicę. Już zwisała z niej lina. A więc go powieszają.

Czekaj na mnie!

Leon drgnął, gdy usłyszał ten głos. Właśnie postawili go na zdrtwiałych nogach i pomogli mu się na nich utrzymać. Przywódca piratów założył mu pętlę na szyję i zacisnął ją, mówiąc coś o sprawiedliwej karze. Leon rozejrzał się, ale

nie spostrzegł nikogo, kto mógłby wypowiedzieć słowa, które zadźwięczały mu przed chwilą w myślach. Chciał coś powiedzieć, ale nikt od dwóch dni nie dał mu wody, więc zaschło mu w ustach. Musiał jednak poczekać, choć jedną minutę. Próbował im to przekazać. Długowłosego przywódca skończył krótką przemowę i wziął głęboki oddech. - Niech bogowie zlitują się nad tobą - dodał i stanowczym gestem położył dłoń na jego piersi. Trzymający Leona mężczyźni cofnęli się, a przywódca pchnął go mocno. Leon spadł z urwiska; sznur zaczął rozwijać się w powietrzu. W ostatnim ułamku sekundy dostrzegł jakiś błysk, a potem zapadła ciemność.

ROZDZIAŁ 22

Dzieci Wspólnoty były stale zajęte. Jedne robiły świece, inne czesały albo przędły wełnę. Solie nie obierała już ziemniaków, tylko skrobała marchewki. Hejty jak zwykle siedział obok niej, jedną ręką wrzucał łupiny i obierki do miski, a drugą gładził Solie pod stołem po nodze. Dziewczyna na przemian czerwieniła się i chichotała, zastanawiając się, czy udałoby im się niepostrzeżenie wymknąć do ich pokojów. Wdowa nie mogła jej zabronić przebywania z Hejtem, ale zdecydowanie przeszkadzała w drobnych przyjemnościach w ciągu dnia. Teraz jednak nie zwracała na nich uwagi. Do groty przyszedł Maczuga i zaczął... powiedzmy... zalecać się do dziewcząt. Solie wyczuwała, że bardzo się nimi interesuje. A one nim. Ze swojego miejsca widziała, jak Mel i Ane-ala gapią się na niego z purpurowymi policzkami. Lorena

śmiało puściła do niego oczko, i wielki sylf ruszył prosto do niej, tak podniecony, że nawet Solie się zarumieniła, choć siedziała po przeciwnej stronie sali. Chłopcy przyglądali się temu z zazdrością.

- Nie miałam pojęcia, że potraficie tym emanować -powiedziała do Hejty'ego, z błyskiem w oczach.

- Potrafimy. - Uśmiechnął się do niej. - Mam ci tak zrobić?

- Może później.

Kiedy będą sami. Ale Lorena nie przejmowała się, że wszyscy na nią patrzą. Ledwie mogła oddychać, wyczuwając pożądanie Maczugi.

- Chyba powinnam go powstrzymać - szepnęła Solie, ale nawet nie drgnęła, podobnie jak reszta nastolatków, zafascynowanych tym, co się działo. Tylko dzieci, nie zauważając niczego, spokojnie bawiły się w kącie.

Maczuga bez ceregieli obszedł stół i przysiadł się do Loreny. Oczy mu błyszcząły.

- Nawet o tym nie myśl! - rozległ się ostry głos. Wyrwani z transu, odwrócili się w tamtą stronę.

Wdowa

Blackwell żwawo zdążyła ku Maczudze i Lorenie, jak zwykle z chochlą w dłoni.

- Loreno Malachi! Natychmiast marsz do kuchni, a jeśli kiedykolwiek przyłapię cię na takim zachowaniu, razem z twoją matką dobierzemy ci się do tyłka!

Zawstydzona dziewczyna uciekła jak niepyszna. Wdowa odwróciła się do Maczugi.

- A ty?! Będziesz mi tu dziewczęta uwodził?! Co ty sobie myślisz?!

- Nie wiesz? - zdziwił się sylf.

Dziewczęta wybuchnęły śmiechem, więc pogroziła im chochlą.

- Wybij to sobie z głowy! Te dzieci nie są dla ciebie. Im się wydaje, że są dorosłe, a tobie, że jesteś bardzo ważny, ale ja mam inne zdanie. Nie waż się ich nawet dotknąć, słyszysz?

Maczuga zamrugał i spojrzał na jej biust.

- Na mnie też nie patrz! - zapiała. - Jazda stąd! Już! Wymachując chochlą, ruszyła na niego przy wtórze

śmiechu nastolatków. Opornie pozwolił się przegonić do drzwi. Solie wyczuwała jego rozbawienie i tylko odrobinę rozczarowania.

Ręka Hejty'ego powędrowała kawałeczek wyżej, aż dziewczynę przeszył słodki dreszcz.

- Chyba miał pecha - powiedział jej wybranek z satysfakcją.

Maczuga szedł spokojnie, a wdowa tłukła go chochlą po plecach, obrzucając obelgami. Nagle, w chwili, gdy stanął w progu, jego emocje błyskawicznie się zmieniły. Zesztywniał i zawirował, chwycił wdowę i przeniósł ją w inne miejsce. Krzyknęła. Sekundę później drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł Ril w swojej naturalnej postaci.

Wszystkich ogarnęła panika. Wbrew rozkazom Solie sylf roztaczał szeroko swoją aurę, a kule elektrycznej energii -jego oczu - lśniły oślepiającą bielą. Solie poczuła, jak Hejty porywa ją z krzesła i usuwa z drogi pędzącego sylfa. Od przemożnych emocji Rila kręciło jej się w głowie.

Ril zatrzymał się przy jej stole i przyjął ludzką postać, nie dbając o ubranie, które spadło na podłogę. Oparł się o blat.

- Oni chcą powiesić Leona! - krzyknął. - Powstrzymaj ich!

- Co takiego? - wykrztusiła.

- Mojego pana! Chcą zabić mojego pana! - Prawie lkał z rozpaczy.

Maczuga stanął za nim, położył mu dłoń na ramieniu i pociągnął go do tyłu. Hejty wciąż był czujny.

Oba sylfy bacznie obserwowały Rila, gotowe do ataku.

Zmusiła się do myślenia. Wieszają Leona! Nikt jej o tym nie powiedział. Spojrzała na Hejty'ego. Serce podeszło jej do gardła, ale rozkazała mu:

- Leć!

Wahał się tylko sekundę, wpatrując się w nią; już po chwili skrzydlata smuga czarnego dymu śmignęła za drzwi. Solie uniosła ręce.

- Pomóż mi - poprosiła Maczugę. Gdyby sama próbowała wydostać się na powierzchnię, nie zdążyłaby na czas.

Otoczył ją ramionami, ciepłymi i włóchatymi, uniósł i zmienił postać, stał się czarną chmurą, która ją wchłonęła. Solie poczuła, jak płyną w powietrzu.

Nic nie widziała. Próbowała normalnie oddychać, gdy sylf pędził za swoimi współbraćmi. Maczuga kołysał jej ciałem, ale już po chwili postawił ją na ośnieżonej ziemi, otulając skrajem swojego płaszcza, żeby nie zmarzła. Solie z przerażeniem obserwowała scenę, która rozgrywała się na urwisku.

- Co wyście zrobili?!

Hejty wypadł na powierzchnię ziemi i śmignął łukiem nad tłumem, w chwili gdy Morgał zepchnął Leona z urwiska. Pomniejsze sylfy rozbiegły się na jego widok, a on wysłał falę, która uderzyła dokładnie w szubienicę i przecięła ją na moment przed ostatecznym naprężeniem się liny. Górna belka odpadła w blasku eksplozji i huku pękającego kamienia.

Ril przemknął obok, zapikował i chwycił Leona w swój ochronny płaszcz, zanim ten spadł choćby o kilka metrów więcej. Hejty zbliżył się do niego, nie rozumiejąc, o co chodzi. Ril niósł swojego pana ku równinie, a przecież jeszcze niedawno go nienawidził! Dlaczego więc nagle zapragnął go uratować? A może właśnie dlatego tak dziwnie się zachowywał! Maczuga ostatnio obawiał się, że Ril straci panowanie nad sobą. Hejty wiedział, że czasem nowo przyjęte do roju sylfy wpadają w obłęd. Obawiali się obaj, że Rilowi właśnie to się przytrafiło i że będzie trzeba go zabić w obronie roju i Solie. Na razie starali się tylko nie dopuszczać go do niej i Ril pewnie dobrze wiedział dlaczego. Hejty nie wyobrażał sobie przebywania z dala od królowej.

Ril wylądował na równinie, przeobraził się i położył swojego pana na ziemi. Leon miał związane kostki i przeguby; Sylf zmienił jeden z palców w szpon i przeciął nim więzy. Leon jęknął, gdy krew zaczęła napływać do jego kończyn. Hejty wyczuwał jego ból. Zmieni! postać na ludzką, ale Ril nie zwraca! na niego uwagi, traktowa! go jak powietrze. Interesował się tylko Leonem.

Hejty naprawdę nic z tego nie rozumiał.

Ril patrzył z góry na Leona tak wyczerpany, że ledwie mógł myśleć. Podejrzewał, że jest w szoku, i to od dawna. Podobnie jak Leon, który otworzył szeroko oczy, gdy Ril niezwykle delikatnie zdjął mu pętlę z szyi.

- Myślałem, że mnie nienawidzisz - powiedział.

- Bo cię nienawidzę - odparł odruchowo Ril. - Bardziej niż kogokolwiek na świecie.

Kiedy jednak Leon zadygotał z zimna, Ril osłonił go płaszczem przed chłodem. Próbował wzbudzić w sobie nienawiść, ale mu się nie udało. Czuł tylko ulgę i niepokój. Leon westchnął i usiadł, próbując rozcierać przeguby drętowymi palcami. Był związany tak długo, że opuszki już bieleły.

Ril spojrzał w górę i wysłał sygnał. Odpowiedź napłynęła niemal natychmiast: jakaś postać wdzięcznie sfrunęła z urwiska i poszybowała ku nim, choć jej pan usiłował ją zatrzymać. Łut Szczęścia, uzdrowicielka Wspólnoty, przycupnęła koło nich, przyjmując kształt kobiety. Zerknęła najpierw na Rila, potem na Leona i pochyliła się nad człowiekiem, gdy sylf popatrzył na niego groźnie.

Dotknęła dłoni i stóp mężczyzny, przywracając życie bez-krwistym kończynom. Potem zajęła się jego głową. W końcu musnęła rękę Rila, a sylf rozluźnił się, gdy ustąpił ból rany, którą zadał mu kiedyś Maczuga. Nie odzywała się; uzdrowicielki rzadko coś mówiły. Po prostu zrobiła swoje i wróciła na urwisko.

Hejty obserwował to wszystko bez słowa, po czym podjął decyzję i odleciał w ślad za sylfką.

Ril wbił wzrok w swojego pana. Leon był bardzo osłabiony, ale jego energia smakowała sylfom jak dawniej. Potarł przeguby dłoni i odpowiedział mu smętnym spojrzeniem.

- Czego chcesz? - zapytał.

Sylf wzruszył ramionami, zbyt zmęczony, żeby kłamać.

- Twoich córek. Chcę zobaczyć Lizzy i Careę, Nali i Ra-lad. Chcę, żeby tu zamieszkały.

- A ja?

- Muszę się żywić czyjąś energią. Nie mogę cały czas obciążać królowej. Ma nas zbyt wielu.

- Rozumiem. - Leon natychmiast się z tym pogodził. -Możemy tu przywieźć dziewczynki, jeśli ludzie zgodzą się na moją obecność. Raczej w to wątpię.

- Nikt nie zrobi ci krzywdy - obiecał Ril.

Leon uśmiechnął się lekko. Sylf wyczuł, że jego dawny pan zaakceptował sytuację, i zadrżał, bo jemu nie przychodziło to równie łatwo. Musi się tego nauczyć, bo w przeciwnym razie pewnego dnia Maczuga naprawdę go załatwi. Pewnie nawet by się tym ucieszył, tylko że wtedy już nigdy nie zobaczyłby Lizzy.

Popatrzeć na Leona; powinien przestać traktować go jak swojego pana. Tylko w ten sposób może uniknąć obłędu. Nie odzywał się, bo i po co.

- Pojedziemy po dziewczynki - powiedział Leon. - Sprowadzimy je tutaj. I tak nie mogę wrócić do Eferem. Nie teraz.

Ril skinął głową, spuszczać wzrok. Wyczuwał pokorę w jego zachowaniu.

- Dziękuję - szepnęła.

Leon z wahaniem położył mu dłoń na ramieniu, a sylf zamknął ją w swojej. Nie musieli mówić nic więcej, bo już powiedzieli sobie wszystko.

Solie przycisnęła dłoń do piersi i z przerażeniem patrzyła na strzaskaną szubienicę. Wspólnota chciała powiesić Leona? No tak, przecież nikt poza nią nie wiedział o jego wyrzutach sumienia i żalu. Mimo wszystko sama myśl o zabójstwie przyprawiała ją o mdłości.

Większość ludzi nie zwracała na nią uwagi; przekrzykiwali się i kłócili, rozprawiając o ucieczce więźnia. Solie wyczuła obecność Cala. Woźnica, który przywiózł do Wspólnoty ją i Devona, też chciał zobaczyć, co się dzieje. Jego ziemna sylfka stała tuż obok i patrzyła na Solie. Jak inne sylfy czekała na jej rozkaz.

Solie łzy napłynęły do oczu. Wcale tego nie chciała! Nie chciała nikim rządzić, a już na pewno nie rojem sylfów z trzema wojownikami na straży. Wyczuwając jej cierpienie, Maczuga położył jej dłoń na ramieniu i delikatnie pomasażował szyję. Zrobiłby dla niej wszystko. Dla niej, a nawet z nią.

Zaczerwieniła się. Tego też nie chciała.

Pragnęła tylko tego, kto pojawił się na skraju urwiska w postaci skrzydlatej czarnej chmury o czerwonych oczach. Ludzie cofnęli się, gdy wylądował i przemienił w człowieka. Niewiele wyższy od niej, musiał podnosić wzrok, by popatrzeć na dorosłych mężczyzn, a nawet na większość kobiet. Wbił w nią pełen napięcia wzrok.

Czego od niej oczekiwali? Nie chciała niczyjej śmierci. Ale przecież nie może rozkazywać starszym od siebie. A jeśli jednak? Sylfy obwołały ją swoją królową.

Wyczuła gdzieś daleko znużenie Rila, lecz jego cierpienie i zamęt w myślach wyraźnie osłabły. Nie wiedziała, co zaszło między nim a jego panem, ale sylf bardzo się uspokoił. Oszaleje, jeśli Leon teraz umrze.

To zdecydowało, że Ril potrafił wybaczyć Leonowi, ona też powinna.

- Nie wolno nikogo zabijać - szepnęła.

Wojownicze sylfy poruszyły się nagle. Hejty odwrócił się i trzasnął otwartą dłonią w resztki szubienicy, rozpadła się

w pył, a lodowaty wiatr ponióśł go nad równiną. Maczuga wysunął się przed Solie, gotów ją chronić, gdy Ril pojawił się na skraju urwiska i postawił Leona na ziemi. Dowódca królewskiej straży, upokorzony, spoglądał na ttum z prawdziwym żalem.

Ludzi to nie przekonało. Zaczęli przepychać się do niego, żądając zemsty.

Ril stanął przed Leonem. Pomniejsze sylfy również zareagowały; chwyciły swoich panów i pociągnęły ich do tyłu. Solie zadrżała, widząc zaskoczenie na twarzach ludzi. Oszołomiony Morgal z przerażeniem spoglądał na swoją ogniową sylfkę, która też go ciągnęła, chowając swój płomień, aby go nie oparzyć. Nawet Airi otoczyła Devona nagle stwardniałymi ramionami, żeby przypadkiem nie podniósł rąk. Ludzie zaczęli wykrzykiwać rozkazy, sylfy ich jednak nie słuchały.

- Nie wolno nikogo zabijać! - zagrzmiął Maczuga. -Rozkaz królowej!

Ludzie zwrócili się ku Solie - nie rozumieli, co się dzieje. Sylfy przytrzymały mężczyzn, kobiety nie śmiały się ruszyć. Wszyscy na nią patrzyli, a ona najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

Po chwili zdziwienie ustąpiło narastającej wściekłości członków Wspólnoty. Wtedy sylfy zaczęły groźnie warczeć.

- Nie możesz nam rozkazywać! - wykrztusił Morgal. -Jesteś zwykłą dziewczyną.

- To nasza królowa - odpowiedział mu Hejty.

- Nasza królowa - powtórzyły wszystkie sylfy jak echo.

- Królowa.

- Królowa...

Zdumieni mężczyźni popatrzyli na swoje sylfy, a potem na nią.

Nasza królowa, szepnęła Airi, nie wypuszczając z objęć Devona.

- Wielkie nieba - wyjąkał, gdy wreszcie zrozumiał, co to znaczy.

Leon potoczył wzrokiem po ludziach, którzy przyszli obejrzeć jego egzekucję, a potem spojrział na gromadę sylfów, gotowych go bronić na rozkaz kruchej rudej dziewczyny, otulonej ciepłym płaszczem jak szatą utkaną z dymu. Zadrżał, czując podmuch zimna, i ruszył ku niej. Tłum obserwował każdy jego krok.

Oczy Maczugi załśniły, lecz wojowniczy sylf nawet nie drgnął, kiedy Leon ciężko opadł przed nią na kolano i pochylił głowę.

- Jestem Leon Petrule i ślubuję ci, pani, wierność i lojalność jako królowej sylfów, czym unieważniam wszystkie wcześniejsze przysięgi. Rozkazuj mi, Wasza Wysokość.

Wzruszona Solie przełknęła ślinę, Ril cicho zatkał: koniec jego wewnętrznej walki. Dziewczyna zadrżała.

- Dobrze - szepnęła, a jej głos odbił się echem w kompletnej ciszy.

Stojący kilka metrów dalej Devon popatrzył na nią, potem na Leona i na Airi. Sylfka była szczęśliwa. Bardzo szczęśliwa. Potoczył wzrokiem po twarzach zdumionych ludzi; doskonale rozumiał ich strach i oszołomienie. Wcześniej tylko kilkoro z nich zaczęło się orientować, że nadchodzi czas wielkiej zmiany. Teraz zrozumieli, że się właśnie dokonała. Nikt inny nie mógł już rościć sobie prawa do przewodzenia Wspólnocie.

Spojrział znowu na Airi.

- Proszę, puść mnie.

Uśmiechnęła się i zniknęła w powietrzu. Devon zebrał się na odwagę, podszedł do Solie i ukląkł obok Leona.

- Jestem Devon Chole - powiedział. Przełknął ślinę, starając się przypomnieć sobie dokładnie słowa tamtego mężczyzny. - Ślubuję ci, pani, wierność i lojalność jako królowej sylfów, czym unieważniam wszystkie wcześniejsze przysięgi. Rozkazuj także i mnie, Wasza Wysokość, z powagą i bez obaw.

ROZDZIAŁ 23

Po raz drugi w swoim życiu Jasar Doliard ze Sialmeadow stoi przed ołtarzem w krypcie przywołań, z ozdobnym nożem w dłoni. Blondynka zabrana z rynku pod pozorem sfigowanego oskarżenia o czary patrzyła na niego z przerażeniem, szarpiąc się w więzach i kneblu. Rozebrano ją jeszcze przed ceremonią i przeszukano tak dokładnie, że trudno ją było właściwie nazwać dziewczicą. Nie miała przy sobie żadnej broni.

Kapłani zaczęli śpiewać. Zgromadziło się ich niewielu. Większość stanowili pospiesznie awansowani uczniowie; przewodził im ojciec Belican. Nagle krąg, w którym stał Jasar, zabłysnął, a w górze pojawiło się jego lustrzane odbicie.

Jasar wiedział, że król czeka. Jego obecność zdradzała nienawistna aura Thralla. Wbrew tradycji Alcor przyprowadził ze sobą wojowniczego sylfa. Jasar widział strach na twarzach kapłanów: gniew Thralla zakłócał linie mocy, które próbowali utrzymać. Ale król wolał nie rezygnować z ochrony, a jeśli klechom to nie odpowiadało, to ich problem.

Na szczęście, pomimo obecności Thralla i choć Jasar wciąż był związany z innym sylfem, ceremonia przebiegała normalnie. Dworak patrzył, jak krąg w górze poszerza się coraz bardziej, a wewnątrz lśni i drga tysięczna tęcza kolorów, które w końcu przyjęły nieokreśloną barwę. Blondynka, rzucona na ofiarę i na przynętę, zapłakała. Jasar mocniej zacisnął nóż w dłoni i czekał.

Po drugiej stronie coś zamigotało. Obserwowała ich czyjaś świadomość. Jasar wstrzymał oddech. Poprzednim razem nie wiedział, czego się spodziewać, ale teraz czekał na właściwy moment, kiedy wojownik przejdzie przez drzwi. Sylf zawahał się, a Jasar spojrzął w górę i wzniosł nóż.

Sylf spostrzegł dziewczynę. Jasar wyczuł go i zobaczył, jak przechodzi przez wrota w postaci ogromnej, czarnej

chmury z błyskawicami. Jego oczy płonęły żądzą. Przyszedł do dziewczyny i wtedy Jasar z okrzykiem wbił jej sztylet w pierś aż po rękojeść. Otworzyła szeroko oczy i wyprężyła się w agonii. Nie żyła. Wojowniczy sylf wrzasnął przeraźliwie; od jego nienawiści zatrzęsły się mury. Nie mógł osiąść dziewczyny, nie mógł też wrócić do swojego roju, bo wrota już się zamknęły. Jasar puścił sztylet wbity w ciało ofiary i popatrzył prosto w zamglone szaleństwem oczy istoty.

- Tarcza! - krzyknął. - Nazywasz się Tarcza! Jestem twoim panem i masz mnie słuchać!

Tarcza znów wrzasnął; został związany imieniem i rozkazem, choć pragnął zabić Jasara i odzyskać wolność.

- Nie wolno ci mnie skrzywdzić! - oznajmił Jasar zdecydowanym głosem. Nie mógł się zawahać, bo wówczas sylf zabiłby jego i wszystkich obecnych, a potem zniknąłby w swoim świecie. - Nie pozwolisz, by ktokolwiek inny mnie skrzywdził! Nie wolno ci się odzywać! Przyjmiesz kształt, jaki rozkażę ci przybrać, i pozostaniesz w nim! Nie będziesz odżywiał się moją energią w ilościach, które mogą zagrozić mojemu zdrowiu! Nie będziesz atakował bez rozkazu, chyba że w mojej obronie! Nie zdradzisz mnie nigdy! Jesteś moim wojowniczym sylfem, Tarczo! Nakładam na ciebie więź!

Tarcza odpowiedział przeraźliwym krzykiem, aż sala zatrzęsała się w posadach. Wokół Jasara zaczął opadać kurz. Dworzanin spojrzał gniewnie na sylfa.

- Patrz! - polecił i wskazał za siebie, na zwierzę w kagańcu, trzymane na smyczy przez przerażonego sługę. Poprzednim razem wybrał zbroję, ale teraz chciał coś bardziej uległego. Inni panowie opisywali swoim sylfom kształt, jaki kazali im przyjmować, lecz Jasar nie miał tyle cierpliwości. Łatwiej było ten kształt pokazać. - Przyjmij tę postać! Rozkazuję ci. Słuchaj mnie!

Tarcza zawył, ale spojrzał tam, gdzie Jasar mu kazał. Skurczył się, zamigotał i po chwili przy ołtarzu, nad martwą dziewczyną, przeżył się potężny czarny pies; obnażył kły.

- Dobrze. - Jasar się uśmiechnął. - Do nogi, psie. Tarcza ruszył, odwracając olbrzymią głowę w stronę dziewczyny. Wysunął język, nie polizał jej jednak; potem jednym skokiem przypadł do nogi swojego pana. Jasar wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł krople krwi z ręki. Tarcza emanowała równie wielką nienawiścią, jak Maczuga. Dobrze było czuć ją znowu. Dworzanin uśmiechnął się krzywo. Król podszedł do niego. Thrall kroczył tuż za nim.

- Widzę, że obyło się bez problemów.

- Naturalnie, Wasza Wysokość. To prosta ceremonia. - Jasar się skłonił. - Jeśli nikt jej nie zakłóca. Król prychnął.

- Masz więcej szczęścia niż mój syn. Przygotuj się, Jasarze. Powietrzny statek wyrusza jutro rano. Wysyłam z tobą trzy wojownicze sylfy. Cztery na dwa: będziecie mieli dużą przewagę. Wszedł z komnaty, a Thrall za nim.

Jasar odprowadzi! go wzrokiem, mrużąc oczy. Kapłani pospieszyli za królem, za nimi ruszył sługa z psem. Jasar poczekał, aż sala opustoszeje, i zwróci! się do swojego nowego sylfa.

- Słuchaj mnie, ty gnoju - powiedział. Czarne oczy Tarczy zapłonęły odrazą. - Rozkazuję ci mnie bronić. Nawet mucha nie może mnie ugryźć, rozumiano? Jesteś moją tarczą i lepiej będzie dla ciebie, jeśli się sprawdzisz w tej roli.

Po tych słowach opuścił salę, a sylf szedł przy jego nodze jak dobrze wytresowany pies. Jasar nie obejrzał się ani razu, ale Tarcza wciąż odwracał łeb, choć widział tylko skrawek ciała dziewczyny na wysokim ołtarzu. Krzyk, który w nim narastał, miał nigdy nie ucichnąć.

Apartament Solie właśnie powiększano; ziemne sylfy kopały przejście do kilku pokoi obok kwatery, którą wcześniej zajęła. Z początku jej się to nie podobało, ale teraz się ucieszyła, bo w nowych pomieszczeniach zamieszkały sylfy i współpracujący z nimi ludzie. Gdyby tak się nie stało, wszyscy gnieździłoby się u niej i nie miałyby ani odrobiny prywatności.

Teraz siedziała na swojej beli siana i czesała włosy grzebieniem. Hejty wybrał się na polowanie z Rilem, a Maczuga czuwał na urwisku. Devon miał wolne, więc na straży stał Leon - oparty o ścianę przy drzwiach, ostrzył miecz i od czasu do czasu na nią spoglądał. Zabawne, że wystarczyła przysięga i sylfy zaufały mu bez granic; mało kto wiedział, że potrafią czytać w ludzkich sercach. Leon nie pozwoliłby zrobić jej krzywdy.

- Wiesz, nie musisz tu ze mną siedzieć - powiedział, próbując ostrza na paznokciu. - Większość członków Wspólnoty za mną nie przepada, ale raczej nie umrę z osamotnienia.

Zmarszczyła czoło i odłożyła grzebień, przerzucając długie włosy przez ramię.

- A ja tak - odparła cicho.

Leon uniósł brew i odłożył ostrzałkę.

- Jesteś samotna? Zawsze towarzyszy ci przynajmniej jeden z nas.

Wzruszyła ramionami, szukając właściwych słów.

- To prawda, ale wszyscy jesteście mężczyznami. Nie rozmawiałam z żadną kobietą od...

- Od momentu, kiedy mnie chcieli powiesić? - zasugerował.

Nie zawracał sobie głowy tym, co się zdarzyło. Od czasu egzekucji minęły dwa dni. Członkowie Wspólnoty wciąż patrzyli na niego nieufnie, ale nikt nie mógł zaprzeczyć, że sylfy przyjęły go do swojego grona... tym bardziej że były to wojownicze sylfy. Dzięki temu, że przynosiły jedzenie, i dzięki

opiece, jaką rozstaczały nad ludźmi, Maczuga i Ril zyskali powszechny szacunek, choć kiedyś siali nienawiść. Hejty od początku był ulubieńcem wszystkich. Leon nie cieszył się nawet akceptacją, nikt jednak nie próbował wbić mu noża w plecy. Cóż, na zaufanie trzeba zasłużyć, nie spodziewał się, że obdarzą go nim od razu. W końcu i tak dowiedzie swojej wartości.

Cała ta sprawa nie zjednała Solie przychylności Wspólnoty. Dziewczyna wyraźnie posmutniała.

- Właśnie. Ludzie albo mnie nienawidzą, albo się mnie boją. Źle się z tym czuję.

Nic dziwnego.

- Minęły zaledwie dwa dni. Ludzie muszą się przyzwyczaić do zmian, a twoja sytuacja zmieniła się diametralnie -zauważył.

- Wcale tego nie chciałam. Leon pokręcił głową.

- To bez znaczenia.

Królowa nie może się bać ani uzalać nad sobą. Czy jej się to podobało, czy nie, dostała znaczną władzę. Jeśli nie zaczniesz z niej korzystać, stanie się marionetką w czyichś rękach. A jej wojownicze sylfy razem z nią.

- Musisz przyjąć tę odpowiedzialność. Kiedy to zrobisz, przyjaciele pojawią się sami. Wprawdzie nie ci, których znałeś od dzieciństwa, lecz jednak przyjaciele.

Korzystając z empatii wojowniczych sylfów, bez trudu rozpozna prawdziwych przyjaciół. Niewielu władców ma taki dar.

- Ale ja nie wiem, jak się zachowywać. Wychowałam się na farmie, w zaścianku. Nawet nie zasługiwał na miano wsi! Ojciec chciał mnie wydać za młodszą trzy razy starszą ode mnie. To był jeden jedyny raz, kiedy ktoś ode mnie czegoś żądał.

- No i co z tego? Ja jestem synem woźnicy. Człowiek nie pozostaje tym, kim się rodzi. Staje się tym, kim chce.

Umilkła na chwilę, wpatrując się w niego.

- Będziesz mnie uczył? - spytała w końcu.

Leon ukrył uśmiech. Była młoda, ale nie głupia. Wiedziała, że potrzebuje doradców i ich wskazówek.

- Oczywiście, że tak. Poproś też Devona. Od niego również możesz się dużo nauczyć. Ale o tym, co zrobić z tą wiedzą, sama będziesz musiała zdecydować.

Westchnęła smutno i skinęła głową.

- Dobrze. - Leon schował miecz do pochwy. - W takim razie, zaczynamy.

Nauka rozpoczęła się od narady z szóstką mężczyzn, którzy próbowali zarządzać Wspólnotą. Uparcie zbierali się w jednym z namiotów na górze, do połowy zasypanym śniegiem. Wewnątrz byłoby przenikliwie zimno, gdyby nie ogniowy sylf Morgała. Żarka ogrzewała namiot, ale wtedy topniał śnieg i wszyscy chodzili po błocie.

Nikt nie sprzeciwiał się otwarciu jej obecności, choć mężczyźni krzywo patrzyli na nią i na Leona. Czują ich emocje równie wyraźnie, jak wojowniczych sylfów. Pomagały jej w tym sylfy żywiołaki, wprawdzie znacznie mniej empatyczne niż wojownicy, dużo jej jednak podpowiedziały. Zresztą, nie trzeba było wielkiej empatii, by odczytać niezadowolenie ludzi. Leona powitali z jeszcze większą niechęcią, ale nie mogli zabronić mu udziału w spotkaniu, bo nie był już więźniem. Solie wyraźnie widziała, że mieli ochotę odesłać ją do kuchni, ale wszystkie ich sylfy zaćwierkały radośnie na jej widok i przyniosły dla niej krzesło. Dopiero po chwili, kiedy ucichły, narada się rozpoczęła.

Solie nie rozumiała wszystkiego, o czym dyskutowano, ale Leon trącał ją, kiedy ktoś poruszał jakiś ważny temat. Dzięki temu zorientowała się, co najbardziej liczy się dla Wspólnoty.

Podział pomieszczeń w ulu nie miał większego znaczenia. Ziemne sylfy mogły wykopać ich dowolnie dużo i bardzo

chętnie to robiły. Chodziło głównie o to, żeby urwisko nie zmieniło się w podziemny labirynt, w którym nikt nie odnajdzie właściwej drogi. Ważne było też doprowadzenie wody do picia i do sanitariatów, tym zajmowały się wodne sylfy. Jedzenia mieli w bród, dzięki wojownikom. Brakowało jedynie warzyw i owoców. Urwisko miało być tylko miejscem spotkania na wypadek katastrofy. Eferem zaatakowało przed samym nadejściem zimy i wszystkie zbiory spłonęły. Leon za to nie przeproszał, ale podczas omawiania tego tematu wbijał wzrok w stół. Uciekinierzy, którzy dotarli pod urwisko, mieli z sobą bardzo mało jedzenia i nieliczną trzodę. Na miejscu okazało się, że nie mają się gdzie podziać, co gorsza, zginęli wszyscy ich przywódcy, którzy zapewne przygotowali jakieś plany na przyszłość, lecz nie znalazł ich nikt z tych, którzy przeżyli.

Urwisko w niczym nie przypominało zacisznej doliny, gdzie powstała Wspólnota. I tu, i tam ziemię pokrywały jałowe zwały kamienia. W dolinie sylfy zmieniły ją w orną, ale urwisko było wystawione na działanie sił natury. Znad gór wiały zimne północne wiatry, przynosząc chłód i śnieg. Gdyby nie to podziemne schronienie, zamarzliby na śmierć, mimo obecności sylfów. Codziennie musieli czyścić szyby wentylacyjne i skuwać lód ze schodów wiodących na powierzchnię. Rada zebrała się na urwisku właściwie tylko z przekory. Nawet zwierzęta sprowadzono pod ziemię, gdzie sylfy wykopały dla nich ogromne stajnie. Pomagał im przy tym Galway, który postanowił nie ryzykować podróży do domu.

Solie zrozumiała, że nie mogą tu zostać na zawsze. Mieli wprawdzie schronienia, lecz zimy na tym pustynnym płaskowyżu były zbyt ostre, a wiatry tak silne, że zwiewały z powierzchni skał urodzajną glebę. Z wiosną powinni się stąd ruszyć... tylko nie wiadomo, dokąd powędrować. Głównie nad tą kwestią obradowano.

Ktoś wymyślił, że można by podbić cudze ziemie z pomocą trzech wojowniczych sylfów.

- Tak nie wolno! - szepnęła Solie.

Popatrzyli na nią zimno. Morgał westchnął, choć to nie on wpadł na ten pomysł. Rzucił go Bock, którego twarz zastygła w grymasie wściekłości.

- A co robić? Tkwić tu aż do śmierci?

- Nie, ale...

- Nie mamy dokąd iść.

- Ale nie macie też na kogo napaść - zauważył Leon. Rozparł się na krześle, skrzyżował ręce i założył nogę na nogę. - Wszyscy pochodzicie z Para Dubh. Odeszliście stamtąd, bo ludziom z niższych klas ciężko tam się żyje, a jeśli ktoś sprzeciwia się władcom, to ginie z ręki wojowniczych sylfów. Jest ich tam dwanaście. Najbliżej leży Eferem, skąd pochodzimy Solie i ja. Król Alcor to chciwiec i paranoik, ale ma jedenaście wojowniczych sylfów, łącznie z Thrallem, jego osobistym strażnikiem.

- To co robić? - powtórzył Morgał, upokorzony własną bezsilnością.

Leon wzruszył ramionami.

- Ja bym poczekał do wiosny i wrócił do tamtej doliny. Wiecie, że panują w niej dobre warunki klimatyczne, i już uprawialiście tam ziemię. Trzeba będzie zacząć od zera, ale odpowiada wam to miejsce, znacznie bardziej bezpieczne niż to urwisko.

- Ale już nas tam zaatakowano! - krzyknął Norlund.

- Tak! Ty między innymi! - zawtórował mu Bock. Leon znowu wzruszył ramionami. Solie patrzyła z ciekawością, jak opuścił nogę na ziemię i pochylił się do przodu.

- To przestańcie napadać na statki. Co za idiotyczny pomysł! Gdybyście nie narozrabiali, Alcor nawet by nie zauważył, że tam żyjecie. Założyliście królestwo i wysłaliście do niego ambasadorów.

Odbudujcie miasto i uprawiajcie pola,

ale tym razem poproście sylfy, żeby wykopały podziemny ul, kryjówkę na czas ataku i schronienie w mroźne zimy. Jeśli was zaatakują, będziecie mieli Rila, Hejty'ego i Maczugę. Co więcej, teraz wiecie, jak się wzywa wojownicze sylfy. Zachowajcie tę wiedzę w sekrecie, a wkrótce zyskacie przewagę nad nieprzyjaciółmi. Wykorzystajcie ją, a potem wynegocjujcie pokój. Jeśli dobrze pogracie, będą musieli się z wami układać. Dajcie im coś wartościowego, a się z tego ucieszą. Nikt nie zgłasza praw do tych ziem. Nie wiem, kto wymyślił, że można je zmienić w urodzajną krainę z pomocą sylfów, ale to był geniusz. Zagarnijcie je i zróbcie z nich swoje królestwo.

Mówił z wielkim zaangażowaniem. I miał rację. Ludzie gapili się na niego bez słowa, ale wszystkie sylfy wstały i zaczęły mu bić brawo. Solie się uśmiechnęła. Ludziom się to nie spodobało, lecz sylfy były zachwycone - a one miały w tej społeczności równe prawa. Czy któryś z członków rady wybiegał myślą tak daleko w przyszłość? - zastanawiała się

Wzięła głęboki oddech.

- Uważam, że to dobry pomysł - odezwała się.

- Nikt cię nie pytał - warknął Bock. Nagle jego wodny sylf zasyczał na niego. Bock, zaskoczony, z trudem ukrył gniew.

Solie zebrała się na odwagę. Serce waliło jej jak młotem. Leon ujął jej dłoń pod stołem; ten uścisk dał dziewczynie siłę.

- On ma rację. Nie możemy tu zostać. Uważam, że wiosną powinniśmy wrócić do tej doliny.

Leon mocniej uścisnął jej rękę.

- Chciałam powiedzieć... Chciałam powiedzieć, że na wiosnę ja wrócę do tej doliny i wezmę ze sobą sylfy. Wszystkie. Możecie się przyłączyć, jeśli chcecie.

Twardzi mężczyźni, dwa razy starsi od niej, spojrzeli na nią ze zdziwieniem. Leon puścił jej dłoń.

Niewiele brakowało, a Solie zaczęłaby ich przepraszać, ale oparła się pokusie.

- W takim razie, wiosną się przenosimy - oświadczył Morgal. Jego twarz zdradzała napięcie. Mimo wielkiej em-

patii, Solie nie wiedziała, czy ten człowiek czuje nienawiść, ulgę czy strach, lecz skinęła głową i usiadła wygodnie na krześle, z nadzieją że tego dnia już więcej nie będzie musiała wygłaszać żadnych opinii.

Po naradzie Solie z Leonem ruszyli do wyjścia, owijając się płaszczami. Chwytał coraz większy mróz. Solie nie znała takich ostrych zim; przemarzała do szpiku kości i potykała się na śliskiej ziemi. Leon przytrzymał ją, żeby się nie przewróciła. Nie, nie mogą tu zostać. To miejsce bez przyszłości. Nikt by nie wytrzymał tych zim.

- Mam nadzieję, że Hejty i Ril dali sobie radę! - zawołała, przekrzykując wiatr.

- Na pewno! - odkrzyknął Leon. - Wojownicze sylfy nie marzną tak jak my. - Zaśmiał się szorstko - Pewnie uważają porywy wiatru za świetną huśtawkę.

Pomimo zadymki, Solie zobaczyła przed sobą wejście do ula. Dopóki pogoda się nie zmieni, trzeba będzie ludziom zabronić wychodzenia na powierzchnię, stwierdziła, a potem zdziwiła się, jak łatwo przychodzi jej wydawanie rozkazów.

Nagle rozległ się przenikliwy pisk, który usłyszała bardziej w umyśle niż w uszach. Ale Leon odwrócił się natychmiast. Solie w ostatniej chwili dostrzegła postać z wzniesionym do ciosu sztyletem. Jęknęła i upadła na plecy.

Leon krzyknął ostrzegawczo, zrzucił płaszcz, wyciągnął miecz z pochwy i zadał cios. Nidoszły zabójca Solie odskoczył z wrzaskiem i runął w śnieg. Kilka kroków od niego jego wodny sylf wydał kolejny pisk, taki sam jak ten, który ją ostrzegł, tyle że teraz brzmiała w nim rozpacz. Dziecięcą buzię zniekształcił grymas i sylfka z krzykiem zniknęła wśród zamieci.

Leon chwycił Solie, postawił ją na nogi i szybko pociągnął ku schodom.

- Maczuga! - krzyknął. - Maczuga!

Potężny wojownik pojawił się w zadymce, obojętny na wiatr i śnieg. Obaj zanieśli przerażoną dziewczynę do jej pokojów. Dygotała ze strachu, dopóki nie pojawił się Hejty i nie wziął jej w ramiona.

ROZDZIAŁ 24

Wodna sylfka - kilkanaście litrów wirującej wody wtłoczone w postać małego dziecka - miała na imię Fala. Kulila się przed prowizorycznym tronem Solie. Była nieszczęśliwa, rozdarta między rozpaczą z powodu śmierci swojego pana a dumą z uratowania królowej.

- Jak to się stało, że nie odeszła? - spytał Morgal. Pomimo niechęci do Solie i jej sylfów, wstrząsnęła nim wiadomość, że Bock chciał zamordować dziewczynę. Nie umiał poradzić sobie z tym, że to Leon ją uratował. Po tym wszystkim, co się zdarzyło, po prostu nie potrafił mu zaufać.

- Jest połączona z królową - wyjaśni! niechętnie Maczuga, kiedy Solie po długim milczeniu spojrzała na niego z ciekawością. - Tak samo, jak wszystkie inne sylfy. Gdy giną ich panowie, trzyma je na tym świecie więź z królową.

Leon, stojący ze skrzyżowanymi ramionami za jej krzesłem, pochylił się w stronę Rila.

- Czy to znaczy, że jeśli ja umrę, to tobie nic się nie stanie?

Ril pomyślał chwilę i skinął głową. Leon wyprostował się, wyraźnie zadowolony.

- Ta mała potrzebuje nowego pana - dodał Maczuga. - Nikt nie może żywić się energią królowej.

- Ja też nie? - spytał Hejty. Solie uśmiechnęła się do niego, dając znak, że jego to nie dotyczy.

Rozpromienił się.

Morgał westchnął i rozejrzał się po sali audiencyjnej - tak nazwano tę komorę, z braku lepszego pomysłu. Minęło już pięć godzin od napadu, ale wojownicze sylfy wciąż nie potrafiły się uspokoić. Tylko wyjątkowa przytomność umysłu tej rudej dziewczyny powstrzymała je od wymordowania wszystkich, których uważały za niewielkie choćby zagrożenie. Zadrżał. Może lepiej byłoby, gdyby Bockowi się powiodło. Wojownicze sylfy by wtedy zniknęły, razem ze swoimi dziwactwami. Po drugiej stronie sali Ril wyprostował się i warknął. Przerażony Morgał cofnął się o krok. Leon popatrzył na niego. Po chwili uniósł brew. Wskazał kciukiem najpierw na Solie, potem na siebie i wreszcie na Rila.

Morgał z początku nic nie rozumiał. Dopiero po pewnym czasie dotarło do niego, że Leon jest panem Rila. Jeśli Solie zginie, Ril nie zniknie. Gdyby ktoś ją zabił... Morgał omal nie zemdlał. Oparł się o ścianę, a Leon skinął głową.

- Co się dzieje? - spytała niespokojnie Solie. Mając wokół siebie sylfy, doskonale wyczuwała emocje. Morgał przypomniał sobie o tym poniewczasie i znowu zadrżał.

- Nasz przyjaciel chyba właśnie zrozumiał, co by się stało z tym miejscem, gdybyś zginęła - odparł Leon. Solie spojrzała na niego, zdziwiona. - Ril wciąż jest związany ze mną - wyjaśnił. - Pewnie byłby trochę... wzburzony.

- Zmieniłbym to urwisko w kupę popiołu - oświadczył ponuro wojowniczy sylf.

- Ril! Tak nie można! - skarciła go Solie.

Morgał zauważył, że wobec członków rady była niepewna siebie i nieśmiała, lecz bez żadnych oporów rządziła najgroźniejszymi istotami na świecie, napominając je jak dzieci.

- Dlaczego nie?

- Bo to źle!

Wojowniczych sylfów wcale to nie przekonało. Solie westchnęła ciężko.

- Nie wolno zmieniać urwisk w popiół, jasne?

- Znowu psujesz całą zabawę - obraził się Hejty. Solie przewróciła oczami, po czym skoncentrowała się

na drobnej sylfke, przycupniętej na środku pokoju.

- Falo? Posłuchaj, od jak dawna twój pan planował... wiesz, o co mi chodzi?

- W ogóle nie planował - zabalgotała Fala. - On... on się zdenerwował. Ja go ostrzegałam. Nie chciałam, żeby umarł! Jestem teraz taka samotna!

W jej głosie brzmiała rozpacz. Morgał pomyślał o Żarce. Ogniowa sylfka przywarta do jego boku. Również ona przyjęła postać dziecka i starała się go nie oparzyć. Czuł jej ulgę, że królowej nic się nie stało. Była o wiele spokojniejsza niż on. Przeprosił Solie w imieniu rady, gdy tylko usłyszał o napaści; dziewczyna przyjęła przeprosiny, ale teraz wszystko stało się jasne: niezależnie od tego, co sobie wyobrażali, władza należała do niej. On nigdy się nie palił do rządzenia, więc próbował sam siebie przekonać, że to dobrze. Z trudem mógł się jednak pogodzić z tym, że ta młódka będzie rządzić nimi wszystkimi.

Hejty popatrzył na niego i zasyczał.

Morgał pochylił głowę.

- Wszystko się ułoży - zapewniła Solie Falę, uklękła i dotknęła dłonią jej policzka. - Możesz sama wybrać nowego pana, kogoś, kto będzie cię karmić swoją energią i poświęci ci całą swoją uwagę. Czy jest tu ktoś, kogo polubiłaś?

Sylfka się zawahała.

- Śmiało. Wybór należy do ciebie.

Fala zamigotała, zmieniła się w przejrzystą kałużę i popłynęła po podłodze, nie zostawiając śladów na suchej kamiennej posadzce. Solie spojrzała na wojownicze sylfy i poszła za nią. A Morgał tuż za Solie, przerażony, bo za nim kroczyły trzy sylfy. Chwilę później nad jego głową przeleciał czerwony jastrząb i wylądował na ramieniu Solie. Morgał westchnął z ulgą.

Weszli do jadalni, największej sali w ulu. Wysoki sufit podpierały kolumny z litego kamienia. Zbliżała się pora kolacji, więc panował tam już spory tłok. W powietrzu unosił się zapach zupy rybnej z ziemniakami. Morgał nagle poczuł głód. Ludzie im się przyglądali, kiwali głową Morgałowi i tylko na Solie popatrywali niepewnie. Nikt nie wiedział, jak ją traktować, ale wszyscy zachowywali się poprawnie, bo Ril znacząco stroszył pióra. Pozostałe sylfy minęły Morgała i stanęły po obu bokach swojej królowej.

Leon szedł za nimi, z rękami splecionymi za plecami. Ściągał na siebie powszechną nienawiść, ale albo jej nie zauważał, albo tylko nie reagował. Morgał przypuszczał, że raczej to drugie. Nikt ani słowem nie wspomniał o próbie zamachu - nic dziwnego, przecież oni o nim nic nie wiedzieli.

Wszyscy bacznie obserwowali Falę: dopłynęła do środka pomieszczenia i się zawahała. Nie ma dużego wyboru, pomyślał Morgał. Zaledwie dwudziestu mężczyzn zostało bez sylfów; większość z nich już próbowała jakiegoś przyciągnąć, lecz bez powodzenia. Pewnie będzie musiała wybrać nastolatka.

Wodna sylfka odwróciła się od mężczyzn i zachęcana przez Solie, ruszyła do stołu, przy którym siedziały nastolatki, dokładnie tak jak Morgał się tego spodziewał. Dopiero gdy sylfka przyjęła ludzką postać, spostrzegł, że to same dziewczęta. Fala zbliżyła się do jednej z nich, czternastolatki Loren Malachi. Dziewczynka przez sekundę wpatrywała się w sylfkę i nagle uświadomiła sobie, co się stało. Morgał w życiu nie widział tak promiennego uśmiechu.

- Cholera - zaklął ktoś z tyłu, wyrażając jego własne uczucia. Obejrzał się, szukając z tym kimś wzrokowego kontaktu, i zorientował się, że patrzy na Maczugę. Ze strachu omal nie udławił się swoim językiem. - Sam chciałem dostać tę małą - powiedział sylf z wyraźnym żalem.

Dziewczynki nie dążyły się zagonić do łóżek. Wszystkie zebrały się w kącie Loreny, żeby zaprzyjaźnić się z wodną sylfką. Wdowa stwierdziła, że żaden sylf na świecie nie cieszył się taką popularnością. - Piętnaście minut! - huknęła od progu. - Jeśli w ciągu piętnastu minut nie znajdziecie się w łóżkach, to oberwiecie!

Odpowiedziały jej chichoty. Trzasnęła kamiennymi drzwiami. Za piętnaście minut godzina policyjna. I niech tylko spróbują się sprzeciwić.

Odwróciła się, zgarnęła spódnice i ruszyła w stronę sypialni chłopców. Znała ich - zamiast spać, na pewno ciągle jeszcze narzekają, że sylfka nie wybrała żadnego. Pani Blackwell westchnęła, przyznając w duchu, że cieszy ją bez troski tych dzieci. Ostatnie miesiące były trudne. Wiele z jej dzieciaków straciło rodziców albo rodzeństwo, a wszystkie - dom. Rozumiała ich ból. Jej mąż zmarł przed dziesięciu laty, a ona wciąż o nim myślała. Ale młodzi są tacy odporni... Szkoda że ich siła jej się nie udzieliła... i młodość. Czowała się stara i niedoceniana. Nazywali ją wiedźmą. Prychnęła pogardliwie i podążyła przed siebie.

Kiedy jej powiedziano, że dzieci zamieszkają pod ziemią, postarała się, żeby sypialnie dziewcząt i chłopców znalazły się jak najdalej od siebie. Aby dostać się z jednej do drugiej należało przejść przez jadalnię; w ten sposób amatorzy nocnych wycieczek zawsze byli na widoku. Przynajmniej taką miała nadzieję.

Skreśliła za róg i osłupiała.

- Ani mi się waź! - warknęła. - Nie wolno ci tu wchodzić. - Spojrzała na sypialnię dziewcząt.

Maczuga wpatrywał się w nią. Nie była niska, ale on przewyższał ją co najmniej o pół metra.

- Nie wchodzę, tylko robię obchód - odparł spokojnie. Nawet przez moment mu nie wierzyła. Wzięła się pod

boki i zbliżała do niego, starając się nie okazać, jak bardzo się go boi.

- Nie jesteś na żadnym obchodzie. Jeden sylf w sypialni zupełnie wystarczy!
- Nie ja to sprawilem. Ja nie dałbym jej tej dziewczynie.
- Bo sam miałeś na nią ochotę?
- Oczywiście.

W ciągu swojego długiego żywota wdowa onieśmieliła niejednego mężczyznę, a Maczuga nawet nie drgnął. Po prostu ją obserwował. Zirykowało ją to i zarazem zaintrygowało.

- Co was tak pociąga w Lorenie? - spytała. Wzruszył ramionami.
- To silna dziewczyna. Lubię mocne kobiety i potrzebuję pana.

Zbyła go lekceważącym machnięciem ręki.

- Myślałam, że już masz pana.

Kiedy wyobraziła sobie, co Solie prawdopodobnie wyprawiała z tymi sylfami, ogarnął ją gniew.

Zabronili jej zrobić z tym porządek, co doprowadzało ją do szału. Tym bardziej że dziewczęta, które pozostały pod jej opieką, otwarcie stroiły sobie z niej żarty.

Maczuga zbliżył się do niej.

- Solie jest moją królową. Ale nie chcę pozbawiać jej energii. Ona nie ma też dla mnie wystarczająco dużo czasu. Potrzebuję pana. Kogoś, kto zwiąże mnie z tym światem tak jak ona i kto będzie dawał mi energię potrzebną mi do walki. Potrzebuję kogoś mi bliskiego.

Wdowa poczuła, że robi się jej ciepło, i skrzyżowała ręce na piersi.

- Nawet nie myśl, że któraś z nich da ci tę twoją energię, a także coś całkiem innego. Idź, poszukaj sobie jakiegoś mężczyzny. Tylko trzymaj się z daleka od moich dzieciaków!
- Nie chcę mężczyzny - odparł i obszedł ją naokoło. Poczula się jak schwytana w pułapkę.
- Wara ci od dzieci!

Pochylił się nad nią, zbliżając twarz do jej twarzy. W korytarzu nagle zrobiło się gorąco, wdowę przeszył dreszcz.

- Mówiłem już, że podobają mi się mocne kobiety. Lo-rena jest mocna, a ty jeszcze od niej mocniejsza.

Zamarła. Pachniał tak cudownie... Zmrużyła oczy.

- Co ty mi robisz?

- Uwodzę cię.

Nieźle mu się to udawało, musiała przyznać, więc złapała go za ucho i mocno je wykręciła. Tak się zdziwił, że cała aura pożądania nagle się rozviała.

- Dobrze - zasyczała wdowa. - A teraz słuchaj. Nie jestem napaloną nastolatką, którą możesz po prostu podniecić i ją wykorzystać. Zrozumiano? - Tak.

Skinęła głową, ale nie puściła ucha.

- Świetnie. I będziesz się zachowywał, jak należy?

- Raczej nie.

W jego głosie brzmiało rozbawienie, nie próbował jednak jej się wyrwać.

- Trzymaj się z dala od moich dziewcząt - powtórzyła głośno.

- Chyba już mnie nie interesują. Doskonale wiedziała, co ma na myśli. Zszokowana, puściła ucho, a on wreszcie się wyprostował.

- Ale ja jestem stara!

- Młodsza ode mnie.

- I nie mogę już mieć dzieci. Poroniła trójkę.

- Nie przeszkadza mi to. I tak bym cię nie zapłodnił.

- Nie jestem dziewicą.

- I z tym bym sobie poradził. Zamyśliła się.

- Nie będziesz już mnie czarował po swojemu? - Nieoczekiwanie jej głos zdradzał niepewność.

- Nie, jeśli mi tego zabronisz.
- Dobrze. W takim razie uznaj, że zabraniam. Wzięła go za rękę i zaprowadziła do swojego łóżka. Dziewczynki szybko zorientowały się, że tym razem piętnaście minut będzie trwało dużo, dużo dłużej niż zwykle. I rzeczywiście; wdowa nie zajrzała do nich aż do rana.

ROZDZIAŁ 25

Burza, która nadeszła z nad gór na północy, w końcu zaczęła przycichać. Wiatr osłabł, a wirujące tumany śniegu opadły na urwisko i rozciągającą się wokół równinę. Zaspasy miały co najmniej półtora metra, lecz tu i ówdzie buchały spomiędzy nich białe pióropusze dymu.

Leon odśnieżał główne schody; śliskie stopnie groziły upadkiem. Irytowało go, że musi to robić, a jednocześnie był wdzięczny sylfce, która wykonała te schody, że przykryła wejście kopułą. Teraz wystarczyło po prostu dorobić drzwi. Najpierw musiał się jednak przekopać przez grubą warstwę śniegu, który napadał do środka i zawalił schody do połowy.

- To przesądza sprawę - mruknął, kiedy wreszcie wy dostał się na powierzchnię i ogarnął wzrokiem odległy horyzont. Spomiędzy chmur przebijał błękit, a blask słońca odbijającego się od morza bieli boleśnie raził w oczy. - Wiosną trzeba się stąd koniecznie wynieść.

Wspólnota popełniła błąd, gromadząc się tu i wybierając to miejsce na schronienie. Jej pierwszym przywódcą zabrakło daru przewidywania. No cóż, nie wybrano ich ze względu na umiejętności taktyczne. Byli idealistami, a nie wojownikami, poza tym nie spodziewali się, że ktoś ich wygna na zawsze z nowo zbudowanych domów.

Tamto pierwsze miejsce było o wiele lepsze. Leon nie widział całego miasteczka, ale dobrze pamiętał dolinę. Leżała na wschodniej krawędzi Iłowego Płaskowyżu, osłonięta górami, które odgradzały ją od oceanu. Po drugiej stronie rozciągało się Para Dubh, lecz jego mieszkańcy, podobnie jak Eferemczycy, nie zapuszczali się na Płaskowyż. Ich władca był rozsądniejszy niż Alcor. Wprawdzie miał wojownicze sylfy, by bronić się przed ewentualnymi napaściami, ale jego królestwo nie było aż tak odcięte od świata jak Eferem. Mieszkańcy bogacili się na handlu z odległymi krajami, podróżując tam na morskich i powietrznych statkach. Król Alcor zawsze zazdrościł im tego bogactwa, ale tocząc drobne potyczki z Para Dubh, niczego nie osiągnął, a nikt nie chciał angażować się w prawdziwą wojnę na dużą skalę. Leon brał udział w niejednym oficjalnym turnieju, stając przeciwko sylfom z Para Dubh. Ril zawsze wygrywał, z resztą sylfów z Eferem bywało różnie. Gdyby Wspólnota została w tamtej dolinie, wcześniej czy później jedno z królestw postanowiłoby ją zagarnąć albo zniszczyć. Teraz jednak broniły jej wojownicze sylfy.

Leon spojrzał przez ramię na swojego sylfa. Ril nie kopał razem z nim, ale Leon wcale go o to nie prosił. Nie był pewny, jak ułożą się teraz ich stosunki, wiedział tylko, że zrobi wszystko, by ułożyły się jak najlepiej. Obaj musieli wiele w sobie zmienić, a Leon w żadnym razie nie chciał, żeby Rila postrzegano jako niewolnika. Pracował więc sam, a sylf tylko obserwował.

W końcu odstawił łopatę i odwrócił się do niego.

- Gotowy? - zapytał, rozcierając obolałą rękę.

Sylf wzruszył ramionami i podszedł do niego, omijając go wzrokiem. Nigdy nie patrzył na niego wprost i to Leona smuciło.

Sylf zmienił postać, chwycił swojego pana, podniósł go i stał się wirem ciemności. Leon nic nie widział, czuł tylko,

że się wznosi, i nagle polecieł z wiatrem, błyskawicznie oddalając się od ula. Leon westchnął, oszołomiony.

Co tam? - spytał Ril z irytacją.

- To niesamowite! - wykrzyknął Leon. - Lecimy!

Tak, lecimy, odparł sylf, ułagodzony.

Leon uśmiechnął się i odprężył. W kompletnej ciemności było mu ciepło i dobrze. Czuł się bezpieczny, choć zdawał sobie sprawę, że unosi się wysoko nad ziemią.

Ril wzbił się nad ośnieżoną równinę, troskliwie otulając Leona swoim płaszczem. Czas płynął, pokonywali kilometr za kilometrem, znacznie szybciej niż drogę na urwisko. Tamta trwała prawie tydzień, wyprawa do domu Leona - niecały dzień. Zresztą Ril się nie spieszył. Cieszył się, że znowu może latać, że znowu jest sobą. Mógł zmieniać postać, ale nie lubił w żadnej pozostawać zbyt długo. Kiedy ciągle był ptakiem, stale coś go swędziało i doprowadzało tym do szału. Teraz z przyjemnością rozpościerał skrzydła coraz szerzej.

Leon w końcu zasnął, zmęczony. Choć Rila kusilo, żeby cisnąć go w zaspę, otulił go jeszcze mocniej i leciał przed siebie. Leon był jego panem i zarazem nim nie był. Przysiągł wierność królowej i udowodnił swoją lojalność, ratując jej życie. Ril musiał wyzbyć się nienawiści, choćby dla własnego dobra. Od razu poczuł się lżejszy i szczęśliwszy.

Obaj uznali, że chcą odwiedzić bliskich Leona. Za zgodą Solie - bo Ril nie zechciałby samowolnie opuścić roju - lecieli po jego rodzinę.

Lizy! Ril uwielbiał wszystkie dziewczynki, ale Lizy... tęsknił za nią aż do bólu. Nie zostanie jego królową. Żałował tego głęboko, gdy oddał się w służbę Solie. W roju może być tylko jedna królowa. Ale przecież mogła być jego panią, tak jak Leon, a raczej tak jak wdowa dla Maczugi - kiedy dorośnie na tyle, by dzielić się z nim energią. Energią i sercem.

Pod nimi przesuwiała się równina, aż w końcu ukazały się ośnieżone drzewa puszczy, przez którą wędrowali

poprzednim razem. Ril znalazł wstęgę drogi i poleciał wzdłuż niej, a potem nad miastem, gdzie nocowali. Leon obudził się i leżał spokojnie, od czasu do czasu zmieniając pozycję. Nie odzywał się ani słowem. Wkrótce znowu zasnął.

Lecieli dalej. Już nie nad lasem, lecz nad polami uprawnymi. Śnieg zniknął, bo tu, na południu, było ciepło. Wioski wyglądały jak kropki wśród pól; większe wsie rozciągały się na wzgórzach. W końcu dotarli do Eferem.

Ril obniżył lot nad murami; bacznie przyglądał się czarnym flagom zwieszającym się z flanków. Miasto było w żałobie, prawdopodobnie po śmierci księcia, ale jego mieszkańcy nie zdradzali przygnębienia. Ril bez trudu wyczuwał emocje ludzi, nad którymi niepostrzeżenie przelatywali. Kiedy wylądowali w kępie traw, postawił swojego pana na ziemi.

- Jak długo trwała ta podróż? - spytał zdumiony Leon. Wzruszył ramionami.

- Prawie całą dobę.

Ruszyli przed południem, a teraz znowu wstawał dzień.

- Nie do wiary. Jesteś szybszy od statku powietrznego.

- Bo nie wożę ciężarów - odparł sylf i ruszył przed siebie. Leon pokręcił głową i podążył za nim.

Znaleźli boczną drogę, wiodącą do jednej z kilku bram miejskich i do twierdzy. Ril przyjął ludzką postać, starannie ukrywając aure, a Leon zsunął kaptur na czoło i się pochylił. Szedł kilka kroków za sylfem, jakby był jego sługą. Znał wszystkich strażników przy bramie. Gdyby go rozpoznali, pewnie zaczęliby zadawać pytania, ale nie mieli żadnych powodów, by zatrzymywać dwóch zwykłych mężczyzn, którzy zmierzali do miasta. Leon nie wiedział, co doniósł Jasar, a zatem czy król uznał dowódcę swojej straży za wroga, czy nie. Prawdopodobnie spodziewał się, że Leon wyśle Rila - w postaci jastrzębia - do walki.

Ril szedł rażno, ignorując tłum z wyższością, jaką okazywali tylko najpotężniejsi lordowie. Kobiety zauważał,

ale nie nawiązywał z nimi kontaktu. Leon słyszał niejedną plotkę o Maczudze, zanim sylf wylądował w łóżku wdowy Blackwell, lecz Ril nie miał takich skłonności. Leon zastanawiał się, czy to normalne, czy nie. Hejty głęboko związał się z Solie. Ril prawie nie patrzył na kobiety, a nawet jeśli na którąś spojrzął, to tylko przelotnie.

Zresztą, to bez znaczenia. Leon nie zamierzał zmieniać jego potrzeb. Cieszył się, że sylf przestał go nienawidzić i jest gotów pracować z nim dalej. To było bardzo cenne.

Mijali ludzi zajętych swoimi codziennymi sprawami. Ich sylfów, jak zwykle, przeważnie nie było widać. Tylko że teraz, gdy Leon wiedział już, jak powinno wyglądać ich życie, szczerze im współczuł. Przybyły tu w poszukiwaniu wolności, a znalazły inny rodzaj niewoli. Sylfy we Wspólnocie mogły mówić i przyjmować dowolny kształt, podczas gdy tutejsze były uwięzione.

Leon rzucił okiem na Rila, który maszerował zdecydowanym krokiem przed siebie. Pewnie nie zastanawiał się nad losem innych. Wojownicze sylfy nie miały tego zwyczaju. We własnym świecie wiodły prawdopodobnie proste życie - choć z drugiej strony, gdyby naprawdę było im tam dobrze, Ril nie przeszedłby przecież przez wrota.

Spokojnie podążali przez miasto, ulicami, na które Leon nigdy nie zabierał Rila w postaci ptaka, żeby nie straszyć ludzi. Sylf szedł teraz za nim, dostosowując się do jego tempa. Kiedy Leon miał do załatwienia sprawy na mieście, zawsze zostawiał go z żoną i z dziećmi, więc Ril znał tylko drogę do zamku, do domu swojego pana i do głównej bramy. Inni właściciele wojowniczych sylfów uważali, że Leon jest szalony, bo wszędzie chodzi bez obrońcy, ale on twierdził, że w razie potrzeby sam sobie poradzi. Ril źle się czuł w tłumie, więc nie chciał go narażać na stres. Tłumu też zresztą nie.

Przynajmniej tak mu się wtedy wydawało. Teraz Ril w ogóle nie reagował na ludzi, a swoją aurę ukrył tak skutecznie,

że nikt na niego nawet nie spojrział. Przed spotkaniem z Hej-tym Leon nie wiedział, że wojownicze sylfy potrafią chować swoją aurę. Do niedawna z wielu rzeczy nie zdawał sobie sprawy. Zerknął na swojego jasnowłosego towarzysza. Ril też spojrział na niego i zmarszczył brwi.

- O co chodzi? - spytał.

- O nic. Zrozumiałem, jak podły byłem dla ciebie przez te wszystkie lata.

- Przemyśl to sobie - parsknął sylf - ale zachowaj wszystko dla siebie, żeby do mnie nie docierało.

- Jak sobie życzysz - odparł Leon i uśmiechnął się słabo. Droga zakreślała w stronę jego posiadłości.

Mur zasłaniał

prawie cały budynek. Obaj przyspieszyli kroku. Było już po obiedzie, ale dziewczynki raczej nie poszły jeszcze do łóżek na drzemkę. Pewnie bawią się w dużym pokoju z tyłu domu, tym z gobelinami na ścianach, albo kończą lekcje z matką.

Przed bramą kręcił się jakiś mężczyzna w płaszczu, z wysłużonym mieczem u pasa. Ril nie musiał ostrzegawczo warknąć, aby Leon zorientował się, co to oznacza. Alcor jednak uznał go za wroga.

Leon miał nadzieję, że żołnierz czeka tylko na niego, a rodzina jest przynęta, i że Bethy z dziewczynkami nie aresztowano albo nie stało się coś jeszcze gorszego. Ukradkiem poprowadził Rila wzdłuż muru, wyciągnął z kieszeni żelazny klucz i otworzył furtkę, niemal zupełnie niewidoczną za pędami jeżyn. Weszli do ogrodu. Z otwartych okien dobiegł ich kobiecy śmiech.

Leon otworzył drzwi.

- Wróciłem! - zawołał.

Na moment zapadła cisza, a potem rozległy się pospieszne kroki i przenikliwe dziewczęce piski. Lizzy pierwsza wypadła zza rogu korytarza; miała brudne kolana i policzki. Leon usłyszał westchnienie Rila, kiedy dziewczynka rzuciła się mu na szyję.

- Tato! - krzyknęła. - Witaj w domu!

Chwilę później przybiegły jej dwie młodsze siostry. Za nimi szła Betha z niemowlęciem. Leon śmiał się, próbując objąć wszystkie naraz.

W końcu Lizzy wyswobodziła się i zaczęła rozglądać.

- Gdzie jest Ril? - spytała.

- Właśnie. Gdzie Ril? - powtórzyła Cara. Nali wsadziła kciuk do buzi.

- I kim jest twój towarzysz? - dorzuciła Betha.

Leon wziął głęboki oddech, wyprostował się i odsunął pod ścianę, żeby mogły patrzeć na sylfa.

- Spokojnie, nic się nie dzieje. To jest Ril. Lizzy zmarszczyła brwi.

- Przecież to człowiek.

Pozostałe dziewczynki tylko mu się przyglądały. Betha, nic nie rozumiejąc, popatrywała to na niego, to na męża.

- Może przyjmować taką postać, jaką chce - wyjaśnił Leon. - Teraz chce być człowiekiem.

- Ja wolę ptaka! - rozplakała się Cara. - Zmień się w ptaka! W ptaka!

Nali zawtórowała jej płaczem, po chwili dołączyła do nich Ralad.

Lizzy podeszła do sylfa, przypatrując mu się z uwagą. Przykucnął, więc mogła na niego spojrzeć z góry. Znowu zmarszczyła brwi, wyciągnęła dłoń, a on zamknął oczy. Dotknęła jego nosa, przycisnęła go, a potem się zaśmiała.

- Podoba mi się!

- Dziękuję - odpowiedział.

- Ty umiesz mówić! - krzyknęła. - Od kiedy?! Ril zerknął na Leona.

- Od kiedy mi pozwolono - odparł.

Odwróciła się szybko i gniewnie popatrzyła na ojca.

- Ty mu zabraniałeś?

Leon pokręcił głową. Nie pora na dyskusje.

- Nie teraz, Lizzy. Musimy jechać.

- Jechać? - zdziwiła się Betha. - Dokąd? Nie pójdzie mi tak łatwo, pomyślał.

- Daleko stąd. Wyruszamy zaraz, wszyscy. Przez ten czas, kiedy mnie tu nie było, dużo się dowiedziałem o Rilui i o sobie. Nie możemy tu zostać. Dla mnie byłoby to bardzo niebezpieczne, zresztą dla was pewnie też. Pod bramą stoi strażnik. Dziwne, że nie ma ze sobą wojowniczego sylfa. Wziął głęboki oddech.

- Zdradziliśmy króla. Ril i ja.

Betha pobladła i wytrzeszczyła na niego oczy. Młodsze dziewczynki nic nie zrozumiały, ale Lizzy popatrzyła na niego ze strachem i złapała Rila za rękę. Trzymał ją delikatnie, wciąż przykucnięty. Nigdy przedtem nie miał tak łagodnego wyrazu twarzy.

- Jak... jak mogłeś? - jęknęła Betha, przyciskając do piersi płaczące niemowlę. - Co ty opowiadasz? Pokręciła głową i odsunęła się od niego.

- Kazał nam zabić dziewczynę - wyjaśnił Leon i położył jej ręce na ramionach. - Niewiele starszą od Lizzy. On i jego słudzy chcieli ją złożyć w ofierze, aby przywołać wojowniczego sylfa, ale przeżyła i sama się z nim związała. Król postanowił ją za to zabić. Nie udało nam się... Posłuchaj, Betho, to, czego się nauczyliśmy... Ril jest teraz wolny. Tam, gdzie zmierzamy, żyje więcej wojowniczych sylfów i wszystkie są wolne. Tu traktuje się je jak rzeczy, a ja nigdy więcej nie pozwolę traktować Rila jak niewolnika. Król się z tym nie pogodzi.

Ogarnął spojrzeniem żonę, córki i na koniec sylfa.

- Żadne z nas nie jest tu bezpieczne. Puścił żonę i się odsunął.

- Spakuj tyle, ile uda ci się unieść, nie więcej. Nie możemy dużo ze sobą zabrać.

Dolna warga Bethy zadrżała, do oczu napłynęły jej łzy, lecz po chwili odwróciła się i pobiegła na górę, zabierając niemowlę. Zapłakana Nali podreptała za nią.

Lizzy i Cara wpatrywały się w niego oszołomione. Cara ssła kciuk. W końcu Lizzy zapytała ojca:

- Dokąd jedziemy?

- Na północ. Spodoba ci się tam. To fantastyczna przygoda. A teraz biegnij się spakować. I zabierz ze sobą siostrę.

Lizzy złapała małą za rękę i odeszła, oglądając się co chwila.

Leon zbliżył się do Rila, który stał przy wielkim oknie wychodzącym na dziedziniec. Widać stąd było wieże zamku i ogromny powietrzny statek zakotwiczony przy jednej z nich. Sylf przyglądał mu się, zamyślony, z rękami skrzyżowanymi na piersi.

- Co się dzieje? - spytał Leon. - Strażnik nas spostrzegł? Ril pokręcił głową.

- Nie. Ale na tym statku są cztery wojownicze sylfy. Trzeba ruszać.

Cztery sylfy? Taki oddział król wysyłał tylko na wielką wojnę, a od wieków coś takiego się nie zdarzyło. Leona oblał zimny pot. Skoczył w stronę schodów.

- Dziewczyny! Szybko! Zostawcie wszystko, oprócz ubrań na zmianę, i schodźcie! Już! Ruszamy natychmiast!

Z góry rozległy się okrzyki protestu, ale on już stał obok Rila.

- Mogą cię wyczuć?

- W tej postaci? Nie. Ale wyczują, kiedy ją zmienię, żeby was ponieść.

- Ile możesz unieść?

- Ile trzeba. Chyba że jeden z nich też potrafi latać. Leon wiedział, że w służbie króla są co najmniej trzy

takie sylfy.

- Szybciej! - krzyknął. - Ruszamy za pięć minut!

Matka i córki zeszły jednak na dół dopiero po dziesięciu. Wszystkie plakaty, z wyjątkiem Lizzy. Betha łkała cicho, otulając dziewczynki płaszczykami, a niemowlę kocykiem.

Jej rozpacz i przerażenie udzielały się dzieciom. Tylko Lizzy się nie bała i z błyszczącymi oczami przestępowała z nogi na nogę.

- Pojedziemy powozem? Zawsze o tym marzyłam!

- Nie całkiem - odparł Ril. Stał obok niej i czekał cierpliwie.

Leon wyprowadził rodzinę na dwór. Robiło się zimno, ale śnieg jeszcze nie sypał. Pewnie niedługo nadciągnie nad miasto znad Iłowego Płaskowyzu. Tam chyba od dawna pada. Miał nadzieję, że żona i córki mu wybaczą. Oby tylko Wspólnota nie zmieniła ich życia w piekło, z zemsty za jego uczynki. Raczej się jednak nie odważą, ze względu na Rila.

- Gotowy? - spytał sylfa. Ten skinął głową, wskazując gestem otulonego w płaszcz wartownika, który przyglądał im się uważnie.

- Nie pójdziemy piechotą, prawda? - szepnęła Betha, przytulając młodsze dziewczynki. Ril poruszył się i nagle zmienił postać: otoczył ich chmurą dymu przesywaną błyskawicami. Dziewczynki krzyknęły, czując, że się unoszą. Ril się zawahał, zmienił nieco kształt, a potem wzbił się wyżej. Leciał o wiele wolniej niż poprzednio.

- Ril! - zawołał Leon. - Dajesz radę?

Nie musisz krzyczeć, odezwał się niechętny głos w jego myślach.

Leon wymacał w ciemności dłoń żony i chwycił ją mocno. Betha przytuliła się do niego z płaczem. Objął ramionami ją i dziewczynki i zamknął je w uścisku.

- Wszystko będzie dobrze - obiecał. - Zobaczycie.

Tulili się do siebie, tylko Lizzy odsunęła się od nich i dotknęła dłonią nieprzeniknionej ciemności: wojowniczego sylfa jej ojca. Promieniował ciepłem i spokojem.

- Czy my lecimy? - spytała.

Tak, odpowiedziało echo w jej głowie.

- Chcę popatrzeć!

Zapadła cisza, a potem Lizzy poczuła, jak Ril zmienia się wokół niej i fala cienia niesie ją do góry i do przodu. Ciemność rozsunała się na boki i nagle silny wiatr rozwiały włosy dziewczynki. Zmrużyła oczy i spojrzała w dół. Unosili się wysoko nad ziemią; drzewa i domy były maleńkie jak w miasteczku lalek.

Ril leciał przez mroźny przestwór; jego ciało było ogromne i niemal bezkształtne, skłębione i mroczne. Wielkie skrzydła rozpościerały się szeroko. Zamek i miasto znikwały w dali; nad nimi otwierał się piękny błękit nieba. Za plecami wyczuwał wojownicze sylfy i coś jeszcze, o czym wolał nie mówić Leonowi. Na statku był Huragan, drugi według starszeństwa sylf w całym królestwie, najpotężniejszy z nich wszystkich; przeniósłby cały statek z dużo większą szybkością, niż potrafiłby uciekać Ril.

Lizzy piszczała z radości i klaskała w dłonie, wystawiając się na wiatr. Ril trzymał ją czule i prawie tańczył z radości, że niesie ją z całą rodziną. Wytężając siły, mknął szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. Zmierzał w stronę płaskowyżu, tuląc swą ukochaną w objęciach.

ROZDZIAŁ 26

Galway stał przy jednym z okien w urwisku i patrzył na nieskończoną, zasypaną śniegiem równinę. Okno było szerokie - wpuszczało do środka mnóstwo światła, a zatrzymywało zimno. Ogniove sylfy stopiły piasek na szkło. Wprawdzie utworzone w ten sposób szyby dziwnie zniekształcały widok, ale pełniły swoje zadanie o wiele lepiej niż okiennice. W ścianie urwiska zrobiono tylko kilka takich otworów;

ludzie lubili przez nie wyglądać i nawet teraz parę osób tłoczyło się wokół trapera.

Za długo zwlekał. Zatrzymała go ciekawość tego, co spotka Hejty'ego i całą Wspólnotę. Teraz będzie musiał czekać do wiosny, a jego bliscy zaczną się martwić, czy żyje. Przez dziesięć lat zawsze udawało mu się dotrzymać słowa i wracać przed pierwszymi śniegami. W jego kraju pewnie jeszcze nie padało, ale wkrótce zima dotrze i tam.

Mieszkańcy urwiska stojący wokół niego nagle rozproszyli się jak ptaki. Galway wyprostował się, bo w szybie odbiła się zniekształcona postać nastolatka. Hejty był powszechnie szanowany; obawiano się go mniej niż pozostałych sylfów, więc ludzie nie odeszli daleko.

- Zostawiłeś swoją panią? - spytał go Galway.

- Czuwa przy niej Maczuga. - Hejty przechylił głowę. - Jesteś nieszczęśliwy, prawda?

- Czujesz takie rzeczy? - Bardzo się starał to ukryć. Nikt tu nie potrzebował dodatkowych zmartwień, choć pewnie nikt też by się nim nie przejął.

- Dobrze odbieramy emocje. Strażnikom to się przydaje.

- Jasne - potwierdził traper z uśmiechem.

- Nie wiem tylko, co cię smuci. Nie potrafię odgadnąć takich rzeczy, chyba że zostałbyś moim panem.

Galway wzruszył ramionami.

- Zamierzałem o tej porze być już z moimi bliskimi. Nie myśl, że żałuję, że ci pomogłem, bo nie żałuję. Ale tęsknię za nimi.

- To dlaczego nie wrócisz do domu? Galway wskazał gestem okno.

- Śnieg jest za głęboki. Przedzierałbym się tygodniami, a to niebezpieczne. Mógłbym utknąć w nim na dobre.

- Aha. - Hejty z namysłem zmarszczył brwi. - Mogę cię tam zabrać.

Galway zamrugał.

- Słucham?

- Mógłbym cię zanieść. Ale samego, bo konie pewnie by zwariowały.

Galway zaśmiał się głośno. Nagle zima przestała być taka straszna.

- Byłbym ci bardzo wdzięczny - przyznał. - Naprawdę. Hejty skinął głową. Spojrzał w okno i przygryzł wargę.

- Chcesz jeszcze o czymś porozmawiać? - spytał Galway.

- Tak.

Chłopak splótł ręce za plecami i wygiął się w łuk.

- Maczuga mówi, że każdy z nas powinien związać się z kimś jeszcze, oprócz królowej. Powinniśmy mieć pana, od którego moglibyśmy brać energię i który utrzymałby nas w tym świecie, na wszelki wypadek. Nie sędzę, żeby coś złego miało się zdarzyć, ale on wie lepiej, bo jest większy ode mnie i starszy. To dziwne. Ja jestem przywódcą sylfów, a prawie wszystkie są starsze ode mnie. Rila to chyba nie obchodzi, Maczuga jednak niezbyt dobrze się z tym czuje. Też chciałby mieć Solie, lecz ona go nie chce. Więc wziął sobie tę wdowę. Ja jej nie lubię, ale Maczuga lubi, jak nim rządzi. Zachowuje się trochę jak królowa, choć jest tylko jego panią.

Galway skrzyżował ramiona na piersi i oparł się o kamienną ścianę.

- Czy ty chcesz mnie o coś poprosić? Bo domyślałam się, że w tej przemowie kryje się jakieś pytanie?

- No... - Hejty się wyprostował. - Maczuga chce, żebym ja też miał pana. Kogoś innego niż Solie, kto w razie potrzeby żywiłby mnie energią i przytrzymał mnie tutaj. - Zmarszczył brwi. - Ale jeśli zabiorę cię do domu, to nie będziesz mógł mnie karmić. Musisz być tutaj. Nie pomyślałem o tym.

- Chcesz, żebym został twoim panem? - spytał Galway z autentycznym zdziwieniem.

- Tak. Zresztą nawet jeśli pojedziesz do domu, to więc z tobą mnie tutaj utrzyma. A wiosną możesz przecież przyjechać znowu. - W jego głosie zabrzmiała nadzieja.

Galway aż się zachłysnął. Nigdy nie myślał, że będzie miał wojowniczego sylfa. Oczywiście, w dzieciństwie marzył

o tym jak każdy chłopiec. Ale wojownik? Byłoby to zbyt przerażające, nawet dla bandy łobuziaków, wśród których wyrósł. Prośba Hejty'ego była tak absurdalna, że musiał się roześmiać.

- Wydawało mi się, że nie lubisz mężczyzn - wykrztusił. Hejty się skrzywił.

- Tak. To znaczy, nie. Szczerze mówiąc, nie lubię ich, ale Solie powiedziała, że ludzie to nie wojownicze sylfy. Nie musimy z wami walczyć cały czas, jak z sylfami z innych rojów. Nie chcę drugiej kobiety. Dziwnie bym się czuł. Nie chcę, żeby Solie była zazdrosna albo mnie o coś podejrzewała. Chcę tylko jej, więc potrzebuję mężczyznę jako pana.

Zawahał się, a potem spojrzał mu prosto w oczy.

- Maczuga mówił, że trzeba uważać. Jeśli zostaniesz moim panem, będziesz mógł mną rządzić. Nie chcę tego... Ale ja... ja ci ufam.

Galway milczał, wzruszony. Po takim wyznaniu mógł powiedzieć tylko jedno:

- Jestem zaszczycony. I przysięgam, że nigdy cię nie zawiodę.

Chłopak wyraźnie się odprężył. Traper uświadomił sobie, ile go kosztowało zadanie tego pytania. Ono właśnie burzyło dotychczasowy porządek jego świata. Widział, czym dla innych wojowniczych sylfów skończyło się posiadanie pana. Widział też, jacy stali się teraz. Maczuga był szczęśliwy ze swoją wdową, a Ril świadomie został przy tym samym panu. Naturalnie Galway widział, jak Leon się o niego troszczy

i jak głębokie uczucie ich łączy. Będzie musiał kiedyś porozmawiać z Leonem o tym, jak mu się to udało, skoro teraz

też będzie miał własnego sylfa. W pewnym sensie. Hejty przecież nie należał do niego. To oczywiste, nie mógł się ludzić.

- Co mam zrobić?

- Porozmawiajmy z Solie. Nie potrafimy sami stworzyć więzi ze swoim panem. - Hejty wskazał na drzwi.

Po chwili dołączyła do nich Solie w towarzystwie Maczugi.

Wzruszyła ramionami.

- Żaden problem, Galway. Już to robiłam, dla Loreny i dla wdowy. - Skrzywiła się. - Dziwne uczucie.

- Naprawdę?

Maczuga postąpił krok do przodu i zmienił postać: stał się chmurą dymu z błyskawicami. Ci, którzy nie umknęli na jego widok, wstrzymali oddech ze strachu. Wojowniczy sylf wysunął macki, jedną do Solie, drugą do Hejty'ego, a trzecia dotknęła Galwaya. Przypominała w dotyku linę pokrytą satyną; była cienka, lecz mocna. Poczul, że coś w nim drgnęło; zmysły się wyostrzyły i przez moment miał wrażenie, że jakaś jego część odpłynęła do Solie. A wraz z nią energia, którą rozpoznał jako pochodzącą od Hejty'ego. Zmieniła się w królowej i zlała z nim. Drgnął, bo zdawało mu się, że zaraz się rozdzieli; po chwili poczul niepokój, że źle wybrał, i głęboką potrzebę chronienia Solie i zapewnienia jej bezpieczeństwa. To nie były jego uczucia.

Otworzy! szeroko oczy.

- Czy teraz czuję to samo co ty? - spytał Hejty'ego.

- Tak. Pan niemal zawsze potrafi wyczuć swojego sylfa, i na odwrót. Z czasem nauczę się to wyciszać.

Popatrzył na Maczugę, znów w ludzkiej postaci. Solie skinęła głową i potężny sylf odszedł; mężczyzny, któremu właśnie oddał Hejty'ego, nie zaszczycił ani jednym spojrzeniem. Chyba mu się nie podobało to, co się właśnie stało.

Hejty zmarszczył brwi, jakby się tego domyślał.

- Maczuga mówi, że zawsze uderzał swojego pana aurą nienawiści, bo rzeczywiście go nienawidził i chciał mu to jasno dać do zrozumienia. Ale ja ci tego nie zrobię.

- Mam nadzieję - odezwała się Solie.

- Nie będziesz musiał - zapewnił Galway i położył mu rękę na ramieniu. - Teraz możesz odżywiać się moją energią, prawda?

- Tak. Prawdopodobnie raczej nie będziesz tego czuł. Solie na przykład nie czuje. Ril twierdzi, że Leon czasami to zauważa, ale Leon jest stuknięty.

Solie udała, że chce go uderzyć, a on uchylił się z uśmiechem.

Galway się roześmiał.

- Dobrze, powiedz mi, kiedy będziesz miał ochotę coś przekąsić, a ja wtedy sprawdzę, czy to czuje. Poprowadził ich oboje korytarzem. Ludzie przyglądali mu się z dziwnymi minami. Wiedział, że zaraz zaczną się plotki. Hejty nie próbował kryć się ze swoją prośbą, zresztą nie istniał po temu żaden powód. Wojownicze sylfy były pełnoprawnymi członkami Wspólnoty.

Postanowił, że zostanie z nimi jeszcze parę dni, skoro i tak będzie mógł bez kłopotów wrócić do domu. Chciał lepiej poznać tę nową więź i upewnić się, że obaj z Hejty dobrze się z nią czują. Wiosną wróci, może nawet z całą rodziną, bo przecież Wspólnota ma się przenieść. Wtedy jego bliscy będą pomocą, a nie problemem.

Hejty, wyraźnie uszczęśliwiony, szedł między nim a Solie. Galway wyczuwał radość chłopaka i dobrze mu z tym było. Trochę dziwnie, ale dobrze. Sam też się cieszył, bo wiedział, że wszystko się świetnie ułoży.

Król Alcor stał na murach swojego zamku z Thrallem za plecami i obserwował, jak wojownicze sylfy i ich panowie wsiadają na statek. Pierwszy szedł Jasar, sztywno wypro-

stowany, z zaciśniętymi ustami. Tarcza dreptał u jego boku. Warczał, z głową przy samej ziemi. Za nimi podążało trzech generałów, każdy z własnym wojownikiem. Alcor nigdy nie zadał sobie trudu, żeby poznać imiona tych stworów.

Jeden wyglądał jak przygarbiony człowieczek w brudnej szacie. Długie pazury wyrastały z ramion, które trzymał w górze jak modliszka. Zamiast ust miał okrągły otwór pełen kłów sterczących we wszystkie strony. Drugi był ogromnym, złocistym lwem o muskularnym ciele i szalonych zielonych oczach, a trzeci - wielkim pajakiem z dwunastoma odnóżami zamiast sześciu i z setką czerwonych oczu nad potężnymi żuwaczkami.

Podobnie jak Thrall, cała trójka emanowała nienawiścią, od której Alcorowi ścisnął się żołądek. Ból ćmił go od lat, nasilając się w chwilach napięcia. Choć uzdrowiciele próbowali go leczyć, powracał przy każdym stresie. Pojawił się po śmierci syna i teraz znowu.

Król nie wiedział, ile prawdy było w tym, co powiedział mu Jasar, ale uznał, że ogólnie rzecz biorąc, może mu wierzyć. Nowiny doprowadziły go do szału. Leon go zdradził! Nie wiadomo, w jakim stopniu Jasar się do tego przyczynił, ale nie dało się zaprzeczyć prawdzie: jego najwierniejszy sługa, władca wojowniczego sylfa, okazał się sprzedawczykiem. I za co się sprzedał? Za łapówkę od żałosnych piratów? Prawdopodobnie banda okazała się większa i lepiej zorganizowana, niż Leon doniósł mu na początku - i niż Jasar dostrzegł ze swojej kajuty na statku. Alcor nie wątpił! tylko w jedno: w tchórzostwo dworzanina. Między innymi dlatego postanowił dać mu drugiego wojowniczego sylfa. Jasar nie miał tyle inteligencji i odwagi, by go użyć. Nigdy nie straciłby Maczugi, gdyby dobrze pilnował Leona.

Wszystkie cztery sylfy otrzymały odpowiednie rozkazy. Nawet jeśli Jasar zamierzał ukryć się na czas walki, i tak pozostało trzech wojowników, których panowie nie byli tchórzami.

Wytłuką tych piratów, z dziewczyną włącznie. Jej sylf nie zwycięży całej czwórki. Nawet jeśli Leon z nią jest, i tak przewaga liczebna będzie po stronie królewskiego oddziału. Ril zginie, a zdrajcę przywiozą do zamku. Najpierw każe go łamać kołem, a potem wystawi w klatce przed bramami zamku, żeby ludzie patrzyli na jego powolną śmierć. Alcor, rozwścieczony, potrzebował kozia ofiarnego.

Jeśli generałowie nie przywiozą jeńca, sami znajdą się w tej klatce. Dobrze o tym wiedzieli. Ich twarze zdradzały determinację. Alcor ponuro skinął głową. Nie zawiodą go.

Po sylfach na pokład weszli zwykli żołnierze. Piraci pewnie będą chcieli uciekać, więc piechota i łucznicy ich wyłapią. Sylfy były doskonałą bronią masowego rażenia, ale nie nadawały się do strategicznych celów. Ponieważ po mieście krążyły już plotki o zdradzie i kradzieży wojowniczego sylfa, trzeba wybić wszystkich bandytów. Potem będzie można zająć się innymi problemami... choćby znalezieniem nowego następcy tronu.

Żołądek znowu go rozboleł; kwas przeżerał jego błonę. Król odwrócił się i zanim statek wyruszył w drogę, on był już w ciepłym zamczysku i wzywał uzdrowiciela. Thrall nie odstępował go na krok, milczący jak zwykle.

Choć sam w to z trudem wierzył, Ril dotarł do siedziby Wspólnoty w ciągu pięciu godzin od chwili opuszczenia posiadłości Leona - dwudziestogodzinną podróż skrócił o trzy czwarte. Gdyby nie okoliczności, nigdy nie zdobyłby się na taki szaleńczy pośpiech. Lizzy przez całą drogę siedziała mu na plecach; chłonęła nowe wrażenia i cieszyła się, gdy wiatr rozwiewał jej włosy. Jej bliscy siedzieli w środku; młodsze dziewczynki trochę się uspokoiły, ale ojciec ledwie nad nimi panował.

Zaspy na urwisku zniknęły, roztopione lub zdmuchnięte przez sylfy; choć zapadł zmierzch, na zewnątrz widać było sporo ludzi; wskazywali go palcami. Znużony, zniżył lot, przygotowując się do lądowania. Wojownicze sylfy nie

nadawały się do przenoszenia ciężarów, a on zdobył się na niewyobrażalny wysiłek, by wrócić jak najszybciej. Przysiadł na skale najłagodniej jak potrafił i zmienił postać. Piszczące dzieci poturlały się po ziemi.

Lizy toczyła się w dół zbocza i chichotała, lecz gdy wyczerpany opadł na kolana, natychmiast wstała i podbiegła do niego.

- Ril! - krzyknęła.

Wraz z ojcem uklękli przy nim. Betha przywołała do siebie dziewczynki.

- Ril, dobrze się czujesz? - szepnęła Lizy.

- Idź, pomóż matce - polecił Leon.

Spojrzała na niego ze strachem i pobiegła do Bethy, ale cały czas się oglądała. Ril widział to, zanim zupełnie bez sił zamknął oczy.

Leon przyciągnął go do siebie.

- Bierz, ile potrzebujesz - powiedział, objął go ramionami i zaniósł do ciepłej klatki schodowej.

Ril pozwolił się nieść; z głową na piersi Leona czerpał głębokimi haustami jego energię. Musiał sobie przypominać, że teraz, bez krępujących go więzów, może zabić swojego pana, zabierając mu za dużo sił. Nie wiedział, ile to jest, więc wołał powstrzymać się wcześniej.

Leon zabrał go do sali audiencyjnej. Reszta rodziny szła za nimi albo została z tyłu.

- Co się stało?! - krzyknęła niespokojnie Solie, gdy położono go na czymś miękkim. Albo względnie miękkim, bo przez koc kłuły go żdźbła słomy. Poczul bliskość dwóch sylfów i odprężył się wreszcie.

Wszyscy byli bezpieczni.

- Przeniósł nas tu w ciągu jednego popołudnia - powiedział Leon do królowej. - Nie powinien tak szybko lecieć, ale musieliśmy was ostrzec. Król szykuje statek z czterema wojowniczymi sylfami. Na pewno przeciwko nam. Trzeba się przygotować.

Drobna dłoń pogładziła Rila po policzku i Solie wyszeptała jego imię.

- Pij moją energię. Proszę.

Zamrugał sennie i delikatnie dotknął jej twarzy. Jej aura była słodka i jasna. Zaczerpnął jej, ale nie wiedział, ile może wziąć, więc po chwili przestał pić.

- Jestem królową. - Uśmiechnęła się do niego. - Nie możesz mnie skrzywdzić.

Leon uklęknął obok niej.

- Bierz jeszcze.

- Nie chcę was zabić - szepnął. - Boję się, że mógłbym to zrobić.

Był śmiertelnie zmęczony. Nie powinien lecieć tak szybko, nawet gdyby nikogo nie niósł, ale królowa go potrzebowała. Chętnie oddałby za nią życie. Tylko że wtedy nie zobaczyłby już Lizzy...

Maczuga pochylił się nad nim.

- Ulegasz skrajnym emocjom. Pij. Powstrzymam cię, jeśli będzie trzeba.

Ril westchnął i zaczął karmić się aurą ich obojga: jasną, słodką Solie i gęstą, ciepłą Leona. Energia wypełniała go, przywracając powoli siły, i wkrótce mógł już odpocząć, zasnąć w komnatach królowej, by zregenerować się przed zbliżającą się bitwą. Lizzy zakradła się tam i usiadła przy nim, ale nie wiedział o tym. Śnił o niej i to mu w zupełności wystarczało.

ROZDZIAŁ 27

Zebrali się w jednej z największych sal, której jeszcze nikomu nie przydzielono. Blask zachodzącego słońca sączył

się przez szerokie okno wycięte w skale. Z drugiej strony komnatę oświetlała Żarka. W nierównym szkłe załamywało się światło i leżąca w dole równina wyglądała dziwnie, za każdym razem inaczej, w zależności od kąta, pod jakim się na nią patrzyło. Leonowi kręciło się od tego w głowie. Ril zabrał mu więcej energii niż zwykle; siedząca u szczytu stołu Solie też była blada i znużona. Leon nie chciał opuszczać swojego sylfa, ale Ril potrzebował snu, a oni musieli przygotować plan. Lizzy będzie przy nim czuwać. Na pewno sama by o to poprosiła, nawet gdyby jej tego nie zaproponował.

Reszta rodziny została w jadalni, pod opieką wdowy Blackwell. Nie powinien ich tu przywozić, pomyślał z poczuciem winy, ale gdyby tego nie zrobił, nikt nie ostrzegłby Wspólnoty. Cztery wojownicze sylfy! Oni mają trzy, tyle że Hejty jest młody i niedoświadczony, a Ril wyczerpany. Maczuga nie zwycięży wszystkich czterech, nawet jeśli jego mocy nie pętają już narzucone mu ograniczenia. Co gorsza, podczas pojedynku sylfów ludzi zaatakują królewscy żołnierze. W korytarzach i przejściach będzie toczyła się walka wręcz, a niestety nikt z członków Wspólnoty nie potrafi posługiwać się mieczem na tyle dobrze, by stawić opór doświadczonym wojakom. Leon doskonale znał umiejętności żołnierzy króla. Sam pomagał w ich szkoleniu.

- Musimy uciekać! - jęknął przerażonym głosem jeden z członków rady.

- Dokąd? - spytał go Galway. - Jak? Nie przegonimy powietrznego statku, a po śniegu daleko nie zajdziemy. Zresztą i tak nas znajdą po śladach.

- Moglibyśmy się rozproszyć - zaproponował Borish. - A część zostałaby tutaj.

- To samo zrobili wasi poprzedni przywódcy - warknął Leon. W głowie mu huczało i marzył tylko, żeby się wyspać. Na razie jednak było to niemożliwe. Nie wiedział, ile zostało

im czasu. Oby choć jeden dzień. - Jedynie wojownicze sylfy potrafią nawiązać walkę z innymi sylfami. A my mamy tylko dwa.

- Trzy - poprawi! go Morgal.

- Dwa - powtórzył. - Król przestał was traktować jak niezorganizowaną bandę piratów. Jego generałowie zabiorą ze sobą wojsko. Będą się spodziewać ataku naszych wojowniczych sylfów. Żołnierze wedrą się tutaj, żeby pozabijać ludzi, zwłaszcza panów tych sylfów. Możemy ich zatrzymać, ale pomogą im sylfy żywiołaki. One nie będą walczyć, lecz przenosić żołnierzy przez ściany. Jeden z naszych wojowników musi tu zostać, żeby stawić im opór. Proponuję Hej-ty'ego. - Spojrzał na młodego sylfa i dodał: - Masz najmniej doświadczenia. Maczuga i Ril będą walczyć z sylfami króla. Ty będziesz bronił roju i królowej.

Hejty odpowiedział promiennym uśmiechem.

- Dwóch przeciwko czterem! - zachłysnął się Morgal. -Dadzą radę?

Dobre pytanie. Leon spojrział na największego z nich.

- Maczugo? Dacie radę?

Sylf zmarszczył brwi, skrzyżował ręce na piersiach i popatrzył na królową. Nie bał się, ale długo milczał.

- Nie - odezwał się w końcu. Krzyknęli z przerażenia. Wtedy sylf oznajmił: - Nie będę czekał, aż tu przyjdą. Zaatakujemy sami, gdy tylko Ril się obudzi.

Przechylił głowę i spojrział na Leona - pierwszy raz w życiu patrzył mężczyźnie prosto w twarz.

- Twój plan jest dobry. Skorzystamy z niego, jeśli dotrą tu, zanim Ril się obudzi. W przeciwnym razie my ich zaatakujemy. Są uwięzieni w jednej postaci. Zniszczymy statek, zanim dotrze do urwiska. Jeśli pozabijamy ich panów, królewskie sylfy znikną.

- Ile czasu potrzeba Rilowi? - spytał zaniepokojony Devon.

- Co najmniej do świtu - stwierdził Leon. - Jeszcze nie widziałem go w takim stanie. Doleciał tu w kilka godzin, niosąc całą moją rodzinę. Wciąż nie mogę w to uwierzyć.

Pokręcił głową z podziwem. Atak nastąpi prawdopodobnie dopiero następnego dnia, pomyślał. Dzięki Rilowi zyskaliśmy na czasie; wykorzystamy go na przygotowania. Nie mamy wielkich szans, ale nie jest też beznadziejnie.

Spojrzał na Solie. Błada i przerażona, siedziała na swoim miejscu u szczytu stołu.

- To nie będą zwykli ludzie, którzy próbują zarobić na życie, ale żołnierze. Będą chcieli wszystkich pozabijać, a wojownicze sylfy obrócą to urwisko w kupę popiołu. Jeśli nie dasz naszym sylfom swobody, przegrają.

Drgnęła i popatrzyła na niego.

- Słucham?

Pochylił się do przodu; w głowie wciąż mu huczało. Nogi się pod nim ugiwały, lecz wziął się w garść, bo wiedział, że wszyscy go obserwują. Spojrzał na nią.

- Odwołaj zakaz zabijania i to zaraz, bo w przeciwnym razie wszyscy zginiemy.

Oczy Solie rozszerzyły się ze strachu. Popatrzyła na swoich wojowników. Hejty wydawał się zaciekawiony, Maczuga był obojętny jak zwykle.

- Czy to konieczne? - spytała.

- Tak - wtrącił się Galway. - Nie da się inaczej. Wróg ma przewagę liczebną. - Podszedł i położył jej dłoń na ramieniu. - Pozwól im.

- Musisz wydać rozkaz - dodał Leon. - Wyraźny rozkaz. Solie pociągnęła cicho nosem, otarła łzy i wbiła wzrok w stół.

- Hejty - powiedziała. - Maczugo. Rozkazuję wam zrobić wszystko, co konieczne do ochrony Wspólnoty i jej członków, nawet jeśli będziecie musieli zabijać.

- Spytaj, czy rozumieją.

- Rozumiecie? - szepnęła.
- Tak jest, królowo - odpowiedzieli chórem. Leon poprawił się na krześle.
- Wydaj ten sam rozkaz Rilowi, kiedy się obudzi. Przez chwilę patrzył na płaczącą dziewczynę; Hejty ją przytulił, a Maczuga pogładził po włosach. Tak powinno być. On miał zbyt dużo do zrobienia.
- Powiedzcie mi, jaką bronią dysponujecie. Zobaczymy, jak uda nam się ją wykorzystać.
- Przecież mamy wojowniczego sylfa - sprzeciwił się Morgal.
- Wszyscy, którzy za bardzo polegali na swoich sylfach, skończyli z mieczem w brzuchu - odparł Leon i klasnął w ręce. - Bierzmy się do roboty. Muszę wiedzieć, ile mamy mieczy, kto potrafi walczyć i co najważniejsze, kiedy przybędą tu nasi wrogowie.

Spojrzał na Devona, który milczał cały czas. Na zebranie przyszedł tylko dlatego, że wiązała go przysięga złożona Solie.

- Chciałbym z tobą zamienić parę słów.

Generałowie siedzieli na pokładzie statku i obserwowali, jak mistrz powietrznego sylfa śpiewa pieśń, skłaniając Huragana do maksymalnego wysiłku. Huragan był potężny, znacznie większy od wszystkich innych sylfów na statku, i bardzo stary. Ludzie przekazywali go sobie od dziesięciu pokoleń; miał postać powietrznego wiru, który tańczył na dziobie statku. Jego pan śpiewał czystym, donośnym głosem i w ten sposób nagradzał go za pracę.

Statek pędził z ogromną szybkością; pozostałe sylfy miały mnóstwo roboty z zatrzymywaniem wiatrów, które mogłyby zrzucić pasażerów z pokładu. Kapitan wyraźnie chciał zrobić na wszystkich wrażenie; wyglądało na to, że dotrą do celu o zachodzie słońca tego samego dnia, w którym wyruszyli. Generałowie nie mieli nic przeciwko temu. Byli arystokratami, a na szlify zasłużyli w walce, jeszcze zanim dostali

wojownicze sylfy. Zawsze przydzielano je ludziom, którzy już się sprawdzili - z wyjątkiem księcia, ale jego lepiej nie wspominać - albo osobom o odpowiednich koneksjach politycznych, takim jak Jasar. Albo Leon. Naturalnie Leon był wyjątkowy - niezależny człowiek z pospólstwa. Król przeprowadzał z jego pomocą różne subtelne intrygi; nadano mu tytuł dowódcy straży tylko dlatego, że nie można było mianować go agentem od brudnej roboty. Wszyscy byli w duchu zadowoleni, że zdradził. Teraz król zwróci się ku nim i przestanie odsyłać ich z miasta do odległych włości, gdzie nie sposób spiskować.

- Walka nie potrwa długo - mruknął jeden z nich, przysadzisty weteran Flav.

Piraci nie spodziewali się ich. Nawet jeśli mieli w zamku szpiega, Huragan był szybszy niż inne powietrzne sylfy, bez względu na to, czy musiał napędzać statek. Ta banda nie zdąży przygotować obrony na czas, a jeśli zechce uciekać, oni bez trudu ją wytropią.

- Na pewno dotrzemy tam przed północą - stwierdził drugi, Boradel, rudowłosy jak Solie. Po wielu latach spędzonych na deszczu i wietrze miał zawsze czerwoną twarz. - Huragan przyspieszył podróż o cały dzień. Szkoda.

- Jak to? Aż tak podoba ci się na tym statku? - spytał trzeci, Anderam.

- Nie. Tylko że w nocy wszystko gorzej widać. Szpon strasznie się rwie do walki. Kiedy król spytał, kto chce wyruszyć, omal nie zaniósł mnie siłą do zamku. Nie mam pojęcia, co go napadło. Normalnie prawie cały czas kuli się w kącie - zaśmiał się Boradel.

Towarzysze mu zawtórowali.

- Szkoda, że Jad taki nie jest - odezwał się Flav. - Wszystko mu jedno, czy walczy, czy nie.

- Yanda będzie bił się z własnym cieniem, jeśli nie trafi mu się nic innego - zaśmiał się Anderam.

- Yanda jest stuknięty - stwierdził Boradel.

- A inne wojownicze sylfy nie? Generałowie roześmiali się znowu.

Siedzący nieopodal Jasar pociągnął nosem i otulił się płaszczem. Generałowie zostawili swoje sylfy z tyłu na pokładzie, ale Tarcza leżał u jego stóp z wywieszonym językiem. Jasar wiedział, że tamci uważają go za tchórza, ale nic go to nie obchodziło. Nawet bez wojowniczego sylfa miał więcej władzy i pieniędzy niż oni trzej razem wzięci. Wbił wzrok w podłogę, starając się nie myśleć, z jaką niesamowitą szybkością statek niesie ich nad Iłowym Płaskowyżem. Za godzinę pewnie dostrzegą już urwisko, przy którym porzucił go jego pierwszy wojowniczy sylf i gdzie Leon groził mu śmiercią. Jasar zadygotał i spojrzał na swojego nowego wojowniczego sylfa. Tarcza odpowiadał mu znacznie bardziej niż Maczuga. Znał swoje miejsce - jak pies.

To się niedługo skończy, uspokajał się w myślach. Piraci zginą, dziewczyna też, Leon zostanie poddany torturom i umrze, a on, Jasar, wróci do Eferem i wykorzysta to nowe zwycięstwo, by poślubić najstarszą córkę króla. Pod warunkiem że żaden z uczestników wyprawy nie zobaczy Maczugi i nie zorientuje się, że sylf żyje. Jeśli jednak tak się stanie, Jasar poczeka, aż sylfy pokonają zdrajcę, po czym wypuści Tarczę na ich panów. A u króla zjawi się triumfalnie jako jedyny, który przeżył bitwę. Wystarczy trochę podkoloryzować przebieg wydarzeń. Uśmiechnął się krzywo i pochylił, żeby pogłaskać Tarczę po głowie, nic sobie nie robiąc z fali nienawiści, którą sylf w niego uderzył.

Nagle wszystkie wojownicze sylfy warknęły ostrzegawczo. Jasar wytrzeszczył oczy ze strachu i cofnął się ku drzwiom prowadzącym do wnętrza statku. Trzej generałowie jednocześnie skoczyli naprzód, rozglądając się za przeciwnikiem w gęstniejącym mroku; grupka powietrznych sylfów śmignęła przed siebie - ściagały coś niewidzialnego.

Wojskowi zauważyli jego strach i zarechotali, co go zawstydziło i oburzyło.

- Nie bój się, milordzie. Ktoś pojawił się tu na przeszpiegi - zaśmiał się jeden z nich.

- Długo nie pożyje - stwierdził Flav. - Jad! - Potężny pajak ruszył przed siebie, niemal ocierając się o Jasara. - Kiedy wypchną szpiega z pokładu, zabij go - polecił.

Dworzanin z bijącym sercem odwrócił się i zszedł do środka, nie dbając, co o nim pomyślą. I tak okazał się od nich lepszy; dostał drugiego sylfa. Tylko że oni nie stracili swoich, szepną! zdradziecki głos w jego głowie. Jasar zignorował go i podrepta! do swojej kajuty.

Airi pędziła po niebie, ślizgając się po prądach powietrznych, najszybciej jak potrafiła. Bała się tak bardzo, że ledwie mogła myśleć. Wyczuwała swojego pana i rój, ale dosięgała ją też coraz silniejsza nienawiść wojowniczych sylfów. Były o wiele bliżej, niż ktokolwiek się spodziewał.

Pewnie wyruszyli z miasta wkrótce po Rilu i poruszali się z prawie taką samą szybkością jak on. Airi wyczuła, kto napędzał statek: Huragan, najstarszy z sylfów w Eferem; w jej rodzinnym roju też nikt nie był od niego starszy i potężniejszy. Potrafił bez problemu unosić ciężki statek, a Airi musiała się dobrze napracować wtedy, przy lądowaniu.

Nie zbliżała się za bardzo, bo wojownicze sylfy zniszczyłyby ją w jednej chwili. Ale musiała przecież dowiedzieć się, ilu żołnierzy jest na statku, sprawdzić pewną informację, o co prosił ją Leon, i zobaczyć, jak daleko znajduje się wróg.

Trudno było to określić. Statek pędził ku niej, ciągnąc za sobą chmurę dymu. Na pokładzie był tłum mężczyzn: załoga i żołnierze, a oprócz nich wojownicze sylfy. Zawsze je zabierali. Wyczuwała też sylfy żywiołaki, między innymi swoich pobratymców, którzy otrzymali zadanie osłaniania pokładu od wiatrów wywołanych przez Huragana, i ziemne

sylfy, które miały wdrzeć się do roju. Zanim zdążyły ją zauważyć, schowała się pod kadłubem statku; znalazła się o wiele bliżej, niż powinna i w skupieniu zaczęła przeszukiwać jego pasażerów. Zbliżyła się jeszcze bardziej, zdecydowana na wszystko, by sprawdzić to, o co ją proszono, a potem wrócić do roju. Wcale nie była pewna, czy uda jej się przegonić Huragana, choć leciała bez żadnego obciążenia. Nagle poczuła to, czego szukała, wślizgując się pod osłonę wiatrów obudzonych przez potężnego sylfa. Niestety w tym samym momencie rozległ się ryk pełen nienawiści, a ludzie na pokładzie zaczęli krzyczeć. Airi błyskawicznie zanurkowała, czując, że ścigają ją powietrzne sylfy, mniejsze od Huragana, ale od niej silniejsze; poza tym miały przewagę liczebną. Otoczyły ją rojem, ogłuszając podmuchami wiatru i spychając z powrotem pod kadłub. Nie chciały jej zabić - ludzie wiedzieli, że nie są do tego zdolne - ale mogły ją doprowadzić do wojowniczych sylfów, które nie miały takich oporów. Jęknęła ze strachu, walcząc z żarciem. Musiała przekazać wiadomość, a poza tym nie chciała umierać. Zaczęła głośno krzyczeć, wysyłając wieści po liniach mocy łączących cały rój, ale żaden ze ścigających ją sylfów nie był jej krewniakiem. Zresztą, nawet gdyby był, nie mógłby jej pomóc. Sylfy musiały wykonywać rozkazy, tak jak ona - choć Devon zapytał ją, czy chce, żeby powierzono jej to zadanie.

Zdesperowana, pchnęła najsłabszego sylfa z całą siłą, jaka jej pozostała, i udało jej się zanurkować z powrotem pod statek, zanim dosięgnął ją któryś z wojowniczych sylfów. Żywiołaki natychmiast zanurkowały za nią, znowu ją otoczyły i zaczęły wypychać do góry. Były silniejsze i było ich mnóstwo. Znów krzyknęła, czując, że za chwilę zginie.

Gdy znalazła się prawie na poziomie burt, coś śmignęło między sylfami, rozrzuciło je na boki, a ją pochwyciło i porwało ze sobą. Oszołomiona, pozwoliła się nieść nad równi-

ną. Lecieli z niewyobrażalną szybkością. Z tyłu dochodziły przerażone okrzyki poturbowanych powietrznych sylfów.

Trzymaj się! - zawołał Hejty, teraz nieduży jak ona i równie przezroczysty. Przycisnął ją do siebie i śmigał w stronę ula.

Co? - wykrztusiła zdziwiona. Nie przypuszczała, że którykolwiek z wojowników zechce ryzykować życie, żeby ją uratować.

Usłyszałem twój krzyk. Musiałem po ciebie iść. Maczuga powiedział tylko, że nie mogę pokazać się ludziom na statku.

Ale dałeś się rozpoznać wojowniczym sylfom!

I tak wiedzą, że tu jestem. Devon rozpaczalby, gdybyś zginęła. To przygnębiłoby też królową, a wtedy wszyscy by się załamali. Więc przyleciałem po ciebie.

W jego głosie brzmiała przekora. Airi nigdy nie potrafiła zrozumieć wojowniczych sylfów, więc teraz tylko przytuliła się do niego i pozwoliła się nieść. Hejty nie wykorzystywał prądów powietrznych, lecz przebijał się przez nie jak włócznia.

Dowiedziałam się tego, o co pytali, powiedziała.

To świetnie. Przekaż im to od razu, kiedy wylądujemy.

Królewski statek ścigał ich z szybkością błyskawicy. Pan Huragana ponaglał go bez ustanku.

Flav przechylił się przez reling i przyglądał się urwisku. Powietrzny sylf w końcu zwolnił. Miejsce wyglądało dokładnie tak, jak opisał je Jasar: samotne wzgórze, wysokie na sześćdziesiąt metrów i rozszczerzone w połowie, jakby ktoś je przeciął przy samym skraju. Oświetlał je blask księżyca, odbijający się od śniegu. Na szczycie stały trzy postacie, wpatrzone w niebo. Spojrzał na nie przez lornetkę. - To ludzie? - spytał Boradel.

- Tak, dwóch mężczyzn i chłopiec. Pewnie chcą z nami negocjować.

Anderam parsknął.

- Jakby mieli coś, na czym nam zależy.

- To może być pułapka - powiedział Flav z namysłem i opuścił lornetkę. Mężczyźni stali spokojnie. Nie mieli nawet broni. Chłopak uśmiechał się do nich i machał ręką.

- Wkrótce się przekonają, że i my zastawiliśmy pułapkę - odparł Boradel.

Po ucieczce małego sylfa zastosowali dodatkowe środki bezpieczeństwa. Leon nie powinien się tego domyślić. Zresztą cztery sylfy na dwa? Banda zwykłych piratów przeciwko siedemdziesięciu wyszkolonym żołnierzom? Śmieszne. Ale żaden z piratów nie był głupi, a oni zdawali sobie sprawę, że Leon to genialny taktyk.

Flav złożył lunetę i wsunął ją do futerału, nie odrywając oczu od postaci na urwisku. Nie rozpoznawał żadnej z nich. Leona nigdzie nie dostrzegł i trochę go to niepokoiło.

- Jad!

Pająk z sykiem podszedł i zmierzył go wściekłym spojrzeniem. Flav popatrzył w swoje odbicie zwielokrotnione w oczach stwora i wskazał na trzech wysłanników.

- Zabij ich!

Pająk błyskawicznie wspiął się na reling, uczeplił się tuzinem nóg desek statku i opuścił do połowy burty, wpatrując się w mężczyzn. Pełen nienawiści ryk poniósł się echem po płaskowyżu; pająk skupił wzrok na przeciwniku i wysłał falę migotliwej energii, wystarczająco silną, by zmieść wszystko z powierzchni urwiska i zmienić w parę wodną skałę co najmniej na metr w głąb.

Stało się jednak inaczej. W połowie drogi fala napotkała podobną, wznoszącą się ku górze, i eksplodowała. Statek zakołysał się gwałtownie, aż Huragan krzyknął ze strachu. Flav złapał się relingu, żeby nie wypaść za burtę, i patrzy! z przerażeniem, jak dorośli zmieniają postać i stają się chmurami dymu, jakie widział tylko raz w życiu: tego dnia, kiedy związał ze sobą Jada. Uderzyła w niego ich nienawiść; zachwiał się, nie wierząc własnym oczom.

- Zabij ich! - wrzasnął do swojego sylfa. - Zabij! Natychmiast!

Słyszał, jak Boradel i Anderam wydają swoim sylfom takie same rozkazy; Jad zeskokczył ze statku, rozcapierzając nogi, zawył z wściekłości i rzucił się na nadciągającego wroga. Szpon i Yanda wyskoczyli tuż za nim i zniknęli za burzą.

- Zawróć statek! - krzyknął Anderam do sternika władającego Huraganem i potężny kadłub wykonał zwrot. Odpływali od urwiska.

- Zmienili postać - wykrztusił Boradel, a jego czerwona twarz zbieleła jak papier. - Wielkie nieba, oni zmienili kształt.

Nikt nie panował nad tymi potworami, nikt nie potrafił ich powstrzymać. Flav kurczowo ścisnął reling palcami i wpatrywał się w scenę walki, dobrze widoczną w świetle księżyca. Dwie mroczne chmury zaatakowały Jada, Yandę i Szpona.

Związane z ludźmi czy też nie, sylfy broniące urwiska były tylko dwa, więc szybko odzyskał nadzieję na zwycięstwo. Uśmiechnął się pod nosem, czując przyływ dumy, jak zwykle, gdy wysyłał swojego sylfa do boju. Jad był najpotężniejszym zabójcą w całym królestwie: bezlitosnym i zimnym, mimo trawiącej go nienawiści.

W tym momencie zdarzyło się coś, czego nigdy by się nie spodziewał.

- Nie! - wrzasnął.

Odwrócił się i spojrzał na generałów - nie zauważyli, co się stało.

- Potrzebujemy więcej wojowników! - ryknął, budząc ich zdumienie. Rzeczywiście nic nie widzieli. - Gdzie Jasar?

Dworaka nigdzie nie było widać. Flav nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo zmniejszyło to ich szanse. Jasar przecież już wcześniej doświadczył czegoś podobnego i mógłby ich przestrzec przed tym, co właśnie się zdarzyło.

ROZDZIAŁ 28

Nawet gdyby mieli wcześniej jakieś wątpliwości, samo pojawienie się i ucieczka Airi przekonałyby generałów, że Leon rzeczywiście zdradził i że dowodzi obroną piratów. Wiedząc, jak dobrym jest strategiem, postanowili zdecydowanie przechylić szalę wygranej na swoją stronę i wysłali żołnierzy. Powietrzne sylfy przeniosły z odległości kilku kilometrów oddział piechoty wraz z ziemnymi sylfami na łagodne zbocze urwiska, u samej podstawy.

Zbliżając się, dostrzegli okna w ścianie klifu. Dowódca nie był tym zaskoczony. Piraci nie mieli przecież innego wyjścia, jak schronić się w głębi wzgórza. Cóż, jego ludzie wywiercą w ścianach parę dodatkowych otworów i powybijają wszystkich, podczas gdy Leon będzie się spodziewał tradycyjnego pojedynku wojowniczych sylfów.

Hejty nie wyczuł ich obecności na odległym zboczu, bo obserwował, jak Ril i Maczuga śmigają ku górze, do walki z trzema wojowniczymi sylfami, które wyskoczyły ze statku. Pragnął się do nich przyłączyć, ale otrzymał jasny rozkaz: bronić roju od środka. Co za bezsens. Zmienił jednak postać i jako chmura dymu popędził ku schodom.

Na ich szczycie czekała Stria, ziemna sylfka Cala. Kiedy Hejty tam dotarł, dotknęła dłonią ziemi i zamknęła przejście. Odgłosy wybuchów i walki ucichły natychmiast, a Hejty spłynął w dół i podążył korytarzem do jadalni, gdzie zebrali się wszyscy mieszkańcy, z wyjątkiem mężczyzn, których Leon postawił na straży.

Przeleciał nad dwoma strażnikami, którzy przykucnęli z przestachu, i znalazł się wśród ludzi; powitali go okrzykami radości albo przerażenia. Nie zwracając na nich uwagi, zawirował tak, że Bevan wpadł pod stół, przyjął ludzką postać i wylądował na klęczkach na stole, przed Solie. Jego twarz znalazła się kilka centymetrów od jej ust.

- Musisz się popisywać? - spytała. Pochylił się i mocno ją pocałował.

- Są już tutaj. Ril i Maczuga walczą z trzema wojowniczymi sylfami. Fantastyczne!

On piał z zachwytu, ale w sali rozległy się okrzyki przerażenia. Wyczuł strach i rozejrzał się, zdziwiony.

- Co jest? Boicie się, że przegramy? Leon pochylił się nad stołem:

- Jakie nowiny? - szepnął. - Których wojowników zabrali ze sobą?

- Och, tych najbrzydszych.

Leon zakrył dłonią oczy, a stojąca przy nim blondynka zachichotała. Hejty poparzył błagalnie na Solie.

- Mogę do nich iść? Też chciałbym kogoś zabić.

- Nie - zdenerwowała się. - Masz tu siedzieć.

- Ale tu nikt nie wejdzie!

Jak na ironię, przez jadalnię przemknęła z krzykiem przerażona ogniowa sylfka.

- Och! - Hejty zeskoczył ze stołu, zmienił postać i popędził za nią schodami na najniższy poziom roju, do wielkich stajni i obór. Zbliżając się do nich, zaczął wyczuwać emocje ludzi, i to takie, które powinien poczuć znacznie wcześniej, gdyby nie zawładnęło nim podniecenie walką.

Kilku obrońców starło się z prawie dwudziestką żołnierzy w czerwono-czarnych mundurach. Wojsko wdzierało się przez ogromny otwór, utworzony w ścianie przez ziemnego sylfa. Napastnicy przepychali się między przerażonymi zwierzętami, niektóre zabijając. Jednym z obrońców był Galway; doskonale panował nad swoimi emocjami, nawet gdy dawał komendę do odwrotu i gdy jednego z obrońców przebito mieczem tuż przy nim.

Hejty śmignął obok swojego pana i ryknął, dając upust nienawiści. Uderzyła w napastników na sekundę przed falą mocy, która rozdarła ich ciała, zmieniając je w krwawą

mglę. Drugie uderzenie powaliło ziemnego sylfa, który ich wpuścił. Nie zdążył nawet krzyknąć. Hejty zatrzymał się na moment przy dziurze w ścianie i rozejrzał się po ośnieżonej równinie. Ani śladu życia.

Zamknijcie otwór, powiedział w myśli do Galwaya; traper skinął głową i gestem wskazał otwór mężczyźnie, panu ziemnego sylfa. Hejty zostawił ich i pognął z powrotem po schodach, do sali jadalnej. Przycupnął na stole Solie.

- Teraz rozumiem, dlaczego zostawiłeś mnie tu, w środku - mruknął do Leona.

W tym momencie przybył kolejny sylf z ostrzeżeniem, więc Hejty znowu popędził przed siebie, tym razem w innym kierunku. Uświadomił sobie, że wrogowie atakują z różnych stron, tyle że nie od frontu, i miał nadzieję, że zdąży powstrzymać ich wszystkich.

Solie z lękiem spojrzała na Leona, a potem na Morgala. Zona Leona właśnie robiła mu awanturę: dlaczego zabrał ich w takie niebezpieczne miejsce? Morgal cicho popłakiwał, najstarsza córka Leona popatrzyła na nią przestraszona, ale opanowana. Solie z trudem przełknęła ślinę i skinęła głową.

- Wszystko będzie dobrze - obiecała dziewczynce.

- Wiem - odparła Lizzy.

Czując, jak ul trzęsie się w posadach, Solie nie była tego taka pewna.

Ril i Maczuga wznosili się do góry; szeroko rozpościerali skrzydła i rozdziawiali strzelające błyskawicami paszcze. Trzy wrogie wojownicze sylfy podążały ku nim, prowadzone przez zmutowanego ogromnego pajaka. Maczuga wyczuwał też czwartego, ukrytego na statku. Trzy na razie zupełnie wystarczały, może nawet było ich za dużo.

Wysunął się na czoło. Na wysokości stu metrów nad urwiskiem zderzył się z Jadem, który próbował nabić go na kolczaste łapy i uderzyć falą energii. Maczuga bez trudu

ją odrzucił, jednocześnie blokując pazury stwora, zanim rozdarły jego ochronny płaszcz. Sczepili się obaj i wirując, zaczęli spadać.

Ril zaatakował drugiego sylfa, który przyjął postać złocistego lwa, i zaczął blokować jego uderzenia, robiąc uniki. Nie odzyskał jeszcze pełni sił po szaleńczym locie, a Maczuga wyrwał go ze snu po powrocie Airi i Hejty'ego. Nieważne. Będzie walczył do upadłego, tak długo, jak się da.

Śmignął na bok - skrzydła dawały mu wyraźną przewagę nad lwem. Zmienił postać, przekształcając część swojego płaszcza w ostry bat, którym smagnął Yandę. Rozciął tarczę ochronną wielkiego kota, odrzucił go od siebie i zanurkował za nim.

Szpon leciał ostatni, kierując się w stronę Maczugi i Jada. Rozdziawił paszczę, oczy mu błyszczały, a płaszcz trzepotał na wietrze, kiedy wylądował na nich. Wszyscy trzej zaczęli wirować, coraz szybciej spadając na ziemię.

Ril leciał za Yandą, uchylając się przed kulami energii -rozszarpałyby go, gdyby któryś z sylfów go trafił. Sam nie atakował, oszczędzając siły. Wiedział, że będzie musiał walczyć w zwarciu. Mogli tu przysłać Hejty'ego, a jego zostawić w roju, pomyślał, ale zaraz zreflektował się - młody sylf nie miałby szans. Siła znaczyła o wiele mniej niż doświadczenie, a ten lew był stary, o wiele starszy nawet od Rila, więc Hejty na pewno by przegrał. On, Ril, może sobie z nim poradzić, musi tylko w to mocno uwierzyć.

Znowu zmienił postać - stał się jastrzębiem. Przywykł do tego kształtu, miał go wiele lat; poza tym kogoś tak małego trudno było trafić. Złożył skrzydła, zanurkował, przeorując pazurami grzbiet Yandy, a potem odleciał.

Kot zdążył wyrwać mu parę lotek z ogona. Zabolało okropnie, bo to nie były zwykłe pióra, tylko część jego istoty. Ril przez chwilę wirował, po czym celowo opadł w dół, by

uniknąć kolejnego pocisku. Kot za bardzo na nich polegał; wyginał grzbiet, krzyczał przenikliwie i strzelał energią na wszystkie strony, wybijając dziury w ziemi; zniszczył też lewy żagiel statku. Ril słyszał, jak powietrzny sylf wrzeszczy z wściekłości, ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać, wciąż robiąc uniki.

Yanda skulił się i wylądował; zebrał siły i wyskoczył w górę jednym płynnym ruchem. Ril warknął, wykręcił beczkę, umknął i zbudował ścianę energii; słabą, ale wystarczającą, by kot się cofnął.

Uratowało mu to życie, ale kosztowało wiele sił. Bez lotek w ogonie wykręcił kolejną pętlę zbyt nisko i zawadził skrzydłem o ziemię. Poturlał się po niej, próbując wymyślić postać, która da mu przewagę w walce na ziemi.

Wszystko go bolało. Uderzony falą nienawiści, przetoczył się na prawo, gdy Yanda rozdarł ziemię w miejscu, gdzie on był przed chwilą. Ril przyjął ludzką postać i zdyszany przyglądał się kotu, lądującemu tuż obok. Na jego grzbiecie widniała głęboka rana, z której ciekła energia zamiast krwi, ale Ril dobrze wiedział, kto tu jest w gorszej formie. Nie stoczył ani jednej takiej bitwy od chwili, gdy odszedł z rodzinnego roju; tam również tak brutalnie się nie pojedynkowano. W swoim świecie nie musiałyby walczyć samotnie, a zmiany postaw nie byłyby tak ważne. Tutaj tylko one mogły go uratować.

Ale zaczynało mu na to brakować energii. Jeśli szczęście mu sprzyja, uda się wykrzesać jeszcze jedną kulę energii, lecz i ona będzie zbyt słaba, by zadać wrogowi poważny cios. Tak wiekowy sylf na pewno sobie z tym poradzi. Gdyby wcześniej wiedzieli, z kim się zetną, Maczuga wzięłby na siebie kota. Wtedy Ril mógłby umrzeć, walcząc z tamtymi dwoma.

Warknął i zaatakował.

Yanda, władając większą energią niż jego przeciwnik, posłał mu kolejny pocisk. Ril zablokował go resztką sił. Moc, która powinna go obrócić w pył, spłynęła do jego stóp, a on potoczył się z krzykiem w dół zbocza, rozrzucając na boki

przysypane śniegiem kamienie. Yanda popędził za nim, ciskając ogniste kule, które wybuchały naokoło Rila, wyrzucając go w powietrze. Yanda bawił się nim jak kot myszą.

Tego było za wiele. Kipiąc z wściekłości, Ril zrobił salto, wylądował w klęku i czekał na nadbiegającego kota. Zachował ludzką postać, ale zamiast przedramion miał ostre miecze. Yanda rzucił się na niego, wzbijając tuman śniegu z odłamkami skał, a on pchnął, próbując go przeszyć ostrzem. Cios był szybki, niewiarygodnie szybki, lecz Yanda obrócił się w powietrzu, tak że miecz ledwo go drasnął i uderzył prosto w Rila. Ten w porywie rozpaczy znowu zmienił postać, by oderwać się od przeciwnika i uciec, ale wtedy lew przetoczył się przez niego, tnąc go zębami i pazurami. Ril wrzasnął przenikliwie, gdy wróg odciął jedną trzecią jego płaszcza, która natychmiast zniknęła. W powietrzu zapachniało ozonem. Krzyk sylfa poniósł się po liniach łączących go z rojem, ostrzegając pozostałych wojowników, że ich towarzysz za chwilę umrze. Ból był wszechogarniający. Ril rzucił się przed siebie, zostawiając na ziemi smugi energii. Instynktownie zwinął się w kłębek, żeby zachować resztki życia. Targnęły nim konwulsje.

Yanda ryknął triumfalnie i pognał w stronę roju, smagając się ogonem po bokach. Energia ciekła mu z brzucha. Był ranny, ale nie śmiertelnie.

Leon, nie udało mi się, jęknął z rozpaczą Ril. Potem, jak najmocniej uciskając zranione miejsce, przyjął jedyną postać, jaka przyszła mu na myśl, i poczuł, że osuwa się na zmarzniętą ziemię. Spowiła go ciemność.

Wewnątrz roju Leon dawał rozkazy ludziom i sylfom, posyłając ich w różne strony, by informowali go o rozwoju wydarzeń. Hejty znowu pojawił się w sali i Leon wystąpił go na północ, dając mu za przewodnika ogniowego sylfa, żeby zaprowadził go tam, gdzie żołnierze podobno przebijali się przez boczną ścianę urwiska, trzy poziomy niżej.

- Przestało mi się to podobać! - krzyknął sylf, przybierając ludzką postać tylko na moment, żeby sobie ponarzekać.

- Trudno! - odparł Leon. - Załatw ich! To pewnie ostatnia dwudziestka!

Więcej żołnierzy nie zmieściłoby się na statek. Byli podzieleni na oddziały i nie mogli się ze sobą porozumiewać. Chyba nawet nie wiedzieli, że sylf rozbija grupę za grupą.

Hejty zniknął, a Leon zwrócił się do Morgała. Przywódca Wspólnoty mógł sobie o nim myśleć, co mu się żywnie podobało, ale nikt w sali nie miał żadnych wątpliwości, kto teraz dowodzi. Wdzięczność malowała się na twarzach tych samych ludzi, którzy jeszcze niedawno krzykiem domagali się jego śmierci. Nieważne. Oby tylko go słuchali.

- Chciałbym, żebyś...

Przerwał, słysząc odległy głos w swoim umyśle. Wąły głos kogoś w agonii.

RU? Ja... Wielkie nieba!

Leon odwrócił się i wrzasnął przeraźliwie, jakby chciał, aby jego głos przeniknął kamienne ściany i dotarł na Iłowy Płaskowyż przed urwiskiem.

- Ril! Nie! Ril! - Agonia targnęła nim tak, jak jego syl-fem. Wyciągnął miecz z pochwy i rzucił się ku północnemu korytarzowi, ocierając łzy. - Hejty! Wracaj natychmiast! Nadchodzi wojowniczy sylf! Ludzie krzyknęli ze strachu, a Hejty wrócił biegiem, w ludzkiej postaci. Zatrzymał się przed nim.

- Co z żołnierzami? - zapytał.

- Sam się nimi zajmę - odparł Leon. - Ty załatw tego wojownika.

Hejty skinął głową i zniknął. Leon przywołał ostatnich uzbrojonych ludzi czekających w sali, wśród nich Devona i Morgała. Poprowadził ich północnym korytarzem, słysząc za plecami rozpaczliwe krzyki swojej rodziny. Zlekceważył je, tak jak zlekceważył rozziewający go ból.

ROZDZIAŁ 29

anda porzucił umierającego wroga i gnał ku urwisku; mięśnie przeżyły się pod gładką skórą i złocistym futrem. Nie myślał świadomie. Dostał rozkazy, a atakowanie obcych rojów było sensem jego życia. Obłąd trawiący go od lat nie pozwalał mu na refleksje. Teraz pragnął tylko zabijać; nawet nie czuł głębokich ran, jakie odniósł w walce, wcale nie zastanawiał się, jak bardzo go spowalniają.

Urwisko wznosiło się coraz bliżej jak twierdza cuchnąca strachem i determinacją. Pragnął zniszczyć wszystkich jego mieszkańców. W litej ścianie widział prostokąty okien; człowiek nie sforsowałby żadnego z nich, ale on tylko przyspieszył, zebrał się do skoku i wycelował w najbliższe, na wysokości około dziesięciu metrów. Uderzył w nie falą energii i wpadł do środka, wybijając szybę i ogromną dziurę w skale.

Wylądował na kamiennej posadzce i wyhamował na puszystym dywanie, obok wiszącego przy ścianie hamaka. Siedziała tam wodna sylfka, pilnując okna na wszelki wypadek. Krzyknęła ze strachu i zmieniła się w kałużę wody, która pociekła ku drzwiom. Yanda wbił w nią pazury, rozdzierając płaszczyznę energii, jej prawdziwe ciało. Podobnie jak wojowniczy sylf na równinie wrzasnęła, gdy rozdzierał ją na strzępy zbyt małe, by zachowały świadomość lub przetrwały.

Jej śmierć pachniała słodyczą. Zlizał ją jęzorem, smakując z rozkoszą, choć nie mogła go odżywić. Zamruczał, lecz tuż obok znów wyczuł życie; kilka sylfów pochodziło nawet z tego samego roju, co on. Nieważne. Wszystkie pozabija.

Wyskoczył na mroczny korytarz, pełen dźwięków i zapachów. Jakiś sylf uciekał od kolejnego okna. Yanda rzucił się ku niemu i już po chwili go miał. To była ziemna sylfka, twardsza niż tamta, lecz i tak bezradna wobec jego siły. Próbowwała się bronić, ale ją zabił.

Dalej wyczuł jeszcze więcej życia; sylfy zbiły się w dużą gromadę. Zawęszył, szukając drogi w korytarzach, ale żaden do nich nie prowadził. Obwąchał kamienną ścianę, pewny, że czekają na niego po drugiej stronie, skamłac i drepcac niespokojnie, a potem napał na nią całym ciałem.

Ściana zwała się do środka. Zgromadzeni w jadalni ludzie zaczęli krzyczeć i uciekać przed deszczem kamieni, które wielu z nich poraniły. Yanda wskoczył do sali i ryknął. Przykucnął i wysłał falę nienawiści. Zaczęli krzyczeć jeszcze głośniejsze. To go tylko podnieciło, więc runął na stojących najbliżej, by porozdzierać ich na krwawe strzępy.

Zdesperowane powietrzne i ogniowe sylfy próbowały go odepchnąć, ale na nie tylko warknął; wyglądały jak dzieci i były równie słabe. Jakiś chłopak uderzył go w bok... Nagle jego palce zmieniły się w pazury i rozdarły wcześniej zadane rany. Yanda ryknął, gdy ogłuszyła go nienawiść wojowniczego sylfa, który ukrył się wśród żywiołaków, używając ich jako osłony, i zza tej osłony zaatakował.

Coś podobnego! Wojownicze sylfy nie walczą z zasadzki! Yanda zawył, oburzony i natarł na niego. Potoczyli się po posadzce, między uciekającymi ludźmi. Spleciony z nim chłopak zmienił się w coś zębatego i kolczastego. Wielkiego kota przeszył ból, więc zaatakował falą energii, ale natrafił na tarczę ochronną przeciwnika.

Po jej grubości natychmiast zorientował się, że walczy z kolejnym słabeuszem... albo raczej młodziakiem. Zawył z radości i rzucił się na niego. Nieraz atakowali go tacy smarkacze. Załatwi go w jednej chwili.

Maczuga spadał ku ziemi, tak splątany z dwoma sylfa-mi, że nie mógł się od nich oderwać, by walczyć. Oni też nie mogli i spadali tak w zgodzie z przymusu; rozdzielili się dopiero na moment przed uderzeniem w ziemię. Maczuga, wciąż w swojej naturalnej postaci, śmignął na bok, unosząc

się nad wrogami; pająk szybko przysiadł na swoich licznych odnóżach, a jego kompan wylądował w przykłęku, nieco dalej na wzgórzu.

Zastygli w bezruchu; potem pająk obrócił się, sycząc; wpatrywał się teraz w Maczugę, a on obserwował i oceniał przeciwnika, gotów odskoczyć lub zmienić postać. W odróżnieniu od Rila był wypoczęty i o wiele starszy od tamtych dwóch. Z kotem mógłby mieć problem, ale ci tutaj byli na tyle młodzi, że musieli zaatakować go razem.

Oni też o tym wiedzieli. Pająk dziko wymachiwał żuwaczkami; przykucnął przy ziemi, żeby drugi wojownik mógł stanąć u jego boku. Nie byli z tego samego roju - Maczuga spostrzegł to na pierwszy rzut oka - ale obu nakazano współpracę. Wszystkie wojownicze sylfy musiały współdziałać ze sobą na rozkaz, tak jak on z Rilem, zanim przyjęto go do roju. Pająk zaśmiał się, sycząc, pewny wsparcia. Maczuga zdawał sobie sprawę, że we dwóch mogą go pokonać.

Tak się jednak nie stało. Drugi sylf przysunął się do pierwszego, rozdziawiając szeroko paszczę i wysuwając z niej ostre kły. Maczuga jednym płynnym ruchem odwrócił się do pająka, dopadł go i rozdarł mu pazurami brzuch. Stwór wrzasnął, odskoczył i runął na plecy, wymachując odnóżami. Szpon rzucił się na niego natychmiast, podobnie jak Maczuga w postaci zbrojnego rycerza, którym był tak długo; wylądował na brzuchu pająka, dziurawiąc stopami miękkie ciało i wbijając się w jego ochronny płaszcz. Szpon ciął go pazurami. Wszyscy przeraźliwie wrzeszczeli, emanując nienawiścią i strzelając mocą na wszystkie strony; pająk rzucał beładnie pociski na boki, tymczasem jego przeciwnicy celowali precyzyjnie, z morderczym spokojem.

Moc Maczugi sięgnęła głęboko w ciało Jada. Pająk, broniąc się, odrzucił ich obu w tył. Poderwali się i znów zaatakowali, lecz to już był koniec walki. Jad jęknął, zadygotał i podkurczył odnóża. Brzuch zapadł mu się i zniknął, oczy

zaśniły ostatni raz i zgasły. Chwilę później jego ciało rozpadło się na kawałki i obróciło w pył. W powietrzu zapachniało ozonem.

Maczuga wyprostował się, obojętnie popatrzył na szczątki, i odwrócił się do drugiego sylfa. Szpon spojrział na niego chłodno, ale wszystko w nim śpiewało. Jego energia układała się według takiego samego wzorca, jak moc Maczugi. Nic dziwnego, przecież pochodzili z tego samego roju i teraz należeli do tej samej królowej.

Jedno z dzieci zranił przelatujący w powietrzu kawałek skały. Wrzeszczało ile sił w płucach, mimo że obok toczyła się bezpardonowa walka; zwarte ze sobą sylfy właśnie wypadły na przylegający do sali korytarz. Krew zalewała maleństwu oczy - oślepiła je i doprowadzała do hysterii matkę, która tuliła je w objęciach. Nie było gdzie się schować. Wybuchy energii i krzyki walczących sylfów wypełniały korytarz, aż ul dygotał w posadach. Z obu emanowała tak wielka nienawiść, że ludzie kulili się ze strachu. Wiedzieli, że zwycięski powrót lwa oznacza ich koniec.

Łut Szczęścia łagodnym gestem położyła rękę na czole płaczącego dziecka i się skupiła. Rana zamknęła się natychmiast i dziewczynka umilkła, wpatrując się ze zdumieniem w uzdrowicielkę. Łut Szczęścia odwróciła się bez słowa. Miała mało czasu. Wszyscy ranni w tym pomieszczeniu zostali już uleczeni. Skoncentrowała się, by wyczuć ból i lęk innych rannych. Wielu mężczyzn odniosło obrażenia w walce z żołnierzami. Niestety, nie potrafiła rozróżnić, kto należy do roju, a kto jest napastnikiem. W swoim świecie nie miałyby z tym kłopotu. Tutaj było trudniej.

Spojrziała na swojego pana; przerażony skulił się pod stołem i szlochał. Kochała go, ale wiedziała, że nie może liczyć na jego pomoc. Wyciągnęła do niego rękę i znowu trochę złagodziła coś w jego wnętrzu, czego nie dało się ule-

czyć - hipochondrii, która ją do tego stopnia zafascynowała i przyciągnęła do tego świata, że Łut Szczęścia pozostawiła rannego wojowniczego sylfa, którego miała uleczyć poza rojem. Wtedy tylko przez krótką chwilę zaznała wolności. Teraz cieszyła się pełną swobodą. Przedtem opuszczała rój wyłącznie wtedy, gdy któryś z sylfów był zbyt ciężko ranny, żeby wrócić o własnych siłach, ale na tyle sprawny, że królowa nie chciała go porzucić. Teraz mogła wychodzić zawsze, kiedy chciała. Zresztą robiła to bardzo rzadko, wystarczała jej sama tego świadomość.

Pragnęła uzdrawiać, nie wiedziała jednak, od kogo zacząć. Mogłaby uleczyć wrogów, bo nie potrafiła ich odróżnić. Ludzie nie nasiakają zapachem swojego roju. Jediną ranną osobą z roju, którą potrafiła wyczuć, był...

Wyjrzała przez poszarpaną dziurę w bocznej ścianie. Już zasklepiały ją trzy ziemne sylfy, inne zamykały przejście, gdzie walczyło dwóch wojowników. Wiedziały, że ich wysiłki są żalodne, ale chciały coś zrobić, tak jak ona. To był sens ich życia.

W dali, na zewnątrz, leżał ranny, umierający wojowniczy sylf. Łut Szczęścia wiedziała, że należy do roju. Instynkt kazał jej najpierw uzdrawiać obrońców, ale ten sylf odniósł bardzo poważne rany. Zdawała sobie sprawę, że odszedł już dość daleko i że nie zdoła całkowicie go uleczyć; nawet jeśli go uratuje, on nigdy nie będzie taki sam jak przed bitwą, nie będzie mógł służyć z pełną skutecznością. W swoim świecie by go po prostu zostawiła albo pomogłaby mu się odprężyć i pozbyć resztek energii, żeby miał lekką śmierć. Spojrzała na królową, która pochylała się nad stołem, z płaczącą dziewczynką w ramionach, i przypomniała sobie jej rozkaz: nie wolno zabijać, nikt nie może umrzeć. Wojownicze sylfy zwolniono z tego przyrzeczenia, ale ją wciąż obowiązywało.

Powoli oddaliła się od swojego pana. Chętnie zabrałaby go ze sobą, ale naraziłaby go w ten sposób na niebezpieczeństwo.

Zresztą, na nic by jej się nie przydał. Zem zobaczył, że od niego odchodzi, i zaczął krzyczeć, ale dawno nauczyła się go ignorować, kiedy wzywał ją instynkt. Nabierając szybkości, przemknęła przez dziurę w ścianie, zanim ją zasklepieno, i śmignęła korytarzem. Prawie nie zwolniła, mijając ciała dwóch martwych sylfów, i wypadła na zewnątrz wybitym przez Yandę oknem.

Nie zważała na pojedynek, który toczył się na równinie. Dwa sylfy należały do jej roju, jeden był obcy, więc wiedziała, jak to się skończy. Była pewna, że jej pobratymcy ją obronią. Odnalazła Rila - leżał w śniegu na ilastym zboczu, oparty o wielki głaz. Przyjął postać jaja, próbując zatrzymać wylewającą się energię. Łut Szczęścia zadrżała, widząc, ile jej utracił. Czy zdoła mu pomóc? Ale królowa wydała jasny rozkaz: nikt nie może umrzeć. Zachwyciła ją prostota tego polecenia, a serce podskoczyło jej z radości. Otoczyła sobą Rila i zamigotała.

Uzdrowiała go, zasklepiając rozdartą skraj płaszczu i wypełniając go własną energią. Stracił jej tak wiele, że jego wzorzec został zniekształcony. Pomogła mu z powrotem przybrać ludzką postać, niepewna, czy będzie umiał ją kiedykolwiek zmienić, i pracowała dalej, walcząc z wyczerpaniem i wlewając w niego siły. Leżał pod nią, z rozrzuconymi ramionami i nogami, wzdłuż zbocza, z głową niżej niż nogi, a ona tuliła go jak kochanka.

Tak dużo stracił, tak dużo zniknęło. Ale udało jej się przywrócić mu postać, choć duszy nie zdołała przywołać. W końcu westchnęła i oparła ledwie widoczną głowę na jego piersi. Uzdrowiła go, posłuszna swojemu instynktowi i rozkazowi królowej. Poczwała, jak dygoce z zimna, zupełnie nie jak wojowniczy sylf. Uratowała go, a teraz on będzie musiał zdecydować, czy jej to wybaczy.

Objęła go znowu i pociągnęła za sobą ku ciepłemu, jasnemu ulowi.

Hejty skrzeczał przeraźliwie, tocząc się wraz z Yandą przez ogromną salę. Ludzie rozbiegali się na boki, a oni jakimś cudem trafili w drzwi i znaleźli się w korytarzu. Jego przeciwnik był starszy od Rila, a nawet Maczugi, i Hejty omal nie wpadł w panikę, przypominając sobie, co Ril zrobił z nim całkiem niedawno - i że Ril prawdopodobnie zginął w walce z tym sylfem.

Na szczęście, lew był ranny. Hejty głęboko wbił pazury w te rany, starając się spowodować jak największe szkody. Zwierzę ugryzło go w głowę, więc z wrzaskiem cisnął mu kulę energii prosto w pysk. Yanda wybuchnął śmiechem i chwycił Hejty'ego. Szarpał jego ciałem na boki, a potem rzucił je na ścianę. Młody sylf musiał przyjąć konkretny kształt, żeby się nie rozpaść. Skrzywił się, opadł na kolana w postaci chłopca, która tak podobała się Solie, a Yanda uśmiechnął się do niego wrednie, wywieszając ozór.

Solie... pomyślał Hejty z rozpaczą. Jeśli przegra, ona zginie, tak jak Devon, Galway i wszyscy w tym roju. A przecież z tym sylfem nie miał żadnych szans. Był za słaby. Może udałoby mu się z nim zmierzyć za parę stuleci. Tyle że Rilowi wiek niewiele pomógł. Jedyne nadzieje w Maczudze. Musi go do niego doprowadzić, chociaż potężny sylf też ma co robić.

Zresztą, ten kot na pewno nie jest taki głupi - przypadł do ziemi i powoli skradał się ku niemu, bijąc się ogonem po bokach. Czerwone oczy lśniły złowieszczo. Hejty wstał i cofnął się, szukając wzrokiem czegoś do obrony.

Niczego nie znalazł, więc uderzył lwa siłą nienawiści i krzyku. Yanda nie pozostał dłużny: odesłał do niego zarówno wrzask, jak i falę energii. Hejty zdołał zablokować ją tylko dzięki instynktowi. Impet uderzenia pchnął go, więc wykonał salto w głąb korytarza i zatrzymał się nagle przed ślepią ścianą, na krzyżówce w kształcie litery T. Nie zastanawiając się, skreślił w bok; przed nim uciekała garstka wodnych sylfów, które się tu ukryły; zostawiały na podłodze

mokre ślady. Chwilę później zza rogu wyskoczył roześmiany Yanda.

To nie miało sensu. Hejty pędził jak szalony, tuż przed przeciwnikiem. Wyszeptał w myśli modlitwę do swojej królowej, zebrał się w sobie i zmienił postać. Jako kłęb dymu wzniósł się pod sam sufit, kuląc się tak, żeby przepuścić pod sobą lwa. Zwierzę pośliznęło się na wilgotnym kamieniu. Hejty runął na Yandę, uformował ostre pazury i wbił je w grzbiet bestii, atakując ją krzykiem, nienawiścią i przenikliwymi falami niszczącej energii. Lew zawył, wyskoczył pionowo do góry, odbił się od sufitu i zaczął promieniować energią, od której ul chwiał się w posadach. Próbował zgnieść Hejty'ego, ale młody sylf z determinacją wbijał szpony coraz głębiej; wiedział, że jeśli puści przeciwnika, to zginie. Yanda podskakiwał i rzucał się na boki, uderzając nim o ściany i bombardując go energią.

Obolały Hejty czuł, że jego chwyt słabnie coraz bardziej.

Zostawiając Szpona na równinie, Maczuga wzleciał na pokład statku króla Alcora; potężny żaglowiec odpływał coraz szybciej. W powietrzu utrzymywał go tylko jeden sylf; statek niebezpiecznie przechylał się na bok, z potrząskanymi z jednej strony masztami. Żagle wlokły się po ziemi, znacząc ślady w śniegu.

Maczuga czuł, że Ril poniósł porażkę. Szpon nie mógł z nim iść. Na pokładzie był jego pan, więc nie należało ryzykować, że wyda mu inne rozkazy; Maczuga obawiał się też spotkania ze swoim dawnym władcą. Wciąż odczuwał obecność Jasara na dnie umysłu, ale potrafił go odepchnąć, rozkoszując się aurami królowej i wdowy. Jego partnerka była pełna silnej, żywotnej energii i choć pozornie ostra i surowa, zadowalała go równie chętnie, jak on ją. Tęsknił za nią, a pragnienie, by ukoić jej lęk i gniew, było o wiele silniejsze niż odzywające się w nim myśli jego dręczyciela.

Trzech generałów stało na pokładzie. Pan Jada wymiotował na deski, w szoku po śmierci swojego sylfa. Maczuga spotykał tych ludzi w zamku, więc celowo przyjął dawną postać, żeby wiedzieli, z kim mają do czynienia.

Wylądował. Patrzyli na niego z przerażeniem. Jak widać, Jasar jest niezłym kłamcą, pomyślał kwaśno. Żaden się go tu nie spodziewał.

- Ty... - wydusił pan Szpona. Był wstrząśnięty, ale nie uległ panice, więc Maczuga ucieszył się, że zostawił jego sylfa na równinie. - Jasar kłamał!

- Tak cię to dziwi? - warknął Maczuga, uradowany, że ich zaskoczył i przeraził. To mu wystarczyło. Żaden nie przypominał Leona, który kochał swojego sylfa i w końcu zdobył jego wzajemność. Uniósł dłoń, dziwne metalowe narzędzie, i zniszczył cały górny pokład.

Tuzin pomniejszych sylfów, unoszących się naokoło, zniknął wraz ze śmiercią ich panów. Huragan, który utrzymywał w powietrzu statek, krzyknął z wściekłości. Jego pan gdzieś się ukrywa, stwierdził Maczuga, przeszukując myślą schody, które prowadziły pod pokład. Był w podłym nastroju po zabiciu tylu ludzi, a na statku znajdował się jeszcze jeden wojowniczy sylf, z jakiegoś głupiego powodu niewysłany do walki. Maczuga postanowił zamordować najpierw jego, potem jego pana, a na koniec wszystkich, którzy zagrozili rojowi. Kiedy się z tym upora, pójdzie do wdowy i odpocznie w jej ramionach.

Nie zmieniając swej opancerzonej postaci, ruszył ciężkim krokiem po schodach.

Hejty nie wiedział, jak długo jeszcze wytrzyma. Syczał, skrzeczał i wbijał w grzbiet kota już tylko jedną trzecią pazurów, a tamten podskakiwał jak oszalały koń, rzucając się na boki i do góry; nie obchodziło go, że sobie także robi tym krzywdę. Hejty czuł, jak puszczają kolejne szpony, ale

walczył resztką sił, z nadzieją że w końcu trafi w jakiś żywotny punkt i zabije starego. Tylko ona mu pozostała.

Nagle lew zamarł w pół skoku, westchnął i wydał przenikliwy okrzyk, pełen nienawiści i sprzeciwu. Sekundę później zniknął, a Hejty spadł na ziemię i na moment stracił przytomność. Gdy po dłuższej chwili ją odzyskał, zrozumiał, co się stało: zginął pan lwa, a Yanda wrócił do swojego świata, bo więź łącząca go z tą rzeczywistością została zerwana.

Hejty zadrżał, przyjął ludzką postać i z wysiłkiem wstał. Choć nie był poważnie ranny, krzywił się z bólu i kuśtykał do Solie. Niestety po kilku metrach zorientował się, że ziemne sylfy zamknęły korytarz skalną płytą dwumetrowej grubości.

- Jak pech, to pech - zamruczał pod nosem.

Śmiertelnie przerażony Jasar kulił się w swojej kajucie. Tarcza osłaniał go od strony drzwi.

Dworzanin słyszał odgłosy walki i wyczuwał falę nienawiści. Co gorsza, w pewnym momencie statek zadygotał po wybuchu kuli energii. Kiedy wraz z Leonem wyprawili się przeciwko piratom, statek właściwie nie ucierpiał; jako jego dowódca, Jasar przerwał walkę i zarządził odwrót. Teraz też chciał uciekać, ale nikomu nie mógł rozkazywać.

Ogarnięty paniką, z trudem oddychał. Wiąż z dwoma sylfami powoli wyczerpywała jego siły. W głębi ducha czuł, że wkrótce umrze. To nie było miejsce dla niego. Nie powinni go tu wysyłać.

Strzegąca go bestia przestąpiła z nogi na nogę i zawarczała. Jasar starał się tym pocieszyć. Tarcza go ochroni. Musi go bronić bez względu na wszystko - dostał przecież wyraźne rozkazy. Zapewni mu pełne bezpieczeństwo.

A jednak Jasar bał się nadal. Na zewnątrz rozległy się ciężkie kroki, ktoś się zbliżał, lecz nie był to człowiek. Jasar usłyszał brzęk metalu i zamrugął, bo dźwięk wydał mu się absurdalnie znajomy. Hałas ucichł i drzwi zaczęły się otwierać.

Tarcza rzucił się na nie z otwartą paszczą i spełnił wydany mu rozkaz: miał chronić swojego pana. Zrobił to - ale nawet nie próbował obronić samego siebie, kiedy kula energii wystrzeliła zza progu. Przyjął na siebie atak, który rozdarł go na pół. Krzycząc z bólu i ulgi, runął na ziemię i skonał, a jego ciało natychmiast się rozpadło.

Jasar patrzył na to z niedowierzaniem oraz przerażeniem. Nagle zaczął przeraźliwie krzyczeć. Nie o to mu chodziło. Wtedy do kajuty wszedł drugi sylf i osłupiał, tak jak jego dawny pan.

To był Maczuga.

ROZDZIAŁ 80

Maczuga nawet przez chwilę nie przypuszczał, że wojowniczy sylf ze statku poświęci samego siebie. On nigdy nie wpadłby na taki pomysł, ale rozumiał ulgę, z jaką tamten powitał koniec swej niewoli. Patrzył na śmierć czarnego psa, a potem wszedł do kajuty, zamierzając zabić pana, którego ten sylf tak bardzo znienawidził, że wolał śmierć niż jego władzę.

Spostrzegł Jasara i natychmiast pojął, że popełnił błąd. Wyrzucił tego człowieka ze swoich myśli tak zdecydowanie, że nawet nie wyczuł go na statku. Gdyby go wyczuł, zmiotłby cały ten żaglowiec z powierzchni ziemi, nie zbliżając się nawet do niego. Ale teraz było za późno. Skoczył ku drzwiom, żeby oddalić się, zanim dworak oprzytomnieje.

- Stój! - rozległ się przenikliwy, niepewny pisk Jasara.

Maczuga się zatrzymał.

Rozdygotany Jasar oderwał się od ściany i podszedł do potężnego sylfa.

- Odwróć się i nie ruszaj się więcej - warknął. Skrzypiąc, jakby jego zbroja była zrobiona z prawdziwego metalu, Maczuga wykonał rozkaz. Jasar popatrzył na niego i uśmiechnął się, ale po chwili na jego twarzy odmalowała się wściekłość. Policzki zapłonęły mu czerwienią. Gniew i upokorzenie odbierały mu rozum.

- Ty gnoju! - zapiał. - Jak śmiałeś mi to zrobić! Co ty sobie wyobrażasz?!

Maczuga patrzył na niego z góry, z obojętną miną, choć rozdzierała go rozpacz. Jak mógł być taki bez troski? Przez myśl mu nie przeszło, że Jasar odważy się wrócić, a powinien się z tym liczyć, wziąć to pod uwagę. Przecież to było logiczne. Kto inny potrafiłby doprowadzić wojsko do kryjówki piratów?

Przez kilka następnych minut Jasar, z pianą na ustach, wyrzucał z siebie bezładne słowa. Maczuga stał bez ruchu, czekając na dalsze rozkazy. Solie pozwoliła mu mówić i zmieniać postać, ale nie zabroniła posłuszeństwa wobec Jasara. Nikt o tym nie pomyślał. Teraz sylf nie miał wyboru. Nie poruszał się, nie odzywał, nie odpowiadał na pytania, ale targała nim wściekłość. Zaczął emanować nienawiścią jak dawniej, smagać nią swojego pana. Żaden z nich nie wpadł na to, że nad tą nienawiścią też można zapanować i że ukrywa ona prawdziwe uczucia - przerażenie, bezradność i gniew.

Rozpaczliwie szukał wyjścia z tej sytuacji. Chciał wołać o pomoc, porozumiewać się z rojem, ale właśnie dostał rozkaz, by bronić Jasara przed wszystkimi atakami. Jeśli ktoś przyjdzie mu na pomoc, będzie musiał go skrzywdzić. Straszne.

Jasar nie miał pojęcia, co dzieje się w głowie Maczugi. Wściekły z powodu jego zdrady, chciał go ukarać. W sensie fizycznym było to niemożliwe. Sylf nie odczuwał uderzeń, więc dworzanin postanowił go poniżyć.

- Już nigdy mi się nie sprzeciwisz - syknął. - Zabraniam ci się ruszać bez mojego pozwolenia. Zabraniam ci myśleć bez mojego pozwolenia, nie wolno ci niczego odczuwać bez

mojego pozwolenia. Znajdę jakiś sposób, żeby cię zranić, staniesz się morzem nieskończonego bólu, ty łajdaku.

Oczy Maczugi przygasły; cieszyło go tylko jedno: że Jasar nie ma pojęcia, jak głęboko już udało mu się go zranić.

Dworzanin otarł usta i nerwowo rozejrzał się wokół. Słyszał, jak Maczuga zniszczył górny pokład statku. Oznaczało to, że generałowie nie żyją, a on dowodzi. Postanowił zawrócić i jakoś dotrzeć tym wrakiem do Eferem, a jeśli to się nie spodoba królowi, to napuści na niego Maczugę.

Niemal w tej samej chwili uświadomił sobie, że to bardzo głupi plan. Spojrzał ze złością na Maczugę, równie teraz niegroźnego, jak zakuty w kajdany trzylatek. Maczuga zbuntował się przeciwko niemu, ale mimo wszystko nie zapomniał, kto jest jego panem. Tyle że Jasar nie mógł tak po prostu odjechać z miasta z jednym wojowniczym sylfem, a wrócić z innym, tym bardziej że to wiadomość o śmierci Maczugi uwiarygodniała całą jego opowieść.

Musiał znaleźć inne rozwiązanie.

- Widziałeś psa, który tu był przed chwilą? Zmień się w niego. Masz być dokładnie taki sam jak on, zostać w tej postaci i reagować na imię Tarcza. Zrozumiałeś? Masz zachowywać się jak pies i lizać moje buty. - Zadarł brodę. - Teraz jesteś moim psem. Kundlem po kastracji.

Maczuga omal nie zapłakał w duchu, wyobrażając sobie, jakim koszmarem będzie reszta jego życia. Nie będzie mógł nawet czerpać pociechy z bliskości uwielbiających go kobiet. Zawył z rozpacz, zmieniając postać, podczas gdy jego pan obrzucał go obelgami. Skurczył się, a metal jego zbroi zmienił się w czarną sierść. Sylf pochylił się i opadł na cztery łapy. Po chwili był warczącym, przygnębnym psem i stał przed swoim panem z nisko opuszczoną głową.

W tym momencie przez otwarte drzwi wpadł Szpon, który kiedy usłyszał krzyk Maczugi, wspiał się na statek po złamanym maszcie i bez wahania rzucił Jasarowi do gardła.

Dworzanin zagulgotał z przerażenia i zsiusiał się w spodnie. Maczuga patrzył na to, świadomy, że ma obowiązek bronić tego człowieka, natychmiast i bez wahania... tylko że później Jasar nie pozwolił mu się ruszać bez pozwolenia.

Szpon wbił pazury w pierś i ramiona wrzeszczącego dworaka. Przycupnięty na podłodze Maczuga czuł jego agonię i panikę. Widział, jak głowa jego pana znika w koszarnej paszczy wojowniczego sylfa i jak Szpon jednym szybkim ruchem odrywa ją od ciała.

Więź pękła. Maczuga zadrżał i omal nie stracił kontaktu z rzeczywistością. Niewiele brakowało, a wróciłby do bezkształtnego świata, w którym był jego rodzinny rój, ale więzi z Solie i wdową trzymały go tutaj mocno. Przyjął ludzką postać i westchnął, zadowolony. Po śmierci Jasara jego rozkazy przestały być ważne.

Szpon obserwował go z lękiem, wznosząc pazury w hołdowniczym geście. Wyglądał na bardzo zdenerwowanego i przygnębionego.

- Dziękuję ci - powiedział Maczuga i drugi sylf natychmiast się odprężył. Wciąż rozdygotany, Maczuga wstał z podłogi i spojrzał na zwłoki swojego pana. Po latach niewoli nie odczuwał niczego, oprócz głębokiej pogardy i żalu, że nie było mu dane zabić tego obrzydliwego człowieka własnymi rękami.

Zaczął badać otoczenie zmysłami. Walka toczyła się tylko w jednym miejscu, z tyłu roju, gdzie mieściły się magazyny. Wyczuwał tam strach, rozpacz i żądzę krwi. Popatrzył na Szpona i zrozumieli się bez słów: rojowi wciąż jeszcze grozi niebezpieczeństwo. Odwrócili się jednocześnie i opuścili kajutę, nie zaszczyciwszy zwłok Jasara jednym spojrzeniem. Nie był tego wart.

Gdy wyszli na pokład zniszczonego statku, który wisiał bez ruchu tam, gdzie się zatrzymał po wybuchu, Maczuga zmienił się w chmurę dymu, chwycił Szpona i zaniósł go na drugą stronę urwiska. Pan Huragana w końcu otrząsnął się z szoku. Nic mu się nie stało, bo podczas walki chronił go uwity z wiatrów kokon, umieszczony pod kadłubem statku. Ten człowiek nie należał jednak do odważnych, więc dopiero po pewnym czasie odzyskał jasność umysłu na tyle, by wyjąkać rozkaz: „Wracamy”.

Huragan, urażony napaścią sylfów, zasyczał ze złości, lecz spełnił polecenie; statek odpłynął z kilkoma niedobitkami na pokładzie. Obydwa sylfy puściły go wolno, skupiając się na bezpośrednim zagrożeniu swoich bliskich. Cieszyły się, że zniknął im z oczu, unosząc ze sobą wspomnienie ich dawnych panów.

Leon znalazł się w samym środku walki. Jego zakrwawioną twarz wykrzywiła furia; ciął mieczem szyję jednego z napastników, potem odwrócił się i wbił go pod pachę drugiego. Trzeci żołnierz rzucił się na niego, ale był dowódca straży sparował cios grubym drewnianym kijem.

Walcząc o własne życie, wydawał rozkazy ludziom i syl-fom, kierując obroną magazynów, atakowanych przez żołnierzy, którzy wdzierali się przez otwór w tylnej ścianie. Robił to wszystko automatycznie, bez emocji ani uczuć, ale był tak skuteczny, że wróg skoncentrował się na nim.

Devon stał za nim i obserwował go z lękiem. Nieraz widział, co dzieje się z ludźmi po śmierci ich sylfów. Czuł, że Leona ogarnęło szaleństwo. Był niezaprzeczalnym mistrzem walki i taktyki, ale czy zapanuje nad sobą, kiedy już wytłucze wszystkich żołnierzy? Sprawiał wrażenie, że szuka zapomnienia, że zabija, by wypełnić pustkę po śmierci swojego sylfa.

Morgal, szary jak popiół, kulił się pod ścianą, patrząc na to, co się dzieje szeroko otwartymi oczyma. Zarka unosiła się między nim a żołnierzami, gotowa zmienić salę w piekło płomieni, gdyby ktoś chciał się do niego zbliżyć. Pewnie nie zrobiłaby nikomu krzywdy, ale odwróciłaby uwagę wrogów i jej pan mógłby ich z łatwością uśmiercić. Devon

widział przed sobą Airi - wyraźnie miała podobne zamiary. Bardzo się bała, bo cios miecza był dla niej równie groźny, jak dla człowieka, ale przede wszystkim paraliżował ją lęk o Devona. Gdyby umarł, nie przeniosłaby się do swojego dawnego świata, bo łączyła ją więź z Solie i ojcem Devona, lecz nie chciała go opuszczać. Doskonale ją rozumiał. Też nie chciał jej stracić.

Żołnierze Alcora wydali gromki okrzyk i ruszyli naprzód całym oddziałem. Zepchnęli Leona pod ścianę; nic mu się nie stało, nie udało mu się odeprzeć wszystkich naraz. Stał u boku Morgala i Devona i zaczęli się bronić we trzech.

Żarka rozbłysła, atakując przeciwników zarem i światłem, ale oślepiała i wrogów, i przyjaciół. Chwilę potem Devon poczuł, że Airi odciąga go na bok, chroniąc przed ciosem miecza, którego nawet nie zauważył. Mrugając, by pozbyć się rozbłysków przed oczami, potknął się i upadł na ziemię, ale ona podniosła go, a jej powiew zburzył mu włosy. Tymczasem Leon zabił napastnika; dosłownie odciął mu głowę.

Uważaj! - ostrzegła go Airi.

- Ty też - sapnął i sparował kolejne uderzenie. Jęknął, gdy wibracja przeszła jego ramię. Przeciwnik zgrzytnął zębami, próbując rozdzielić go z towarzyszymi, ale Airi dmuchnęła mu prosto w twarz, zbijając go z nóg. Devon dodał sobie otuchy krzykiem i wbił miecz między płyty zbroi. Żołnierz zacharczał, zadrgał i nagle na ramiona Devona buchnęła krew.

Zaklął i szarpnął się; przerażona Airi puściła bezwładne ciało. Z boku dobiegły go krzyk Morgala i jęk Żarki, nie wiedział jednak, czy Morgał jest ranny, czy tylko się boi. Devon też się bał. Wszyscy krzyczeli i próbowali pozabijać się nawzajem. Ogarnął ich morderczy szal.

Gdy Leon rozkazał, żeby się wycofać i przegrupować, Devon pośliznął się na zalanej krwią posadzce. Airi przytrzymała go, żeby się nie przewrócił. W tym momencie trafiła go fala nienawiści. Odczuli ją wszyscy naokoło i natychmiast zapomnieli o walce. Ogarnęło ich niepowstrzymane, przemożne pragnienie, aby znaleźć się jak najdalej od tego miejsca. Devon spanikował; był tak przerażony, że nie dbał już

o to, czy go zabijają; chciał po prostu uciekać. Uratowało go tylko jedno: królewscy żołnierze czuli to samo, co on. Zapomnieli o rozkazach i bitewnej gorączce i jeden przez drugiego przepychali się do drzwi prowadzących do wnętrza ula, trując tych, którzy pośliznęli się i upadli.

Tylko Leon nie uciekał. Stał na środku sali, splamiony krwią wrogów, i ze znużeniem przyglądał się, jak w ścianie pojawia się dziura. Miał tylko nadzieję, że...

Zapłonął ogień, zaślnęła błyskawica, zatańczyły płomienie i... pojawił się Maczuga w postaci chmury. Ryknął przeraźliwie i wypuścił z objęć wojowniczego sylfa, odrażającego potwora. Oba sylfy rzuciły się do ataku.

Nie tknęły nikogo z mieszkańców ula, ale rozdzierały na strzępy napastników, aż wszystko wokół spłynęło krwią. Obrońcy uciekali, porzucając broń. Devon też umknął, wraz z Airi, która tuliła się do niego z całej siły. Nie miał pojęcia, kto przeżył, a kto nie, najważniejsze, że oni oboje ocaleli. Za wszelką cenę chciał znaleźć się jak najdalej od wojowniczych sylfów.

Leon otarł rękawem krew z twarzy i patrzył, jak Maczuga

i jego kompan rozprawiają się z ostatnimi żołnierzami króla Alcora. Wiedział, że ten drugi to nie Ril. Ta część jego umysłu, w której zwykle przebywał sylf, była zupełnie nieczuła na bodźce, co oznaczało, że nie żyje. Mimo wszystko czekał cierpliwie, aż skończą. Po chwili chmura przybrała znajomą postać potężnego mężczyzny.

Popatrzył na wielkiego sylfa i westchnął ze smutkiem. Maczuga też spojrział na niego. Był idealnie czysty, tak jakby przed chwilą nie zamordował pół tuzina ludzi. Naturalnie, mógł przybierać dowolną postać, więc mógł się również

oczyścić. Leon stał i przyglądał mu się; wiedział, że Maczuga widzi jego cierpienie i że jest mu to obojętne.

- Co tu robi Szpon? - zapyta! w końcu.

Maczuga zastanowił się i odpowiedział, a właściwie raczył odpowiedzieć:

- Jest z naszego roju.

Leon skinął głową i rzucił miecz na posadzkę. Broń upadła z brzękiem.

- Już po wszystkim?

Milczenie. Szpon z niepewną miną patrzył to na niego, to na Maczugę.

- No tak, po wszystkim - stwierdził po długiej chwili Leon i ruszył w głąb ula, dygocąc z zimna, które napływało przez dziurę w ścianie. Znowu nadchodziły śnieżyce. Zanotował w pamięci, że trzeba kogoś tu przystać, żeby zatkał ten otwór i mnóstwo innych dziur w ścianach; należy też pochować zmarłych i załatwić tysiąc innych spraw. Będzie musiał zająć się wszystkim po kolei. Dopiero kiedy skończy, pozwoli sobie na myślenie. Miał nadzieję, że stanie się to dopiero w odległej przyszłości.

ROZDZIAŁ 31

Hejty wracał do jadalni dłuższą drogą, okrążając niemal cały ul. W końcu udało mu się znaleźć jakiś niezamknięty korytarz. Wpadł do sali, rozkładając ramiona. Przez chwilę trwała pełna niedowierzania cisza, a potem rozbrzmiały radosne okrzyki. Podbiegł do Solie, a ona przeskoczyła przez stół, żeby go powitać. Zderzyli się i on wziął ją w ramiona, całując do utraty tchu. Wszyscy zaczęli bić brawo. Oddawała mu pocałunki i płakała z ulgą, a on śmiał się i podrzucał ją do góry.

- Zwyciężyliśmy? - wykrztusiła w końcu.

- Jasne, że tak - odparł. - Przecież zawsze zwyciężamy. Roześmiała się i znowu zaczęła go całować. Radość ze zwycięstwa była zaraźliwa. Żałoba przyjdzie później, kiedy żywi zaczną liczyć poległych. Teraz wszystkich upajała świadomość, że ocaleni. Ogniowe sylfy tańczyły nad tłumem ludzi, lśnią tak, że w sali zrobiło się jasno jak w dzień. Ziemne sylfy pootwierały korytarze i wyczerpani obrońcy zaczęli powoli dołączać do swoich uszczęśliwionych bliskich. Niektórzy nie wrócili i rodziny poszły szukać ich zwłok, ale takich przypadków było bardzo niewiele. Dzięki Hejty'emu i Leonowi. Devon pomyślał, że jeśli teraz usiądzie, to więcej nie wstanie. Potykając się, dotarł do jadalni, obolały. Ramiona miał sztywne z wysiłku. Ktoś podał mu kufel piwa. Opadł na ławę, krzywiąc się niemiłosiernie.

Airi przycupnęła obok niego w swej migotliwej, na wpół przezroczystej postaci. Uśmiechała się, szczęśliwa jak dziecko. Devon wyczuwał jej radość, ale i znużenie. Odstawił kufel i wyjął flet. Rozpromieniła się jeszcze bardziej, gdy zaczął grać, zmuszając palce, aby płynnie tańczyły po instrumencie. Zagrał powolną melodię - na nic innego nie starczyłoby mu siły - i wszyscy wokół zamilkli, delektując się muzyką. To nie była żałobna pieśń, tylko słodka dumka o zimie i minionym lecie, które już nie wróci. Airi przymknęła oczy i zaczęła się kołysać do rytmu.

W jadali pojawił się Galway, zatrzymał się i wypił kufel piwa, przysłuchując się muzyce, wyraźnie nią oczarowany. Devon nie wiedział, czy traper przeżył bitwę w stajniach, ale widać udało mu się wywinąć śmierci: miał obandażowaną głowę, ale nie brakło mu żywotności.

Devon skończył grać i schował flet. Airi westchnęła. Widział, że ma ochotę na więcej, ale mogła poczekać. Domyślała się zresztą, że kiedy jej pan się wyśpi, zagra dla niej cały koncert.

Galway podszedł bliżej, a Devon wstał na powitanie.

- Cieszę się, że żyjesz - powiedział.

- Ja też. Cienko było. Słyszałem, że tam, gdzie się biłeś, ważyły się losy zwycięstwa.

Devon zaśmiał się, świadom, że obrona magazynów nie miała aż takiego znaczenia. Po prostu musieli rozprawić się z ostatnimi napastnikami. Gdyby żołnierze wiedzieli, że przy życiu nie pozostał nikt więcej z Eferem, pewnie sami by się wycofali.

- Wszystko zależało od wojowniczych sylfów - stwierdził. - Gdyby nie one, nie utrzymalibyśmy się tam.

Przestraszyły nas śmiertelnie, dodał w myśli, zawsze będę się ich bał. Rozejrzał się niepewnie.

Nieopodal stał Hejty. Zachowywał się jak normalny, zakochany nastolatek, próbując obcatowywać Solie także wtedy, kiedy przechodziła przez salę. Devon nie dostrzegłby jej nawet, gdyby nie to, że wszyscy ustępowali jej z drogi, jakby w końcu uznali w niej swoją królową. Leon wspierał ją talentem, ale to ona władała wojowniczymi sylfami. Oby sprawdziła się w roli władczyni. Zresztą nie miała innego wyjścia.

- Widziałeś Morgała i resztę członków rady? - spytał Galwaya. Sam nie widział ich podczas ucieczki, pamiętał tylko, że przed przybyciem wojowniczych sylfów usłyszał jego krzyk.

Galway pokręcił głową.

- Widziałem kilku z nich. Ale Morgała? Nie.

Devon westchnął. Obok Solie stała uzdrowicielka i coś jej tłumaczyła. Leczyła rannych po kolei i powoli zbliżała się do nich, ale nie próbowała schodzić na dolne poziomy. Pewnie ci, którzy tam zostali, nie potrzebowali już jej pomocy.

- Cholera - zaklął tylko.

- Tak, dobry był z niego człowiek. Wzniesiemy za niego toast, kiedy spocznie w ziemi... i za wszystkich, którzy oddali życie za naszą wolność.

Galway tak mocno klepnął Devona w plecy, że tamten się skrzywił.

- Idź się przespać. Ja muszę pogadać z Hejty, zanim zedrze sukienkę z tej swojej dziewczyny.

I zaczął przepychać się przez tłum; po chwili zniknął w głębi korytarza. Pozostawiony samemu sobie, Devon dopił piwo.

Jestem zmęczona, poskarżyła się Airi.

- Ja też. Idę spać.

Z trudem wstał i powłókł się do swojego pokoju. Kąpiel postanowił odłożyć na później.

Po przeciwnej stronie ula Solie szła za głosem Maczugi w stronę kilku niezamieszkanymi jeszcze pokoi - apartamentu dużej rodziny. Wszędzie pracowały zadowolone z siebie ziemne sylfy; budowały kolejne pomieszczenia, choć wiadomo było, że nikt w nich nie zamieszka do wiosny, a potem wszyscy wyruszą do doliny. Nie zabraniała im tego, widząc, jaką radość sprawia im praca. Wolność polega między innymi na tym, że można robić rzeczy, które sprawiają przyjemność, choć nie mają praktycznego uzasadnienia.

Hejty szedł tak blisko niej, jakby chciał stworzyć z nią jedność, i bez przerwy lizał ją w szyję albo pchał ręce pod jej sukienkę. Ciekawe, czy wszystkie wojownicze sylfy są takie namiętne, zastanawiała się, próbując go uspokoić. A może dobrze by było zniknąć z nim gdzieś na moment? Czy ktoś mógłby się z tego powodu obrazić? Jej także zaczęła udzielać się sylfia burza uczuć.

Nie bardzo wiedziała, jak to jest z innymi sylfami. Jako królowa odbierała ich uczucia, ale zlewały się one w niewyraźny szum gdzieś w zakamarkach umysłu. Tylko Hejty był dla niej czytelny - pewnie ze względu na łączącą ich więź. I dobrze. Oszalałaby, gdyby musiała słuchać tylu głosów naraz.

Wszyscy wojownicy mogli z nią rozmawiać w myślach, jak ze swoimi panami. Teraz też usłyszała wezwanie Maczugi i natychmiast na nie zareagowała. Nie powiedział tylko, dlaczego ma do niego przyjść, więc zatrzymała się na moment przed wejściem do pokoju. Hejty natychmiast z tego skorzystał, by wsunąć jej ręce pod sukienkę i za dekolt.

Pisnęła, schyliła się, odsunęła go i szturchnęła w głowę.

- Uspokój się!

- Naprawdę?

Zmierzyła go gniewnym wzrokiem. W głębi duszy była szczęśliwa, że tak ją uwielbia, że przeżył, choć z uporem próbował przy każdej okazji zaciągnąć ją do łóżka.

Przed nią stały dwa wojownicze sylfy. Ucieszyła się, że Maczudze nic się nie stało. Podobnie jak Hejty, wyszedł z walki bez poważnych obrażeń. Uśmiechnęła się, czując jego rozbawienie.

Obok niego przycupnęła postać jak z koszmarów sennych; przygarbiony stwór z pazurami zamiast palców. W ustach miał mnóstwo ostrych kłów. Dziwne, ale odbierała jego uczucia równie łatwo, jak emocje Maczugi. Były... neurotyczne.

- To jest Szpon - przedstawił go Maczuga. - Z naszego roju. Tak samo jak ja wyczuł, kiedy zostałeś królową. Wysłano go przeciwko nam, ale on nam pomógł. Bez Rila... uratował nas. - Maczuga umilkł, a potem dodał: - Czy mogłabyś wydać mu takie same rozkazy, jak nam?

Solie zakręciło się w głowie.

- Oczywiście - wykrztusiła. Cztery wojownicze sylfy? Coś w niej jęknęło ze strachu, ale w tym momencie Hejty oparł się o nią z taką siłą, że omal jej nie przewrócił. Odepchnęła go i natychmiast zapomniała o chwilowej słabości. - Szpon, nie musisz słuchać rozkazów swojego pana - powiedziała.

- Wolno ci przyjmować dowolną postać, wolno ci też mówić. Proszę cię tylko, żebyś z nikim nie walczył, chyba że w obronie bezpieczeństwa Wspólnoty. Rozumiesz?

Szpon zadrżał. Jego wyłupiaste oczy nie zdradzały żadnych uczuć.

- Tak - odparł dziwnie wysokim głosem.

Solie skinęła głową; zastanawiała się, ile jeszcze wojowniczych sylfów odda się w jej służbę, jeśli będzie ich przybywać w takim tempie.

- Czy mógłbyś przyjąć ludzką postać? - poprosiła. - Ta jest zbyt przerażająca.

Spuścił wzrok i zamigotał, zmieniając się w zgarbionego, nerwowego chłopaka o wyłupiastych oczach. Wciąż trzymał przed sobą ręce ułożone w geście modliszki. Był bardzo blady, a jego włosy miały dziwny, ciemnoniebieski kolor. Ubranie wisiało na nim jak na wieszaku.

- Lepiej? - szepnął niepewnie.

Wśród jego emocji przeważał strach. Solie nie mogła go o to winić, choć zastanawiała się, jakim cudem wojowniczy sylf może być aż tak lękliwy. Co zrobił mu jego poprzedni pan, że zmienił go w kogoś takiego? Nagle myśl o posiadaniu wielu wojowniczych sylfów nie wydała jej się już taka straszna, bo służba u niej oznaczała dla nich wolność.

- Nie najgorzej. - Starła się, żeby zabrzmiało to pogodnie.

Ktoś zapukał.

- Galway - powiedział Hejty, nawet nie patrząc w tamtą stronę. Odwrócił się i otworzył drzwi.

Traper wsunął głowę do środka.

- Zamierzacie może wrócić za chwilę do sali? - spytał, rzucając młodym ludziom pełne uznania spojrzenie, jakby się spodziewał, że zastanie ich tarzających się nago po podłodze.

Solie się zaczerwieniła.

- A co, pytał ktoś o mnie?

- Nie, ale ty tu rządzisz. Będziesz musiała przemówić do ludzi. Leon też pewnie będzie chciał się z tobą zobaczyć. Przed chwilą wrócił.

- Jak on się czuje? - spytała zaniepokojona. Zdawała sobie sprawę, że Wspólnotę czeka wiele trudnych lat, i liczyła na jego doświadczenie. Zresztą tak samo jak na Galwaya. Miała nadzieję, że przekona go, aby został z nimi. Potrzebowała wielu mężczyzn, gotowych uczyć młodą monarchinię i jej doradzać.

- Nie najgorzej. Właśnie tu idzie. Porozmawiam z nim, poproszę, żeby zajrzał do ciebie. Powie ci, co powinnaś zrobić.

Traper popatrzył groźnie na Hejty'ego, który odpowiedział uśmiechem, i wyszedł. Drzwi się zamknęły.

Nie minęła minuta, a znowu się otworzyły. Solie spodziewała się Leona, tymczasem stanęła w nich wdowa. Rzuciła Solie surowe spojrzenie, które zawsze sprawiało, że dziewczyna miała ochotę zwiesić głowę i zapaść się pod ziemię, i ruszyła w stronę Maczugi.

- A jednak nie zginąłeś - stwierdziła.

- Nie.

- I co, zamierzałeś mnie jakoś o tym powiadomić?

- Zdawało mi się, że to zrobiłem - odparł, unosząc brwi. Skrzyżowała ramiona na piersi.

- Nie. Zaszepotałeś mi w głowie, wzywając przed swoje szacowne oblicze. Nie jestem psem, zauważyłeś może?

Przechylił głowę na bok. Solie wyczuła, że łagodnieje.

- Bardzo cię przepraszam - powiedział szczerze. - Potrzebowałem twojej pomocy.

Wdowa widać zrozumiała jego skruchę i także zmiękła, przynajmniej odrobinę. Solie poczuła się skrepowana, jakby ich podglądała.

- O co chodzi? - spytała wdowa.

Maczuga wskazał kciukiem na swojego towarzysza.

- To jest Szpon - powiedział. Niebieskowłosy sylf drgnął, przestraszony, że stał się obiektem zainteresowania. - To kolejny wojowniczy sylf z naszego roju. Łączy go więź z Solie, ale żaden z nas nie może karmić się jej energią.

- Tylko ja - zanucił Hejty.
- Ty lepiej zacznij pożywiać się u Galwaya, smarkaczu - odparł twardo Maczuga, a Hejty się skrzywił. Solie się zaśmiała. Nie czuła wyczerpania.
- Szpon potrzebuje pana - tłumaczył dalej Maczuga. -Kogoś, kto ukształtuje jego energię na podrzędnym poziomie w stosunku do Solie. To powinna być kobieta. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Kobieta, która będzie się chciała z nim kochać.
Szpon się wyprostował. Wdowa ściągnęła usta.
- Panowie, co z wami? Dlaczego wojowniczym sylfom tylko seks w głowie?
- Do tego zostaliśmy stworzeni. Do walki i do miłości.
- Wiesz chyba, że prawie każdy mężczyzna może o sobie powiedzieć to samo? - Oparła dłonie na biodrach. - Poszukam ochotniczek. Jest tu sporo wdów, które nie mają potomstwa, a są na tyle młode, żeby interesować się wami i waszą... nieustanną gotowością. Tylko żadnych dzieci, dobrze?
Rzuciła okiem na Solie. Dziewczyna zaczerwieniła się po uszy.
- Nie oddam żadnej z moich podopiecznych twojemu rozpustnemu sylfowi. Dostanie dojrzałą kobietę, która już rodziła i nie ma męża, bo wy, dranie, pewnie nie lubicie się z nikim dzielić. Zrozumiano?
Szpon zamrugął.
- Będę miał kobietę? - spyta! takim tonem, jakby miał zemdleć ze zdumienia.
- Jeśli znajdę taką, która cię zechce. - Otaksowała go wzrokiem, bez entuzjazmu. - Do tego czasu trzymaj się z daleka od moich dziewcząt!
Wojowniczy sylf znowu zamrugął, odpowiedział na jej srogie spojrzenie niepewnym skinieniem głowy i odetchnął z ulgą, kiedy zwróciła się do Maczugi:

- A ty przestań mi szeptać w myślach. Jeśli czegoś chcesz, to przyjdź i grzecznie poproś, rozumiano?

- Tak, Lily - odparł pogodnie.

Wdowa tylko pociągnęła nosem i ruszyła do drzwi.

- Nie mogę uwierzyć, że zrobili ze mnie burdelmamę - mruzczała pod nosem, przytrzymując je szeroko, bo właśnie nadszedł Leon.

Stanął jak wryty i spojrzał na nią, zdziwiony.

- Czy ja dobrze słyszałem, czy mi się tylko wydawało? Zachichotała.

- Tak. Mamy kolejnego wojowniczego sylfa. Pozwól, że ci przedstawię Szpona.

Leon popatrzył na niego i skinął głową.

- To dobrze. Być może znowu nas zaatakują. Solie zbladła.

- Jeszcze raz?

- Powietrzny statek zdołał uciec - odparł. - Król dowie się, co tu się stało. Pytanie, czy zechce zaryzykować utratę kolejnych sylfów, skoro stracił już sześć. Zostało mu tylko dziewięć. A właściwie osiem, bo Thrallowi nie pozwala oddalić się ani na krok.

Solie wyobraziła sobie napaść ośmiu wojowniczych sylfów na Wspólnotę i zrobiło się jej niedobrze.

Hejty objął ją mocno ramieniem.

- Raczej wątpię, żeby się odważył - mówił dalej Leon. - Ja bym zaatakował, bo chciałbym zlikwidować zagrożenie na granicy. Alcor nadal ma przecież przewagę, ale to paranoik.

Uśmiechnął się lekko.

- Myślę, że zwieje z podkulonym ogonem, nie mogę jednak tego zagwarantować. Potrzebujemy jak najwięcej wojowniczych sylfów.

- A skąd je wziąć?

- Trzeba je wezwać. Sprowadź z tuzin wojowników, wiążąc ich z chętnym kobietami, i zyskamy przewagę liczebną.

Nie rozgłaszaj, dlaczego wiążą się z kobietami, a już nigdy nie będziemy się musieli martwić o atak z zewnątrz. Spojrzała na niego.

- Ojej!

- No właśnie. Zerknął na drzwi.

- Musisz wyjść do ludzi, niech cię zobaczą i skojarzą ze zwycięstwem. Jutro przyjdzie czas na poważne decyzje.

Leon był bardzo przygnębiony. Solie niezbyt wyraźnie wyczuwała jego emocje i wcale tego nie pragnęła, lecz widziała, że on strasznie cierpi.

- Jak się czujesz? - spytała nieśmiało. Był umazany krwią, ale chyba nie odniósł ran.

Odwrócił się ze smutnym uśmiechem.

- Dojdę do siebie. Śmierć sylfa to ciężki cios. Mam wrażenie, że Ril ciągle jest w mojej głowie.

Popatrzyła na niego.

- Ril żyje. Milczenie.

- Widziałam go niedawno - dodała szybko, mierząc się z falą smutku i niedowierzania. - Łut Szczęścia przyniosła go do roju. Doznał poważnych obrażeń, ale żył. Czyżby jednak umarł?

Wciąż go wyczuwała, jego szok i dezorientację. Nie, to niemożliwe, żeby umarł.

- Był z twoją rodziną, kiedy...

Ostatnie słowa powiedziała do jego pleców, bo Leon błyskawicznie przyskoczył do drzwi. Spojrzała na Maczugę.

- Wiedziałaś, że on żyje? Potężny sylf pokręcił głową.

- Powinien umrzeć. Ta uzdrowicielka nie przysłużyła mu się zbytnio, zachowując go przy życiu.

Nigdy nie będzie taki jak dawniej.

- Nieważne - oburzyła się Solie. - Żyje. Tylko to się liczy.

- Jak uważasz, królowo - odparł Maczuga, a Hejty objął ją mocniej i wtulił twarz w jej szyję. Szpon tylko westchnął, popatrzył na swoje ręce i znowu pogrążył się w marzeniach o kobietach.

Leon wpadł do jadalni. Serce waliło mu jak młotem. Wyczuwał Rila, wyczuwał go cały czas, ale nie rozumiał, co to oznacza. Nawet teraz go czuł, ale emocje sylfa były tak rozproszone, że nie potrafił ich rozpoznać. Myślał, że to nim zawładnęło przerażenie i otepienie. I nagle zrozumiał, że przeżywa to Ril i że sylf jest w głębokim szoku.

Nie zatrzymał się pośród świętujących ludzi, choć nie zdziwił się, że tak szybko zorganizowali przyjęcie na cześć zwycięstwa. Członkowie Wspólnoty musieli się odprężyć po tych strasznych doświadczeniach. On miał co innego do roboty, więc przepychał się przez tłum, czując, jak mężczyźni klepią go po ramieniu i potrząsają jego dłońią. Kiedyś był ich wrogiem, teraz ze Izami dziękowali mu za ocalenie. Pozdrowiał ich skinieniem głowy i szedł dalej, koniecznie chcąc zobaczyć sylfa i rodzinę, niepewny, na kim zależy mu bardziej.

W końcu dostrzegł żonę i uzyskał odpowiedź na to pytanie. Ruszył szybko do niej, żeby wziąć ją w ramiona.

- Betha! - zawołał.

Otworzyła szeroko oczy i też zaczęła się ku niemu przepychać. Ralad, którą przytulała do siebie, wybuchnęła płaczem. Spotkali się wreszcie, prawie pod samą ścianą. Leon objął ją i niemowlę.

Szlochała z ulgi na jego widok, przytulała się

i jednocześnie biła go zaciśniętą w pięść dłońią. Krzyczała na niego, ale pochylił się, ujął jej twarz w dłonie i namiętnie pocałował w usta.

Wtedy przydreptała do nich Nali, ssąc kciuk, i popatrzyła na niego z wyrzutem.

- Tata, Ril nie chce być kucykiem - poskarżyła się głośno. Leon popatrzył na nią. Miał ochotę podnieść ją i pocałować, ale sprawa była poważna.

- Co takiego?

- Kucykiem! Chcę, żeby był kucykiem, ale on nie chce! Leon uśmiechnął się z trudem i dopiero teraz poczuł,

że Izy płyną mu po policzkach. Cała jego rodzina przeżyła.

- Nali, on źle się czuje. Musisz mu dać trochę czasu.

- To nieładnie! Jeszcze nie był kucykiem!

Leon znowu pocałował żonę, wziął Nali na ręce i też zaczął ją całować, choć protestowała. Postawił ją na ziemi i ruszył w kąt sali, gdzie Lizzy i Cara klęczały po obu stronach prowizorycznego schronienia między ścianami a stołem. Siedział w nim Ril otulony kocem. Podciągnął kolana pod brodę i spoglądał przed siebie pustym wzrokiem. Pod oczami miał sińce. Drżał i na nic nie reagował.

Lizzy, zapłakana, spojrzała na ojca; ledwie zauważyła jego zakrwawione ubranie. To nie on był dla niej najważniejszy.

- Tato, Ril jest chory. Zrób coś!

Leon ukląkł i wyciągnął ręce do swojego wojowniczego sylfa. Ril żył, naprawdę żył - lecz w jego oczach zastygło przerażenie.

- Jestem kaleką - szepnął. - Zrobiła ze mnie kalekę.

- Ale żyjesz - odparł Leon. Dla niego liczyło się tylko to jedno.

Król Alcor Baldorth siedział na tronie - panował od trzydziestu dwóch lat - i wbijał wzrok w przestrzeń. Korona ciążyła mu na głowie, a ręce zacisnął na poręczach tak mocno, że aż pobieleły. W żołądku go kłuło, jakby połknął garść gwoździ.

Anderam, Boradel i Flav nie żyli. Jasar też. I wszyscy żołnierze, których posłał na łowy Płaskowyż.

Wszyscy, co do jednego. Najgorsze, że w lud poszła plotka o zniknięciu

wojowniczych sylfów, które przyłączyły się do Leona i tej dziewczyny, tej żalostnej dziwki, która powinna była umrzeć dawno temu, zamiast jego syna.

Ścisnął mocniej poręcz, aż zaboląły go palce. Patrzył z góry na człowieka, który przywiózł mu te wieści jako jeden z nielicznych ocalałych. Dureń zwijał się ze strachu o własną skórę. Alcor najchętniej by go zabił, lecz nie mógł, bo to był pan Huragana, a jemu nie wolno stracić tak potężnego sylfa.

Sześciu wojowników! Roztrzęsiony Alcor wziął głęboki wdech. Zdrada Leona była niespodziewana i bolesna. Od jak dawna ten drań to planował? Od jak dawna wkładał się w jego łaski z tak podłymi zamiarami? Służył mu od dwudziestu lat i przez cały ten czas Alcorowi do głowy nawet nie przyszło, że może knuć przeciwko niemu.

W cieniu za tronem Thrall śmiał się do rozpuku. Nie na głos - nie wolno mu było przecież wydawać żadnych dźwięków. Ale ramiona mu się trzęsły i nierówno oddychał. Co gorsza, w jego aurze nienawiści pojawił się bezgraniczny zachwyty. Alcor najchętniej odwróciłby się i wrzasnął na sylfa, żeby przestał, nic by mu to jednak nie dało. Thrall śmiałby się jeszcze bardziej.

Król obliznął usta.

- Zabieraj się stąd - sapnął. Klęczący przed tronem powietrzny żeglarz skurczył się ze strachu. - Wynoś się! - ryknął król i mężczyzna uciekł, dudniąc ciężkimi butami po wypolerowanej posadzce. Król puścił poręczę i podniósł dłoń do rozpalonego czoła. Co robić? Nie może po raz kolejny zaatakować Leona. Ma wprawdzie jeszcze osiem sylfów... dziewięć, jeśli odważy się sam wyruszyć na wyprawę, razem z Thrалlem. Ale w jaki sposób Leonowi udało się zwrócić sylfy przeciwko ich panom i sprawić, że się do niego przyłączyły? A jeśli i on, król, musiałby uciekać? Para Dubh bardzo by się z tego ucieszyło. Południowe królestwa też, zwłaszcza pustynny

lud Meridal zza oceanu, od którego kupował różne dobra za olbrzymie pieniądze. Od dawna czyhali na osłabienie jego pozycji, żeby go zaatakować.

Roztrzęsiony, znowu złapał poręcz. Musi ratować, co się da, sprawić, żeby lud się nie dowiedział o katastrofie i zdobyć następne sylfy. Belican twierdził, że jest za stary, żeby organizować kolejne ceremonie. No cóż, trzeba przeskolić kilku z tych beużytecznych młokosów, którzy mu zostali. Alcor potrzebował więcej wojowniczych sylfów - pod warunkiem że znajdzie dla nich godnych zaufania panów. A co będzie, jeśli trafi się kolejny Leon? I jeśli teraz oni po niego przyjdą? Siedział w sali tronowej i trzął się coraz bardziej, wyobrażając sobie wszystkie możliwe katastrofy, które na pewno się zdarzą, jego władza się chwiała. Co za koszmar! A Thrall stał niewzruszenie, lojalny jak zwykle... i śmiał się, śmiał się bez końca.

EPILOG

Wiosna nie okryła zielenią Iłowego Płaskowyzu. Tylko na kolczastych szarych krzakach, jedynych tu roślinach, które rosły wszędzie, wbijając korzenie w głąb kamienistej gleby, pojawiły się drobne żółte kwiatki. Dopiero wspólna praca sylfów i ludzi miała przywrócić tę krainę do życia.

Solie, w zgrabnych szarawarach, jechała na czele karawany. Jej koń był zwykłym siwym, podstarzałym wałachem, ale przynajmniej czuła się bezpiecznie. Niektórzy uważali, że powinna się zachowywać bardziej po królewsku, ona jednak miała inne zdanie. Była pierwszą władczynią Wspólnoty i to ona ustalała zasady. Mogła robić, co chciała, jechała więc sobie teraz na oklep na starej, wysłużonej szkapie.

Hejty siedział za nią. Twierdził, że musi ją chronić, lecz ona doskonale wiedziała, że po prostu chce ją obmacywać pod płaszczem. Od czasów Bocka nikt nie targnął się na jej życie. Otaczał ją przecież orszak wojowniczych sylfów i zwykłych żywiołaków, też z nią związanych. Dzięki dyskretnym naukom Leona, Galwaya i Devona stała się prawdziwą królową. Czasem jeszcze czuła się z tym nieswojo, jak w nowych butach, ale powoli się do tego przyzwyczajała. Wkrótce rządzenie wejdzie jej w krew.

Obejrzała się przez ramię na karawanę i uśmiechnęła lekko do Hejty'ego, a on cały się rozpromienił. Z tyłu za nimi ciągnął się długi wąż ludzi i pojazdów. Większość koni

zaprzęgnięto do wozów, na niektórych jechali ludzie. Inni siedzieli na kamiennych płytach, przesuwanych przez ziemne sylfy. Pod niebem śmigały powietrzne sylfy, transportując zapasy. Nad nimi unosił się Maczuga w postaci chmury dymu przeszywanej błyskawicami; obok niego lecieli Szpon i sześć innych sylfów.

Z pomocą kapłana Petra sprowadzili pół tuzina wojowniczych sylfów, które związały się z chętnymi do tego kobietami w średnim wieku. Każdy z wojowników przeszedł przez wrota i zaakceptował propozycję swojej kobiety, najpierw jednak musiał stać się członkiem roju i przyjąć wzorzec Solie. Dopiero potem mógł połączyć się fizycznie ze swoją wybranką. Okazało się, że stosunek sylfa z kobietą czyni ją królową, lecz sylf naznaczony wcześniej przez królową nie może powołać swojej nowej pani na tron. Solie wiedziała, że musi być czujna. Dwie królowe to zwiastun problemów; przede wszystkim ich sylfy natychmiast zaczęłyby ze sobą walczyć.

Wybranki wojowników wcale się wszakże nie paliły do roli królowych. W świecie Solie kobiety miały niewiele władzy i bardzo ograniczone prawa. Wojownicze sylfy tego nie rozumiały, a mężczyźni woleli się z nimi nie spierać. Solie uśmiechnęła się lekko: no tak, trudno podporządkować sobie kobietę, u której boku stoi wojowniczy sylf.

Zresztą wojownicy nie troszczyli się tylko o swoje władczynie. Otaczali opieką wszystkie kobiety i dziewczynki w roju. Mężczyźni także, na specjalne życzenie Solie. Pewnie nigdzie na świecie kobiety nie były tak bezpieczne jak we Wspólnocie. Od bitwy pod urwiskiem żadna nie została skrzywdzona przez pijanego albo brutalnego męża. Jedyne mężczyzna, który się na to odważył, padł ofiarą zasady „śmierć tym, którzy chcą zaszkodzić rojowi”, a wdowa po nim miała teraz własnego wojowniczego sylfa.

Solie spojrzała w niebo. Jej sylfy były równie szczęśliwe, jak ludzie. Wprawdzie rozglądały się czujnie, ale robiły to

z lekkim sercem. Wszystkie wojownicze sylfy unosiły się w powietrzu, z wyjątkiem dwóch: Rila i Hejty'ego, który siedział za nią i bez przerwy kombinował, jak by tu się do niej dostać. Dała po łapie swojemu partnerowi.

Ril. Obejrzała się na Leona; szedł blisko niej, prowadząc dwa konie. Na jednym siedziała jego żona, z zawiniętą w kocyk Ralad przy piersi. Przed nią siedziała Cara. Na drugim jechał sylf z Lizzy i Nali. Lizzy prawie siedziała mu na kolanach, odwracała się stale do niego i bez przerwy paplała. Ril właściwie na to nie reagował, tyle tylko, że od czasu do czasu przytrzymywał ją, żeby nie spadła przy jakimś gwałtownym ruchu. Solie miała wrażenie, że obie dziewczynki wzięły sobie za punkt honoru, żeby w końcu zlecieć z konia.

Ril ani razu nie spojrział na swoich pobratymców na niebie. Rzeczywiście został ciężko okaleczony w bitwie pod urwiskiem. Podobno w razie potrzeby wciąż mógł zmieniać postać, ale Solie nigdy tego nie widziała i wołała go nie pytać. Stracił ponad jedną trzecią energii i patrzył na nią niemal martwymi oczami. Pomimo wszystko opiekuńczo obejmował obie dziewczynki.

- Chyba już dojeżdżamy - szepnął jej Hejty do ucha, ściągając na siebie jej uwagę.

Od tygodnia podróżowali w stronę gór, które olbrzymiały, w miarę jak zbliżali się do nich, aż w końcu przysłoniły im cały świat. Właśnie pokonywali wzniesienie, które jak ją poinformowano, opadało ku dolinie. Płynęła przez nią rzeka, tworząc jezioro w miejscu, gdzie kiedyś była tylko martwa skała.

Sylfy już raz przywróciły tę krainę do życia i były gotowe zrobić to znowu, niezależnie od ogromu zniszczeń. Wspólnota zostanie odbudowana i tym razem nikt już jej nie zagrozi. Nie będą popełniać głupich błędów, a przynajmniej ustrzegą się tych najgorszych. Taką Solie miała nadzieję.

Znaleźli się na szczycie wzniesienia. W końcu ujrzała cel podróży. Podczas najazdu Maczuga i Ril zdarli wielkie

płaty żyznej gleby z dna i zboczy doliny. Domy i zabudowania gospodarcze zrównano z ziemią, niszcząc wszelkie przejawy życia. Ale nie wszędzie. Tu i ówdzie rozpościerały się połacie zieleni, rozkwitały rośliny, na pewno delikatniejsze i bardziej użyteczne od kolczastych krzaków porastających płaskowyż. Dolina była ogromna. Na pewno każdy znajdzie tu miejsce dla siebie.

- Jak tu pięknie - szepnęła.

Hejty objął ją i jego palce znowu zaczęły błędzić pod jej płaszczem.

- Ty jesteś dużo piękniejsza - powiedział. - Ale to królestwo też jest ładne, bo należy do ciebie.

- Nie do mnie, tylko do nas wszystkich - poprawiła go. Odetchnęła głęboko, widząc przed sobą długie, dobre

życie i wolność, jakiej nie potrafiłaby sobie nawet wyobrazić przed ucieczką z chaty rodziców.

Dobrze jest być w domu, pomyślała. Nieważne gdzie, ważne z kim. Jak długo otaczają mnie opiekuńcze ramiona Hejty'ego, zawsze będę u siebie.